

**TESS
GERRITSEN**

**MILCZĄCA
DZIEWCZYNA**

W tym gatunku nie ma nikogo lepszego
Harlan Coben



**TESS
GERRITSEN
MILCZĄCA
DZIEWCZYNA**

Z angielskiego przełożyła
ANNA JĘCZMYK

*Billowi Haberowi i Janet Tamaro za wiarę w moje
dziewczynki*

*To, co musisz zrobić – powiedziała małpa – to
wywabić potwora z kryjówki. Lecz musisz mieć
pewność, że tę walkę przeżyjesz.*

Wu Cheng'en, *Król Małp: Podróż na Zachód*, ok. 1500–1582

Rozdział pierwszy

San Francisco

Przez cały dzień obserwowałam tę dziewczynę.

Nic nie wskazuje na to, że jest tego świadoma, chociaż mój wynajęty samochód widać z rogu ulicy, na którym dziewczyna stoi wraz z innymi nastolatkami, które zebrały się tam dziś po południu, robiąc to, co zazwyczaj robią znudzone dzieciaki, by zabić czas. Wygląda na młodszą od innych, być może dlatego, że jest Azjatką i jest dość drobna jak na siedemnaście lat, po prostu chuchro. Jej czarne włosy są ostrzyżone na chłopaka, a niebieskie dzinsy powycierane i podarte. Nie wygląda to na celowy zabieg zgodny z najnowszymi trendami mody, ale raczej na rezultat częstego noszenia i życia na ulicy. Zaciąga się papierosem i wypuszcza chmurę dymu z nonszalancją godną ulicznego zbira, co nie pasuje do jej bladej cery i delikatnych chińskich rysów. Jest wystarczająco ładna, by wzbudzić zainteresowanie dwóch przechodzących obok mężczyzn. Ona dostrzega ich pożądlive spojrzenia i patrzy im prosto w oczy, nieustraszona. Nietrudno jednak być odważnym, gdy zagrożenie jest pojęciem abstrakcyjnym. Zastanawiam się, jak by się zachowała w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa. Czy walczyłaby, czy raczej się załamała? Chcę wiedzieć, jaka jest naprawdę, ale jak dotąd nie miałam okazji zobaczyć, jak się

zachowuje poddana prawdziwej próbie.

Zbliża się wieczór i młodzież z rogu ulicy zaczyna się rozchodzić. W San Francisco nawet letnie noce są chłodne i ci, którzy zostali, zbijają się w grupkę opatuleni w swetry i kurtki i podpalają sobie papierosy, rozkoszując się ulotnym ciepłem płomienia. Lecz zimno i głód sprawiają, że nawet najbardziej wytrwali w końcu się rozchodzą, zostawiając samotną dziewczynę, która nie ma dokąd pójść. Macha im na pożegnanie i przez chwilę kręci się w miejscu, jakby na kogoś czekała. W końcu wzrusza ramionami i odchodzi z rękami wciśniętymi w kieszenie. Idzie w moją stronę. Kiedy mija mój samochód, nawet nie rzuca na mnie okiem. Patrzy prosto przed siebie, jej spojrzenie jest skupione i zaciekle, jakby była w rozterce i intensywnie rozważała wszystkie za i przeciw. Może zastanawia się, skąd wytrzasnąć jedzenie na kolację? A może rozmyśla nad czymś dużo ważniejszym? Nad swoją przyszłością. Nad tym, jak przeżyć.

Chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że idą za nią tamci dwaj mężczyźni.

Zauważyłam ich kilka sekund po tym, jak minęła mój samochód. Wyłonili się z za rogu. Poznałam ich: to ci sami, którzy gapili się na nią wcześniej. Kiedy idąc w ślad za nią, przechodzą obok mojego samochodu, jeden z nich patrzy na mnie. To tylko pospieszny rzut oka, by ocenić, czy stanowią zagrożenie. To, co widzi, nie wzbudza w nim najmniejszego niepokoju, więc on i jego kolega idą dalej. Poruszają się niczym pewne siebie drapieżniki, którymi w istocie są, śledząc słabszą

od siebie ofiarę, niemającą dość sił, by się obronić.

Wysiadam z samochodu i idę za nimi. A oni idą za dziewczyną.

Zmierza w stronę dzielnicy, w której zbyt wiele budynków jest opuszczonych, a chodniki sprawiają wrażenie wybrukowanych potłuczonymi butelkami. Dziewczyna nie zdradza żadnych oznak niepokoju czy lęku, jakby ten teren był jej dobrze znany. Ani razu nie ogląda się za siebie, co świadczy o tym, że albo jest lekkomyślna, albo nie ma najmniejszego pojęcia o życiu i o tym, co może przydarzyć się takim dziewczynom jak ona. Mężczyźni, którzy za nią idą, również nie oglądają się za siebie. Nawet gdyby mnie zauważyli, do czego nie dopuszczam, nie dostrzegliby niczego, czego warto by się bać. Zawsze tak jest.

Na następnym rogu ulicy dziewczyna skręca w prawo i znika w drzwiach.

Chowam się w cień i obserwuję przebieg wydarzeń. Mężczyźni zatrzymują się przed budynkiem, do którego weszła dziewczyna, i naradzają się, co dalej. Następnie wchodzą do środka.

Stojąc na chodniku, spoglądam w górę na pozabijane deskami okna. Budynek, do którego weszła dziewczyna, to pusty magazyn z tablicami WSTĘP WZBRONIONY. Drzwi są uchylone. Wślizguję się do środka w ciemność tak gęstą, że muszę się zatrzymać, by przyzwycząić oczy. Tymczasem polegam na pozostałych zmysłach, badam za ich pomocą to, czego nie widzę. Słyszę skrzypienie podłogi. Czuję zapach

topiącego się wosku zapalonej świecy. Widzę słabą poświatę wydobywającą się zza drzwi po lewej stronie. Staję przy nich i zaglądam do pokoju.

Dziewczyna klęczy przy prowizorycznym stoliku. Jej twarz oświetla migoczący płomień świecy. Wokół widać ślady tymczasowego zamieszkania: śpiwór, jakieś konserwy i mała turystyczna kuchenka. Dziewczyna zмага się z opornym otwieraczem do puszek i nie ma pojęcia, że od tyłu zakrada się do niej dwóch mężczyzn.

Nabieram powietrza, by krzyknąć i ją ostrzec, ale w tym momencie ona odwraca się i staje na wprost intruzów. W rękę ściska otwieracz do puszek – dość mizerną broń w starciu z dwoma wielkimi mężczyznami.

– To mój dom – mówi. – Wynoście się.

Jestem gotowa w każdej chwili interweniować, ale czekam, bo chcę zobaczyć, co się stanie. Chcę zobaczyć, do czego jest zdolna.

– Przyszliśmy w gości, słonko. – Jeden z nich rechocze.

– Czy ja was zapraszałam?

– Zdaje się, że brakuje ci towarzystwa.

– A mnie się zdaje, że tobie brakuje oleju w głowie.

Niezbyt mądrze to rozgrywa. Teraz ich pożądanie miesza się ze złością, a to niebezpieczna kombinacja. Mimo to dziewczyna stoi opanowana i spokojna, wymachując tym żalonym kuchennym narzędziem. Kiedy mężczyzna rzuca się do przodu, stoję już na palcach gotowa do skoku.

Ale ona skacze pierwsza. Wystarcza jeden ruch i już uderza

stopą pierwszego napastnika w krocze. To mało elegancki, lecz skuteczny cios. Mężczyzna chwieje się i łapie za pierś, jakby nie mógł oddychać. Dziewczyna uprzedza ruch drugiego napastnika. Odwraca się w jego stronę i uderza go w bok głowy otwieraczem do puszek. Mężczyzna wyje z bólu i wycofuje się.

Robi się ciekawie.

Ten pierwszy już się pozbierał i rzuca się na nią z taką furją, że oboje upadają na ziemię. Dziewczyna kopie i wali pięściami, uderza go nawet w szczękę, ale wściekłość uodporniła go na ból i z rykiem opada na nią, unieruchamiając ją ciężarem swojego ciała.

Teraz do akcji wraca drugi napastnik. Łapie ją za nadgarstki i przyciska do ziemi. Młodość i brak doświadczenia wpakowały ją w tarapaty, z których nie ma jak uciec. Nie brak jej determinacji i woli walki, ale jest w tych sprawach niewyszkolonym żółtodziobem. Sytuacja nieuchronnie zmierza ku tragicznemu finałowi. Pierwszy napastnik rozpiął rozporek w jej dzinsach i teraz gwałtownym ruchem ściąga spodnie z jej bioder. Jest wyraźnie podniecony, w kroczu jego spodnie wybrzuszają się znacząco. W takim momencie mężczyzna jest najbardziej narażony na atak.

Nie wie, że się zbliżam, nie słyszy mnie. W jednej chwili rozpina rozporek, a w drugiej leży na ziemi z rozwaloną szczęką i wybitym zębem, który wypada z jego zakrwawionych ust.

Drugi mężczyzna puszcza dziewczynę i odskakuje, ale nie jest wystarczająco szybki. Jestem tygrysem, on zaś zaledwie

ociężałym bawołem, głupim i bezradnym wobec mojego ataku. Wrzeszcząc, pada na ziemię. Sądząc po groteskowym wygięciu ramienia, złamałam mu kość.

Łapię dziewczynę i stawiam ją na nogi.

– Nic ci nie jest?

Zasuwa rozporek i gapi się na mnie.

– Kim, do diabła, jesteś?

– O tym porozmawiamy później. Teraz wynośmy się stąd! – krzyczę.

– Jak ci się to udało? Jakim cudem tak szybko dałaś im radę?

– Chcesz się tego nauczyć?

– Tak!

Spoglądam na mężczyzn, którzy jęczą z bólu u naszych stóp.

– W takim razie oto pierwsza lekcja: trzeba wiedzieć, kiedy uciekać. – Popycham ją w stronę drzwi. – Odpowiedni moment jest właśnie teraz.

Obserwuję ją, gdy je. Jak na taką drobną dziewczynę ma iście wilczy apetyt. Pochłania trzy tacy z kurczakiem, miche puree z fasoli i duży kubek coca-coli. Miała ochotę na kuchnię meksykańską, więc siedzimy w knajpie, w której gra muzyka mariachi, a ściany ozdabiają tandetne malowidła przedstawiające tańczące seniority. Choć ma chińskie rysy twarzy, bez wątplenia jest Amerykanką, począwszy od krótko obciętych włosów aż po wytarte dzinsy. Pozbawiona oglądy, nieokrzęsana istota, która, siorbiąc, dopija coca-colę,

a następnie miażdży zębami kostki lodu.

Zaczynam wątpić w powodzenie tego przedsięwzięcia. Jest za duża na naukę i zbyt narowista, by przywyknąć do dyscypliny. Powinnam wypuścić ją z powrotem na ulicę, skoro tego właśnie chce, i znaleźć inne rozwiązanie. Ale zauważam blizny na jej knykcjach i przypominam sobie, jak niewiele brakowało, by w pojedynkę pokonała dwóch mężczyzn. Ma nieoszlifowany talent i jest nieustraszona – dwie rzeczy, których nie można się nauczyć.

– Pamiętasz mnie? – pytam.

Dziewczyna odstawia szklankę i ściąga brwi. Przez moment wydaje mi się, że zaczyna mnie rozpoznawać, ale po chwili to wrażenie znika. Dziewczyna kręci głową.

– To było dawno – mówię. – Dwanaście lat temu. – Dla dziewczyny w jej wieku to cała wieczność. – Byłaś mała.

Wzrusza ramionami.

– Nic dziwnego, że cię nie pamiętam. – Sięga do kieszeni kurtki, wyciąga papierosa i zaczyna go zapalać.

– Zanieczyszczasz swoje ciało.

– To moje ciało – odpowiada.

– Nie, jeśli chcesz się szkolić. – Przechyliłam się nad stołem i wyciągam papierosa z jej ust. – Jeśli chcesz się uczyć, musisz zmienić swoje nastawienie. Musisz okazać szacunek.

– Nie jesteś moją matką – prychna oburzona.

– Znałam twoją matkę. W Bostonie.

– Ale ona nie żyje.

– Wiem. Napisała do mnie miesiąc przed śmiercią. Pisała, że

jest chora i zostało jej mało czasu. Dlatego tu jestem.

Zaskoczona dostrzegam w jej oczach łzy. Dziewczyna szybko odwraca głowę, jakby zawstydzona tym, że okazała słabość.

Ale w tym ułamku sekundy, gdy jest pozbawiona pancerza i taka bezbronna, przypomina mi moją córkę, która była od niej młodsza, gdy ją straciłam. Do oczu napływają mi łzy, ale nie próbuję ich ukryć. Smutek sprawił, że jestem tym, kim jestem. Był oczyszczającym ogniem, który wzmógł moją determinację i wyostrzył cel.

Potrzebuję tej dziewczyny, a ona najwyraźniej potrzebuje mnie.

– Szukałam cię kilka tygodni – mówię.

– Rodzina zastępcza była do dupy. Lepiej mi samej.

– Gdyby mama cię teraz zobaczyła, pękłoby jej serce.

– Nigdy nie miała dla mnie czasu.

– Może dlatego, że pracowała na dwa etaty, żebyś miała co jeść? Bo nie miała nikogo i mogła liczyć tylko na siebie?

– Pozwalała wszystkim wchodzić sobie na głowę. Nigdy się nie postawiła. Nawet wobec mnie była miękka.

– Bała się.

– Była tchórzem.

Wściekła na tego niewdzięcznego bachora pochylam się do przodu.

– Twoja biedna matka cierpiała w sposób, którego nie możesz sobie wyobrazić. Wszystko, co robiła, robiła dla ciebie. –

Z odrazą rzucam w jej stronę papierosa. Nie tego się spodziewałam. Może jest silna i odważna, ale nie ma żadnego

poczucia powinności wobec zmarłej matki i ojca, żadnego poczucia rodzinnego honoru. Pozbawieni więzi z naszymi przodkami jesteśmy samotnymi drobinami kurzu znoszonymi przez prąd i zagubionymi, do niczego i nikogo nieprzywiązani.

Placę za jej kolację i wstaję.

– Mam nadzieję, że któregoś dnia znajdziesz w sobie dość mądrości, by zrozumieć, co mama dla ciebie poświęciła.

– Odchodzisz?

– Niczego nie mogę cię nauczyć.

– A niby dlaczego miałabyś to robić? Dlaczego w ogóle mnie szukałaś?

– Myślałam, że znajdę kogoś innego. Kogoś, kogo mogłabym uczyć. Kogoś, kto by mi pomógł.

– W czym?

Nie wiem, jak odpowiedzieć na jej pytanie. Przez chwilę słyszeć tylko muzykę mariachi, która sączy się z głośników.

– Pamiętasz swojego ojca? Pamiętasz, co się z nim stało?

Dziewczyna wpatruje się we mnie.

– O to chodzi, tak? To dlatego mnie szukałaś? Bo mama ci o nim napisała.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Kochał cię, a ty go nie szanujesz. Nie szanujesz obojga rodziców. – Kładę przed nią plik banknotów. – To ze względu na pamięć o nich.

Prześtań żyć na ulicy i wracaj do szkoły. Tam przynajmniej nie będziesz musiała walczyć z obcymi mężczyznami. – Odwracam się i wychodzę z restauracji.

Nie mija kilka sekund, a dziewczyna jest już na dworze i biegnie za mną.

– Zaczekaj! – woła. – Dokąd idziesz?

– Wracam do domu, do Bostonu.

– Pamiętam cię. Chyba wiem, czego chcesz.

Zatrzymuję się i staję z nią twarzą w twarz.

– Ty też powinnaś tego chcieć.

– Co miałabym zrobić?

Mierzę ją wzrokiem, widzę jej mizerne ramiona i biodra tak wąskie, że ledwo trzymają się na nich dżinsy.

– Nie chodzi o to, co miałabyś zrobić – odpowiadam – lecz o to, kim będziesz musiała się stać. – Zbliżam się do niej powoli. Jak dotąd nie miała powodu, by się mnie bać. Bo niby dlaczego? Przecież jestem tylko kobietą. Ale teraz dostrzega w moich oczach coś, co sprawia, że robi krok do tyłu.

– Boisz się? – pytam miękko.

Jej broda drży. Odpowiada z dziecinną brawurą w głosie:

– Nie. Wcale się nie boję.

– A powinnaś.

Rozdział drugi

Siedem lat później

– Nazywam się doktor Maura Isles, nazwisko pisze się I–S–L–E–S. Jestem lekarzem sądowym, zatrudnionym przez urząd koronera stanu Massachusetts.

– Doktor Isles, proszę opisać sądowi swoje wykształcenie i przygotowanie zawodowe – powiedziała Carmela Aguilar, asystentka adwokata okręgowego hrabstwa Suffolk.

Odpowiadając na pytanie, Maura patrzyła wyłącznie na asystentkę adwokata. O wiele łatwiej skupić się na neutralnej twarzy Carmeli Aguilar, niż znosić spojrzenia oskarżonego i jego licznych, zgromadzonych w sali sądowej zwolenników. Pani Aguilar najwyraźniej nie przeszkadzało, że prowadzi sprawę przed wrogo nastawioną publicznością, ale Maura była tego wyjątkowo świadoma. Dużą część tej publiczności stanowili przedstawiciele organów ścigania i ich znajomi. Maura wiedziała, że nie spodoba im się to, co powie.

Oskarżonym był Wayne Brian Graff, szeroki w barach policjant o mocno zarysowanej szczęce, istne wcielenie amerykańskiego bohatera. Sympatia całej sali była po stronie Graffa, a nie ofiary – mężczyzny, który sześć miesięcy temu z licznymi obrażeniami trafił na stół w prosektorium Maury.

Mężczyzny, którego nikt nie oplakiwał i którego nikt nie szukał. A który dwie godziny przed śmiercią popełnił tragiczny błąd polegający na zastrzeleniu policjanta.

Recytując swój życiorys, Maura czuła, jak spojrzenia publiczności palą jej twarz, gorące niczym końcówki lasera.

– Jestem absolwentką Uniwersytetu Stanforda, gdzie zrobiłam licencjat z antropologii. Studia medyczne ukończyłam na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco, tam również odbyłam pięcioletni staż w zakresie patologii. Mam specjalizację zarówno z patologii anatomicznej, jak i klinicznej. Po stażu otrzymałam dwuletnie stypendium naukowo-badawcze z zakresu medycyny sądowej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles.

– I jest pani uprawniona do wykonywania zawodu w swojej specjalności na podstawie zdanego egzaminu państwowego?

– Tak, proszę pani. Zarówno z zakresu patologii ogólnej, jak i medycyny sądowej.

– A gdzie pani pracowała przed objęciem stanowiska w urzędzie koronera w Bostonie?

– Przez siedem lat pracowałam jako lekarz patolog w biurze koronera w San Francisco w Kalifornii. Wykładałam również patologię na Uniwersytecie Kalifornijskim. Jestem uprawniona do wykonywania zawodu zarówno w stanie Massachusetts, jak i w Kalifornii. – Odpowiedź Maury była aż nadto wyczerpująca. Zauważyła, że pani Aguilar ściąga brwi, ponieważ zbiła ją z tropu, uprzedzając kolejne pytanie. Tyle razy recytowała swój życiorys zawodowy w sądzie, że

doskonale wiedziała, o co zostanie zapytana, a jej odpowiedzi były niemal automatyczne. Gdzie praktykowała, jakie musiała spełnić wymagania dotyczące wykształcenia, umiejętności i doświadczenia, czy ma wystarczające kwalifikacje, by zeznawać w tej konkretnej sprawie.

Po zakończeniu formalności Aguilar przeszła do bardziej szczegółowych pytań.

– Czy w październiku zeszłego roku przeprowadziła pani autopsję zmarłego Fabiana Dixona?

– Tak – odpowiedziała Maura. Choć odpowiedź była rzeczowa, Maura natychmiast poczuła, że na sali podnosi się temperatura.

– Proszę powiedzieć, jak do tego doszło, że śmierć pana Dixona stała się sprawą dla koronera?

Aguilar stała ze wzrokiem utkwionym w Maurę, jakby chciała jej powiedzieć: ignoruj wszystkich na tej sali. Patrz tylko na mnie i mów o faktach.

Maura wyprostowała się i zaczęła mówić tak głośno, by każdy mógł ją usłyszeć.

– Zmarły był dwudziestoczteroletnim mężczyzną, którego znaleziono bez oznak życia na tylnym siedzeniu radiowozu bostońskiej policji. Został przewieziony karetką do szpitala ogólnego stanu Massachusetts, gdzie na oddziale doraźnej pomocy stwierdzono zgon.

– I przez to jego śmierć stała się sprawą dla koronera?

– Tak jest. Z oddziału został przewieziony do naszego prosektorium.

– Proszę opisać sądowi, jak wyglądał pan Dixon, gdy zobaczyła go pani po raz pierwszy.

Nie uszło uwagi Maury, że Carmela Aguilar mówi o zmarłym mężczyźnie, używając jego nazwiska i unikając takich określeń, jak „ciało” lub „zmarły”. W ten sposób przypominała sądowi, że ofiara miała tożsamość. Nazwisko, twarz i życie.

Maura odpowiedziała w podobnym stylu:

– Pan Dixon był dobrze odżywionym mężczyzną, przeciętnego wzrostu i wagi, którego przywieziono do naszego zakładu jedynie w bawełnianych slipkach i skarpetkach.

Ubranie, które wcześniej miał na sobie, zdjęto w trakcie próby reanimacji na oddziale doraźnej pomocy. Podkładki EKG nadal były przyklejone do jego piersi, na prawym ramieniu zaś miał założony wenflon. – Przerwała. Teraz zaczyna się najmniej przyjemna część. Choć starała się nie patrzeć na publiczność i obrońcę, wiedziała, że oczy wszystkich zebranych skierowane są na nią.

– A w jakim stanie znajdowało się jego ciało? Czy może nam pani opisać, jak wyglądało? – ponaglała ją Aguilar.

– Na piersiach, lewym boku i górnej części brzucha widać było liczne siniaki. Miał zamknięte i opuchnięte oczy, a na wargach i głowie rany szarpane. Dwa górne zęby, siekacze, były wybite.

– Sprzeciw. – Adwokat obrony wstał. – Nie wiemy, kiedy stracił te zęby. Być może stało się to wiele lat temu.

– Jeden z zębów znaleźliśmy po wykonaniu prześwietlenia. Znajdował się w jego brzuchu – powiedziała Maura.

– Świadek winien powstrzymać się od wypowiadania swoich opinii, o ile nie zdecyduje inaczej – oznajmił sędzia surowo. Spojrzał na adwokata obrony. – Sprzeciw oddalony. Pani Aguilar, proszę kontynuować.

Asystentka adwokata okręgowego kiwnęła głową i lekko się uśmiechnęła, usatysfakcjonowana decyzją sędziego, po czym znów skupiła uwagę na Maurze.

– Zatem pan Dixon był bardzo posiniaczony, miał rany szarpane i przynajmniej jeden z jego zębów został niedawno wybity.

– Tak – potwierdziła Maura. – Zobaczycie to państwo na zdjęciach z sekcji zwłok.

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, chcielibyśmy pokazać teraz zdjęcia wykonane w prosektorium – powiedziała Carmela Aguilar. – Muszę ostrzec publiczność, że zdjęcia są drastyczne. Jeśli ktoś z tu obecnych wolałby ich nie oglądać, radzę, by teraz opuścił salę. – Przerwała i rozejrzała się.

Nikt nie wyszedł.

Kiedy na ekranie pokazał się pierwszy slajd przedstawiający z maltretowane ciało Fabiana Dixona, słychać było, jak wszyscy oddychają głęboko. Maura powściągliwie opisała obrażenia Dixona, ponieważ wiedziała, że zdjęcia mówią same za siebie. Fotografii nie można oskarżyć o to, że trzymają czyjąś stronę albo kłamią. Przemawiająca przez nie prawda była dla wszystkich oczywista: Fabian Dixon, nim znalazł się na tylnym siedzeniu samochodu policyjnego, został brutalnie pobity i maltretowany.

Na ekranie ukazywały się kolejne slajdy, a Maura opisywała, co odkryła w trakcie autopsji. Liczne złamania żeber. Połknięty ząb w żołądku. Krew w płucach, którą musiał zachłysnąć się Dixon. I przyczyna śmierci: pęknięcie śledziony, które spowodowało krwotok do jamy otrzewnowej.

– A jaki był charakter zgonu pana Dixona, doktor Isles? – spytała pani Aguilar.

Było to kluczowe pytanie, a Maura bała się odpowiedzi, bo wiedziała, jakie niesie konsekwencje.

– Zabójstwo – powiedziała. Nie do niej należy wskazywanie winnych. Ograniczyła swoją odpowiedź do tego jednego słowa, ale nie mogła się powstrzymać i spojrzała na Wayne’a Graffa. Oskarżony policjant siedział bez ruchu. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Służył w bostońskiej policji od ponad dziesięciu lat i przez ten czas dał się poznać jako wzorowy funkcjonariusz. Kilkanaście cieszących się dobrą opinią osób świadczyło w sądzie na jego korzyść. Opowiadali, jak policjant Graff dzielnie przybył im z pomocą. Był bohaterem, mówili, a Maura im wierzyła.

Jednak trzydziestego pierwszego października wieczorem, tej nocy, gdy Fabian Dixon został zamordowany, Wayne Graff i jego partner stali się aniołami zemsty. To oni dokonali aresztowania, a Dixon w chwili śmierci znajdował się pod ich kuratelą. *Podejrzany był pobudzony i agresywny, jakby znajdował się pod wpływem PCP albo cracku*, napisali w oświadczeniu. Opisali szaleńczy opór, jaki stawiał Dixon, i jego nadludzką siłę. *Opanowanie go wymagało użycia*

siły, ale nie sprawiał wrażenia, że odczuwa ból. Podczas samotaniny pochrząkiwał i wydawał zwierzęce odgłosy, usiłował również zedrzeć z siebie ubranie, choć tamtej nocy było tylko niecałe pięć stopni powyżej zera. Opisali aż nazbyt precyzyjnie dobrze znany lekarzom stan majaczenia z pobudzeniem psychoruchowym, który doprowadził do śmierci innych więźniów znajdujących się pod wpływem kokainy.

Jednak kilka miesięcy później wyniki badań toksykologicznych wykazały, że Dixon znajdował się jedynie pod wpływem alkoholu. Maura nie miała wątpliwości, że został zamordowany. A jeden z zabójców siedział teraz przy stole obrony i wpatrywał się w nią.

– Nie mam więcej pytań – powiedziała asystentka adwokata okręgowego i usiadła z wyrazem zadowolenia na twarzy. Była pewna sukcesu.

Adwokat obrony Morris Whaley wstał, by zadać pytania strony przeciwnej, i Maura poczuła, jak jej mięśnie się napinają. Whaley sprawiał wrażenie miłego faceta. Podszedł do miejsca dla świadka zupełnie tak, jakby zamierzał uciąć sobie przyjacielską pogawędkę. Gdyby spotkali się na jakimś koktajlu, Maura mogłaby nawet uznać, że jego towarzystwo jest dość przyjemne. W garniturze od Brooks Brothers wyglądał całkiem przystojnie.

– Myślę, że wszyscy jesteśmy pod wrażeniem pani kwalifikacji, doktor Isles – zaczął. – Nie będę zatem zabierał czasu Wysokiemu Sądowi i poddawał analizie pani osiągnięć

naukowych.

Maura milczała. Wpatrywała się w jego uśmiechniętą twarz i zastanawiała, z której strony nadejdzie atak.

– Zapewne nikt na tej sali nie wątpi, że ciężko zapracowała pani na swoją pozycję – mówił Whaley. – Zwłaszcza mając na uwadze pewne trudności w życiu prywatnym, którym musiała pani stawić czoło w ostatnich miesiącach.

– Sprzeciw. – Carmela Aguilar westchnęła zirytowana i wstała. – To nie ma związku ze sprawą.

– Ma, Wysoki Sądzie. Wpływa na osąd świadka – powiedział Whaley.

– W jaki sposób? – spytał natychmiast sędzia.

– Doświadczenia z przeszłości mogą mieć wpływ na to, jak świadek interpretuje dowody.

– O jakich doświadczeniach pan mówi?

– Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, bym zadał pytania w tej sprawie, stanie się to oczywiste.

Sędzia spojrział twardo na Whaleya.

– Na razie wyrażam zgodę na tę linię pytań. Ale tylko na razie.

Aguilar usiadła zagniewana.

Whaley znów skupił uwagę na Maurze.

– Doktor Isles, czy pamięta pani dzień, w którym badała zmarłego?

Maura zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią, zaskoczona nagłym powrotem do tematu sekcji zwłok. Nie uszło jej uwagi, że Whaley unika używania nazwiska ofiary.

– Ma pan na myśli pana Dixona? – spytała i dostrzegła w jego oczach irytację.

– Tak.

– Sekcja zwłok została przeprowadzona pierwszego listopada zeszłego roku.

– Czy tego dnia ustaliła pani przyczynę zgonu?

– Tak. Jak wcześniej powiedziałam, pan Dixon zmarł na skutek krwotoku do jamy otrzewnowej, do którego doszło z powodu pęknięcia śledziony.

– Czy tego samego dnia ustaliła pani charakter zgonu?

Maura się zawahała.

– Nie. W każdym razie nie ostateczny...

– Dlaczego?

Odetchnęła głęboko, świadoma, że wpatrują się w nią dziesiątki par oczu.

– Chciałam poczekać na wyniki badań toksykologicznych. Sprawdzić, czy pan Dixon w istocie znajdował się pod wpływem kokainy lub innych środków farmaceutycznych. Wolałam zachować ostrożność.

– Cóż, powinna pani. W końcu ta decyzja mogła zniszczyć karierę zawodową, ba, nawet złamać życie dwóch oddanych pracy funkcjonariuszy porządku publicznego.

– Mnie interesują jedynie fakty, panie Whaley, i to, dokąd prowadzą.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź. Widziała to po skurczu mięśni jego szczęki. Wszelkie pozory serdeczności znikły. Teraz zaczęła się prawdziwa wojna.

– A zatem przeprowadziła pani sekcję zwłok pierwszego listopada – powiedział.

– Tak.

– Co się potem stało?

– Nie bardzo wiem, co ma pan na myśli.

– Czy wzięła pani wolny weekend? Czy w kolejnym tygodniu przeprowadzała pani inne sekcje?

Wpatrywała się w niego, a niepokój niczym wąż oplatał jej żołądek. Nie wiedziała, dokąd zmierza, ale obrany przez Whaley'a kierunek jej się nie podobał.

– Byłam na konferencji patologów – powiedziała.

– Jak sędzę w Wyoming.

– Tak.

– Gdzie doświadczyła pani pewnych traumatycznych przeżyć.

Została pani zaatakowana przez nieuczciwego policjanta.

Pani Aguilar skoczyła na równe nogi.

– Sprzeciw. To nie ma związku ze sprawą.

– Sprzeciw oddalony – powiedział sędzia.

Whaley się uśmiechnął. Miał teraz wolną drogę, by zadać pytanie, którego Maura się obawiała.

– Czy to prawda, pani Isles? Została pani zaatakowana przez policjanta?

– Tak – szepnęła.

– Obawiam się, że nie usłyszałem odpowiedzi.

– Tak – powtórzyła głośniej.

– I jak przeżyła pani tę napaść?

Na sali zapadła martwa cisza. Wszyscy w napięciu czekali na

dalszy ciąg tej historii. Historii, o której nie chciała nawet myśleć, ponieważ nadal z jej powodu nawiedzały ją nocne koszmary. Przypomniała sobie opuszczone wzgórze w Wyoming. A także głuchy odgłos zatrzasniętych drzwi samochodu zastępcy szeryfa. Drzwi, które zamknęły się za nią, usidlając ją na tylnym siedzeniu za kratami odgradzającymi aresztowanych. Przypomniała sobie, jak wpadła w panikę, daremnie waląc ręką w szybę, usiłując uciec przed człowiekiem, który zamierzał ją zabić.

– Doktor Isles, jak udało się pani przeżyć tę napaść? Kto pani pomógł?

Maura przełknęła ślinę.

– Pewien chłopiec.

– Zapewne Julian Perkins. Szesnastolatek, który postrzelił i zabił tego policjanta.

– Nie miał wyboru!

Whaley pokręcił głową.

– Broni pani chłopca, który zabił gliniarza?

– Złego gliniarza.

– A potem przyjechała pani do Bostonu. I stwierdziła, że pan Dixon zmarł w wyniku zabójstwa.

– Ponieważ taka jest prawda.

– A może to był nieszczęśliwy wypadek? Nieunikniona konsekwencja braku subordynacji aresztowanego, który stawiał czynny opór policjantom i trzeba go było przywołać do porządku?

– Widział pan zdjęcia z prosektorium. Policjanci użyli dużo

większej siły, niż było konieczne.

– Podobnie jak chłopiec z Wyoming, Julian Perkins.

Postrzelił ze skutkiem śmiertelnym zastępcę szeryfa. Czy uważa to pani za uzasadnione użycie siły?

– Sprzeciw – odezwała się Carmela Aguilar. – Pani Isles nie jest pozwanym w tej sprawie.

Adwokat obrony jednak ani myślał przestać, sunął jak taran i nie spuszczał wzroku z Maury, zadał kolejne pytanie:

– Co się wydarzyło w Wyoming, doktor Isles? Kiedy walczyła pani o życie, czy doznała pani jakiegoś objawienia? Nagle zdała sobie pani sprawę, że policjanci są wrogami?

– Sprzeciw!

– A może policjanci od zawsze byli wrogami? Członkowie pani rodziny najwyraźniej tak myślą.

Rozległo się stuknięcie sędziowskiego młotka.

– Panie Whaley, proszę natychmiast podejść do ławy.

Maura siedziała oszołomiona, podczas gdy adwokaci nachylali się nad ławą sędziego. A więc do tego doszło.

Zaczęło się wyciąganie na światło dzienne jej rodzinnych spraw. Zapewne każdy gliniarz w Bostonie słyszał o jej matce Amalthei, która odbywa karę dożywocia w więzieniu dla kobiet we Framingham. Ten potwór, który mnie urodził, pomyślała. Każdy, kto na mnie patrzy, musi się zastanawiać, czy do mojej krwi przesączył się ten sam zły duch. Zauważyła, że Graff, oskarżony policjant, wpatruje się w nią intensywnie. Ich spojrzenia skrzyżowały się, a na jego ustach pojawił się uśmiech. „Witajcie konsekwencje, przeczytała w jego oczach.

Oto, co się dzieje, gdy zdradzisz cienką niebieską linię^{”*},
występując przeciwko tym, którzy z narażeniem życia stoją na
straży prawa i porządku.

**cienka niebieska linia (ang. thin blue line) – emblemat przedstawiający
niebieską linię na czarnym tle stosowany jest w USA dla okazania wsparcia
policjantom. Symbolizuje koleżeństwo i braterstwo łączące wszystkich
funkcjonariuszy ochrony porządku publicznego. Linia to granica między
porządkiem a chaosem, prawem i bezprawiem, na której strażą stoją
funkcjonariusze. Czarne tło ma przypominać o poległych policjantach, a niebieski
kolor reprezentuje policjantów i odwagę, jaką się wykazują.*

– Sąd zarządza przerwę – oznajmił sędzia. – Spotkamy się
ponownie o czternastej.

Kiedy sędzia wyszedł z sali, Maura opadła na oparcie fotela.
Nie zauważyła nawet, że Carmela Aguilar stanęła obok niej.

– To było nieczyste zagranie – powiedziała. – Sędzia nie
powinien na to pozwolić.

– Wszystko skupiło się na mnie – powiedziała Maura.

– Oczywiście. Bo nic innego nie ma. A zdjęcia z sekcji zwłok
są bardzo przekonujące. – Aguilar spojrzała twardo na Maurę. –
Czy o czymś jeszcze powinnam wiedzieć, pani doktor?

– Oprócz tego, że moja matka jest skazana za morderstwo,
a ja torturuję dla zabawy kocięta?

– Pytam poważnie.

– Sama pani wcześniej mówiła, że to nie jest sąd nade mną.

– To prawda. Ale oni już się postarają, żeby odwrócić rolę.

Będą drażyli. Czy nienawidzi pani glin? Czy ma pani jakieś
tajemnice? Możemy przegrać tę sprawę, jeśli ława przysięgłych
nie będzie przekonana o pani bezstronności i uczciwości.

Dlatego proszę mi powiedzieć, czy jest coś jeszcze, co mogą

wyciągnąć na światło dzienne? Jakież tajemnice, o których mi pani nie wspomniała?

Maura zastanowiła się nad sprawami, które wolą zachować dla siebie. Nad trzymanym w tajemnicy romansem, który właśnie zakończyła. Nad pełną przemocy historią jej rodziny.

– Każdy ma swoje tajemnice – odrzekła. – Moje nie mają związku z tą sprawą.

– Miejmy nadzieję.

Rozdział trzeci

W bostońskim Chinatown, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie widać duchy. Nawiedzały spokojne Tai Tung Village, a także krzykliwą Beach Street. Błąkały się po Ping On Alley i przemykały cichaczem ciemną ulicą na tyłach Oxford Place. Można je było spotkać na każdej ulicy. Tak przynajmniej mówił przewodnik Billy Foo. Czy sam wierzył w duchy? To nie miało większego znaczenia. Jego zadaniem było przekonać turystów, że te ulice są nawiedzone. Ludzie chcieli wierzyć w duchy. Dlatego tak wielu z nich było gotowych wybulić piętnaście dolców od osoby, żeby, dygocząc z zimna, stać na rogu Beach i Oxford, wysłuchując mrozących krew w żyłach opowieści Billy'ego o popełnionych tu morderstwach. Tego wieczoru trzynastu nowicjuszy, w tym dziesięcioletnie smarkate bliźniaki, które od trzech godzin powinny być już w łózkach, zapisało się na wieczorną Wycieczkę z Duchami. Ale kiedy jesteś w biedzie, nie odmawiasz turystom, którzy płacą gotówką, nawet jeśli są to irytujący smarkacze. Billy był studentem szkoły teatralnej, bez żadnych perspektyw na pracę, a tego wieczoru jego łupem miało paść sto dziewięćdziesiąt pięć dolarów plus napiwki. Nie najgorzej jak na dwie godziny opowiadania bajek, nawet jeśli w cenę wliczone było jego upokorzenie wynikające z konieczności noszenia satynowej szaty w kolorze pomarańczowym i przypinanego warkocza.

Billy odchrząknął i podniósł ręce, wykorzystując nabyte podczas sześciu semestrów zajęć teatralnych umiejętności przyciągnięcia uwagi widzów.

– Rok tysiąc dziewięćset siódmy! Drugi sierpnia, ciepły piątkowy wieczór. – Jego głęboki, złowróżbny głos wznosił się ponad ulicznym zgiełkiem. – Tam, na placu znanym jako Oxford Place, bije serce bostońskiego Chinatown. Chodźcie za mną, a cofniemy się do czasów, gdy te ulice wypełniali imigranci, kiedy parne noce przesycone były zapachem spoconych ciał i nieznanymi przyprawami. Wrócimy do czasów, gdy morderstwo wisiało w powietrzu! – Dramatycznym gestem dał znać grupie, by podążyła za nim na Oxford Place, gdzie wszyscy zbili się wokół niego w gromadkę, by lepiej słyszeć przerażającą opowieść. Patrząc na ich skupione twarze, pomyślał, że teraz jest ten moment, kiedy powinien ich oczarować, rzucić urok, tak jak tylko dobry aktor potrafi. Rozpostarł ramiona i nabrał powietrza, a rękawy pomarańczowej szaty zatrzepotały niczym jedwabne skrzydła.

– Maaamusiu! – krzyknął jeden z dzieciaków. – On mnie kopie!

– Przestań, Michael! – krzyknęła matka. – Natychmiast przestań się tak zachowywać.

– Ja nic nie zrobiłem!

– Dokuczysz bratu.

– To on mi dokucza.

– Chcecie wrócić do hotelu? Chcecie?

Och, dobry Boże, proszę, niech wrócą do hotelu, pomyślał

Billy. Ale bracia spoglądali na siebie spode łba ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i widać było, że nie interesują ich w tej chwili żadne historie o duchach.

– Jak już mówiłem... – podjął dzielnie Billy. Czuł jednak, że przez to niespodziewane zajście stracił natchnienie. Niemal słyszał, jak pełne dramatyzmu napięcie ulatuje ze świstem niczym powietrze z przekłutego balona. Zagryzając zęby, mówił dalej:

– Była parna sierpniowa noc. Tłum żółtków odpoczywał na tym oto placu po długim dniu pracy w pralniach i sklepach spożywczych. – Nie cierpiał słowa „żółtki”, ale zmusił się, by go użyć. Chciał bowiem przywołać czasy, gdy w prasie regularnie pisano o „podejrzanych i złowrogich Azjatach”. Nawet magazyn „Time” nie widział nic złego w opisywaniu złośliwych tępych twarzy z przyklejonym półuśmiechem na ustach tak żółtych jak telegraficzne formularze. Czasy, gdy Billy Foo, amerykański Chińczyk, nie mógł znaleźć żadnej pracy poza posadą pracza, kucharza lub robotnika.

– Tu, na tym oto placu, za chwilę wybuchnie wojna – ciągnął Billy. – Wojna pomiędzy dwoma rywalizującymi chińskimi klanami: On Leong i Hip Sing. Wojna, w trakcie której ten plac spłynie krwią... Ktoś odpala petardę. Nagle noc eksploduje strzelaniną! Tłum żółtków ucieka w popłochu! Ale nie wszyscy biegną wystarczająco szybko i kiedy cichną strzały, pięciu ludzi leży na ulicy martwych lub dogorywających. To tylko kolejne ofiary krwawych, niechlubnych i zażartych wojen...

– Mamusiu, możemy już iść?

– Cicho. Słuchajcie, co pan opowiada.

– Ale on jest nuuudny.

Billy przerwał. Aż go swędziały dłonie, taką miał ochotę złapać smarkacza za gardło. Rzucił chłopakowi jadowite spojrzenie. Ten wzruszył ramionami.

– W mgliste noce takie jak dziś – mówił Billy przez zaciśnięte zęby – słychać czasem w oddali odgłosy tamtych petard. Można dostrzec tajemnicze postacie, jak mkną śmiertelnie przerażone, uciekając przed kulami, które gwizdały w powietrzu tamtej nocy! – Billy odwrócił się i zamachał ręką.

– Teraz przejdziemy na drugą stronę Beach Street. To kolejne miejsce, gdzie snują się duchy.

– Mamusiu, mamusiu!

Billy zignorował małego gnojka i poprowadził grupę na drugą stronę ulicy. Uśmiechaj się, nie przestawaj nawijać, chodzi tylko o napiwki, powtarzał w duchu. Musiało mu starczyć energii jeszcze tylko na jedną godzinę. Kolejny przystanek miał być na Knapp Street. Potem jeszcze Tylor Street i salon gier, gdzie w 1991 roku zginęło w masakrze pięciu mężczyzn.

W Chinatown miejsc zbrodni jest pod dostatkiem.

Poprowadził grupę Knapp Street. Właściwie nie była to ulica, lecz przejście niewiele różniące się od zwykłej dróżki, słabo oświetlone i rzadko uczęszczane. Kiedy światła i ruch uliczny Beach Street zostały już za nimi, temperatura nagle spadła. Billy, dygocząc z zimna, owinał się ciasno pomarańczową szatą. Już wcześniej, ilekroć pokonywał ten odcinek Knapp Street, doświadczał tego nieprzyjemnego zjawiska. Nawet

w ciepłe letnie noce zawsze odczuwał tu zimno, jakby chłód zagnieździł się w tym miejscu na dobre i nigdy nie zamierzał go opuścić. Grupka turystów chyba również to odczuła. Usłyszał dźwięk zamykanych suwaków, zobaczył rękawiczki wyciągane z kieszeni. Szli w ciszy, a ich kroki odbijały się echem od ścian wznoszących się po obu stronach budynków. Nawet dwaj smarkacze zachowywali się spokojnie, jakby wyczuwali, że coś tu jest nie tak. Że coś wisi w powietrzu, pochłaniając wszelką radość i śmiech.

Billy zatrzymał się przed opuszczonym budynkiem. Zamknięta brama broniła dostępu do drzwi, a stalowe kraty zabezpieczały okna na parterze. Zardzewiałe schody przeciwpożarowe prowadziły na trzecie i czwarte piętro, gdzie wszystkie okna były zabite deskami, jakby miały uniemożliwić ucieczkę jakiemuś czającemu się w środku więźniowi. Grupa Billy'ego zbiła się w ciasną gromadkę dla ochrony przed chłodem. A może wyczuli na tej ulicy coś jeszcze, coś, co sprawiło, że dla większego bezpieczeństwa instynktownie zbliżyli się do siebie?

– Witajcie w miejscu, gdzie popełniono jedną z najbardziej makabrycznych zbrodni w Chinatown – powiedział Billy.

– Szydł, który niegdyś wisiał na tym budynku, dawno zdjęto, ale dziewiętnaście lat temu za tymi okratowanymi oknami mieściła się mała chińska knajpka o nazwie Czerwony Feniks, specjalizująca się w owocach morza. Był to skromny zakład z zaledwie ośmioma stolikami, ale słynął ze świeżych małży. Wydarzyło się to trzydziestego marca. Noc była wilgotna

i zimna. Noc taka jak dziś, gdy zwykle ruchliwe ulice

Chinatown nagle stają się dziwnie spokojne. W Czerwonym Feniksie pracowało tamtej nocy zaledwie dwóch ludzi: kelner Jimmy Fang i kucharz, nielegalny chiński imigrant, który nazywał się Wu Weimin. Trzech gości przyszło tamtego wieczoru na kolację, która miała być ich ostatnią. Nigdy nie dowiemy się, dlaczego kucharz załamał się i wpadł w furję. Może z powodu długich godzin ciężkiej pracy? A może serce mu pękało, bo był obcy w obcym kraju?

Billy zrobił przerwę. Zniżył głos do przejmującego szeptu.

– A może zawładnęły nim jakieś ciemne moce, opętał zły duch, który kazał mu sięgnąć po pistolet i wypchnął go z kuchni wprost na salę, gdzie siedzieli goście. Duch, który nadal błąka się po tej ciemnej ulicy. Jedyne, co wiemy, to to, że wycelował pistolet i... – Billy zamilkł.

– I co zrobił? – spytał ktoś niecierpliwie.

Ale uwagę Billy'ego przykuło coś, co znajdowało się wysoko w górze, nad ich głowami. Stał ze wzrokiem utkwionym w dachu, gdzie – mógłby przysiąc – coś się przed chwilą poruszyło. Było to zaledwie mignięcie czegoś czarnego na czarnym tle, jak trzepot skrzydeł wielkiego ptaka na tle nocnego nieba. Wyciągał szyję, by zobaczyć to jeszcze raz, ale jedyne, co teraz widział, to zarys schodów przeciwpożarowych.

– I co się potem stało? – dopytywał jeden ze smarkaczy.

Billy spojrzał na dziesięcioletnią buzię i wlepione w niego oczy i usiłował przypomnieć sobie, w którym momencie przerwał opowieść. Ale nadal był pod wrażeniem tego czegoś,

co śmignęło na tle nieba. Opanowała go przemożna chęć, by wydostać się z mrocznej uliczki i uciec jak najdalej od tego budynku. Uczucie było tak intensywne, że musiał skupić całą wolę na tym, by nie wziąć nóg za pas i nie pobiec w stronę Beach Street. W stronę światła. Odetchnął głęboko i powiedział szybko:

– Kucharz ich wszystkich zastrzelił. A potem sam się zabił. Po tych słowach Billy odwrócił się i machnął do grupy, by wyprowadzić ich jak najdalej od nawiedzonego budynku, krążących w nim duchów i echa horroru, który wydarzył się tu wiele lat temu. Od Harrison Avenue dzieliła ich zaledwie jedna przecznica. Widział już jej kuszące światła i ruch uliczny. Miejsce dla żywych, nie dla umarłych. Szedł tak szybko, że turyści zostali w tyle. Nie mógł pozbyć się uczucia zagrożenia, które zdawało się oplatać ich coraz ciaśniej. Uczucia, że coś ich obserwuje. Obserwuje jego.

Przeraźliwy kobiecy pisk sprawił, że odwrócił się gwałtownie. Serce waliło mu jak młotem. Nagle grupa wybuchła głośnym śmiechem, a jeden z mężczyzn powiedział:

– Hej, fajny rekwizyt! Zawsze go używasz?

– Co takiego? – spytał Billy.

– Nieźle nas wystraszył. Wygląda bardzo realistycznie.

– Nie wiem, o czym pan mówi – wybąkał Billy. Mężczyzna wskazał przedmiot, który, jak sądził, stanowił część przedstawienia.

– No, dzieciaku, pokaż mu, co znalazłeś.

– Znalazłem to tam, za śmietnikiem.

– Faj. To nawet w dotyku jest jak prawdziwe. Ohyda! Billy podszedł bliżej i nagle nie mógł zrobić ani kroku, odebrało mu mowę. Zamarł, wpatrując się w trzymany przez chłopca przedmiot. Zobaczył gęste krople, które opryskały kurtkę dziecka, ale chłopiec tego nie zauważał.

Pierwsza zaczęła krzyczeć jego matka. Potem dołączyli inni, wrzeszcząc i cofając się. Zdezorientowany chłopiec stał bez ruchu, trzymając zdobycz, a krew kapłała i kapłała na rękaw jego kurtki.

Rozdział czwarty

– Zeszłej soboty byłem tam na kolacji – powiedział detektyw Barry Frost, kiedy jechali do Chinatown. – Zabrałem Liz na balet do Wang Theater. Liz uwielbia balet, aleja, mówię ci, w ogóle tego nie rozumiem. W połowie przedstawienia zasnąłem. Potem poszliśmy na kolację do restauracji Ocean City.

Była druga nad ranem. Zdecydowanie za wcześnie na takie gadulstwo, ale detektyw Jane Rizzoli pozwoliła swojemu partnerowi paplać bez końca o ostatniej randce, sama zaś skupiła się na prowadzeniu auta. Dla jej zmęczonych oczu wszystkie lampy uliczne były zbyt jaskrawe, każde światła samochodowe przypuszczały atak na siatkówki jej oczu. Godzinę temu leżała ciepło otulona kołdrą w łóżku obok męża. Teraz, prowadząc samochód ulicami, które bynajmniej nie były puste, starała się otrząsnąć ze snu i dobudzić. Ruch uliczny z jakichś niewytłumaczalnych powodów niemal zastygł, a samochody przed nimi wlokły się w żółwym tempie, i to w porze, kiedy przyzwoici obywatele już dawno powinni być w domach.

– Jadłaś tam kiedyś? – spytał Frost.

– Co takiego?

– W restauracji Ocean City. Liz zamówiła te rewelacyjne małże z czosnkiem i czarnym sosem z fasoli. Wystarczy, że

o nich pomyślę, a już robię się głodny. Nie mogę się doczekać, kiedy znów tam pójdziemy.

– Kim jest ta Liz?

– Mówiłem ci o niej w zeszłym tygodniu. Poznaliśmy się w klubie fitness.

– Myślałam, że spotykasz się z jakąś Muffy.

– Maggie. – Wzruszył ramionami. – Nie wyszło nam.

– Podobnie jak z tą przed nią. Jak jej było?

– Hej, nadal staram się odkryć, jakiej potrzebuję kobiety. Tak było od początku, odkąd znów zacząłem umawiać się z dziewczynami. Boże, nie miałem pojęcia, że na świecie jest tyle samotnych dziewczyn.

– Kobiet.

Westchnął.

– Tak, tak. Alice zawsze starała się wbić mi to do głowy.

Teraz powinieneś używać określenia „kobiety”.

Jane zatrzymała samochód na czerwonych światłach i spojrzała na niego.

– Ostatnio często rozmawiasz z Alice?

– A o czym tu rozmawiać?

– Na przykład o dziesięciu latach małżeństwa.

Wyjrzał przez okno.

– Nie ma już nic do powiedzenia. Alice zaczęła nowe życie.

Ale nie Barry Frost, pomyślała Jane. Osiem miesięcy temu

Alice, jego żona, wyprowadziła się z domu. Od tego czasu

Jane wysłuchiwała szalonych acz niewesołych opowieści Frosta o jego przygodach z kobietami. O pewnej piersiastej blondynce,

która powiedziała, że nie nosi bielizny. O przerażającej wysportowanej bibliotekarce, właścicielce bardzo sfatygowanego egzemplarza *Kamasutry*. O pełnej energii kwakierce, która miała o wiele mocniejszą głowę niż on. Według jego relacji wszystkie te kobiety budziły w nim bezgraniczne zdumienie i zachwyty, ale Jane widziała w jego oczach smutek. W żadnym razie nie można było powiedzieć, że Frost to zła partia. Był smukły, wysportowany i w pewien bezbarwny sposób nawet przystojny, przez co powinno mu być łatwiej umawiać się z kobietami.

Ale on tęskni za Alice, pomyślała.

Skręcili w Beach Street. Wjeżdżali w samo centrum Chinatown, gdy nagle oślepiły ich światła samochodu bostońskiej policji. Jane zaparkowała za radiowozem. Wysiedli z auta wprost w przejmujący chłód wilgotnej wiosennej nocy. Mimo nieprzyzwoicie późnej godziny na chodniku stało kilku gapiów. Jane usłyszała szepty po chińsku i angielsku. Na pewno wszyscy zadają sobie to samo uniwersalne pytanie: „Czy ktoś wie, co się stało?”

Ruszyła z detektywem Frostem Knapp Street. Przeszli pod rozciągniętą policyjną taśmą, przy której stał na straży policjant z ulicznego patrolu.

– Detektyw Rizzoli i detektyw Frost, wydział zabójstw – oznajmiła Jane.

– To tam – odpowiedział krótko. Wskazał małą uliczkę z pojemnikiem na śmieci, przy którym stał kolejny policjant.

Kiedy Jane i Frost podeszli bliżej, zobaczyła, że gliniarz

wcale nie pilnuje śmietnika, jak jej się początkowo zdawało, lecz czegoś, co leży obok na chodniku.

– O rany – sapnął Frost.

Gliniarz się zaśmiał.

– Ja też tak zareagowałem.

– Kto to znalazł?

– Turyści z Wycieczki z Duchami. Taki jeden dzieciak z tej grupy podniósł to, pewny, że to atrapa. Była tak świeża, że krew jeszcze ciekła. Szybko zorientował się, że to prawdziwe, i upuścił tu, gdzie teraz leży. Domyślcie się, że czegoś takiego się po tej wycieczce nie spodziewali.

– Gdzie są teraz ci turyści?

– Nieźle się przerazili. Wszyscy chcieli wrócić do hoteli, ale mam ich nazwiska i dane kontaktowe. Przewodnik to młody chłopak, miejscowy Chińczyk. Mówił, że chętnie z wami porozmawia, kiedy tylko będziecie gotowi. Nikt nie widział niczego oprócz tej dłoni. Zadzwonili pod dziewięćset jedenaście. Operator myślał, że to głupi żart. Trochę nam zajęło, nim przyjechaliśmy, bo najpierw trzeba było rozprawić się z chuliganami w Charlestown.

Jane kucnęła i poświeciła latarką na dłoń. To była szokująco precyzyjna amputacja. Czyste cięcie pokryte zaschniętą krwią. Dłoń należała do kobiety. Miała blade smukłe palce i niepokojąco elegancki manikiur. Żadnego pierścionka ani zegarka.

– Tak po prostu leżała na ziemi?

– Tak. Świeże mięso. Szczury szybko by się tym zajęły.

– Nie widzę żadnych śladów zębów. Długo tu nie leżała.

– Och, zauważyłem coś jeszcze. – Gliniarz zamachał latarką i snop światła padł na jakiś niewyraźny szary przedmiot leżący kilka metrów dalej.

Frost ruszył w tamtą stronę, by lepiej się przyjrzeć.

– To heckler and koch. Drogi – stwierdził i spojrzał na Jane. – Z tłumikiem.

– Czy któryś z turystów dotykał broni? – spytała Jane.

– Nikt go nie dotykał – odpowiedział gliniarz. – Nawet go nie widzieli.

– A zatem mamy wyciszony pistolet maszynowy i świeżo odciętą prawą rękę – podsumowała Jane. – Idę o zakład, że jedno z drugim ma wiele wspólnego.

– To naprawdę niezła sztuka – mruknął detektyw Frost, wciąż zajęty podziwianiem broni. – Aż trudno uwierzyć, że ktoś coś takiego wyrzucił.

Jane wstała i spojrzała na śmietnik.

– Sprawdziliście, czy w środku jest reszta ciała?

– Nie, proszę pani. Uznałem, że odcięta dłoń w zupełności wystarczy, by was wezwać. Nie chciałem niczego tu zanieczyścić przed waszym przyjazdem.

Jane wyjęła z kieszeni rękawiczki. Kiedy je naciągała, poczuła, jak serce bije jej coraz szybciej w oczekiwaniu na to, co znajdzie w śmietniku. Unieśli wieko. Uderzył ich odór gnijących owoców morza. Walcząc z mdłościami, spojrzała w dół na pogniecione kartonowe opakowania i wypchany czarny worek na śmieci. Spojrzeli po sobie.

– Ty pierwsza, jeśli masz ochotę – powiedział Frost.

Jane sięgnęła do środka, złapała worek i natychmiast zorientowała się, że nie ma w nim ciała. Nie był wystarczająco ciężki. Krzywiąc się z powodu nieznośnego smrodu, rozwiązała worek i zajrzała do środka. Zobaczyła krewetki i skorupy krabów.

Cofnęli się. Wieko pojemnika na śmieci opadło z głośnym hukiem.

– Pudło? – spytał gliniarz.

– Przynajmniej tym razem. – Jane spojrzała na odciętą dłoń. – Wobec tego gdzie jest reszta ciała?

– Może ktoś rozrzucił części po całym mieście? – podsunął Frost.

– A może ugotowano ją w jednej z tych chińskich knajpek i podano w jakimś smacznym gulaszu? – Gliniarz się zaśmiał.

Jane spojrzała na detektywa Frosta.

– Całe szczęście, że w restauracji zamówiłeś małże.

– Rozejrzeliśmy się już po okolicy – poinformował policjant.

– Niczego więcej nie znaleźliśmy.

– Mimo to przejdziemy się po tym kwartale – powiedziała Jane.

Ruszyli we dwójkę Knapp Street. Światła ich latarek przecinały mrok. Zobaczyli kawałki potłuczonych butelek, skrawki papieru, niedopałki papierosów. Żadnych części ciała. Okna wznoszących się po obu stronach domów były ciemne, ale Jane zastanawiała się, czy z tych tonących w mroku pokoi patrzą na nich jakieś oczy, śledzące ich wędrówkę cichymi

uliczkami. Za dnia będą musieli jeszcze raz przeprowadzić inspekcję, ale Jane nie chciała przegapić żadnego tropu, który mógłby zatrzymać czas. Dlatego razem z Frostem przeszukali centymetr po centymetrze całą uliczkę, aż doszli do kolejnej policyjnej taśmy odgradzającej ten teren od strony Harrison

Avenue. Tu były chodniki, światła i ruch. Jane i Frost ze wzrokiem wbitym w ziemię kontynuowali drobiazgową inspekcję kwartału, począwszy od Harrison Street aż do Beach Street. Kiedy skończyli obchód i wrócili do śmietnika, na miejscu była już policyjna ekipa specjalizująca się w badaniu miejsca zbrodni.

– Domyślam się, że wy również nie znaleźliście reszty jej ciała – powiedział gliniarz do Jane i Frosta.

Jane obserwowała, jak technicy wkładają do torebek broń i obciętą rękę, i zastanawiała się, dlaczego zabójca porzucił część ciała w takim miejscu, gdzie z pewnością ktoś mógł ją znaleźć. Czy się spieszył? Czy ręka miała zostać znaleziona? Stanowić swego rodzaju wiadomość? Potem jej wzrok powędrował w stronę drabinki przeciwpożarowej, która pięła się w górę po ścianie czteropiętrowego budynku.

– Musimy sprawdzić dach – powiedziała.

Dolny szczebel był zardzewiały i nie mogli opuścić schodów przeciwpożarowych. Trzeba było wejść na dach bardziej konwencjonalną drogą, po schodach. Wrócili na Beach Street, skąd mogli dostać się do budynków od frontu. Na parterach znajdowały się lokale usługowe: chińska restauracja, piekarnia i azjatycki sklep spożywczy. O tej porze wszystkie były

nieczynne. Wyższe piętra zajmowały mieszkania. Jane zlustrowała okna i stwierdziła, że wszędzie jest ciemno.

– Będziemy musieli kogoś obudzić, żeby nas wpuścił – powiedział Frost.

Jane podeszła do grupki leciwych Chińczyków, którzy zebrali się na chodniku i podekscytowani obserwowali ich poczynania.

– Czy ktoś z państwa zna najemców z tego budynku? – spytała. – Musimy dostać się do środka.

Patrzyli na nią tępo.

– Ten budynek – powiedziała, wskazując ręką dom. – Musimy wejść na górę.

– To na nic – stwierdził Frost. – Oni chyba nie znają angielskiego.

Jane westchnęła. Oto całe Chinatown, pomyślała.

– Będzie nam potrzebny tłumacz.

– W dystrykcie A–jeden jest nowy detektyw. Chyba jest Chińczykiem.

– Zanim do nas dojedzie, minie sporo czasu. Nie możemy tak długo czekać. – Jane podeszła do wejścia i spojrzała na listę lokatorów. Wybrała na chybił trafił jakieś nazwisko i nacisnęła guzik. Choć dzwoniła kilkakrotnie, nikt nie otworzył. Wybrała inne nazwisko. Tym razem usłyszeli czyjś chrapliwy głos.

– *Wei?* – odezwała się jakaś kobieta.

– Tu policja – powiedziała Jane. – Czy może nas pani wpuścić do budynku?

– *Wei?*

– Proszę otworzyć drzwi!

Minęło kilka minut, po czym jakiś dziecięcy głos odpowiedział:

– Babcia chce wiedzieć, kim jesteście.

– Detektyw Jane Rizzoli z wydziału policji – odparła Jane. – Musimy wejść na dach. Czy możesz wpuścić nas do budynku?

Wreszcie rozległo się charakterystyczne bzyczenie otwartych drzwi.

Dom miał co najmniej ze sto lat i drewniane stopnie trzeszczały, kiedy Jane i Frost wchodzili na górę. Na drugim piętrze uchyliły się jakieś drzwi. Jane rzuciła okiem na zagracone mieszkanie, skąd przyglądały im się dwie ciekawskie dziewczynki. Młodsza z nich była w wieku Reginy, jej córki, więc Jane zatrzymała się i szepnęła do niej: „cześć”.

Natychmiast zjawiała się matka, porwała najmłodszą córkę w ramiona i zatrzasnęła drzwi.

– Zdaje się, że nie jesteśmy tu mile widziani – stwierdził Frost.

Wchodzili po schodach. Minęli czwarte piętro i weszli wąskimi schodkami na dach. Wyjście nie było zamknięte, ale drzwi przeraźliwie zaskrzypiały, kiedy otworzyli je na oścież.

Jeszcze nie zaczęło świtać i na dachu panował mrok, rozświetlony jedynie miejską poświatą. W świetle latarki Jane zobaczyła plastikowy stół, krzesła i doniczki z ziołami. Sznury od bielizny uginały się od ciężaru prania, które powiewało na wietrze niczym roztańczone duchy. Wśród trzepoczących prześcieradeł Jane dostrzegła coś jeszcze. Leżało przy samym brzegu dachu, za lnianą zasłoną.

Jane i Frost bez słowa wyjęli z kieszeni papierowe ochraniacze na buty i pochyłili się, by je włożyć. Dopiero wtedy, szurając po pokrytym papą dachu, przeszli pod suszącymi się prześcieradłami w stronę tego, co oboje zauważyli.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Stali z latarkami skierowanymi w stronę zastygłej kałuży krwi. W stronę tego, co leżało w tej kałuży.

– Zdaje się, że znaleźliśmy resztę jej ciała – powiedział Frost.

Rozdział piąty

Chinatown leżało w samym sercu Bostonu, wtulone między dzielnicę finansową na północy i zielone trawniki nabrzeża Common na zachodzie. Ale kiedy Maura przechodziła przez bramę *paifang* z czterema rzeźbionymi lwami, miała wrażenie, że wkracza do innego miasta, innego świata. Ostatnim razem odwiedziła Chinatown w pewien sobotni październikowy ranek. Wtedy przy bramie siedzieli starsi mężczyźni, popijali herbatę, grali w karty i plotkowali po chińsku. W tamten zimny poranek spotkała się w Chinatown z Danielem na śniadaniu składającym się z przekąsek dim sum. Był to jeden z ostatnich posiłków, które mieli razem zjeść, i teraz wspomnienie tamtego dnia przeszło ją nagle niczym wbity w serce sztylet. Choć poranek był słoneczny i rześki, a przy bramie siedzieli ci sami grający w warcaby i pochłonięci rozmową staruszkowie, melancholia kładła się cieniem na wszystkim, co Maura widziała, zamieniając światło w mrok.

Minęła restauracje, gdzie w akwariach z owocami morza roilo się od połyskujących srebrzystymi łuskami ryb, przeszła obok zakurzonych sklepów z towarami z importu, wypełnionych meblami z palisandru, bransoletkami z jadeitu i rzeźbami ze sztucznej kości słoniowej, i weszła w gęstniejący tłum gapiów. Zauważyła umundurowanego policjanta, który górował

wzrostem nad tłumem składającym się w większości z Azjatów, i ruszyła w jego stronę.

– Przepraszam. Jestem lekarzem sądowym – wyjaśniła.

Zimne spojrzenie, jakie jej posłał, nie pozostawiało wątpliwości, że doskonale wie, kim jest. Doktor Maurą Isles, która zdradziła bractwo tych, których zadaniem było służyć i chronić. Której zeznania mogły posłać jednego z nich do więzienia. Nie powiedział ani słowa. Patrzył na nią, jakby nie miał bladego pojęcia, czego też Maura może od niego oczekiwać.

Spojrzała na niego równie zimnym wzrokiem.

– Gdzie jest ciało? – spytała.

– Będzie pani musiała spytać detektyw Jane Rizzoli.

Niczego nie zamierzał jej ułatwić.

– A gdzie ona jest?

Nim zdążył odpowiedzieć, usłyszała, że ktoś ją woła.

– Doktor Isles? – Młody Azjata w garniturze i pod krawatem przeszedł przez ulicę i zmierzał w jej stronę.

– Czekają na panią na dachu.

– Jak mam się tam dostać?

– Proszę iść za mną. Zaprowadzę panią na górę.

– Jest pan nowy w wydziale zabójstw? Chyba się nie znamy.

– Przepraszam. Powinienem się przedstawić. Detektyw Johnny Tam z dzielnicy A–jeden. Pani detektyw Rizzoli potrzebowała kogoś z okolicy, kto mógłby służyć jako tłumacz, a ja jestem rodowitym Chińczykiem, więc wciągnęli mnie do jej grupy.

– Po raz pierwszy pracuje pan przy zabójstwie?

– Tak, proszę pani. Zawsze o tym marzyłem. Dopiero dwa miesiące temu zdałem egzamin na licencję detektywa i jestem naprawdę doskonale przygotowany.

Detektyw Tam, dziarskim głosem nakazując gapiom, by ich przepuścili, przeprowadził ją przez tłum i otworzył drzwi do budynku, z którego bił intensywny zapach czosnku i kadzidła.

– Zauważyłam, że posługuje się pan mandaryńskim. Czy również kantońskim? – spytała.

– Słyszysz pani różnicę?

– Kiedyś mieszkałam w San Francisco. Wielu moich znajomych było Chińczykami.

– Chciałbym znać kantoński, ale niestety dla mnie ten język jest jak greka – powiedział, kiedy wchodzili po schodach. – Obawiam się, że mój chiński nie jest tu zbyt przydatny.

Większość tej starej emigracji mówi po kantońsku albo w dialekcie Taishan. Z reguły mi też przydałby się tłumacz.

– A więc nie jest pan z Bostonu?

– Urodziłem się i wychowałem w Nowym Jorku. Moi rodzice przyjechali z prowincji Fujian.

Dotarli na samą górę, otworzyli drzwi i wyszli wprost na zalany oślepiającym porannym słońcem dach. Maura zmrużyła oczy. Zobaczyła przeczesujących dach techników z ekipy badającej miejsce zbrodni i usłyszała, jak ktoś woła:

– Znaleźliśmy następną łuskę po naboju!

– To ile ich razem mamy? Pięć, tak?

– Oznacz je i zapakuj do torebek.

Nagle głosy ucichły. Maura zdała sobie sprawę, że wszyscy na nią patrzą. Oto przyszła zdrajczyni.

– Cześć, pani doktor! – zawołała Jane, idąc w jej stronę.

Wiatr rozwiewał jej ciemne włosy. – Widzę, że detektyw Tam jednak cię znalazł.

– O co chodzi z tymi łuskami? – spytała Maura. – Kiedy zadzwoniłaś, powiedziałaś, że to była amputacja.

– To prawda. Ale w tym zaułku na dole znaleźliśmy pistolet maszynowy Heckler and Koch. Wygląda na to, że ktoś wystrzelił tu kilka naboí. Co najmniej pięć.

– Czy ktoś słyszał strzały? Wiemy, o której mniej więcej godzinie to się wydarzyło?

– Pistolet miał tłumik, więc nikt niczego nie słyszał – Jane odwróciła się w drugą stronę. – Ofiara jest tutaj.

Maura założyła ochraniacze na buty oraz rękawiczki, po czym ruszyła za Jane w stronę zakrytego ciała leżącego na skraju dachu. Pochyliła się i uniosła płachtę z plastiku. To, co zobaczyła, wywarło na niej takie wrażenie, że aż zaniemówiła.

– Tak. Nas też zatkało.

Ofiarą była biała kobieta koło trzydziestki, szczupła i wysportowana, ubrana w czarną bluzę z kapturem i legginsy. Nastąpiło już stężenie pośmiertne. Kobieta leżała na boku z twarzą zwróconą w stronę nieba, jakby wyciągnęła się, by podziwiać gwiazdy. Włosy w głębokim kasztanowym kolorze były zebrane w kucyk. Miała bladą nieskazitelną cerę i wyraziste, nieco słowiańskie kości policzkowe. Ale Maura skupiła się przede wszystkim na ranie. Cięcie było tak głębokie,

że rozdzieliło skórę, mięśnie i chrząstkę i przeszło przez światło tchawicy, ukazując kręgosłup szyjny. Spowodowany tym krwotok tętniczy był tak intensywny, że krew rozprysła się w zaskakująco szerokim promieniu, plamiąc rozwieszona w pobliżu prześcieradła.

– Odcięta dłoń spadła na dół, w tę uliczkę na tyłach domu – wyjaśniła Jane. – Podobnie jak broń. Domyślam się, że na uchwycie znajdziemy jej odciski palców. A na tej dłoni ślady prochu.

Maura oderwała wzrok od szyi kobiety i spojrzała na prawy nadgarstek, który został rozdzielony czystym cięciem. Zastanawiała się, jakie narzędzie mogło tak skutecznie przeciąć chrząstki i kości. Musiało być niesamowicie ostre, a cios zadany wprawną ręką bez chwili wahania. Wyobraziła sobie przecinające powietrze i spadające na rękę kobiety ostrze i dłoń, która toczy się na krawędź dachu. Wyobraziła sobie, jak to samo ostrze przecina smukłą szyję.

Drżąc, wstała i spojrzała w dół na policjantów stojących na końcu Knapp Street. Tłum wyglądał na dwukrotnie większy niż kilka chwil temu, a dzień ledwo się zaczął. Ciekawscy, jak zawsze niezmordowani, wszędzie wyczują krew.

– Jesteś pewna, że chcesz tu być, Mauro? – spytała cicho Jane.

Maura odwróciła się do niej.

– Dlaczego miałabym nie chcieć?

– Tak się tylko zastanawiam. Może za wcześnie na powrót do pracy? Wiem, że miałaś ciężki tydzień. Ta cała sprawa sądowa

i tak dalej... – Jane przerwała. – Graff znalazł się w naprawdę nieciekawej sytuacji. Nie wygląda to najlepiej.

– Bo wcale nie powinno dobrze wyglądać. On zabił człowieka.

– A ten człowiek zabił glinę. Dobrego glinę, który miał żonę i dzieci. Muszę przyznać, że na jego miejscu też mogłabym stracić rozum.

– Proszę, Jane, nie mów, że bronisz policjanta Graffa.

– Pracowałam z nim. Był świetny. Z nikim innym nie czułam się tak bezpiecznie. Wiesz, co dzieje się z glinami, którzy trafiają do więzienia, prawda?

– Nie zamierzam się tłumaczyć. Już i tak dostałam mnóstwo nienawistnych e-maili. Chyba nie przyłączysz się do tego chóru?

– Mówię tylko, że to dość wrażliwy okres. Wszyscy szanujemy Graffa i rozumiemy, dlaczego tamtej nocy stracił nad sobą panowanie. Zabójca gliniarza nie żyje i może w ten sposób sprawiedliwości stało się zadość.

– Wymierzanie sprawiedliwości nie należy do moich obowiązków. Ja tylko przedstawiam fakty.

Jane zaśmiała się gorzko.

– Tak, ciebie interesują tylko fakty, prawda?

Maura odwróciła się i spojrzała na przeczesujących dach pracowników wydziału kryminalnego. Daj spokój, niech to się samo wypali, a ty skup się na swojej pracy. Jesteś tu, aby przemówić w imieniu tej martwej kobiety. Tylko to jest ważne, pomyślała.

– Co ona robiła na tym dachu? – spytała.

Jane spojrzała na ciało.

– Nie mam pojęcia.

– Wiemy, jak się tu dostała?

– Być może po schodach przeciwpożarowych albo klatką schodową. Wystarczy wejść na jeden z dachów i można dostać się na wszystkie w tym kwartale od Harrison Avenue do Knapp Street. Mogła wejść do któregoś z tych budynków. Albo wyskoczyć z helikoptera. Żadna z osób, z którymi rozmawialiśmy, niczego wczoraj wieczorem nie widziała. Ale wiemy, że to się wydarzyło ostatniej nocy, bo kiedy ją znaleźliśmy, stężenie pośmiertne właśnie się zaczynało.

Maura jeszcze raz spojrzała na ofiarę. Zwróciła uwagę na jej ubranie i ściągnęła brwi.

– To dziwne, że jest tak ubrana, cała na czarno.

– Jak to się mówi, pasuje jak ulał do całej reszty.

– Znaleźliście przy niej jakieś dokumenty?

– Żadnych. W kieszeni miała tylko trzysta dolarów i kluczyki od hondy. Przeczesujemy teraz okolicę w poszukiwaniu samochodu. – Jane pokręciła głową. – Szkoda, że nie przyjechała na przykład takim yugo. To jak szukanie igły w całym stosie hond.

Maura przykryła ciało i ziewająca rana znów znikła pod plastikową płachtą.

– Gdzie jest dłoń?

– Już w torebce.

– Jesteś pewna, że należy do tego ciała?

Jane spojrzała na nią zaskoczona.

– A jakie są szanse, że tak nie jest?

– Ja nigdy niczego nie zakładam. Wiesz o tym. – Maura się odwróciła.

– Mauro?

Znów spojrzała na Jane. Stały twarzą w twarz w oślepiającym słońcu, w miejscu, gdzie, jak się wydawało, mogła je widzieć i słyszeć cała bostońska policja.

– Jeśli chodzi o tę sprawę sądową, rozumiem, dlaczego tak Postępujesz – powiedziała Jane. – Wiesz o tym, prawda?

– Rozumiesz, ale nie pochwalasz.

– Ale jednak rozumiem. I mam nadzieję, że ty również rozumiesz, że to właśnie tacy jak Graff muszą radzić sobie w prawdziwym życiu. To oni są na linii ognia. Sprawiedliwość nie jest tak klarowna jak badania naukowe. Czasami bywa cholernie zagmatwana, a fakty jeszcze bardziej wszystko gmatwają.

– Więc powinnam skłamać?

– Po prostu nie zapominaj, kto tu jest czarnym charakterem.

– To nie należy do moich obowiązków – powiedziała Maura.

Opuściła dach i weszła na klatkę schodową, szczęśliwa, że może uciec przed oślepiającym słońcem i oczami pracowników bostońskiej policji. Ale kiedy znalazła się na parterze, znów stanęła twarzą w twarz z detektywem Tamem.

– Sporo tam na górze krwi, prawda? – zagadnął.

– Więcej niż zwykle.

– Kiedy sekcja?

- Zrobię ją jutro rano.
- Czy mogę przyjść jako obserwator?
- Drzwi stoją otworem, jeśli tylko ma pan wystarczająco odporny żołądek.
- Kiedy byłem na akademii, obejrzałem kilka sekcji zwłok.

Udało mi się utrzymać na nogach.

Maura przez chwilę nic nie mówiła. Chciała mu się przyjrzeć. Zobaczyła poważne ciemne oczy i ostre ładne rysy twarzy. Żadnej wrogości. Tego ranka, gdy najwyraźniej cała bostońska policja traktowała ją jak wroga, Johnny Tam był jedynym gliną, który chyba nie zamierzał jej osądzać.

- Ósma rano – powiedziała. – Do zobaczenia.

Rozdział szósty

Tej nocy Maura źle spała. Po ciężkiej kolacji w postaci lasagne, które popiła trzema kieliszkami wina, weszła do łóżka wykończona. Obudziła się kilka godzin później, uświadamiając sobie z bólem, że miejsce obok niej jest puste. Wyciągnęła rękę, zastanawiając się, podobnie jak wiele razy wcześniej w ciągu ostatnich czterech miesięcy, czy Daniel Brophy też nie śpi i czuje się samotny. Czy on również rozpaczliwie pragnie złapać za telefon i przerwać tę ciszę. A może śpi mocnym głębokim snem, niczego nie żałuje, a nawet odczuwa ulgę z powodu zakończenia ich związku? Maura znów należy tylko do siebie, ale za wolność trzeba było zapłacić wysoką cenę. Puste łóżko, bezsenne noce i pytanie, na które nie potrafiła odpowiedzieć: Czy lepiej mi z nim, czy bez niego?

Następnego ranka przyszła do pracy półprzytomna z mdłościami z powodu nadmiaru kawy, którą w siebie wlała, aby się dobudzić. Kiedy stała w szluzie przy sali sekcyjnej, zakładając maskę, papierowy czepek i rękawiczki, zajrzała do środka przez okienko i zobaczyła, że Jane czeka już na nią przy stole.

Wczoraj rozstały się w niezbyt miłej atmosferze. Maura nadal czuła się dotknięta pełną sarkazmu ripostą Jane: „Ciebie interesują tylko fakty”, tak powiedziała. Tak, fakty są dla niej ważne. Są czymś niezmiennym, czemu nie sposób zaprzeczyć,

nawet jeśli zagrażają przyjaźni. Sprawa policjanta Graffa wbiła klin między Maurę a Jane, przypominając jej, jak mało prawdopodobna była od początku ta przyjaźń. Wiążąc fartuch, odczuwała lęk nie przed czekającym na nią ciałem, ale przed Jane.

Odetchnęła głęboko i pchnęła drzwi.

Jej asystent Yoshima przeniósł już worek z ciałem na stół. Na tacy obok leżała odcięta dłoń. Była przykryta. W pełni świadoma, że Yoshima przysłuchuje się ich rozmowie, Maura powitała Jane formalnym skinieniem głowy i spytała:

– Czy detektyw Frost zamierza do nas dołączyć?

– Nie, ale Johnny Tam jest w drodze. Zresztą chyba nie może się doczekać, aż zobaczy, jak tniesz ciało na kawałki.

– Chyba ma ochotę zostać w wydziale zabójstw. Na ile zdążyłam go poznać, może się do tego nadawać. – Spojrzała w bok. – O wilku mowa.

Maura zobaczyła przez okienko Tama, który wkładał fartuch. Chwilę później wszedł do sali. Jego lśniące czarne włosy zakrywał czepek. Podeszedł do stołu, spoglądając na przykryte zwłoki spokojnym niewzruszonym wzrokiem.

– Zanim zaczniemy, detektywie Tam – powiedziała Jane – chciałabym zwrócić ci uwagę, że zlew na rzygowiny jest po lewej.

– Nie będzie mi potrzebny. – Wzruszył ramionami.

– Teraz łatwo tak mówić.

– Zaczniemy od prostej części zadania – powiedziała Maura i odkryła tacę z odciętą dłonią. Wyglądała, jakby była z plastiku.

Nic dziwnego, że grupa turystów z Chinatown wzięła ją za halloweenowy rekwizyt upakowany sztuczną krwią. Dłoń została już poddana analizie i stwierdzono, że znajdują się na niej ślady prochu. Zdjęto z niej również odciski palców i porównano z tymi, które znajdowały się na uchwycie pistoletu marki Heckler & Koch. Należały do tej samej osoby. Nie było wątpliwości co do tego, że ofiara strzelała z pistoletu. Świadczyło o tym również pięć rozrzuconych na dachu łusek. Maura przesunęła szkło powiększające nad dłonią i przyjrzała się uważnie przeciętemu nadgarstkowi.

– Ostrze przeszło równo między dalszym odcinkiem kości promieniowej a kością księżycowatą – powiedziała. – Ale widzę tu spory odłamek kości trójgraniastej.

– O czym to świadczy? – spytała Jane.

– Że narzędzie, którym wykonano cięcie, przeszło również przez kość nadgarstkową. A te kości są bardzo gęste.

– Więc narzędzie musiało być bardzo ostre.

– Na tyle ostre, by dokonać amputacji jednym cięciem. – Maura uniosła głowę i spojrzała na Jane. – Nie widzę żadnych dodatkowych śladów cięcia.

– Powiedz tylko, czy ta dłoń pasuje do ciała.

Maura odwróciła się w stronę stołu i rozsunęła zamek worka, w którym znajdowało się ciało. Natychmiast wydobył się przyprawiający o mdłości zapach mrożonego mięsa i zaschniętej krwi. Znajdujące się wewnątrz ciało nadal było w ubraniu.

Odchylona do tyłu głowa ukazywała głęboka ranę na szyi,

szeroką i ziejącą. Kiedy Yoshima robił zdjęcia, Maura przyglądała się kasztanowym włosom kobiety, teraz pokrytym skorupą skrzepłej krwi. Piękne włosy, pomyślała, i piękna kobieta. Kobieta, która była uzbrojona i strzelała do kogoś na dachu.

– Pani doktor, mamy tutaj dowód z kategorii włosów i włókien – poinformował Yoshima. Pochylony nad czarną bluzą, w którą ubrana była ofiara, patrzył na przyczepiony do rękawa jasny włos.

Maura złapała włos pęsetą i przyjrzała mu się z bliska w świetle lampy. Miał około pięciu centymetrów długości, był srebrzystoszary i lekko pofalowany. Maura spojrzała na zwłoki.

– To z pewnością nie jest jej włos.

– Spójrz, tu jest jeszcze jeden – powiedziała Jane, wskazując drugi włos przyczepiony do czarnych legginsów ofiary.

– Może to włosy zwierzęce – odezwał się Yoshima. – Na przykład golden retrievera.

– A może załatwił ją jakiś siwy dziadek?

Maura włożyła każdy włos do oddzielnej torebki na dowody i odłożyła je na bok.

– Dobrze. Rozbierzmy ją.

Najpierw zdjęli jedyną ozdobę, jaką miała na sobie ofiara. Był to czarny zegarek marki Swiss Hanowa, który nosiła na lewym nadgarstku. Potem przyszła kolej na buty, czarne reeboki, następnie zdjęli bluzę z kapturem i podkoszulek z długimi rękawami, legginsy, bawełniane majtki i sportowy biustonosz. Ich oczom ukazało się jędrne ciało, szczupłe, ale

umięśnione.

Maura przypomniała sobie słowa pewnego profesora patologii, który powiedział, że przez tyle lat, odkąd wykonywał sekcje zwłok, ani razu nie trafiło mu się atrakcyjne ciało. Kobieta, która leżała przed nimi na stole, była dowodem na to, że od tej reguły zdarzają się jednak wyjątki. Mimo zieżącej rany na szyi oraz plam na plecach i pośladkach nadal była olśniewająco piękna.

Teraz kiedy ciało było już rozebrane, Maura wraz z detektywami wyszli z sali, by Yoshima mógł wykonać prześwietlenia. Stojąc za drzwiami, patrzyli przez okno, jak zakłada ołowiany fartuch i wkłada kasety z filmami.

– Za taką kobietą ktoś będzie tęsknił – powiedziała Maura.

– Mówisz tak, bo była ładna? – spytała Jane.

– Mówię tak, bo widać, że była w doskonałej formie, miała zadbane zęby, a te legginsy są od Donny Karan.

– Jedno pytanie nieznanego się na rzeczy mężczyzny: Czy to znaczy, że były drogie? – upewnił się Tam.

– Założę się, że doktor Isles może ci podać aktualną cenę – odpowiedziała mu Jane.

– Chodzi o to, że to nie była jakaś zabłąkana istota bez grosza przy duszy – tłumaczyła Maura. – Miała przy sobie sporo gotówki i była uzbrojona w pistolet maszynowy Heckler and Koch, który, jak rozumiem, nie jest powszechnie używaną bronią.

– I nie miała przy sobie żadnych dokumentów – zauważył Tam.

– Mogły zostać skradzione.

– Ale który złodziej zostawiłby trzysta dolarów? – Tam pokręcił głową. – To byłoby bardzo dziwne.

Maura zauważyła, że Yoshima macha do nich, zapraszając do środka.

– Skończył – powiedziała i pchnęła drzwi prowadzące do sali sekcyjnej.

Najpierw zbadała podcięte gardło. Podobnie jak cięcie, które doprowadziło do amputacji dłoni, tak i ta rana wyglądała na zadaną jednym pewnym ruchem. Maura wsunęła do rany linijkę i powiedziała:

– Ma prawie osiem centymetrów głębokości. Przecina tchawicę i wchodzi głęboko aż do kręgosłupa szyjnego. – Maura przekręciła linijkę. – Jest szersza niż głębsza. Ma około dwunastu centymetrów długości. To nie jest pchnięcie nożem, lecz cięcie. – Przerwała, badając nacięcie. – Dziwne, że brzegi są takie gładkie. To nie jest rana szarpana, brak też jakichkolwiek dodatkowych cięć, stłuczeń czy zmiążdżeń. To stało się tak szybko, że ofiara nie miała nawet szansy się bronić. – Maura ujęła głowę kobiety w obie dłonie i pochyliła ją do przodu. – Czy ktoś mógłby przytrzymać czaszkę w tej pozycji? Chciałabym lepiej przyjrzeć się brzegom tej rany.

Detektyw Tam bez chwili wahania podszedł do Maury i wziął głowę kobiety w zabezpieczone rękawiczkami dłonie. O ile patrząc na tułów człowieka, można widzieć jedynie anonimową skórę, kości i mięśnie, o tyle twarz zmarłego ukazuje dużo więcej, niż chciałby zobaczyć przeciętny gliniarz. Ale Johnny

Tam nie odwrócił wzroku. Patrzył wprost w oczy zmarłej, jakby z nadzieją, że dostarczą odpowiedzi na wiele pytań.

– Dobrze. Tak jest doskonale – mruknęła Maura, przesuwając szkło powiększające nad szyją ofiary. – Nie widzę żadnych śladów ząbków. Nic, co by mi powiedziało, jakie to było ostrze... – urwała.

– Co takiego? – spytała Jane.

– Ten kąt jest dziwny. Tak nie wygląda typowe podcięte gardło.

– Tak. Te typowe są takie nudne.

– Zastanów się, jak zabrałabyś się do podcięcia komuś gardła. Aby zadać tak głęboką ranę, sięgającą aż do kręgosłupa, trzeba zająć ofiarę od tyłu. Złapać za włosy, odgiąć głowę i przeciąć szyję od ucha do ucha.

– Tak robią komandos – zauważył Tam.

– Atak od tyłu zapewnia przewagę nad ofiarą i maksymalnie zwiększa ekspozycję gardła. W efekcie, kiedy później mierzymy tak zadaną ranę, widzimy, że cięcie nie jest proste, lecz biegnie po łuku. Jednak cięcie, z którym mamy tu do czynienia, wznosi się nieco do góry, od prawej do lewej. Zostało zadane w chwili, gdy głowa znajdowała się w neutralnej pozycji, a nie wtedy, kiedy była odchylona do tyłu.

– Może zabójca stał przed nią? – podsunęła Jane.

– To dlaczego się nie broniła? Nie ma żadnych śladów stłuczeń i siniaków, które świadczyłyby o stoczonych walce. Dlaczego miałyby stać w miejscu, pozwalając, by ktoś ściął jej głowę?

Ich rozważania przerwał Yoshima:

– Prześwietlenia są gotowe – oznajmił.

Odwrócili się w stronę negatoskopu do zdjęć rentgenowskich, na którym Yoshima powiesił klisze. Na podświetlanym panelu lśniły bielą kości. Maura przyjrzała się najpierw zdjęciom przedstawiającym kikut prawego nadgarstka i odciętą dłoń, porównując przecięte części kości trójgraniastej. Pasowały do siebie.

– To na pewno jej dłoń – potwierdziła.

– Nigdy w to nie wątpiłam – powiedziała Jane.

Następnie Maura skupiła się na prześwietleniach szyi, na miejscu, gdzie tkanki miękkie zostały rozdzielone tak precyzyjnym cięciem. Jej wzrok natychmiast padł na lśniący kawałek metalu w kręgosłupie szyjnym.

– Masz boczne zdjęcie odcinka szyjnego? – spytała.

Yoshima musiał przewidzieć jej pytanie, bo natychmiast zdjął zdjęcia dłoni i nadgarstka i na ich miejsce powiesił nowe klisze, tym razem przedstawiające boczne zdjęcie szyi.

– Już wcześniej to zauważyłem. Wiedziałem, że będziesz chciała się temu przyjrzeć.

Maura wpatrywała się w boczne zdjęcie piątego kręgu. Również na tej kliszy było doskonale widać ten cienki jak żyłeczka przedmiot.

– Co to jest? – spytała Jane, podchodząc bliżej.

– Jakiś kawałek metalu. Tkwi w przedniej części piątego kręgu szyjnego. – Maura wróciła do stołu. – Przypuszczam, że kawałek ostrza musiał się ukruszyć, kiedy zabójca podciął jej

gardło, a odłamek utkwiał w kręgu szyjnym.

– Co oznacza, że będziemy musieli poddać analizie ten kawałek metalu – stwierdziła Jane. – Żeby określić, skąd pochodzi nóż.

– Nie wydaje mi się, żeby to był nóż – powiedziała Maura.

– Siekiera?

– Siekiera rozłupuje, brzegi takiej rany są nierówne, postrzępione, poza tym widzielibyśmy wówczas zmiżdżenie tkanek miękkich. A tu nie ma niczego takiego. To czyste i proste cięcie. Zostało wykonane ostrym jak żyłotka narzędziem, które musiało być na tyle długie, że praktycznie jednym ruchem przecięło szyję.

– Na przykład maczetą? – spytała Jane.

– Albo szablą.

Jane spojrzała na Tama.

– Wobec tego szukamy Zorro. – Jej śmiech przerwał dzwonek telefonu. Zdjęła rękawiczki i sięgnęła po komórkę przyczepioną do paska spodni.

– Detektyw Jane Rizzoli, słucham?

– Czy widziała pani już kiedyś rany zadane mieczem, doktor Isles? – spytał Tam, wciąż przyglądając się wnikliwie prześwietleniom.

– Jeden raz. W San Francisco. Jakiś mężczyzna zarąbał na śmierć swoją dziewczynę samurajskim mieczem.

– Czy analiza metalu odpowiedziałaby na pytanie, czy był to miecz samurajski?

– W dzisiejszych czasach takie miecze są produkowane

masowo, więc zapewne nie na wiele by się to zdało, o ile nie znaleźlibyśmy samego miecza. Ale nigdy nie wiadomo, kiedy taki dowód materialny w śladowych ilościach okaże się brakującą częścią układanki i pośle kogoś do więzienia. – Spojrzała na Tama. Jego twarz zalewało światło sączące się z ekranu negatoskopu. Choć bufiasty papierowy czepek zakrywał jego włosy, nadając mu nieco komiczny wygląd, Maura była pod wrażeniem jego zaangażowania i przejęcia sprawą. A także braku poczucia humoru.

– Zadajesz dobre pytania – pochwaliła.

– Ja tylko staram się jak najwięcej nauczyć.

– Detektyw Jane Rizzoli jest bystrą policjantką. Trzymaj się jej, a wszystko będzie dobrze.

– Detektywie – powiedziała Jane, wsuwając telefon za pasek.

– Proszę tu zostać i wszystko dokończyć. Muszę jechać.

– Co się stało?

– Dzwonił Frost. Znaleźliśmy samochód ofiary.

Czwarte piętro parkingu przy Tyler Street było prawie puste, ale najdalszym rogu garażu stała samotnie niebieska honda civic. Było to ciemne, odosobnione miejsce, doskonałe, jeśli nie chcesz, by ktoś zobaczył, jak wysiadasz z auta. Kiedy Jane i Frost badali samochód, ich jedyną publicznością był pracownik garażu i dwóch policjantów, którzy rano znaleźli pojazd.

– Na desce rozdzielczej leży bilet wjazdowy ze stemplem: dwudziesta piętnaście, środa – powiedział Frost. – Sprawdziłem

nagrania ochrony. Honda wjechała na parking o tej godzinie. Pięć minut później z garażu wyszła kobieta. Miała na głowie kaptur, więc kamera nie zarejestrowała jej twarzy, ale wyglądała na naszą dziewczynę. Od tamtej pory samochód nie wyjechał z garażu.

Kiedy Frost mówił, Jane powoli obezła hondę dookoła. Był to trzyletni samochód bez większych wgnieceń czy zadrapań. Opony w dobrym stanie. Otwarty bagażnik czekał, aż Jane dokona inspekcji.

– Pięć dni temu w Springfield zgłoszono kradzież tablic rejestracyjnych – ciągnął Frost. – Samochód również został skradziony w Springfield tydzień temu.

Jane zajrzała do bagażnika. Był pusty, nie licząc zapasowej opony.

– O kurczę. Jest o wiele czystszy niż mój.

Frost się zaśmiał.

– To akurat można powiedzieć o wielu samochodach.

– I to mówi facet, który ma zaburzenia obsesyjno–kompulsywne.

– Wygląda, jakby właściciel dopiero co go kupił. W schowku na rękawiczki są papiery rejestracyjne i dokument z ubezpieczalni. Na pewno spodoba ci się to, co znaleźliśmy na przednim siedzeniu. – Włożył rękawiczki i otworzył drzwi od strony kierowcy. – Podręczny GPS.

– Dlaczego to zawsze ty znajdujesz zabawne gadżety?

– Domyślam się, że to nowiutki sprzęt, bo wprowadziła tylko dwa adresy. Oba bostońskie.

– Co to za miejsca?

– Pierwsze to dom jednorodzinny przy Roxbury Crossing należący do Louisa Ingersolla.

Jane spojrzała na niego zaskoczona.

– Czyżby chodziło o detektywa Lou Ingersolla?

– Tego samego. Policja potwierdziła, że Lou mieszka pod tym adresem.

– Odszedł z wydziału zabójstw na emeryturę, prawda? Ile to już lat temu? Pewnie szesnaście albo siedemnaście.

– Szesnaście. Nie mogłem go złapać, więc zadzwoniłem do jego córki. Powiedziała, że Lou pojechał na tydzień na ryby. Gdzieś na północ. Gdziekolwiek jest, zapewne nie ma tam zasięgu. Albo wyłączył telefon i nie chce, żeby mu zawracać głowę.

– A drugi adres?

– To jakiś mały biznes tu, w Chinatown. Nazywa się to Akademia Sztuk Walki „Smok i Gwiazdy”. Zgodnie z informacją nagrany na automatycznej sekretarce zaczynają zajęcia od dwunastej w południe. – Detektyw Frost spojrzał na zegarek. – A więc dziesięć minut temu.

Rozdział siódmy

Akademia Sztuk Walki „Smok i Gwiazdy” mieściła się na drugim piętrze sfatygowanego budynku przy Harrison Avenue. Jane i Frost już na schodach słyszeli monotony śpiew, postękiwania i tupot nóg. Poczuli również zatechły zapach potu. W środku około tuzina uczniów wystrojonych w przypominające pizamy czarne kostiumy ćwiczyło z takim zapamiętaniem, że ani jeden nie zwrócił uwagi na parę detektywów. Poza wyblakłym plakatem reklamującym wschodnie sztuki walki pomieszczenie było puste i ascetyczne. Gołe ściany i porysowany parkiet.

Nagle z szeregu adeptów wyszła młoda Azjatka.

– Dokończcie ćwiczenie! – poleciła uczniom, po czym podeszła do gości. Była smukła jak baletnica, jej skóra połyskiwała potem, ale mimo dużego fizycznego wysiłku nie miała problemu ze złapaniem oddechu.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

– Jesteśmy z policji. Nazywam się Jane Rizzoli i jestem detektywem, a to jest detektyw Barry Frost. Chcielibyśmy porozmawiać z właścicielem tej szkoły.

– Czy mogę zobaczyć wasze legitymacje? – Pytanie było zadane szorstkim tonem, którego Jane nie spodziewała się po kimś, kto wyglądał na świeżo upieczonego absolwenta szkoły średniej. Kiedy dziewczyna sprawdzała ich legitymacje, Jane

uważnie jej się przyglądała. Dwudziestolatka i sądząc po akcencie, Amerykanka chińskiego pochodzenia, z tatuażem na lewym przedramieniu przedstawiającym tygrysa. Z krótkimi nastroszonymi włosami i posępnym spojrzeniem wyglądała jak azjatycka wersja fanki gotyckiego rocka, mała, lecz niebezpieczna.

Dziewczyna oddała jej legitymacje.

– Widzę, że jesteście z wydziału zabójstw. Dlaczego tu przyszliście?

– Po pierwsze, czy możesz się przedstawić? – spytała Jane, wyjmując z kieszeni notes.

– Bella Li. Uczę grupy początkujące i średnie.

– Twoi uczniowie są fantastyczni – zachwycił się Frost, który już od pewnego czasu nie odrywał wzroku od ćwiczącej kroki i obroty grupy.

– To zajęcia dla średnio zaawansowanych. Powtarzają materiał na pokaz sztuk walki, który odbędzie się w przyszłym miesiącu w Nowym Jorku. Teraz ćwiczą ruch leoparda.

– Leoparda?

– To jedna ze starożytnych technik sztuk walki z północnych Chin. Leopard polega na szybkości i agresji i to właśnie widać w tym ćwiczeniu. Każda zwierzęca technika czy też styl walki odzwierciedla naturę tego zwierzęcia. Wąż jest przebiegły i śliski. Bociana wyróżniają równowaga i uniki. Małpa jest szybka i bystra. Uczniowie wybierają zwierzę, które najlepiej odpowiada ich osobowości, i opanowują ten styl.

– To wygląda zupełnie jak na filmach kung-fu. – Frost się

zaśmiał.

Bella odpowiedziała na jego uwagę mrozącym krew w żyłach spojrzeniem, po czym wyjaśniła:

– Właściwa nazwa tej sztuki walki to wushu i została wymyślona tysiące lat temu. To, co widać na tych filmach, to nędzna hollywoodzka imitacja. – Przerwała, bo grupa zakończyła ćwiczenie i czekała na dalsze wskazówki. – Weźcie miecze. Zaczynamy ćwiczenia sparingowe – poleciała, a uczniowie natychmiast ruszyli do stojaka z bronią, skąd wzięli drewniane miecze treningowe.

– Czy możemy porozmawiać z właścicielem? – spytała Jane.

– *Sifu* Fang jest w pokoju w głębi, udziela prywatnej lekcji.

– Jak się pisze to imię? Powiedziałaś *Szi*...

– *Sifu* to nie imię – prychnęła Bella. – To chińskie słowo określające mistrza lub nauczyciela. Zwrot wyrażający szacunek.

– Wobec tego możemy rozmawiać z tym mistrzem? – spytała już zirytowana zachowaniem dziewczyny Jane. – To nie jest towarzyska pogawędka, panno Li. To oficjalna wizyta.

Bella przez chwilę rozważała jej prośbę. Uczniowie rozpoczęli ćwiczenie sparingowe i teraz w sali odbijały się echem uderzenia drewnianych mieczy. Wreszcie zapukała do drzwi, odczekała stosowną chwilę, po czym je otworzyła i oznajmiła:

– *Sifu*, za drzwiami czeka dwóch policjantów. Przyszli, żeby z tobą porozmawiać.

– Wprowadź ich – rozległ się głos. Był to głos kobiecy. W

przeciwieństwie do młodziutkiej Belli Li Chinka, która wstała z krzesła, aby ich przywitać, poruszała się wolno, jakby cierpiała na ból stawów, choć wyglądała zaledwie na jakieś pięćdziesiąt lat. Lata obeszły się łaskawie z jej twarzą, w jej ciemnych długich włosach połyskiwało zaledwie kilka siwych pasm. Emanowała z niej prawdziwie królewska pewność siebie. Była wzrostu Jane, ale trzymała się tak prosto, że sprawiała wrażenie wyższej. Za nią stał mały jasnowłosy chłopczyk w wieku około sześciu lat. Był ubrany w strój do walk wschodnich, a w rękę dzierżył drewniany kij, który długością niemal dorównywał jego wzrostowi.

– Nazywam się Iris Fang – przedstawiła się kobieta. – W czym mogę pomóc? – Zarówno jej oficjalny sposób bycia, jak i akcent świadczyły o tym, że nie urodziła się w Stanach.

– Nazywam się Jane Rizzoli i jestem detektywem, a to jest detektyw Barry Frost – powiedziała Jane. Zerknęła na chłopczyka, który odpowiedział jej wojowniczym, pozbawionym lęku spojrzeniem. – Czy pani uczeń mógłby zostawić nas samych? Musimy porozmawiać z panią na osobności.

Iris kiwnęła głową.

– Bello, zabierz Adama do drugiego pokoju. Niech tam zaczeka na mamę.

– Ale, *sifu* – zaprotestował malec – chcę ci pokazać, jak ćwiczylem małą z kijem!

Iris uśmiechnęła się do niego.

– Pokażesz mi w przyszłym tygodniu, Adamie – odparła,

mierzwiąc mu pieścizotliwie włosy. – Małpy muszą się również nauczyć cierpliwości. A teraz już idź. – Kiedy Bella wyprowadzała chłopca z pokoju, z jej ust nie schodził uśmiech.

– Ten malec uczy się wschodnich sztuk walki? – zdziwił się Frost.

– Ma zarówno talent, jak i pasję. Nie tracę czasu na byle kogo. – Uśmiech znikł z jej twarzy, gdy zwróciła się do gości, taksując ich zimnym wzrokiem. Spojrzała na Jane, jakby od razu wiedziała, które z dwójki ma większą władzę. – Dlaczego policja zjawia się w mojej szkole.

– Jesteśmy z wydziału zabójstw bostońskiej policji – wyjaśniła Jane. – Musimy zadać pani kilka pytań w związku z czymś, co wydarzyło się w Chinatown zeszłej nocy.

– Domyślam się, że chodzi o tę martwą kobietę na dachu?

– Wobec tego już pani o tym wie.

– Wszyscy o tym mówią. To mała dzielnica i jak w każdej chińskiej dzielnicy nie brakuje tu plotkarzy i ciekawskich. Podobno miała poderżnięte gardło, a jej odcięta dłoń spadła z dachu. I była uzbrojona.

Kimkolwiek byli ci plotkarze, wiedzieli zdecydowanie za dużo, pomyślała Jane.

– Czy to prawda? – spytała Iris.

– Nie wolno nam o tym mówić – odparła Jane.

– Ale po to tu jesteście, prawda? Żeby o tym porozmawiać – zauważyła Iris spokojnie.

Spoglądały na siebie przez chwilę i nagle Jane zdała sobie sprawę, że nie tylko ona szuka informacji.

– Chcielibyśmy pokazać pani pewne zdjęcie – powiedziała.

– Czy jest jakiś powód, dla którego akurat mnie postawiliście o to spytać? – chciała wiedzieć Iris.

– Rozmawiamy z różnymi osobami z sąsiedztwa.

– Ale pierwszy raz słyszę o zdjęciu. A o tym chyba bym usłyszała.

– Najpierw musimy pokazać pani zdjęcie. Potem porozmawiamy o powodach. – Jane spojrzała na Frosta.

– Przykro mi, że musi pani to obejrzeć – powiedział. – To może być przykry widok. Czy nie wolałaby pani usiąść?

Pod wpływem spokojnego głosu Frosta lód w jej oczach nieco stopniał. Pani Fang pokiwała głową.

– Dziś jakoś mi słabo. Może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli usiądę. Dziękuję panu.

Frost szybko podsunął jej krzesło. Iris usiadła z westchnieniem ulgi świadczącym o tym, że jego gest był naprawdę mile widziany. Dopiero wtedy wyjął zdjęcie, które Maura wysłała rano e-mailem z prosektorium. Choć rana na szyi ofiary była zasłonięta, bladość twarzy, luźna szczeka i w pół otwarte oczy nie pozostawiały wątpliwości, że zdjęcie przedstawia martwą kobietę.

Przez dobrą minutę Iris przyglądała się zdjęciu w milczeniu. Jej wyraz twarzy się nie zmienił.

– Proszę pani – odezwał się detektyw Frost – czy pani ją rozpoznaje?

– Jest piękna, nieprawdaż? – powiedziała Iris i podniosła wzrok. – Ale nie znam jej.

– Jest pani pewna, że nigdy jej nie widziała?

– Mieszkam w Chinatown trzydzieści pięć lat, odkąd wraz z mężem przyjechalśmy tu z Tajwanu. Gdyby ta kobieta była tutejsza, wiedziałabym o tym. – Spojrzała na Jane. – Czy tylko o to chcieliście mnie zapytać?

Jane nie odpowiedziała od razu, bo zauważyła schody przeciwpożarowe, które biegły tuż przy oknie. Z tego pokoju, pomyślała, można dostać się na dach. A to oznacza, że można wejść na wszystkie dachy w tym kwadracie ulic, a więc także na dach, gdzie zmarła ofiara. Odwróciła się do Iris.

– Ile osób tu pracuje?

– Jestem głównym instruktorem.

– A ta młoda kobieta, która nas tu wprowadziła? – Jane zerknęła do notesu. – Bella Li.

– Bella jest ze mną od prawie roku. Uczy niektóre grupy i pobiera opłaty od prywatnych uczniów.

– Mówiła pani o mężu. Czy on również tu pracuje?

Kobieta zamrugła i odwróciła wzrok.

– Mój mąż nie żyje – powiedziała cicho. – James odszedł dziewiętnaście lat temu.

– Bardzo mi przykro, pani Fang – powiedział łagodnie Frost w taki sposób, że nie można było mieć wątpliwości, czy jego żal jest szczery.

Przez chwilę panowała cisza, jedynie z sali obok dobiegały głośne uderzenia drewnianych mieczy.

– Jestem jedyną właścicielką tej szkoły – powiedziała Iris – więc jeśli macie jakieś pytania, mnie powinniście pytać. –

Wyprostowała się. Znów przyjęła swoją zwykłą dumną postawę i spojrzała na Jane, jakby wiedziała, kto może stanowić dla niej prawdziwe wyzwanie. – Dlaczego przypuszczaliście, że mogę znać tę kobietę?

Nie mogli dłużej unikać odpowiedzi.

– Dziś rano znaleźliśmy samochód ofiary. Stał na parkingu w Chinatown. Był w nim GPS, a jeden z adresów zapisanych w pamięci urządzenia był adresem pani szkoły.

Iris ściągnęła brwi.

– Naprawdę? To był ten adres, mojej szkoły?

– Tu zmierzała ofiara. Czy wie pani dlaczego?

– Nie – natychmiast padła odpowiedź.

– Czy mogę spytać, gdzie pani była w środę wieczorem, pani Fang?

Iris zamilkła. Przyglądała się Jane zmrużonymi oczami.

– Miałam wieczorne zajęcia. Potem poszłam do domu.

– O której pani stąd wyszła?

– Około dwudziestej drugiej. Piętnaście po musiałam być już w domu. To niedaleko, w Tai Tung Village. Mieszkam przy Hudson Street, na samej granicy Chinatown.

– Czy ktoś panią odprowadził?

– Byłam sama.

– I mieszka pani sama?

– Nie mam rodziny, pani detektyw. Mój mąż nie żyje, a moja córka... – Zamilkła. – Tak, mieszkam sama – powiedziała, a jej broda uniosła się dumnie, jakby chciała ustrzec się przed współczuciem, które mogła wzbudzić tą odpowiedzią. Ale

przez moment w jej oczach zalśniły łzy, które po kilku mrugnięciach szybko znikły. Choć starała się sprawiać wrażenie niepokonanej, nadal cierpiała z powodu utraty bliskich.

W sali obok skończyły się zajęcia. Słyszeli tupot nóg na schodach. Iris zerknęła na zegar wiszący na ścianie i powiedziała:

– Wkrótce przyjdzie mój następny uczeń. Czy skończyliśmy?

– Niezupełnie – powiedziała Jane. – Mam jeszcze jedno pytanie. W GPS–ie ofiary znaleźliśmy jeszcze jeden adres. To dom prywatny tu, w Bostonie. Czy zna pani emerytowanego detektywa bostońskiej policji Louisa Ingersolla?

W jednej chwili z policzków Iris znikły rumieńce. Siedziała jak zaklęta z kamienną miną.

– Pani Fang, dobrze się pani czuje? – spytał Frost. Dotknął jej ramienia, a ona się wzdrygnęła, jakby poraził ją prąd.

– Wobec tego to nazwisko jest pani znane – stwierdziła Jane. Iris przełknęła głośno ślinę.

– Poznałam detektywa Ingersolla dziewiętnaście lat temu, kiedy zmarł mój mąż. Kiedy... – umilkła.

Jane i Frost spojrzeli po sobie. Przecież Ingersoll pracował w wydziale zabójstw.

– Pani Fang... – Tym razem kiedy Frost jej dotknął, nie wzdrygnęła się, lecz pozwoliła, by położył dłoń na jej ramieniu.

– Co się stało z pani mężem?

Iris opuściła głowę. Jej odpowiedź była cicha jak szept:

– Został zastrzelony. W restauracji Czerwony Feniks.

Rozdział ósmy

Z okna mojej szkoły widzę, jak dwoje detektywów wychodzi z budynku i zatrzymuje się na ulicy. Spoglądają w górę i choć instynktownie mam ochotę się cofnąć, z uporem stoję na widoku, obserwując ich, świadoma, że oni obserwują mnie. Nie zamierzam się chować ani przed przyjaciółmi, ani też przed wrogami, więc stawiam im czoło zza szyby. Skupiam się na kobiecie, detektyw Jane Rizzoli, jak informuje wizytówka, którą mi wręczyła. Na pierwszy rzut oka wydawała się mało wojownicza, ot, jeszcze jedna ciężko pracująca kobieta w szarej marynarce, spodniach i wygodnych butach, z potarganymi ciemnymi włosami. Ale jej oczy mówią dużo więcej. Szukają, obserwują i oceniają. Ma oczy myśliwego, a teraz próbuje zdecydować, czy jestem jej ofiarą.

Stoję nieustraszona w miejscu, gdzie zarówno ona, jak i cały świat może mnie zobaczyć. Mogą mi się przyglądać, ile tylko chcą. Jedyne, co zobaczą to cichą skromną kobietę o włosach lekko przyprószonych siwizną. Do podeszłego wieku jeszcze mi daleko, ale dziś czuję, że nieuchronnie nadchodzi... Wiem, że mój czas się kończy, a muszę przecież skończyć to, co zaczęłam. A wraz z wizytą tych detektywów na mojej drodze pojawił się niespodziewany objazd.

Detektywi wreszcie ruszyli z miejsca. Znów na polowanie, dokądkolwiek ich zaprowadzi.

– *Sifu*, czy pojawił się jakiś problem?

– Nie wiem. – Odwracam się, by spojrzeć na Bellę, i po raz kolejny zachwycam się jej cerą tak nieskazitelną i młodą nawet w ostrym świetle wpadającym przez okno. Jedyłą skazą jest blizna na policzku, konsekwencja chwilowego braku uwagi podczas ćwiczenia sparingowego. To był błąd, którego więcej nie popełni. Stoi wyprostowana, odważna i pewna siebie. Może nawet za bardzo. Na polu walki arogancja może okazać się fatalna w skutkach.

– Dlaczego tu przyszli? – spytała.

– To detektywi. Ich praca polega na zadawaniu pytań.

– Dowiedziałaś się czegoś więcej o tej kobiecie? Kim była, kto ją przysłał?

– Nie. – Znów patrzę przez okno na przechodniów spacerujących Harrison Avenue. – Ale kimkolwiek była, wiedziała, jak mnie znaleźć.

– Za nią przyjdą następni – powiedziała ponuro Bella.

Nie musi mnie ostrzegać, obie wiemy, że zapalka została zapalona, a lont już się tli.

W biurze zapadam się w fotelu i przyglądam fotografii w ramce, która stoi na moim biurku. Na to zdjęcie nie muszę nawet patrzeć, bo obraz jest głęboko wryty w mojej pamięci. Biorę je do ręki i uśmiecham się do twarzy na zdjęciu. Wiem dokładnie, którego dnia zostało zrobione, bo był to dzień urodzin mojej córki. Matki mogą zapomnieć o wielu rzeczach, ale zawsze pamiętamy datę narodzin naszych dzieci. Na zdjęciu Laura ma czternaście lat. Stoimy obie przed Boston Symphony

Hall, gdzie poszliśmy na koncert Joshuy Bella. Miesiąc przed koncertem Laura ciągle powtarzała Joshua Bell to, Joshua Bell tamto. Prawda, że jest przystojny, mamó? Czy jego gra na skrzypcach nie brzmi jak śpiew? Na zdjęciu Laura nadal promienieje ze szczęścia po występie swojego idola. Mój mąż James był z nami tamtego wieczoru, ale nie ma go na zdjęciu. Nie widać go na żadnej rodzinnej fotografii, bo to on zawsze trzymał aparat. Żałuję, że ani razu nie przyszło mi do głowy, by wziąć od niego aparat i pstryknąć zdjęcie jego słodkiej sowej twarzy. Ale nigdy nie podejrzewałam, że wkrótce nie będę miała okazji tego zrobić. Ten uśmiech przetrwa tylko w mojej pamięci, wizerunek trzydziestosiedmioletniego Jamesa, który nigdy się nie zestarzeje i na zawsze pozostanie moim młodym mężem. Łzy kapią na ramkę. Odstawiam zdjęcie na miejsce.

Oboje odeszli. Najpierw córka, a potem mąż, wyrwani z moich ramion. Jak można żyć, gdy serce zostało zranione nie raz, lecz dwa razy? Lecz ja wciąż tu jestem, nadal żyję, nadal oddycham.

Tak będzie jeszcze przez jakiś czas.

Rozdział dziewiąty

– Doskonale pamiętam masakrę w Czerwonym Feniksie. To był klasyczny przypadek amoku. – Psycholog kryminalny doktor Lawrence Zucker oparł się w fotelu i spoglądał na Jane zza biurka badawczym spojrzeniem, które zawsze wprawiało ją w zakłopotanie. Choć obok siedział Frost, Zucker patrzył tylko na nią jego wzrok wpełzał w jej umysł w poszukiwaniu tajemnic, jakby była jedynym interesującym go obiektem. Zucker już i tak znał zbyt wiele jej sekretów. Był świadkiem jej pierwszych niepewnych kroków w wydziale zabójstw, kiedy jako jedyna kobieta z dwunastki detektywów musiała walczyć o uznanie. Wiedział o nocnych koszmarach prześladowających ją po serii brutalnych morderstw popełnionych przez zabójcę zwanego Chirurgiem. Wiedział również o bliznach, które na zawsze pozostaną na jej rękach, tam gdzie ten sam zabójca zagłębił w jej ciele skalpel. Wystarczył jeden rzut oka, by Zucker poznał jej mechanizmy obronne, zobaczył niezabliźnione rany, które kryły się pod skórą. Jane czuła się przez to bezbronna i wcale jej się to nie podobało.

Postarała skupić się na otwartej teczce, która leżała na biurku Zuckera. Znajdował się w niej jego raport sprzed dziewiętnastu lat na temat wydarzeń w Czerwonym Feniksie, zawierający profil psychologiczny Wu Weimina, chińskiego kucharza odpowiedzialnego za strzelaninę. Wiedziała, że Zucker jest

bardzo skrupulatny, a jego analizy zajmują czasem dziesiątki stron, dlatego zdziwiła się, widząc, że teczka jest cienka.

– To pełny raport? – spytała.

– Jest tu wszystko, co wniosłem do śledztwa. Psychologiczna analiza post mortem pana Wu, a także raporty dotyczące czterech ofiar. W wydziale zabójstw powinni mieć kopię zawartości tej teczki. Sprawę prowadził detektyw Ingersoll.

Rozmawialiście już z nim?

– Wyjechał z miasta i nie mogliśmy się z nim skontaktować – odrzekł Frost. – Jego córka mówi, że pojechał gdzieś na północ na ryby i nie ma tam zasięgu.

Zucker westchnął.

– Emerytura musi być przyjemna. Wydaje się, że całe wieki temu odszedł z policji. Ile on ma teraz lat? Ponad siedemdziesiąt, tak?

– Co w przypadku gliniarza liczy się jak sto dziesięć. – Frost się zaśmiał.

– Drugim detektywem był Charlie Staines, ale już nie żyje. – Jane wróciła do tematu rozmowy. – Mamy nadzieję, że podzieli się pan z nami swoimi spostrzeżeniami na temat tej sprawy.

Zucker pokiwał głową.

– Z grubsza rzecz biorąc, przebieg wydarzeń był oczywisty już na samym początku, po oględzinach miejsca zbrodni. Wiedzieliśmy, że kucharz Wu Weimin, który był chińskim imigrantem, wszedł na salę i zaczął strzelać do czworga znajdujących się tam ludzi. Pierwszy zmarł mężczyzna o nazwisku Joey Gilmore, który wpadł tylko na chwilę, żeby

odebrać zamówione jedzenie na wynos. Ofiarą numer dwa był kelner James Fang, jak się okazało bliski kolega kucharza. Ofiary numer trzy i cztery to małżeństwo, państwo Mallory, siedzieli przy stole. Następnie kucharz wrócił do kuchni, przystawił sobie lufę do skroni i się zabił. Był to przypadek amoku, po którym nastąpiło samobójstwo.

– Używa pan określenia amok, jakby to był termin medyczny
– zauważył Frost.

– Bo tak jest. To malajskie słowo określające coś, co kapitan Cook zaobserwował już pod koniec osiemnastego stulecia, kiedy mieszkał wśród Malajów. Opisywał niebezpieczne dla otoczenia, wręcz mordercze ataki szału, do których dochodziło bez żadnego powodu. W trakcie takiego napadu osobnik, niemal zawsze płci męskiej, wpada w szał przemocy. Morduje każdego, kogo napotka na swej drodze, dopóki nie zostanie poskromiony i unieruchomiony. Kapitan Cook uważał, że to specyficznie południowoazjatyckie zachowanie, ale teraz wiemy, że występuje na całym świecie, w każdej kulturze. Ten fenomen otrzymał ostatnio niezbyt ładnie brzmiącą nazwę NAPO.

– A co to oznacza?

– Nagły atak pojedynczej osoby*.

** w org. SMASI – Sudden Mass Assault by a Single Individual.*

Jane spojrzała na Frosta.

– Znany również jako piekło pocztowe*.

** Piekło pocztowe – (ang. going postal) – amerykańskie wyrażenie, którego tu użyto, oznacza sytuację, w której pracownik dokonuje aktu przemocy w miejscu*

pracy, z zabójstwem włącznie. Określenie pochodzi od serii zająć mających miejsce w biurach poczty amerykańskiej, United States Postal Service, gdzie w latach 1983–1997 w dwudziestu incydentach pracownicy poczty zastrzelili ponad czterdzieści osób. Od tamtego czasu idiom ten używany jest na określenie wszystkich rodzajów aktów przemocy w miejscach pracy.

Zucker spojrział na nią z dezaprobatą.

– Co jest nie w porządku wobec pracowników poczty. Do NAPO może dojść w każdym zawodzie, zarówno wśród niebieskich, jak i białych kołnierzyków. Wśród młodych i starych. Żonaty i samotnych. Ale prawie zawsze napastnikami są mężczyźni.

– Co w takim razie łączy tych morderców? – spytał Frost.

– Zapewne się domyślasz. Często są odizolowani od swojej społeczności. Mają problemy w związkach. Atak poprzedza jakaś sytuacja kryzysowa: utrata pracy, problemy w małżeństwie. No i oczywiście ci ludzie muszą mieć dostęp do broni.

Jane zajrzała do swojej kopii raportu policyjnego.

– To był Glock siedemnaście z gwintowaną lufą. Rok wcześniej w Georgii zgłoszono jego kradzież. – Jane podniosła wzrok. – Dlaczego imigrant utrzymujący się z pensji kucharza miałby kupować Glocka?

– Może dla bezpieczeństwa? Bo czuł, że coś mu zagraża?

– To pan jest psychologiem, doktorze Zucker. Nie ma pan gotowej odpowiedzi?

Zucker zacisnął usta.

– Nie, nie mam. Nie jestem psychiatrą. I nie mogłem przeprowadzić wywiadu z najbliższą mu osobą, z jego żoną. Ta kobieta wyjechała z miasta, nim policja poprosiła mnie o

konsultację. Nikt nie wiedział, gdzie teraz jest. Mój profil psychologiczny pana Wu opiera się na rozmowach z innymi osobami, które go znały. A ta lista nie była długa.

– Jedną z tych osób była Iris Fang – przypomniała Jane.

Zucker pokiwał głową.

– Ach, tak. Wdowa po kelnerze. Bardzo dobrze ją pamiętam.

– Z jakiegoś szczególnego powodu?

– Tak. Była piękną kobietą. Olśniewającą.

– Niedawno ją poznaliśmy. Nadal jest olśniewająca.

– Naprawdę? – Zucker przejrzał dokumenty z teczki. –

Zobaczmy... Kiedy z nią rozmawiałem, miała trzydzieści sześć lat. A więc teraz... ma pięćdziesiąt pięć. – Zerknął na Frosta. – To pewnie te azjatyckie geny.

Jane zaczęła się czuć jak ignorowane brzydkie kaczątko.

– Pomijając kwestię atrakcyjności pani Fang, co do której obaj nie macie wątpliwości, czy przypomina pan sobie coś jeszcze?

– Całkiem sporo. Rozmawiałem z nią wiele razy, ponieważ była moim głównym źródłem informacji na temat Wu Weimina. To był mój pierwszy rok współpracy z bostońską policją, a tamto wydarzenie było tak przerażające, że trudno o nim zapomnieć. Idziesz sobie na późną kolację do Chinatown i zamiast radować podniebienie kurczakiem kung pao, zostajesz zamordowany przez kucharza. Dlatego ta sprawa przyciągała taką uwagę. Ludzie czuli się bezbronni, bo każdy mógł być jedną z tych ofiar. A do tego doszła jak zwykle histeria na temat jak niebezpieczni mogą okazać się nielegalni imigranci. W jaki

sposób pan Wu znalazł się w Ameryce, skąd wziął broń i tak dalej. Zaledwie kilka lat wcześniej skończyłem studia doktoranckie, a już byłem konsultantem w sprawie, która miała ogromny oddźwięk medialny... – Urwał. – To nie był najstosowniejszy dobór słów. Powinienem to ująć inaczej.

– Jakie były pańskie wnioski na temat strzelca? – chciał wiedzieć Frost.

– Był raczej smutnym człowiekiem. Pochodził z prowincji Fujian i przyjechał do Stanów w wieku około dwudziestu lat. Nie ma pewności co do dat, bo nie istnieje żadna dokumentacja. Wszystkie informacje pochodzą od pani Fang, która mówiła, że pan Wu był bliskim przyjacielem jej męża.

– Który również zmarł w wyniku postrzelenia – zauważył Frost.

– Tak. Mimo to pani Fang nie chciała powiedzieć ani złego słowa na temat pana Wu. Nie wierzyła, że to zrobił. Mówiła, że był łagodnym, ciężko pracującym człowiekiem. Powiedziała, że miał po co żyć. Utrzymywał żonę i córkę i wysyłał pieniądze siedmioletniemu synowi z poprzedniego małżeństwa.

– A więc była jakaś ekszona?

– W innym mieście. Ale Wu i jego żona Li Hua od lat mieszkali w Bostonie. Zajmowali mieszkanie nad restauracją, w której pracował, i byli zamknięci w sobie. Prawdopodobnie nie chcieli zwracać na siebie uwagi, bo mieszkali w Stanach nielegalnie. Również język mógł stanowić barierę, ponieważ posługiwali się mandaryńskim i swoim lokalnym dialektem znanym jako min.

– A w Chinatown większość ludzi mówi po kantońsku – zaznaczył Frost.

Zucker skinął głową.

– Tak, ale obie te grupy się nie rozumieją, i to sprawiało, że rodzina Wu nie mogła się zasymilować. Więc nasz człowiek jest zestresowany z wielu powodów: status nielegalnego imigranta, który musi się ukrywać, osamotnienie. I rodzina na utrzymaniu. Jeśli dodamy do tego długie godziny pracy, chyba wszyscy się zgodzimy, że to duże obciążenie dla każdego człowieka.

– Ale co sprawiło, że wybuchł? – zastanawiała się Jane.

– Pani Fang nie wiedziała. Kiedy doszło do strzelaniny, była poza krajem, odwiedzała rodzinę. Przeprowadziłem z nią wywiad, kiedy wróciła do domu. Wciąż była w szoku, ale w kółko powtarzała, że Wu nigdy nikogo by nie zabił. A z pewnością nie zabiłby jej męża Jamesa, ponieważ byli przyjaciółmi. Twierdziła również, że Wu nie miał broni.

– Skąd mogła to wiedzieć? Nie była jego żoną.

– Cóż, nie mogłem spytać żony Wu. Po kilku dniach od strzelaniny spakowała manatki i wyjechała razem z córką. W tamtych czasach nie było Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, który śledziłby cudzoziemców, więc nielegalni imigranci mogli z łatwością zniknąć z pola widzenia albo dosłownie rozpląnąć się w powietrzu. I tak właśnie zrobiła pani Wu. Zniknęła. Nawet Iris Fang nie miała pojęcia, gdzie się podziewa.

– Polegał pan wyłącznie na słowach pani Fang. Skąd

pewność, że mówiła prawdę? – spytała Jane.

– Może jestem naiwny, ale nigdy nie wątpiłem w jej prawdomówność. Ani razu nie miałem wątpliwości. Jest w niej coś takiego... – Zucker pokręcił głową. – To tragiczna postać. Jest mi jej żal. Nie mam pojęcia, jak można przeżyć utratę najpierw jednej, a potem drugiej najbliższej osoby.

– Drugiej?

– Miała również córkę.

Nagle Jane przypomniała sobie, że Iris mówiła coś o życiu w samotności. O tym, że nie ma już rodziny.

– Czy jej córka nie żyje?

– Chyba nie napisałem o tym w raporcie, bo to nie miało związku ze sprawą Czerwonego Feniksa. Iris i James mieli córkę, która zaginęła dwa lata wcześniej w wieku czternastu lat.

– Jezu! – sapnął Frost. – Nie mieliśmy pojęcia. Nic nam nie powiedziała.

– To nie jest kobieta, która oczekuje współczucia. Ale pamiętam, że patrzyłem jej w oczy i widziałem w nich ból. Ból, który trudno sobie nawet wyobrazić. I pomimo tego bólu niezwykłą siłą. – Zucker zamilkł na chwilę, jakby wciąż poruszała go rozpacz tej kobiety.

Jane również nie potrafiła sobie wyobrazić takiego bólu. Pomyślała o swojej dwuipółrocznej córce Reginie. Jak to jest starać się egzystować rok po roku, nie wiedząc nawet, czy dziecko jest martwe, czy żyje? Taka udręka mogłaby każdą kobietę doprowadzić do szaleństwa. A potem jeszcze utrata męża...

– Każda tragedia – podjął Zucker – ma konsekwencje, ale to, co wydarzyło się w Czerwonym Feniksie, wykroczyło daleko poza spustoszenia wśród najbliższych krewnych ofiar. Jakby z tą masakrą związana była jakaś klątwa domagająca się kolejnych ofiar.

Nagle w pokoju zrobiło się zimno. Tak zimno, że Jane wstrząsnęły dreszcze.

– Co ma pan na myśli?

– W ciągu miesiąca wydarzyło się mnóstwo złych rzeczy. Detektyw Staines zasłabł i zmarł na atak serca. Technik z ekipy prowadzącej oględziny miejsca zbrodni zginął w wypadku samochodowym. Żona detektywa Ingersolla miała udar i jakiś czas potem zmarła. A na koniec zginęła jeszcze ta dziewczyna.

– Jaka dziewczyna?

– Charlotte Dion. Siedemnastoletnia córka Diny Mallory, jednej z ofiar strzelaniny w Czerwonym Feniksie. Kilka tygodni po śmierci Diny Charlotte zaginęła podczas szkolnej wycieczki. Nigdy jej nie odnaleziono.

Jane słyszała bicie swojego serca.

– Powiedział pan, że córka Iris Fang również zaginęła.

Zucker pokiwał głową.

– Jedno zaginięcie od drugiego dzielą dwa lata, ale to i tak dziwny zbieg okoliczności, prawda? Córki dwóch ofiar Czerwonego Feniksa zostały uznane za zaginione.

– Czy to rzeczywiście był przypadek?

– A cóż innego? Te dwie rodziny się nie znały. Państwo Fang byli ciężko pracującymi imigrantami. Natomiast rodzice

Charlotte bostońskimi odpowiednikami braminów. Nie było między nimi żadnych powiązań. Równie dobrze można uznać, że to klątwa Czerwonego Feniksa. – Zucker zerknął w akta sprawy. – a może to ten budynek? Ludzie z Chinatown uważają, że jest nawiedzony. Mówią, że wystarczy przekroczyć jego próg, a zło się do człowieka przyczepia. – Spojrzał na Jane. – I idzie za nim do domu.

Rozdział dziesiąty

Jane nie lubiła przypadków. W złożonej materii życia przypadki oczywiście się zdarzają, ale ona zawsze czuła się w obowiązku zbadać, dlaczego wątki się splotły, czy rzeczywiście było to zrządzenie losu, czy może część większego projektu, jakiegoś wzoru, który można dostrzec dopiero po prześledzeniu każdej nici, każdego wątku, aż do samego źródła. I to właśnie, siedząc za biurkiem, starała się teraz zrobić: prześledzić pięć różnych wątków, które dziewiętnaście lat temu tak tragicznie splotły się w jednej z restauracji w Chinatown.

Akta Czerwonego Feniksa nie były zbyt grube. Dla detektywów z wydziału zabójstw morderstwo połączone z samobójstwem to szczęśliwy traf, taki rodzaj sprawy, która zjawia się niczym ładnie zapakowany prezent z kokardą. Sprawca sam wymierza sprawiedliwość, ładując sobie kulkę w łeb. Policyjny raport przygotowany przez Stainesa i Ingersolla nie koncentrował się na pytaniu, kto strzelał, lecz dlaczego strzelał, natomiast analiza sytuacji opierała się w dużej mierze na tym, co doktor Zucker powiedział Jane i Frostowi o kucharzu Wu Weiminie.

W tej sytuacji Jane postanowiła skupić się na czterech ofiarach.

Ofiary numer jeden był Joey Gilmore, dwudziestopięcioletni urodzony i wychowany w południowym Bostonie. W raporcie

było sporo informacji na jego temat, ponieważ był notowany na policji. Włamanie, naruszenie własności, napad z pobiciem. Ta kartoteka i nazwisko jego pracodawcy, Zakładów Mięsnych Donohue, natychmiast przyciągnęły uwagę Jane. Właściciel firmy Kevin Donohue był dobrze znany bostońskiej policji z racji głębokich i trwałych powiązań z zorganizowaną przestępczością. W ciągu ostatnich czterech dekad Donohue awansował z pozycji zwykłego ulicznego opryszka, stając się jednym z trzech najpotężniejszych ludzi irlandzkiej mafii. Przedstawiciele organów ochrony porządku publicznego doskonale wiedzieli, kim był Donohue, ale nie mieli dowodów, by udowodnić to w sądzie. Jeszcze nie.

Jane wyjęła teczkę ze zdjęciami z miejsca zbrodni i szybko znalazła fotografię ciała Joeya Gilmore'a. Leżał na podłodze wśród rozrzuconych pudełek, do których pakowano jedzenie na wynos. Zabiła go jedna kulka wpakowana w tył głowy. Doktor Zucker mógł to nazywać klasycznym przypadkiem amoku, ale zdaniem Jane wyglądało to na mafijną egzekucję.

Ofiarą numer dwa był trzydziestosiedmioletni James Fang, który pracował jako kierownik sali, kelner i kasjer w restauracji Czerwony Feniks. Szesnaście lat wcześniej wyjechał z żoną z Tajwanu. Do Stanów przybył absolwent wydziału literatury azjatyckiej. W restauracji pracował tylko wieczorami. W ciągu dnia uczył w ośrodku dzielnicowym Boston Chinatown Neighborhood Center w ramach pozaszkolnego programu uzupełniającego edukację dzieci imigrantów. James Fang i Wu Weimin zostali opisani jako dobrzy przyjaciele, którzy od

pięciu lat pracowali w Czerwonym Feniksie. Nie było między nimi żadnych konfliktów. W raporcie nie wspomniano o córce Fanga Laurze, która zaginęła dwa lata wcześniej. Być może Staines i Ingersoll nie byli nawet świadomi, że w rodzinie Fangów doszło do takiej tragedii.

Ofiarami numer trzy i cztery było małżeństwo, Arthur i Dina Mallory z miasta Brookline w Massachusetts.

Czterdziestośmioletni Arthur był prezesem i dyrektorem generalnym firmy inwestycyjnej Wellesley Group. Nie podano żadnego zawodu ani miejsca pracy Diny – zapewne z racji stanowiska męża nie musiała pracować. Zarówno dla Arthura, jak i Diny było to drugie małżeństwo, które doprowadziło do połączenia dwóch rodzin. Pierwszą żoną Arthura była Barbara z domu Hart. Mieli dwudziestoletniego syna Marka. Byłym mężem Diny był Patrick Dion, z którym miała siedemnastoletnią córkę. W policyjnym raporcie zwrócono szczególną uwagę na kwestię, którą bez zastanowienia bada każdy porządny detektyw z wydziału zabójstw: wszelkie możliwe konflikty wynikające z rozwodu ofiary i jej nowych związków małżeńskich...

Według Marka Mallory'ego, syna Arthura Mallory'ego, relacje pomiędzy rodzinami Mallory i Dion były wyjątkowo serdeczne, choć pięć lat wcześniej Arthur i Dina zostawili swoich małżonków, by być razem. Nawet po rozwodzie i ślubie Diny ona i jej były mąż Patrick pozostali w przyjacielskich

stosunkach, a rodziny często spędzały razem święta.

Jakie to niesamowicie cywilizowane podejście, pomyślała Jane. Żona Patricka porzuca go dla innego, a potem razem spędzają święta Bożego Narodzenia. Brzmi zbyt dobrze, by nie budzić podejrzeń, ale informacja pochodziła od syna Arthura Mallory'ego – Marka. Jeśli nie on, to kto miałby wiedzieć, jak było naprawdę? To był ideał rodziny, w której dzieci mieszkają z jednym z rodziców i jego nowym małżonkiem. Same uśmiechy i żadnych konfliktów. Jane przypuszczała, że taka sytuacja jest możliwa, ale z pewnością nie w jej rodzinie. Próbowwała wyobrazić sobie spotkanie rodziny Rizzoli, w którym uczestniczyłyby jej tata, mama, lalunia taty i Vince Korsak, nowy przyjaciel jej matki. To dopiero byłaby masakra. Trudno przewidzieć, kto wyszedłby z niej cało.

Ale w przypadku rodzin Mallory i Dion jakimś cudem to się udało. Być może ze względu na Charlotte, która musiała mieć zaledwie dwanaście lat, kiedy rodzice się rozwiedli. Prawdopodobnie kursowała między dwoma domami, jak większość dzieci po rozwodzie rodziców, biedna zamożna dziewczynka, przierzucana z domu matki Diny do domu ojca Patricka.

Jane doszła do ostatniej strony akt i znalazła krótki załącznik do raportu.

Charlotte Dion, córka Diny Mallory, zaginęła 24 kwietnia. Ostatni raz widziano ją w okolicy Faneuil Hall podczas szkolnej wycieczki. Zdaniem detektywa

Hanka Buckholza dowody wskazują na możliwość uprowadzenia. Śledztwo w toku.

Ten załącznik, z datą dwudziestego ósmego kwietnia, był podpisany przez detektywa Ingersolla.

Dwie zaginione dziewczynki, Laura Fang i Charlotte Dion. Obie były córkami ofiar zastrzelonych w Czerwonym Feniksie, ale nic w raporcie nie wskazywało na to, że mogło to być coś więcej niż tragiczny zbieg okoliczności. Tak jak powiedział doktor Zucker, czasem nie ma żadnego wzoru, planu, jest tylko okrucieństwo ślepego losu, który nie prowadzi rejestru tych, którzy za bardzo już ucierpieli.

– Trzeba było mnie zapytać, pani detektyw.

Jane spojrzała na Johnny'ego Tama, który stał przy jej biurku.

– Zapytać o co?

– O masakrę w Czerwonym Feniksie. Właśnie wpadłem na detektywa Barry'ego Frosta. Powiedział, że przegładacie wszystkie akta. Gdyby mnie pani zapytała, wszystko bym o tej sprawie opowiedział.

– Skąd miałbyś o tym wiedzieć? Ile miałeś wtedy lat? Pewnie z osiem.

– Przydzielono mi Chinatown, więc muszę wiedzieć, co tam się dzieje. Wie pani, że Chińczycy nadal rozmawiają o Czerwonym Feniksie? To jest jak rana, która nigdy się nie zabiłniła. I nie zabiłni, bo to wszystko wiąże się ze wstydem.

– Wstydem? Dlaczego?

– Zabójca był jednym z nas. A mówiąc o nas, mam na myśli

wszystkich Chińczyków. – Wskazał dokumenty leżące na biurku. – Dwa miesiące temu przejrzałem akta tej sprawy. Rozmawiałem z Lou Ingersollem. Czytałem raport lekarza sądowego. – Postukał się w głowę. – Wszystkie informacje są tutaj.

– Nie wiedziałam, że ta sprawa jest ci znana.

– A czy pomyślała pani, żeby mnie zapytać? Sądziłem, że jestem członkiem zespołu.

Nie podobał jej się oskarżycielski ton w jego głosie.

– Tak, jesteś częścią zespołu – przyznała. – Postaram się o tym pamiętać. Ale byłoby nam wszystkim o wiele łatwiej, gdybyś nie był taki przewrażliwiony.

– Ja tylko chcę być na pierwszej linii dochodzenia. Nie chcę być traktowany jak palant, którego trzyma się na wszelki wypadek, bo a nuż do czegoś się przyda. A tak dzieje się tu dość często.

– Co masz na myśli?

– Oficjalnie bostońska policja powinna być jednym szczęśliwym tygłem, w którym każdy znajdzie swoje miejsce, prawda? – Zaśmiał się. – To bzdury.

Jane przez chwilę przyglądała mu się badawczo, usiłując wyczytać coś z jego kamiennej twarzy. Nagle zobaczyła w nim siebie sprzed lat, kiedy pragnęła za wszelką cenę się wykazać i była urażona, bo zbyt często ją ignorowano.

– Usiądź, proszę – powiedziała.

Wzdychając, Tam przyciągnął najbliższe krzesło i usiadł.

– Co chce mi pani powiedzieć?

– Myślisz, że nie mam pojęcia, jak to jest, gdy znajdujesz się w mniejszości?

– Nie wiem. A pani wie?

– Rozejrzyj się. Ile widzisz kobiet wśród detektywów z wydziału zabójstw? Tylko jedną, i właśnie z nią rozmawiasz. Wiem, jak to jest, kiedy koledzy nie dopuszczają cię do swojego grona, bo nie potrafią sobie wyobrazić, że dziewczyna może coś osiągnąć w takim zawodzie. Musisz po prostu nauczyć radzić sobie z idiotami i bredniami, których się nasłuchasz.

– To nie znaczy, że nie mamy się temu przeciwstawiać.

– Jakby to cokolwiek mogło zmienić – westchnęła Jane.

– Ale pani musiała coś zmienić. Bo teraz jest pani akceptowana.

Zastanowiła się, czy to prawda. Przypomniała sobie, jak wyglądało jej życie, gdy wstąpiła do jednostki i musiała jakoś żyć z naśmiewaniem się, dowcipami o tamponach i lekceważeniem. Tak, teraz sprawy mają się lepiej, ale walka była ciężka i trwała wiele lat.

– Narzekanie nic nie zmieni – powiedziała. – Trzeba wykonywać robotę lepiej niż inni. Słyszałam, że zdałeś egzamin na licencję detektywa za pierwszym podejściem.

– Tak – przytaknął sucho Johnny, ale zaraz dodał: – Z najlepszym wynikiem.

– A ile masz lat? Dwadzieścia pięć?

– Dwadzieścia sześć.

– Wiesz, że to działa na twoją niekorzyść, prawda?

– Co? To, że patrzą na mnie jak na kolejnego azjatyckiego idiotę?

– Nie. To, że jesteś jeszcze dzieciakiem.

– Wspaniale. Jeszcze jeden powód, żeby nie traktować mnie poważnie.

– Chodzi o to, że masz wiele powodów, by czuć się źle.

Niektóre są prawdziwe, a inne istnieją tylko w twojej głowie.

Musisz jakoś sobie z tym radzić i po prostu wykonywać swoją robotę.

– Jeśli tylko będę traktowany jak członek zespołu. Proszę pozwolić, żebym wykonał rutynowe czynności w związku z Czerwonym Feniksem, skoro i tak jestem w tym zorientowany. Mogę podzwonić, porozmawiać z rodzinami ofiar.

– Detektyw Barry Frost zamierza znowu porozmawiać z Iris Fang.

– Więc ja rozmawiam z innymi rodzinami.

Jane skinęła głową.

– Dobrze. A teraz powiedz mi, jak daleko zaszedłeś w badaniu tej sprawy?

– Po raz pierwszy zajrzałem do akt w lutym, kiedy przydzielono mi dystrykt A–jeden i usłyszałem, jak ludzie z Chinatown rozmawiają na ten temat. Przypomniałem sobie o tej sprawie z czasów mojego dzieciństwa w Nowym Jorku.

– Słyszałeś o tym wszystkim w Nowym Jorku?

– Jeśli wiadomość jest na pierwszych stronach gazet i dotyczy jakiegokolwiek Chińczyka na terenie tego kraju, uwierz mi, cała chińska społeczność nie mówi o niczym innym. Nawet w

Nowym Jorku rozmawiano o sprawie Czerwonego Feniksa. Pamiętam, że babcia powtarzała, jaki to wstyd, bo zabójca był jednym z nas. Powiedziała, że to rzuca złe światło na każdego Chińczyka, że wszyscy wyglądamy przez to na kryminalistów.

– Jezu, to jak zbiorowe poczucie winy.

– Tak, w tym naprawdę jesteśmy dobrzy. Babcia dostawała furii, kiedy próbowałem wyjść z domu w wytartych dżinsach, bo nie chciała, żeby ludzie myśleli, że wszyscy Chińczycy są flejtuchami. Dorastałem obarczony misją reprezentowania całej nacji za każdym razem, kiedy wychodziłem na dwór. Więc tak, ma pani rację, już wtedy interesowała mnie sprawa Czerwonego Feniksa. A potem, kiedy w „Boston Globe” ukazało się to ogłoszenie, moja ciekawość jeszcze wzrosła. Po raz drugi przeczytałem wszystkie akta.

– Jakie ogłoszenie?

– Ukazało się trzydziestego w rocznicą strzelaniny.

Zajmowało około jednej czwartej strony w dziale lokalnych informacji.

– Nie widziałam tego. Co było w tym ogłoszeniu?

– Zdjęcie kucharza Wu Weimina i jedno słowo „niewinny” wydrukowane grubą czcionką. – Johnny zapatrzył się na rząd biurki wydziału zabójstw. – Kiedy zobaczyłem to ogłoszenie, chciałem, żeby mówiło prawdę. Chciałem, żeby Wu Weimin był niewinny, abyśmy mogli zmasać z siebie piętno tej zbrodni.

– Chyba nie myślisz poważnie, że kucharz jest niewinny?

Tam spojrział na Jane i odparł:

– Nie wiem.

– Detektywi Staines i Ingersoll nigdy nie mieli wątpliwości, że to on strzelał. Podobnie jak doktor Zucker.

– Ale to ogłoszenie dało mi do myślenia. Zacząłem się zastanawiać, czy dziewiętnaście lat temu policja jednak się nie pomyliła.

– Tylko dlatego, że Wu był Chińczykiem?

– Dlatego, że ludzie z Chinatown nigdy nie uwierzyli, że to zrobił.

– Kto zapłacił za ogłoszenie? Dowiedziałeś się?

Pokiwał głową.

– Zadzwoń do „Globe”. Ogłoszenie zamieściła Iris Fang.

Zadzwoił telefon komórkowy Jane. Sięgając po niego, analizowała ostatnią informację. Zastanawiało ją, dlaczego po dziewiętnastu latach Iris wykupiła ogłoszenie, by bronić mężczyzny, który zamordował jej męża. Zerknęła na telefon i zobaczyła, że dzwonią do niej z laboratorium kryminalnego.

Natychmiast odebrała:

– Detektyw Jane Rizzoli, słucham?

– Właśnie oglądam te włosy – powiedziała Erin Volchko, ekspert kryminalistyki. – I za nic nie potrafię ich zidentyfikować.

Jane potrzebowała chwili, aby skupić się na tym, o czym mówi Erin.

– Chodzi o te włosy z ubrania ofiary, tak?

– Tak. Wczoraj dostałam dwa włosy z biura koronera. Jeden był przyczepiony do rękawa martwej kobiety, a drugi do jej legginsów. Mają podobne cechy morfologiczne i kolor, więc

prawdopodobnie pochodzą z tego samego źródła.

Jane czuła, że Tam na nią patrzy, gdy zadawała kolejne pytanie:

- Czy to włosy prawdziwe, czy sztuczne?
- Nie są syntetyczne. To włosy pochodzenia organicznego.
- A więc to ludzkie włosy?
- Nie jestem pewna.

Rozdział jedenasty

Jane spojrzała przez okular mikroskopu, usiłując dostrzec jakieś cechy charakterystyczne, ale to, co zobaczyła, niewiele różniło się od wszystkich pozostałych włosów, które widziała w ciągu ostatnich lat. Odsunęła się, robiąc miejsce Tamowi.

– To, co widzicie na szkiełku, to włos okrywowy – wyjaśniła Erin. – Włosy okrywowe pełnią u zwierząt funkcję wierzchniej okrywy.

– Więc to nie jest to samo co sierść? – spytał detektyw Tam.

– Nie. Sierść to warstwa wewnętrzna, zapewniająca termoizolację. Ludzie nie mają sierści.

– Wobec tego skoro jest to włos, to skąd pochodzi?

– Łatwiej byłoby stwierdzić, skąd nie pochodzi. Pigmentacja rozkłada się równomiernie na całej długości, zatem to musi być jakieś zwierzę, które ma taki sam kolor włosów od cebulek aż po same końce. Brak jest łusek koronalnych, zatem możemy wykluczyć gryzonie i nietoperze.

Tam spojrział w mikroskop.

– Co to są łuski koronalne?

– Łuski to struktury tworzące osłonkę, czyli zewnętrzną warstwę, są podobne do rybich łusek. Sposób, w jaki te łuski się układają, jest charakterystyczny dla różnych rodzin zwierząt.

– Mówiła pani wcześniej, że te łuski koronalne są typowe dla gryzoni.

Erin przytaknęła.

– Ten włos nie ma również łusek kolczystych o kształcie płatków, a więc nie pochodzi od kota, norki ani foki.

– Czy będziemy w ten sposób analizowali cały katalog zwierząt pozycja po pozycji? – spytała Jane.

– Do pewnego stopnia na tym polega proces eliminacji.

– A jak dotąd udało się wykluczyć szczury, nietoperze i koty?

– Zgadza się.

– Wspaniale – mruknęła Jane. – Z listy podejrzanych możemy skreślić Batmana i Kobietę Kota.

Wzdychając, Erin zsunęła okulary i potarła nasadę nosa.

– Pani detektyw, ja tylko wyjaśniam, jak trudno jest zidentyfikować włos pochodzenia zwierzęcego, dysponując wyłącznie mikroskopem. Te cechy morfologiczne pomogły mi wykluczyć pewne grupy zwierząt, ale osobnik, od którego ten włos pochodzi, nie przypomina niczego, z czym miałam do czynienia w tym laboratorium.

– Jakie jeszcze zwierzęta możemy wykluczyć? – spytał detektyw Tam.

– Gdyby to był jeleń albo karibu, cebulka miałaby kształt kieliszka, a sam włos byłby bardziej szorstki. Zatem rodzina jeleniowatych nie wchodzi w grę. Kolor przemawia przeciwko szopom i bobrom, a włos jest za szorstki na królika albo szynszyla. Gdybym miała kierować się kształtem cebulki, średnicą i wzorem ułożenia łusek, powiedziałabym, że

najbardziej przypomina włos ludzki.

– Wobec tego dlaczego to nie może być ludzki włos? – spytała Jane.

– Proszę raz jeszcze spojrzeć w mikroskop.

Jane pochyliła się i spojrzała przez okular.

– Na co mam zwrócić uwagę?

– Ten włos jest bardzo prosty, nie kręcony jak włos łonowy albo spod pachy.

– A więc to mógłby być włos z głowy?

– Tak na początku pomyślałam. Że to ludzki włos pochodzący z głowy. Proszę zwrócić teraz uwagę na rdzeń, środkową część włosa. Wygląda jak tunel biegnący przez całą jego długość. I właśnie tutaj coś mi nie gra. To bardzo dziwne.

– Czy mogę prosić o większą precyzję?

– Chodzi o współczynnik rdzenia. To stosunek średnicy rdzenia do średnicy włosa. Widziałam wystarczająco dużo ludzkich włosów pochodzących od najróżniejszych osób, ale nigdy nie widziałam tak szerokiej średnicy we włosach z głowy. U ludzi stosunek wynosi zwykle jedną trzecią ale tutaj to ponad połowa średnicy włosa. To już nie jest tunel, lecz wielka dudniąca rura.

Jane wyprostowała się i spojrzała na Erin.

– Czy to może mieć związek z jakimś stanem chorobowym albo wadą genetyczną?

– Nie słyszałam o żadnych chorobach czy wadach, które by coś takiego powodowały.

– Wobec tego co to za włos? – spytał Tam.

Erin odetchnęła głęboko, jakby starała się znaleźć właściwe słowa.

– Pod niemal każdym względem ten włos wygląda na ludzki.

Ale nim nie jest.

Śmiech Jane przerwał ciszę, która zapadła po tych słowach.

– O czym my tutaj mówimy? O jakiejś Wielkiej Stopie*?

**Wielka Stopa (ang. Bigfoot) – mityczna, podobna do Yeti istota, która według niepotwierdzonych relacji żyje w Górach Skalistych i okolicy.*

– Przypuszczam, że to jakiś rodzaj małp naczelnych.

Gatunek, którego nie potrafię zidentyfikować za pomocą mikroskopu. Nie dysponujemy żadnymi komórkami nabłonka, więc moglibyśmy wykonać jedynie badanie mitochondrialnego DNA.

– Na wyniki czekalibyśmy całe wieki – westchnął Tam.

– Wobec tego pozostaje jeszcze jedno badanie, które mogę zaproponować – powiedziała Erin. – Czytałam artykuł naukowy z Indii o analizie keratyny znajdującej się we włosach metodą elektroforezy. Mają tam ogromny problem z nielegalnym handlem futrami egzotycznych zwierząt.

– W którym laboratorium można wykonać takie badanie?

– W Stanach jest kilkanaście laboratoriów badających dziką faunę i florę, z którymi mogę się skontaktować. – Erin raz jeszcze spojrzała przez mikroskop. – W ten czy inny sposób na pewno się dowiem, co to za włochate stworzenie.

Emerytowany detektyw Hank Buckholz wyglądał na faceta, który stoczył długą i ciężką walkę z podstępnym alkoholem, aż wreszcie poddał się temu co nieuniknione. Jane znalazła go w jego ulubionym miejscu, czyli przy barze U J.P. Doyle'a, gdzie wpatrywał się w szklanekę whisky. Nie było jeszcze siedemnastej, a wygląd Buckholza już wskazywał na to, że ostro zaczął wieczór. Kiedy wstał, by się przywitać, Jane zwróciła uwagę na niepewny uścisk dłoni i szklisty wzrok. Ale osiem lat emerytury nie mogło przekreślić dawnych nawyków. Buckholz nadal ubierał się jak detektyw, w marynarkę i koszulkę z kołnierzykiem, choć kołnierzyk był przetarty.

Było jeszcze za wcześnie na tłum U Doyle'a, ulubione miejsce spotkań bostońskich gliniarzy. Wystarczyło, że Buckholz podniósł rękę, by barman zwrócił na nich uwagę.

– Proszę dopisać jej drinka do mojego rachunku – powiedział, wskazując Jane. – Czego się napijesz, pani detektyw?

– Nie trzeba, dziękuję – odparła Jane.

– No coś ty. Chyba nie pozwolisz, żeby stary gliniarz pił sam?

Jane skinieniem głowy dała znak barmanowi.

– Jasne piwo Sam Adams.

– I jeszcze jedną szkocką dla mnie – dodał Buckholz.

– Chcesz usiąść przy stoliku, Hank? – spytała Jane.

– Nie, tu mi dobrze. To mój stółek. Od zawsze. A zresztą – rozejrzał się po prawie pustej sali – kto mógłby nas tu podsłuchiwać? To taka stara sprawa, nikogo już nie interesuje. Może oprócz rodziny.

– I ciebie.

– Tak. No cóż, ciężko przestać o tym myśleć. Wiesz, jak to jest. Po tylu latach takie niezamknięte sprawy wciąż nie dają mi spać. A szczególnie sprawa Charlotte Dion, bo wkurzyłem się, kiedy jej ojciec wynajął prywatnego detektywa, sugerując tym samym, że ja do niczego się nie nadaję – powiedział z rozdrażnieniem i upił spory łyk whisky. – Wydał tyle pieniędzy. I po co? Żeby udowodnić, że niczego nie przeoczyłem.

– A więc ten prywatny detektyw też nie wpadł na żaden nowy trop?

– Nie. Dziewczyna zapadła się pod ziemię. Żadnych świadków, dowodów, oprócz porzuconego na ulicy plecaka. Dziewiętnaście lat temu nie było tych wszystkich kamer monitoringu, które mogłyby coś tam zarejestrować. Ktokolwiek ją uprowadził, wykonał szybką i czystą robotę. To musiała być decyzja podjęta pod wpływem nagłego impulsu.

– Jak do tego doszedłeś?

– To była szkolna wycieczka. Charlotte chodziła do tej wymyślnej szkoły z internatem Bolton Academy, tuż za Framingham. Trzydzieścioro dzieciaków pojechało do miasta prywatnym autobusem, by wyruszyć Szlakiem Wolności*. Przystanek w Faneuil Hall nie był zaplanowany. Decyzję podjęli w ostatniej chwili. Nauczyciel powiedział, że dzieciaki zrobiły się głodne, więc postanowili zjeść lunch. Przypuszczam, że sprawca zauważył Charlotte i po prostu ruszył do akcji. – Buckholz pokręcił głową. – To była głośna

sprawa. Patrick Dion jest inwestorem VC specjalizującym się w kapitałach wysokiego ryzyka. Kiedy to się stało, był w Londynie. Wrócił do domu prywatnym odrzutowcem. Zważywszy na jego pozycję i pieniądze, spodziewałem się żądania okupu. Ale nigdy nic takiego się nie pojawiło. Charlotte po prostu zapadła się pod ziemię. Żadnych śladów, ciała. Nic.

**Szlak Wolności – (ang. Freedom Trail) – wytyczona w Bostonie trasa, która prowadzi przez 16 interesujących po względem historycznym miejsc.*

– Jej matka została zabita zaledwie miesiąc wcześniej w Czerwonym Feniksie.

– Tak, wiem. Co za pechowa rodzina. – Upił łyk szkockiej. – Pieniądze nie powstrzymają kostuchy.

– Sądzisz, że to wszystko? Zwykły pech?

– Rozmawialiśmy o tym z Lou Ingersollem całymi godzinami. Nie wiedzieliśmy, jak to ze sobą połączyć, i rozpatrywaliśmy wszelkie możliwe powody. Walka o opiekę nad Charlotte? Nieprzyjemny rozwód? Pieniądze?

– I nic?

Buckholz pokręcił głową.

– Też się rozwiodłem i nadal nienawidzę tej suki. Ale Patrick Dion i jego była żona pozostali przyjaciółmi. Zaprzyjaźnił się nawet z jej nowym mężem.

– Przecież Arthur uciekł z żoną Patricka.

Buckholz się roześmiał.

– Tak, wyobrażasz to sobie? Kiedy się poznali, tworzyli dwie szczęśliwe rodziny. Patrick z Diną i ich córką Charlotte oraz

Arthur z Barbarą i Markiem. Dzieciaki chodziły razem do tej ekskluzywnej Bolton Academy. I tam obie rodziny się poznały. Zaczęło się od wspólnych kolacji. A potem Arthur zadurzył się w Dinie i wszyscy się porozwodzili. Arthur wziął ślub z Diną Patrickowi przyznano opiekę nad dwunastoletnią Charlotte i wszyscy pozostali dobrymi przyjaciółmi. To nienormalne, mówię ci. – Buckholz odstawił szklankę. – Normalne to by było, gdyby się wszyscy nienawidzili.

– A jesteś pewny, że tak nie było?

– Przypuszczam, że to możliwe. Że się nienawidzili. I że pięć lat po rozwodzie Patrick Dion poszedł ze swoją byłą żoną i jej mężem do restauracji i w przyływie wściekłości ich zastrzelił. Ale Mark Mallory przysięgał mi, że wszystkich łączyły przyjacielskie stosunki. A przecież on sam stracił w tej strzelaninie ojca.

– A co z matką Marka? Czy dla niej nie miało to znaczenia, że straciła męża na rzecz innej kobiety?

– Nigdy nie udało mi się porozmawiać z Barbarą Mallory. Rok przed strzelaniną miała wylew. Kiedy zaginęła Charlotte, Barbara przebywała na rehabilitacji w szpitalu. Miesiąc później zmarła. Kolejny pech w rodzinie. – Buckholz zamachał na kelnera. – Hej, podaj mi jeszcze jednego.

– Hm, czy ty prowadzisz, Hank? – spytała Jane, zerkając na jego pustą szklankę.

– Och, nic mi nie będzie. Obiecuję, że to ostatnia.

Barman postawił na barze kolejną whisky i Buckholz wpatrywał się w nią jakby na razie zadowalał go sam widok

pełnej szklanki.

– I to w skrócie cała historia – powiedział. – Charlotte Dion miała siedemnaście lat, była blondynką i była wspaniała. Kiedy nie miała zajęć w tej szkole z internatem, mieszkała z bogatym tatusiem. Miała wszystko i nagle... pach! Zostaje porwana prosto z ulicy. Tylko jak dotąd nie znaleźliśmy jej ciała. – Detektyw sięgnął tym razem pewną ręką po szklankę z whisky. – Piekielna sprawa to życie.

– I śmierć.

Zaśmiał się i upił łyk szkockiej.

– Święte słowa.

– Miałeś jakieś przemyślenia na temat innych zaginionych dziewcząt? Na przykład Laury Fang?

– To była sprawa Sedlaka. Niech spoczywa w pokoju. Ale przyjrzałem się temu ze względu na powiązania z Czerwonym Feniksem. Nie znalazłem niczego, co by wskazywało, że te uprowadzenia mają ze sobą jakiś związek. Uważam, że w przypadku Charlotte to było spontaniczne działanie: porywacz zobaczył ją i uprowadził. Laura to co innego. To się wydarzyło zaraz po lekcjach, kiedy wracała ze szkoły do domu. Któraś z koleżanek widziała, jak Laura dobrowolnie wsiada do jakiegoś samochodu, jakby znała kierowcę. Ale nikt nie zapamiętał numerów rejestracyjnych, a dziewczyna przepadła jak kamień w wodę. I tak mamy kolejne ciało, które nigdy nie zostało odnalezione. – Wpatrywał się w równo ustawione za barem butelki. – Przez to wszystko człowiek zaczyna się zastanawiać, ile szkieletów leży w lasach czy na wysypiskach. Miliony

zaginionych ludzi w całym kraju. Tyle szkieletów. Mogę pogodzić się z tym, że kiedyś umrę, o ile jakiś ładny znak będzie wskazywać miejsce, w którym spocznę. Ale nigdy nie zostać odnalezionym? Skończyć pod jakimiś chwastami? To tak, jakby człowiek nigdy nie istniał. – Wstrząsnął nim dreszcz. – Cóż, oto w skrócie cała historia Charlotte Dion. Czy to ci w czymś pomogło?

– Nie wiem. Na razie to tylko fragment bardzo skomplikowanej układanki. – Jane zamachała na barmana. – Pozwól, że zapłacę.

– Nie ma mowy – zaprotestował Buckholz.

– Wyświadczyłeś mi przysługę, opowiadając o Charlotte.

– I tak ciągle tu przesiaduję. Na tym stołku, przy barze.

Wiesz, gdzie mnie znaleźć. – Spojrzał na jej dzwoniący telefon.

– Widzę, że cieszysz się dużym więciem. Szczęściara.

– Zależy, kto dzwoni. – Jane odebrała. – Detektyw Jane Rizzoli, słucham?

– Przykro mi, że musiałem do pani zadzwonić. – W słuchawce rozległ się męski głos, który brzmiał tak, jakby rzeczywiście mężczyzna miał opory przed tą rozmową. – Zdaje się, że pani jest przełożoną detektywa Tama, prawda?

– Tak. Pracujemy razem.

– Dzwonię w imieniu rodzin ofiar. Wolelibyśmy nie mieć już do czynienia z detektywem Tamem. Udało mu się wszystkich nas zdenerwować, a szczególnie biedną Mary Gilmore.

Dlaczego po tylu latach znów zadawane nam są te wszystkie pytania?

Jane pomasowała się po głowie na myśl o niezbyt miłej rozmowie, którą będzie musiała przeprowadzić z młodszym kolegą. „Jesteś urzędnikiem państwowym. A to oznacza, że nie możesz wkurzać obywateli”.

– Przykro mi, proszę pana – powiedziała. – Przepraszam, nie usłyszałam nazwiska?

– Patrick Dion.

Jane się wyprostowała. Spojrzała na Buckholza, który z uprzejmym zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie. Glina zawsze pozostanie gliną.

– Dina Mallory to pana była żona, prawda? – powiedziała.

– Tak. Przypominanie mi, jak umarła, jest dla mnie naprawdę bolesne.

– Rozumiem, że to dla pana trudne, panie Dion, ale detektyw Tam musiał zadać te pytania.

– Dina zginęła dziewiętnaście lat temu. Nigdy nie było wątpliwości co do tego, kto ją zabił. Dlaczego ta sprawa znów powraca?

– Nie mogę rozmawiać na ten temat. To...

– Tak, wiem. To część toczącego się śledztwa. Tak powiedział detektyw Tam.

– Bo to prawda.

– Mark Mallory jest naprawdę wściekły, a Mary Gilmore i jej córka bardzo zdenerwowane. Nie dość, że dostajemy te listy, to jeszcze detektyw Tam zaczyna do nas wydzwaniać. Wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

– Przepraszam – przerwała mu Jane – o jakich listach pan

mówi?

– To już trwa od jakichś sześciu czy siedmiu lat. Co roku trzydziestego marca znajdujemy je w naszych skrzynkach, niczym jakieś ponure kartki rocznicowe.

– Co jest w tych listach?

– Ja zawsze dostaję nekrolog Diny. Na odwrocie jest napisane: *Nie chcesz poznać prawdy?*

– Czy ma pan te listy?

– Tak, a Mary ma swoje. Ale Mark był tak zły, że wszystkie wyrzucił.

– Czy wie pan, kto je wysyła?

– Przypuszczam, że ta sama osoba, która zamieściła ogłoszenie w „Globe”. Czyli Iris Fang. Sama straciła męża, więc wiem, że ona też cierpi. Żal mi jej. Ale wydaje mi się, że to dość oczywiste.

– Co jest oczywiste?

– Ta kobieta jest szalona.

Rozdział dwunasty

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, Maura miała już wszystko przygotowane. Stół był nakryty, a w piekarniku dochodziła pieczeń jagnięca. Wiadomo, że nastoletni chłopcy mają wilczy apetyt, więc kupiła ciasto z jagodami i jabłecznik, upiekła cztery ziemniaki i obrała pół tuzina kolb kukurydzy. Czy chłopiec je sałatę? Nie wiedziała. W ciągu tych dni, które Maura i Szczurek spędzili na dzikich i odludnych terenach Wyoming, żywili się tym, co udało im się znaleźć. Widziała, jak chłopak pochłania herbatniki dla psów, fasolkę z puszki, a nawet korę drzewa. Na pewno nie będzie się krzywił na widok sałaty, a trochę witamin mu nie zaszkodzi. W styczniu, kiedy widziała go ostatnio, był blady i szczupły. Takim go zapamiętała i teraz z zapalem gotowała dla tego niedożywionego chłopca. Nieważne, jak minie nadchodzący tydzień, jedno jest pewne, chłopiec nie wyjedzie z mojego domu głodny, pomyślała. Spośród wielu niewiadomych jedną rzecz mogła przygotować i mieć pod kontrolą.

Ponieważ cała reszta związana z jego pierwszą wizytą u Maury była pełna znaków zapytania.

Maura zawdzięczała życie Szczurkowi, czyli Julianowi Perkinsowi, bo tak naprawdę nazywał się chłopak. A mimo to prawie nic o nim nie wiedziała, on zaś prawie nic nie wiedział o niej. Wspólnie walczyli o przeżycie, a nic bardziej nie wiąże

dwojga ludzi niż zaglądnąca im w oczy śmierć. Teraz mieli odkryć, czy ta więź może przetrwać sprawdzian polegający na spędzeniu razem kilku dni w cywilizowanych warunkach.

Na dźwięk dzwonka wytarła ręce w ścierkę i pobiegła do przedpokoju, świadoma, że nagle jej serce zaczęło walić jak szalone. Spokojnie, przecież to tylko chłopak, pomyślała, otwierając drzwi. I o mało się nie przewróciła, kiedy na powitanie skoczył na nią ogromny czarny pies, opierając przednie łapy na jej piersi.

– Miśku! Siad! – krzyknął Szczurek.

Roześmiała się, kiedy pies radośnie polizał ją po twarzy. Potem opadł na cztery łapy, merdając ogonem i poszczekując. Maura uśmiechnęła się do chłopca, który wyglądał na zbulwersowanego manierami swego towarzysza.

– Hej – powiedziała. – A ty co? Nie uściskasz mnie?

– Dzień dobry – odparł i niezręcznie objął ją długimi ramionami. Była zaskoczona, jaki jest duży. Od czasu gdy go ostatnio widziała, zrobił się bardziej muskularny. Czy to możliwe, że w ciągu zaledwie kilku miesięcy aż tak urósł?

– Tęskniłam za tobą, Szczurku – szepnęła. – Tęskniłam za wami obydwoma.

Na schodach prowadzących na werandę rozległy się kroki. Chłopiec odsunął się od niej gwałtownie, jakby wstydząc się, że ją obejmuje. Maura spojrzała na mężczyznę, który stanął za Szczurkiem. Anthony Sansone zawsze sprawiał wrażenie nieprzystępnego faceta o imponującej posturze i nieodgadnionym wyrazie twarzy. Jednak tego pochmurnego

popołudnia uśmiechał się szeroko, stawiając plecak Szczurka na werandzie.

– Proszę bardzo, Julianie, jesteś na miejscu – oznajmił.

– Dziękuję. To miło, że przywiozłeś go do Bostonu – powiedziała Maura.

– Zrobiłem to z przyjemnością. Przynajmniej mieliśmy okazję porozmawiać. – Zamilkł, obserwując uważnie jej twarz, i jak zwykle Maura miała wrażenie, że zobaczył zbyt dużo. – My też długo ze sobą nie rozmawialiśmy. Jak się miewasz?

– Doskonale. Mam dużo pracy. – Zmusiła się do uśmiechu. – Nigdy nie brakuje mi klientów. Chciałbyś wejść na chwilę?

Anthony Sansone popatrzył na chłopaka, który spoglądał to na Maurę, to na Anthony'ego i z zainteresowaniem śledził ich rozmowę.

– Nie, dziękuję. Powinniście mieć teraz czas dla siebie. Dacie sobie radę przez ten tydzień?

– W poniedziałek i we wtorek muszę być w pracy, ale w środę będę miała więcej czasu. Pozwiedzamy miasto.

– Wobec tego przyjadę po ciebie w sobotę, Julianie – powiedział Anthony Sansone, wyciągając do niego rękę.

Mężczyzna i chłopak uścisnęli sobie dłonie. To było dziwnie oficjalne pożegnanie, ale w przypadku ich dwóch wyglądało całkiem naturalnie. Szczurek czekał, aż Anthony wsiądzie do samochodu. Dopiero kiedy odjechał, chłopak spojrzał na Maurę.

– Rozmawialiśmy o tobie – powiedział. – W samochodzie.

– Mam nadzieję, że mówiliście same dobre rzeczy.

– Myślę, że on cię lubi. I to bardzo. – Szczurek wziął swój plecak. – Ale jest jakiś dziwny.

To samo można powiedzieć o tobie, pomyślała Maura, spoglądając na chłopca. O nas obojgu. Objęła go ramieniem i poczuła, że się wzdrygnął na taki objaw czułości – nie był do tego przyzwyczajony. Zbyt długo żył jak dzikie zwierzę, kryjąc się w lasach Wyoming, a w jego oczach wciąż tlił się ból porzuconego dziecka. Świat nie był łaskawy dla Juliana Perkinsa i na pewno upłynie sporo czasu, nim zaufa drugiemu człowiekowi.

Weszli do domu. Chłopak rozejrzał się po salonie.

– Gdzie się podział Misiek?

– Chyba poczuł się tu jak w domu. Założę się, że myszkuje w kuchni w poszukiwaniu smakołyków.

Rzeczywiście tam go znaleźli. Objadał się kawałkami jagnięciny, które Maura specjalnie dla niego zostawiła w porcelanowej psiej misce. Nigdy nie miała psa, więc miska była nowa, podobnie jak posłanie w rozmiarze XL, smycz, proszek na pchły i puszki Alpo schowane w szafce. Gdziekolwiek chłopiec się ruszył, Misiek szedł za nim, co oznaczało, że w tym tygodniu będzie dzielila dom z dwoma obcymi stworzeniami, psem i nastolatkiem. W piekarniku zaczął skwierczeć tłuszcz z jagnięciny, a Maura zauważyła, że chłopak rusza nosem niczym bestia węsząca kolację.

– Obiad będzie gotowy za godzinę. Zaprowadzę cię do twojego pokoju – powiedziała i ściągnęła brwi na widok jego plecaka. – A gdzie walizka?

– Tylko to zabrałem.

– Wobec tego wygląda na to, że musimy się wybrać na zakupy.

– Nie trzeba, mnie naprawdę nic więcej nie jest potrzebne – odparł, kiedy byli w przedpokoju. – W szkole wszyscy nosimy mundurki.

– To twój pokój.

Misiek pierwszy podreptał do środka, ale Julian zawahał się i zatrzymał w progu, jakby sądził, że ktoś się pomylił. Nagle Maura uświadomiła sobie, że pokój jak na miejsce dla chłopca i psa jest niedorzecznie kobiecy. Szczurek z ociąganiem wszedł do środka i zlustrował pomieszczenie. Jego wzrok prześlizgnął się po białej kołdrze, wazonie ze świeżo ściętymi kwiatami stojącym na komodzie i jasnozielonym tureckim dywanie. Niczego nie dotykał, jakby to były obiekty muzealne, a on bał się, że coś stłucze. Ostrożnie postawił w rogu plecak.

– Jak szkoła? – spytała Maura.

– W porządku. – Ukląkł, by otworzyć plecak. Wyjął z niego dwie koszule, sweter i spodnie. Wszystko porządnie zwinięte w ruloniki.

– Więc podoba ci się w Evensong? Jesteś tam szczęśliwy?

– Jest inaczej niż w poprzedniej szkole. Wszyscy są dla mnie mili. – To było stwierdzenie faktu, wypowiedziane bez uzalania się nad sobą, które wiele mówiło o tym, jak trudne musiało być dotąd jego życie. Maura przeglądała w Wyoming jego kartotekę, więc wiedziała o walkach na pięści w szkole i drwinach, które musiał znosić z powodu podartego ubrania i

rozbitej popapranej rodziny. Dlatego wiele osób, począwszy od jego opiekuna społecznego po psychologa, ostrzegało, że chłopak przysparza problemów, a jeśli Maura przyjmie go pod swój dach, to może później gorzko tego żałować. Teraz obserwowała, jak ten „problematyczny” chłopak rozpakowuje ubrania i układa je równiutko w szafie i pomyślała: Bogu dzięki, że ich nie posłuchałam. Żadnego z nich.

– Zaprzyjaźniłeś się z kimś ze szkoły? – spytała. – Lubisz innych uczniów?

– Są bardzo do mnie podobni – odrzekł. Wysunął szufladę i włożył do niej bieliznę i skarpety.

Maura się uśmiechnęła.

– Chcesz powiedzieć, że są wyjątkowi.

– Nie mają rodziców, tak jak ja.

To była dla niej nowość. Kiedy Anthony Sansone powiedział jej, że zaproponował chłopcu stypendium w szkole Evensong, podkreślał, że to szkoła o wysokim poziomie nauczania z kampusem na wsi, mówił też o międzynarodowej kadrze nauczycielskiej i wspaniałej bibliotece. Ale nie wspominał, że to szkoła dla sierot.

– Jesteś tego pewny? – spytała. – Na pewno jacyś rodzice odwiedzają swoje dzieci.

– Kilka razy widziałem czyjąś ciocię czy wujka. Ale nigdy nie spotkałem żadnej mamy albo taty. On mówi, że teraz jesteśmy sami dla siebie rodziną.

– On?

– Pan Sansone. – Szczurek wsunął szufladę i spojrzał na nią.

– Często o ciebie pyta.

Maura poczuła, że się czerwieni, i skupiła się na Mišku, który kręcił się w kółko na swoim posłaniu, ciesząc się tymi nowymi dla niego luksusami.

– A o co konkretnie pyta?

– Czy pisałaś do mnie ostatnio jakieś listy. Czy mnie odwiedzasz. Czy chciałabyś tam uczyć.

– W Evensong? – Pokręciła głową. – Nie sądzę, by zajęcia z medycyny lub anatomii sądowej były odpowiednie dla uczniów szkoły średniej.

– Ale my uczymy się wielu fajnych rzeczy. W zeszłym miesiącu pan Saul pokazał nam, jak zbudować rzymską katapultę. A mnie pozwolili poprowadzić lekcję na temat tropów zwierząt, bo tak dużo o tym wiem. Przeprowadziliśmy nawet sekcję konia.

– Naprawdę?

– Złamał nogę i trzeba było go uśpić. Rozcięliśmy go i badaliśmy jego narządy.

– I to nie było dla ciebie przykre?

– Sprawilem kiedyś jelenia. Wiem, jak wygląda coś martwego.

Tak, bez wątpienia to wiesz, pomyślała. W Wyoming patrzył, jak mężczyzna wykrwawia się na śmierć. Zastanawiała się, czy czasem tak jak ona budzi się w nocy przerażony, nawiedzany przez wspomnienia tego, co przeżyli w górach. Sprawiał wrażenie tak opanowanego i spokojnego, kiedy rozkładał podręczniki na komodzie i zanosił do łazienki szczoteczkę do

zębów. Wszystkie uczucia dobrze ukryte. Przypomina mnie samą bardziej, niż jestem zdolna to przyznać, pomyślała.

W kuchni zaczął dzwonić jej telefon komórkowy.

– Czy mogę wyjść i obejrzeć podwórko? – spytał.

– Jasne. Odbiorę telefon.

Weszła do kuchni i wyjęła aparat z torebki.

– Doktor Isles, słucham?

– Mówi detektyw Tam. Bardzo mi przykro, że niepokoję panią w weekend.

– Nie szkodzi. W czym mogę panu pomóc?

– Zastanawiam się, czy mógłbym prosić panią o wydanie opinii na temat pewnej starej sprawy o zabójstwo. To się wydarzyło dziewiętnaście lat temu w restauracji w Chinatown. Doszło do strzelaniny. Było pięć ofiar śmiertelnych. Stwierdzono wtedy, że to morderstwo połączone z samobójstwem sprawcy.

– Skąd to nagle zainteresowanie sprawą sprzed dziewiętnastu lat?

– To może mieć związek z niezidentyfikowaną kobietą z dachu. Być może z tego powodu przyjechała do Chinatown. Chyba szukała osób, które wiedziały coś o strzelaninie w tej restauracji.

– Co miałabym zrobić?

– Przejrzeć raporty z sekcji zwłok tamtych pięciu ofiar, szczególnie tego, który strzelał. I stwierdzić, czy wnioski są słuszne. Patolog, który przeprowadzał te sekcje, już nie pracuje w biurze lekarza sądowego, więc nie mogę zadać mu tych

pytań.

Maura obserwowała przez kuchenne okno Szczurka i jego psa. Krążyli po podwórzu, jakby szukali wyjścia, jakiejś możliwości ucieczki do bardziej dzikiego świata. Dzikie pustkowia i lasy były naturalnym środowiskiem tego chłopca.

– W tym tygodniu jestem zajęta – powiedziała. – Może spróbuje pan poprosić o to doktora Bristola?

– Ale naprawdę miałem nadzieję...

– Tak?

– Wolałbym usłyszeć pani zdanie, doktor Isles. Wiem, że zawsze mówi pani bez ogródek, jak jest, bez względu na wszystko. Wierzę pani ocenie.

To ją zaskoczyło, bo w ostatnich dniach w szeregach bostońskiej policji taka opinia na jej temat nie była powszechna. Pomyślała o tych wymownych spojrzeniach i oziębłym traktowaniu, które w minionym tygodniu musiała znosić ze strony policjantów. W każdy możliwy sposób starali się dać jej odczuć, że jest wrogiem.

– Będę w domu dziś wieczorem – powiedziała. – W dowolnej chwili może pan podzucić te akta.

Było już po dwudziestej pierwszej, kiedy Misiek zaczął szczebrać w stronę drzwi wejściowych. Gdy Maura je otworzyła, na werandzie stał już Tam. Przez chwilę detektyw i pies spoglądali na siebie nieufnie, ale po kilku badawczych pociągnięciach nosem Misiek podreptał w głąb domu, dając

tym samym znać, że akceptuje gościa i pozwala mu wejść do środka. Tam poruszał się z tą pełną energii zwinnością, na którą zwróciła uwagę, gdy spotkali się po raz pierwszy w Chinatown. Zatrzymał się w przedpokoju, nasłuchując i odwracając głowę w stronę łazienki, skąd dobiegał odgłos wody lecącej z prysznicza. Nie zadał żadnego pytania, ale Maura wyczytała je w jego oczach.

– Mam gościa. Zostaje u mnie przez tydzień – wyjaśniła.

– Jeszcze raz przepraszam, że przeszkadzam w weekend. –

Podał jej gruby plik skserowanych kartek. – To pięć raportów z sekcji plus raport policyjny detektywów Ingersolla i Stainesa.

– O rany. Zdaje się, że włożył pan w to sporo pracy.

– To moja pierwsza sprawa o zabójstwo. Staram się, jak przystało na nowego. – Wyjął z kieszeni pendrive. – Nie dostałbym zgody, żeby wynieść oryginały zdjęć z biura lekarza sądowego, więc zrobiłem skany. Naprawdę przykro mi, że zwałam to wszystko na pani głowę. – Kiedy wcisnął jej do ręki pendrive, spojrzał jej prosto w oczy, jakby chciał podkreślić, że to dla niego ważne.

Rumieniąc się pod wpływem dotyku jego dłoni, Maura spojrzała na pendrive.

– Zanim pan wyjdzie, sprawdzę, czy te dokumenty otwierają się na moim laptopie – powiedziała.

Weszli do jej gabinetu. Kiedy uruchamiała komputer, Tam zerkał na psa, który poczłapał za nimi i siedział teraz u jego stóp i go obserwował.

– Co to za rasa?

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie owczarek z domieszką jakiegoś wilka albo husky. Należy do mojego gościa.

– Jest pani bardzo miłą gospodynią, skoro pozwala pani gościom przyjeżdżać z psami.

– Temu psu zawdzięczam życie. W moim domu może robić, co tylko zechce. – Wsunęła pendrive i po chwili na monitorze pokazały się ikony zdjęć. Kliknęła na pierwszą z nich, odsłaniając makabryczny widok nagiego kobiecego ciała leżącego na stole w prosektorium. – Wygląda na to, że wszystko się ładuje i otwiera. Nie mogę obiecać, kiedy je przejrzę, ale z pewnością nie będzie to wcześniej niż w przyszłym tygodniu.

– Naprawdę doceniam pani starania, doktor Isles.

Wyprostowała się i spojrzała na niego.

– Doktorzy Bristol i Costas to naprawdę doskonali patologowie. Równie dobrze może zaufać pan ich zdaniu. Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego nie udał się pan do nich?

Odwróciła się w stronę drzwi, bo usłyszała, że Szczurek skończył brać prysznic. Misiek nastawił uszu i truchtem wybiegł z gabinetu.

– Panie detektywie?

– Przypuszczam, że wie pani, co mówią ludzie. Z powodu sprawy Graffa i tak dalej – odrzekł niechętnie.

Maura zacisnęła usta.

– Na pewno nic dobrego.

– Może ta niebieska linia rzeczywiście jest cienka, ale trzyma

mocno sztamię. I nie poddaje się łatwo krytyce.

– Nawet jeśli ta krytyka jest zgodna z prawdą – dodała gorzko.

– Dlatego do pani przyszedłem. Bo wiem, że pani zawsze powie prawdę.

Ich oczy się spotkały. Patrzył na nią nieruchomo. Tamtego dnia, kiedy spotkali się w Chinatown, pomyślała, że jest nieodgadniony, człowiek, który równie dobrze może ją lubić, bądź nie. Teraz miał tę samą neutralną minę, ale to była tylko maska, której Maurze nie udało się jeszcze rozszyfrować. Ten mężczyzna skrywa wiele więcej niż to, co o nim wie, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek pozwolił komuś pod tę maskę zajrzeć.

– Czego pan się po mnie spodziewa? Co mogę znaleźć w tych raportach? – spytała.

– Może jakieś sprzeczności. Rzeczy, które nie pasują do siebie albo nie trzymają się kupy.

– Dlaczego sądzi pan, że może tam być coś takiego?

– W zasadzie od chwili, gdy Staines i Ingersoll wkroczyli do akcji, okrzyknięto to zabójstwem z samobójstwem sprawcy. Czytałem ich raport. Nie badali alternatywnych teorii. Łatwo było zamknąć tę sprawę, stwierdzając, że strzały oddał szalony chiński imigrant, który na koniec się zabił.

– Pan nie uważa, że to było zabójstwo z samobójstwem?

– Nie wiem. Ale dziewiętnaście lat później ta sprawa odbija się dziwnym echem. Niezidentyfikowana kobieta z dachu miała w pamięci podręcznego GPS-a dwa adresy. Pierwszy to adres

domu detektywa Ingersolla, a drugi Iris Fang, wdowy po jednej z ofiar masakry. Nie ulega wątpliwości, że ta nieżyjąca już teraz kobieta interesowała się sprawą Czerwonego Feniksa. Ale nie wiemy dlaczego.

Usłyszeli skomlenie psa. Maura się odwróciła. W progu stał Szczurek z wciąż mokrymi po prysznicu włosami. Patrzył na zdjęcie z sekcji, które wciąż widniało na ekranie jej komputera. Szybko ściągnęła okno na dół i niepokojący obraz znikł.

– Julianie, to jest detektyw Tam. A to mój gość, Julian Perkins. Uczy się w szkole w Maine i przyjechał tu na ferie wiosenne.

– A więc to ty jesteś właścicielem tego groźnego psa – powiedział Tam.

Chłopak wciąż wpatrywał się w ekran, jakby nadal widział wyświetlane zdjęcie.

– Kim ona była? – spytał cicho.

– To sprawa, o której rozmawialiśmy – wyjaśniła Maura. – Już prawie skończyliśmy. Może pooglądasz telewizję?

Detektyw Tam odczekał chwilę, aż usłyszeli, że Szczurek włączył w salonie telewizor, po czym powiedział:

– Przykro mi, że to zobaczył. Dzieciaki nie powinny oglądać takich rzeczy.

– Przejrzę te materiały, gdy tylko znajdę chwilę. To może trochę potrwać. Ale przypuszczam, że nie ma pośpiechu, prawda?

– Byłoby dobrze, gdyby coś się ruszyło w sprawie tej kobiety, która zginęła na dachu.

– Do masakry w Czerwonym Feniksie doszło dziewiętnaście lat temu – powiedziała i wyłączyła laptop. – Jestem pewna, że to może trochę poczekać.

Rozdział trzynasty

Nie widzę go, lecz wiem, że wszedł do mojego studia. Jego przybycie zwiastuje powiew wilgotnego nocnego powietrza, które wpada, gdy otwierają się drzwi. Nie przerywam ćwiczenia, aby go powitać. Ostrze mojej szabli nadal wiruje w powietrzu. W szerokim lustrze widzę, że detektyw Frost obserwuje mnie zafascynowany, gdy odgrywam pieśń szabli. Dziś czuję, że jestem silna, a moje ręce i nogi równie zwinne jak w młodości. Każdy mój ruch, każdy obrót, cięcie są zgodne z wierszami starego sonetu:

Ku siedmiu gwiazdom, by dosiąć tygrysa.

Skacz, obracaj się, rób uniki, szybuj niczym duch.

Zamień się w białego żurawia.

Rozpostrzyj skrzydła i wysuń nogę.

Wiatr wieje,

A kwiat lotosu drży.

Wszystkie ruchy są moją drugą naturą, jeden przechodzi płynnie w drugi. Nie muszę o nich myśleć, bo moje ciało pamięta je równie dobrze jak drogę do domu i sztukę oddechu. Moja szabla tnie i wiruje, ale moje myśli skupione są na policjancie i na tym, co mu powiem.

Dochodzę do ostatniego, trzynastego wiersza sonetu. *Feniks wraca do gniazda*. Staję na baczność, moja broń nareszcie

odpoczywa, pot chłodzi mi twarz. Dopiero wtedy odwracam się do niego.

– To było piękne, pani Fang – mówi detektyw Frost, a w jego oczach widać podziw. – Jak taniec.

– Ćwiczenie początkujących. Na zakończenie dnia działa kojąco.

Jego wzrok pada na szablę, którą trzymam.

– Czy to prawdziwy miecz?

– Nazywa się Zheng Yi. Od czasów mojej praprababci ta szabla była przekazywana w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie.

– Zatem musi być naprawdę stara.

– I doświadczona w boju. Była przeznaczona do walki.

Trzeba ćwiczyć z mieczem do walki, a nie tylko treningowym, bo wtedy uczy się pracować z jego ciężarem i wiemy, jak rękojeść układa się w dłoni. – Wykonuję dwa błyskawiczne cięcia w powietrzu, a detektyw odskakuje do tyłu zaskoczony. – Z uśmiechem podaję mu szablę. – Proszę ją wziąć. Poczucie ciężaru.

Waha się, jakby mogła go porazić. Ostrożnie chwyta rękojeść i niezdarnie tnie powietrze.

– Czuję się jakoś tak nienaturalnie. Nie leży mi w ręku – mówi.

– Nie?

– Równowaga wydaje się dziwna.

– Bo to nie jest miecz ceremonialny, lecz oryginalna szabla *dao*. Prawdziwie chińska. Ten wzór nosi miano liścia wierzby.

Widzi pan, jak to ostrze zostało wyprofilowane? To była standardowa broń noszona przez żołnierzy za czasów dynastii Ming.

– Kiedy to było?

– Jakies sześćset lat temu. Zheng Yi została wykonana w prowincji Gansu w czasie wojny. – Milknę, po czym dodaję z żalem: – Niestety, wojna nazbyt często bywała w dawnych Chinach częścią codziennego życia.

– A więc ta szabla widziała prawdziwą walkę?

– Jestem tego pewna. Kiedy ją trzymam, słyszę, jak dawne bitwy wciąż dzwonią w jej ostrzu.

Śmieje się.

– Gdybym kiedykolwiek został zaatakowany w jakiejś ciemnej uliczce, chciałbym mieć panią u boku, pani Fang.

– Przecież to pan ma pistolet. Czy to nie pańskie zadanie mnie chronić?

– Jestem pewny, że doskonale by sobie pani poradziła. – Oddaje mi szablę. Widzę, że sama bliskość ostrej jak brzytwa główki go niepokoi. Z ukłonem odbieram od niego szablę i patrzę mu prosto w oczy. A on się czerwieni. Nie spodziewałam się takiej reakcji po policjancie, a z pewnością nie po wytrawnym detektywie, który prowadzi śledztwa w sprawie zabójstw. Ale w tym mężczyźnie jest jakaś zaskakująca słodycz, wrażliwość. Nagle przypomina mi mojego męża. Detektyw Frost ma mniej więcej tyle lat co mój mąż w chwili śmierci, a na jego twarzy widzę speszony uśmiech Jamesa, tę samą wrodzoną chęć sprawiania innym przyjemności.

– Ma pan do mnie więcej pytań, detektywie?

– Tak. W związku z pewną kwestią, o której nie wiedziałem, gdy ostatnio rozmawialiśmy.

– Cóż to takiego?

Wydaje mi się, że ma opory przed powiedzeniem, co mu chodzi po głowie. Już teraz widzę w jego oczach skruchę.

– Chodzi o pani córkę. Laurę.

Na sam dźwięk jej imienia czuję, jakby ktoś zniecka uderzył mnie w piersi. Nie spodziewałam się tego i pod wpływem ciosu niemal tracę równowagę.

– Tak mi przykro, pani Fang – mówi, podchodząc, by mnie podtrzymać. – Wiem, że to musi być dla pani bardzo przykre. Dobrze się pani czuje? Chciałaby pani usiąść?

– To tylko dlatego, że... – kręcę głową – od rana nic nie jadłam.

– Może powinna pani teraz coś zjeść? Czy mogę coś pani przynieść?

– Powinniśmy porozmawiać innego dnia.

– To tylko kilka pytań. – Milknie, po czym spokojnie dodaje:

– Ja też nie jadłem dziś lunchu.

Przez chwilę jego słowa wiszą w powietrzu. To testowanie reakcji. Moja dłoń zaciska się na rękojeści szabli – instynktowna reakcja na sytuację jeżącą się od niewiadomych. W niebezpieczeństwie kryje się okazja. Jest policjantem, ale nie dostrzegam w nim niczego, czego mogłabym się obawiać. Zwyczajny zatroskany i sympatyczny mężczyzna. A ja rozpaczliwie chcę się dowiedzieć, dlaczego pyta o Laurę.

Wsuwam Zheng Yi do pochwy.

– Przy Beach Street jest restauracja z chińskimi pierożkami – mówię.

Uśmiecha się i jego twarz zdumiewająco się zmienia.

Wygląda na dużo młodszego.

– Znam to miejsce.

– Wezmę tylko płaszcz i możemy iść.

Mży lekki wiosenny deszcz. Ruszamy wolnym krokiem, ale zachowujemy bezpieczny dystans. Zabrałam Zheng Yi, bo szabla jest zbyt cenna, by zostawiać ją w studiu. A także dlatego, że zawsze stanowiła moją ochronę przed wszystkimi zagrożeniami, których nie mogę dostrzec. Nawet w ten mokry deszczowy wieczór Chinatown tętni życiem. Ulice pełne są stałych klientów restauracji, spragnionych pieczonej kaczki lub ryby gotowanej na parze z imbirem. Kiedy tak idziemy, staram się skupić na otoczeniu, zwracam uwagę na każdą nieznajomą twarz. Ale detektyw Frost, rozmowny i podekscytowany, mnie rozprasza.

– To moja ulubiona część Bostonu – mówi, rozpościerając szeroko ramiona, jakby chciał objąć nimi Chinatown wraz ze wszystkimi mieszkańcami. – Tu jest najlepsze jedzenie, najlepsze sklepy i najbardziej interesujące zakamarki. Zawsze uwielbiałem tu przychodzić.

– Nawet jeśli przychodzi pan tu obejrzeć czyjeś ciało?

– No cóż, wtedy nie bardzo – mówi ze śmiechem, w którym pobrzmiwa gorycz. – Ale coś jest w tej dzielnicy. Czasem mam wrażenie, że jestem stąd. Jakbym tylko przez przypadek

nie urodził się Chińczykiem.

– Aha. Myśli pan, że jest pan reinkarnacją.

– Tak. Jak przystało na typowo amerykańskiego chłopaka z południowego Bostonu. – Patrzy na mnie, a jego twarz lśni w wilgotnym powietrzu. – Mówiła pani, że pochodzi z Tajwanu.

– Był pan tam kiedyś?

Z żalem kręci głową.

– Nie podróżowałem tyle, ile bym chciał. Ale w podróż poślubną wybrałem się do Francji.

– Czym zajmuje się pana żona?

Milczy, więc spoglądam na niego i widzę, że spuścił głowę.

– Studiuje prawo – odpowiada cicho. Po chwili dodaje: – Rozwiedliśmy się. Zeszłego lata.

– Przykro mi.

– To nie był dla mnie najlepszy rok – wyznaje, a potem jakby przypomina sobie, z kim rozmawia. Z kobietą, która straciła zarówno męża, jak i córkę. – Ale naprawdę nie powinienem narzekać.

– Samotność dla nikogo nie jest łatwa. Na pewno kogoś pan znajdzie.

Patrzy na mnie i widzę w jego oczach ból.

– Ale pani nigdy nie wyszła ponownie za mąż, pani Fang.

– Nie.

– Na pewno pojawiali się jacyś interesujący mężczyźni.

– Jak można zastąpić kimś innym miłość swojego życia? – mówię wprost. – Moim mężem jest James. Zawsze nim będzie.

Potrzebuje dobrej chwili, by przemyśleć to, co powiedziałam.

Potem mówi:

– Zawsze myślałem, że taka właśnie powinna być miłość.

– Bo taka jest.

Patrzy na mnie, a jego oczy rozświecła dziwny blask.

– Tylko dla niektórych z nas.

Dochodzimy do pierogami z zaparowanymi oknami.

Wyprzedza mnie, by otworzyć drzwi – szarmancki gest, który wydaje mi się zabawny, bo to ja mam ze sobą zabójczą broń. W ciasnym wnętrzu jest tłoczno, ale szczęście nam dopisuje.

Dostajemy ostatni wolny stolik wciśnięty w rogu pod samym oknem. Zawieszam szablę na oparciu krzesła i zdejmuję płaszcz. Z kuchni dolatują kuszące zapachy czosnku i bułeczek gotowanych na parze, aromatycznie i boleśnie przypominając mi, że od śniadania nic nie jadłam. Zza kuchennych drzwi wyłaniają się półmiski pełne lśniących pierożków nadziewanych smakowitymi kawałkami wieprzowiny, krewetek lub ryby. Przy stoliku obok chińskie pałeczki stukają o miski, a biesiadująca rodzina rozprawia po kantońsku tak głośno, że można odnieść wrażenie, że się kłóca.

Detektyw Frost wygląda na zachwyconego, gdy przegląda długie menu.

– Może powinienem pozwolić pani zamówić dla nas obojga?

– Czy jest coś, czego pan nie je?

– Zjem wszystko.

– Może pan pożałować tych słów. Bo my, Chińczycy, naprawdę jemy wszystko.

Radośnie przyjmuje wyzwanie.

– Proszę mnie zaskoczyć.

Kiedy kelner przynosi talerz przystawek z meduzą na zimno, kurzymi łapkami i marynowanymi świńskimi raciczkami, jego palczki wahają się nad nieznanymi mu daniami, aż wreszcie bierze do ust kawałek półprzezroczystej wieprzowej chrząstki. Widzę, jak jego oczy rozszerzają się z rozkoszy i zachwytu.

– To jest cudowne!

– Nigdy pan tego nie próbował?

– Chyba nie byłem wystarczająco odważny, by szukać takich przygód – zwierza się, ścierając z ust krople oliwy z chili. – Ale staram się to zmienić.

– Dlaczego?

Milknie, by się nad tym zastanowić, z jego palczek zwisa kawałek meduzy.

– Wydaje mi się... Wydaje mi się, że chodzi o to, iż się starzeję. Zaczynam sobie uświadamiać, ilu rzeczy jeszcze nie doświadczyłem. I jak niewiele czasu zostało, by to wszystko zrobić.

Starzeje się. Muszę się uśmiechnąć, bo jestem od niego starsza o prawie dwadzieścia lat, więc z jego perspektywy powinnam być staruszką. Ale on wcale tak mnie nie postrzega. Kątem oka widzę, że przygląda się uważnie mojej twarzy, a kiedy odwzajemniam jego spojrzenie, nagle się rumieni. Zupełnie jak mój mąż, kiedy zaczęliśmy ze sobą flirtować pewnej wiosennej nocy, spowitej ciężkim od deszczu powietrzem, tak jak dziś. Och, Jamesie, myślę, że spodobałby ci się ten młody mężczyzna. Tak bardzo przypomina mi ciebie,

myślę.

Na stole zjawily się pierożki, małe miękkie poduszeczki wypchane wieprzowiną i krewetkami. Przyglądam się z rozbawieniem, jak Frost próbuje złapać śliski pierożek i goni go po całym talerzu pałeczkami.

– To była ulubiona potrawa mojego męża. Mógł ich zjeść tuzin. – Uśmiecham się na wspomnienie Jamesa opychającego pierożkami. – Zaproponował, że może pracować tu przez miesiąc bez zapłaty, jeśli tylko dadzą mu przepis.

– Czy na Tajwanie też pracował w tej branży?

Jego pytanie sprawia, że prostuję się i patrząc mu w oczy, mówię:

– Mój mąż wykładał literaturę chińską. Pochodził z nauczycielskiej rodziny z tradycjami. A więc nie, nie pracował w tej branży. Pracował jako kelner tylko po to, by zarobić na utrzymanie.

– Nie wiedziałem.

– Bardzo łatwo jest założyć, że kelner, który tu pracuje, jest tylko kelnerem, a sprzedawca w sklepie spożywczym tylko sprzedawcą. Ale w Chinatown niczego nie można zakładać z góry. Widział pan tych biednych staruszków, którzy grają w warcaby pod bramą lwów? Niektórzy z nich to milionerzy. A ta kobieta, tam, za kasą? Pochodzi z rodziny cesarskich generałów. Tu ludzie nie są takimi, na jakich wyglądają, więc nigdy nie należy ich lekceważyć lub zbyt nisko oceniać. Nie w Chinatown.

Skwapliwie kiwa głową.

– Nie będę. Już nigdy więcej. I przykro mi, pani Fang, jeśli nie okazałem dość szacunku wobec pani męża. – Jego przeprosiny brzmią szczerze. To kolejny powód, dla którego ten mężczyzna wydaje mi się taki zaskakujący.

Odkładam pałeczki i mu się przyglądam. Teraz, kiedy już zjadłam, czuję się wreszcie na siłach, by poruszyć temat, który nas tu przywiódł. Jazgotliwa rodzina przy sąsiednim stoliku zbiera się do wyjścia, wśród hałasu krzesel szurających po posadzce i gwaru głosów szczebioczących po kantońsku. Kiedy wychodzą, nagle robi się cicho.

– Przyszedł pan, by spytać o moją córkę. Dlaczego?

Zwleka z odpowiedzią, wyciera ręce i równo składa serwetkę.

– Czy słyszała pani kiedyś o Charlotte Dion?

Kiwam głową.

– Była córką Diny Mallory.

– Czy wie pani, co się z nią stało?

– Panie detektywie – wzdycham – musiałam przez to wszystko przejść i wszystko, absolutnie wszystko utkwilo tu na zawsze. – Dotykam palcem swej skroni. – Wiem, że pani Mallory była już wcześniej mężatką. Jej mężem był Patrick Dion i mieli córkę o imieniu Charlotte. Kilka tygodni po strzelaninie Charlotte zniknęła. Tak, wiem wszystko o ofiarach i ich rodzinach, bo jestem jedną z nich. – Spuszczam wzrok i patrzę na pusty lśniący od oleju talerz. – Nigdy nie spotkałam pana Diona, ale gdy jego córka zaginęła, wysłałam mu kartkę z kondolencjami. Nie wiem, czy wciąż zależało mu na byłej żonie, czy opłakiwał jej śmierć. Ale wiem, co się czuje, gdy

traci się dziecko. Napisałam mu, jak bardzo jest mi przykro. I że rozumiem jego ból. Nigdy nie odpisał. – Znów patrzę na detektywa Frosta. – A więc tak, wiem, dlaczego pyta pan o Charlotte. Zastanawia się pan nad tym samym, nad czym zastanawiali się wszyscy. Nad czym ja się zastanawiałam. Jak to możliwe, by dwie rodziny były tak przeklęte? Najpierw ginie moja Laura, a potem, dwa lata później, jego Charlotte. Nasze rodziny łączy tragedia w Czerwonym Feniksie i zaginięcie naszych córek. Nie jest pan pierwszym policjantem, który o to pyta.

– Przypuszczam, że pytał detektyw Buckholz.

Kiwam głową.

– Kiedy zagięła Charlotte, przyszedł do mnie, aby spytać, czy dziewczynki się znały. Ojciec Charlotte jest bardzo zamożny, więc oczywiście poświęcono jej mnóstwo uwagi. O wiele więcej niż mojej Laurze.

– Buckholz napisał w raporcie, że obie grały muzykę klasyczną.

– Moja córka grała na skrzypcach.

– A Charlotte na altówce w orkiestrze szkolnej. Czy jest jakaś szansa, że się spotkały? Na przykład na warsztatach muzycznych?

Kręcę głową.

– Już to wszystko przerabiałam z policją, nieskończoną ilość razy. Poza muzyką te dziewczynki nie miały ze sobą nic wspólnego. Charlotte chodziła do prywatnej szkoły, a my mieszkaliśmy tutaj, w Chinatown. – Mój głos cichnie. Patrzę na

sąsiedni stolik, przy którym siedzi para Chińczyków z dziećmi. Małą dziewczynkę z włosami zaplecionymi w warkoczyki, które sterczą niczym nastroszone diabelskie rogi, posadzono na wysokim krzeselku. Kiedy Laura miała trzy latka, też tak zaplatałam jej włosy.

Kelner przynosi rachunek. Sięgam po niego, ale detektyw Frost porywa go pierwszy.

– Ja zapraszam – mówi. – Proszę mi pozwolić.

– Starszy zawsze powinien płacić za kolację.

– To ostatnie słowo, jakiego bym użył, by panią opisać, pani Fang. Poza tym zjadłem dziewięćdziesiąt procent całego jedzenia. – Kładzie gotówkę na stole. – Odwiozę panią do domu.

– Mieszkam zaledwie kilka ulic stąd, w Tai Tung Village. Łatwiej pójść spacerem.

– Wobec tego odprowadzę panią. Tak dla bezpieczeństwa.

– Dla pana bezpieczeństwa czy mojego? – pytam, sięgając po szablę, która wisi na krześle.

Spogląda na Zheng Yi i śmieje się.

– Zapomniałem, że jest pani uzbrojona i niebezpieczna.

– Wobec tego nie ma potrzeby odprowadzać mnie do domu.

– Proszę. Będę się z tym lepiej czuł.

Kiedy wychodzimy, nadal mży, a po gorącym zaparowanym wnętrzu restauracji miło jest odetchnąć zimnym powietrzem. Skraplająca się mgła rozświetla jego włosy i twarz, a ja mimo chłodu czuję na policzkach niespodziewane ciepło. Zapłacił za kolację, a teraz uparł się, że odprowadzi mnie do domu. Od

dawna żaden mężczyzna tak się o mnie nie troszczył i nie wiem, czy mam to uznać za komplement, czy obrazić się, bo uważa mnie za bezradną istotę.

Idziemy na południe Tyler Street w stronę starej enklawy Tai Tung Village, wchodzimy do bardziej spokojnej i pustej części Chinatown. Nie ma tu turystów, tylko podniszczone budynki, które w części parterowej goszczą zakurzone sklepy, o tej godzinie wszystkie już nieczynne i zabarykadowane za zamkniętymi bramami. W jasno oświetlonej restauracji mogłam być mniej czujna. Teraz czuję się narażona na atak, nawet z uzbrojonym detektywem u boku. Za nami bledną światła. Gęstnieje mrok. Słyszę bicie swojego serca i świst wdychanego przeze mnie powietrza. Pieśń szabli płynie w mojej głowie, słowa, które zarazem mnie uspokajają, jak i przygotowują na to, co może się zdarzyć.

Zielony smok wylania się z wody.

Wiatr szeleści wśród kwiatów.

Białe chmury płyną po niebie.

Czarny tygrys przeczesuje góry.

Moja dłoń przesuwa się na głowicę szabli i zostaje tam w gotowości. Przechodzimy przez mrok i światło i znów mrok, a gdy moje zmysły wyostrzają się, wydaje się, że noc drży.

Uderzając w trawę, poszukaj węża po lewej.

Uderzając w trawę, poszukaj węża po prawej.

Ciemność ożywa. Wszędzie jest ruch. Szczur przemykający

uliczką. Krople wody kapiące z rynny. Wszystko widzę, wszystko słyszę. Mężczyzna, który idzie obok mnie, pozostaje w nieświadomości, pewny, że to jego obecność mnie chroni. Nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że może być na odwrót.

Skrećamy w Hudson Street i wreszcie jestem pod swoim skromnym szeregowym domem, który ma niezależne wejście na parterze. Kiedy wyjmuję z kieszeni klucze, czeka w żółtej poświacie lampy oświetlającej ganek, tam gdzie bzyczą owady objadające się o żarówkę. Jest dżentelmenem do samego końca, czeka, aż znajdę się bezpiecznie w domu.

– Dziękuję za kolację i zbrojną eskortę – mówię z uśmiechem.

– Nie wiemy jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi, więc proszę na siebie uważać.

– Dobranoc. – Wsuwam klucz do zamka i nagle zamieram. Gwałtownie wciągam powietrze i to stawia go w pogotowiu.

– Co się dzieje?

– Nie jest zamknięty – szepczę. Drzwi się uchylają. Zheng Yi już wyskoczyła z pochwy i spoczywa w mojej dłoni. Nawet nie pamiętam, że ją wyciągnęłam. Serce wali mi mocno, gdy popycham stopą drzwi, by szerzej się uchylily. Otwierają się na oścież, a ja widzę przed sobą tylko ciemność. Robię krok do przodu, ale on mnie odpycha.

– Proszę tu zaczekać – nakazuje. Z wyciągniętą bronią wchodzi do środka i zapala światło.

Stoję w progu i obserwuję, jak porusza się po moim skromnym domu, przechodzi obok brązowej sofy i fotela w

paski, które kupiłam z Jamesem wiele lat temu, kiedy przyjechaliśmy z Tajwanu. Meble, których nigdy nie ważyłam się wymienić, bo mój mąż i córka niegdyś na nich siedzieli. Duchy ukochanych wciąż są obecne, choćby i w meblach. Kiedy on idzie do kuchni, ja stoję na środku pokoju i zamieram bez ruchu, wciągając głęboko powietrze i lustrując pomieszczenie. Mój wzrok zatrzymuje się na biblioteczce. Na pustej ramce na zdjęcie. Czuję dreszcz grozy.

Ktoś tu był.

Detektyw Frost woła z kuchni:

– Czy wszystko wygląda jak przedtem?!

Nie odpowiadam, ruszam w stronę schodów.

– Iris, niech pani zaczeka, proszę – mówi.

Ale ja już wskakuję na stopnie, poruszając się cicho. To moje serce głośno dudni. Sprawia, że krew krąży szybciej w moich nogach, w mięśniach. Łapię oburącz miecz i ruszam w stronę drzwi mojej sypialni.

Rozprosz chmury i ujrzyj słońce.

Pociągam nosem i od razu wiem, że był tu jakiś intruz, bo zostawił woń agresji. Powietrze aż cuchnie, a ja przez kilka uderzeń serca nie potrafię zebrać się w sobie, by ruszyć na spotkanie wroga. Słyszę, że detektyw Frost wbiega po schodach. Zabezpiecza mi tyły, ale mnie przeraża to, co kryje się przede mną.

Ku siedmiu gwiazdom, by dosiąść tygrysa.

Przechodzę przez próg drzwi akurat w chwili, gdy detektyw Frost zapala światło. Nagle sypialnia ukazuje mi się ostro i wyraźnie. Brakujące zdjęcie leży na mojej poduszce, przybite do niej kuchennym nożem. Dopiero gdy słyszę, że detektyw wybiera jakiś numer na klawiaturze telefonu komórkowego, odwracam się i patrzę na niego.

– Co pan robi?

– Dzwonię po mojego partnera. Detektyw Jane Rizzoli powinna o tym wiedzieć.

– Proszę po nią nie dzwonić. Nic się nie stało, a pan niczego nie widział.

Podnosi wzrok i patrzy na mnie wzrokiem tak nagle skupionym i intensywnym, że uświadamiam sobie, iż go nie doceniałam.

– Czyżby?

Rozdział czternasty

Jane stała w sypialni Iris Fang i wpatrywała się w zdjęcie przebite rzeźnickim nożem. Przedstawiało dużo młodszą Iris, o promiennej i roześmianej twarzy, trzymającą na rękach niemowlę.

– Mówi, że ten nóż miała w kuchni – powiedział Frost. – A dziecko to jej córka Laura. Fotografia powinna stać w ramce na biblioteczce. Ktokolwiek tu się włamał, celowo wyjął zdjęcie z ramki i przyniósł na górę, gdzie z pewnością nie mogła go przeoczyć.

– Zdjęcia albo raczej wiadomości, którą chciał jej przekazać. Wbijanie noża w poduszkę na pewno nie oznacza, że ktoś życzy jej słodkich snów. O co tu chodzi?

– Ona nie ma pojęcia. – Frost mówił cicho, by Iris nie mogła usłyszeć go z dołu. – Przynajmniej tak twierdzi.

– Myślisz, że nie jest z nami szczerą?

– Nie wiem. Chodzi o to, że...

– Co takiego?

– Nie chciała, żebym do ciebie dzwonił – powiedział jeszcze ciszej. – Właściwie poprosiła mnie, żebym zapomniał o całej sprawie. Moim zdaniem to nie ma sensu.

Moim zdaniem również, pomyślała Jane, ściągając brwi na widok noża, który był wbity aż po rękojeść, przygważdżając zdjęcie do poduszki. To akt czystej furii, którego celem było

wzbudzenie strachu i przerażenia.

- Każda inna osoba głośno domagałaby się ochrony policji.
- Upiera się, że nie jest jej to potrzebne. Mówi, że się nie boi.
- Czy jesteśmy pewni, że naprawdę był tu ktoś obcy?
- Co sugerujesz?
- To by wyjaśniało, dlaczego się nie boi.
- To niemożliwe.
- Skąd możesz wiedzieć?

– Bo stałem dokładnie w tym miejscu, kiedy to zobaczyła.

Jane odwróciła się w jego stronę.

– Wszedłeś do jej sypialni?

– Nie patrz tak na mnie. Odprowadzałem ją do domu. Nic więcej. Zauważyliśmy, że drzwi wejściowe są otwarte, więc wszedłem, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Jasne.

– Naprawdę. Nic więcej nie było!

Wobec tego dlaczego wyglądasz na winnego? – pomyślała Jane i znów spojrzała na okaleczone zdjęcie.

– Gdybym po powrocie do domu znalazła coś takiego, byłabym przerażona jak cholera. Więc dlaczego nie chce, żebyśmy się tym zajęli?

– Może to jakieś kulturowe kwestie związane z policją.

Detektyw Tam mówił, że ludzie z Chinatown są wobec nas nieufni.

– Byłabym bardziej nieufna wobec tego, kto to zrobił. – Jane odwróciła się w stronę drzwi. – Porozmawiajmy z panią Fang.

Kiedy zeszli na dół, Iris siedziała na wyblakłej brązowej

sofie. Jak na kobietę, do której domu właśnie się włamano, sprawiała wrażenie zbyt opanowanej i spokojnej. Tam chodził po pokoju z komórką przyciśniętą do ucha. Spojrzał na Jane takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Ja też nie mam pojęcia, o co tu chodzi”.

Jane usiadła naprzeciwko Iris i przez chwilę przyglądała jej się bez słowa. Kobieta odpowiedziała jej równie bezpośrednim twardym spojrzeniem, jakby rozumiała, że to test, i była gotowa przyjąć wyzwanie. To nie było spojrzenie ofiary.

– Jak pani myśli, pani Fang, o co tu chodzi? – spytała Jane.

– Nie wiem.

– Czy wcześniej zdarzyło się w pani domu włamanie?

– Nie.

– Jak długo mieszka pani w tym budynku?

– Prawie trzydzieści pięć lat. Odkąd wraz z mężem przyjechałam do tego kraju.

– Czy zna pani kogoś, kto byłby zdolny zrobić coś takiego? Może jakiś mężczyzna, z którym się pani spotykała, ktoś, kto się wściekł, bo go pani odrzuciła?

– Nie – odparła Iris bez chwili namysłu, jakby tylko takiej odpowiedzi była gotowa udzielić. – Nie ma żadnego mężczyzny. I nie ma potrzeby angażować w to policji.

– Ktoś włamał się do pani domu. Wyjął przedstawiające panią zdjęcie z ramki i przybił je rzeźnickim nożem do poduszki w sypialni. Trudno o bardziej jasny komunikat. Kto pani grozi?

– Nie wiem.

– I mimo to nie chce pani, żebyśmy się tym zajęli?

Iris odpowiedziała jej spojrzeniem pozbawionym choćby cienia lęku. Jej oczy były niczym dwie sadzawki pełne czarnej wody, nic nie można było z nich wyczytać. Jane odchyliła się do tyłu i oparła wygodnie. Czekwała. Kątem oka dostrzegła, że detektywi Tam i Frost stoją z boku, przysłuchując się ich rozmowie. Trzy pary oczu wpatrywały się w Iris, cisza się przeciągała, lecz Iris zachowywała niezmałony spokój.

Czas na kolejne podejście.

– Odbyłam dziś ciekawą rozmowę – zaczęła Jane. – Z Patrickiem Dionem, byłym mężem jednej z ofiar Czerwonego Feniksa. Powiedział mi, że co roku w marcu wysyła pani do niego i do innych rodzin kartki.

– Nie wysyłam żadnych kartek.

– Dostają je od siedmiu lat. Zawsze w rocznicę masakry w Czerwonym Feniksie. Rodziny uważają, że to pani je wysyła. Kopie nekrologów ich bliskich. Przywołując złe wspomnienia.

– Przywołać wspomnienia? – Iris sztywnieje. – Co to za rodziny, że trzeba im przypominać? – Po raz pierwszy jej głos drży z oburzenia, ręce też zaczynają się trząść. – Ja żyję moimi wspomnieniami. Nigdy mnie nie opuszczają, nawet we śnie.

– A czy pani otrzymała jakieś kartki?

– Nie. Ale mnie nikt o niczym nie musi przypominać.

Wygląda na to, że spośród wszystkich tych rodzin tylko ja jedna zadawałam pytania. Domagałam się odpowiedzi.

– Skoro pani ich nie wysyła, to kto może to robić?

– Może ktoś, kto wierzy, że prawda nie wyszła na jaw.

– Jak pani?

- Ale ja nie boję się głośno o tym mówić.
- I to publicznie. Wiemy, że w zeszłym miesiącu zamieściła pani ogłoszenie w „Globe”.
- Gdyby zamordowano pani męża, a pani wiedziałyby, że morderca nie został ukarany, czy też by pani tak postąpiła? Bez względu na to, ile upłynęło lat?

Przez dłuższą chwilę kobiety patrzyły na siebie. Jane wyobraziła sobie, że budzi się każdego ranka w tym biednym domu, żyje przepelniona żalem, obsesyjnie wspominając utracone na zawsze szczęście, szukając przyczyn, jakiegoś wyjaśnienia, które pomogłoby jej zrozumieć, dlaczego jej życie legło w gruzach. Siedząc w tym pokoju na wytartym fotelu, poczuła, że rozpacz osiada jej na ramionach, przygniata ją, dusząc wszelką radość. Przecież to nie mój świat, pomyślała. Ja mogę wrócić do domu i pocałować męża. Mogę uściskać córeczkę i położyć ją spać. Ale Iris pozostanie tu uwięziona na zawsze.

– Minęło dziewiętnaście lat, pani Fang – odezwała się Jane. – Rozumiem, że niełatwo żyć dalej po takiej tragedii. Ale tego właśnie chcą inne rodziny. Patrick Dion. Mark Mallory. Oni nie mają wątpliwości, że zabójcą był Wu Weimin. Może czas już zaakceptować to, co oni zaakceptowali dawno temu.

Iris uniosła dumnie brodę i spojrzała na Jane kamiennym wzrokiem.

- Nie zaakceptuję niczego oprócz prawdy.
- Skąd pani wie, że to nie jest prawda? Zgodnie z policyjnym raportem dowody przeciw Wu Weiminowi były przytłaczające.

– Policjanci go nie znali.

– A czy pani jest pewna, że go znała?

– Zdecydowanie tak. A teraz mam ostatnią szansę, by wszystko wyprostować.

Jane ściągnęła brwi.

– Co ma pani na myśli, mówiąc o ostatniej szansie?

Iris odetchnęła głęboko i uniosła głowę. Spojrzała na Jane wzrokiem, w którym były godność i spokój.

– Jestem chora.

W pokoju zapadła cisza. To proste stwierdzenie wszystkich zaskoczyło. Iris była opanowana i patrzyła na Jane, jakby mówiła: „Tylko nie waż się nade mną litować”.

– Mam przewlekłą białaczkę – podjęła Iris. – Lekarze mówią, że mogę żyć jeszcze dziesięć lat. A może nawet dwadzieścia. Czasem czuję się doskonale. Ale w niektóre dni jestem tak zmęczona, że ledwo daję radę unieść głowę. Prawdopodobnie któregoś dnia ta choroba mnie zabije, ale ja się nie boję. Tylko nie chciałabym umrzeć, nie znając prawdy. Nim sprawiedliwości stanie się zadość. – Zamilkła, a gdy się po chwili odezwała, w jej głosie po raz pierwszy słychać było lęk.
– Czuję, że czas przepływa mi między palcami.

Frost stanął za plecami Iris i położył dłoń na jej ramieniu. Był to zwykły gest współczucia, każdy mógłby tak się zachować, ale Jane była tym zaniepokojona, podobnie jak jego przepełnionym bólem spojrzeniem.

– Nie powinna pani tu dzisiaj zostać sama – powiedział. – Tu nie jest bezpiecznie.

– Właśnie skończyłem rozmawiać z Bellą Li – oznajmił Tam.
– Pani Fang może spędzić tę noc u niej w domu, a ekipa przeprowadzająca oględziny miejsca przestępstwa wykona w tym czasie swoją pracę.

– Odwiozę panią – powiedział Frost.

– Nie – odparła Jane. – Panią Fang odwiedzie detektyw Tam.
Pani Fang, proszę się spakować. – Wstała z fotela. –
Detektywie, czy mogę prosić na zewnątrz? Musimy sprawdzić okolicę.

– Ale...

– Detektywie.

Frost spojrział na Iris, potem na Jane, aż w końcu ruszył za nią w stronę drzwi i spowitej mgłą nocy.

Kiedy zatrzęsnęły się za nimi drzwi, Jane spytała:

– Może powiesz mi wreszcie, co tu się dzieje?

– Nie mam pojęcia. Oczywiście ktoś usiłuje ją nastraszyć.

Powstrzymać od zadawania pytań.

– Pytam o ciebie. Jak do tego doszło, że zabrałeś ją na kolację i stałeś się jej rycerzem na białym koniu?

– Przyszedłem do niej, żeby porozmawiać o tym, co stało się z jej córką. Przecież wiesz.

– Jakim cudem z wywiadu zrobiła się kolacja?

– Byliśmy głodni. Tak po prostu jakoś do tego doszło.

– Tak po prostu to dochodzi do wypadków. Ale pójdźcie na kolację z osobą, z którą przeprowadzasz wywiad w ramach czynności operacyjno-rozpoznawczych, to zupełnie co innego.

– Na litość boską, przecież ona jest ofiarą. Straciła w

strzelaniu męża, a teraz tylko domaga się sprawiedliwości.

– Nie wiemy, czego ona tak naprawdę chce. Szczerze mówiąc, nie wiem również, czego ty chcesz.

Rozproszone we mgle żółtawe światło lampy utworzyło wokół jego głowy poświatę przypominającą aureolę. Święty Barry, wieczny harcerzyk, pomyślała Jane. Glina, na którym zawsze możesz polegać, bo wiesz, że zrobi to, co należy. Stał teraz przed nią, unikając jej wzroku z typową dla mężczyzny miną winowajcy.

– Żal mi jej – wyznał.

– To wszystko, co czujesz?

– I chciałbym tylko... – Westchnął. – Od śmierci jej męża minęło dziewiętnaście lat, a ona nadal go kocha. Wciąż do niego wzdycha. Alice nie wytrzymała nawet dziesięciu lat i odeszła. Patrzę na Iris i zastanawiam się, dlaczego, u diabła, nie ożeniłem się z kimś takim jak ona?

– Ta kobieta ma tyle lat, że niewiele brakuje, a mogłaby być twoją matką.

– Nie to mam na myśli! Nie mówię o umawianiu się z nią! I co ma do tego wiek? Chodzi o lojalność. O darzenie kogoś miłością przez całe życie, bez względu na wszystko. – Odwrócił się i powiedział łagodnie: – Ja nigdy się nie dowiem, jakie to uczucie.

Otworzyły się drzwi wejściowe. Oboje się odwrócili. Pani Fang opuszczała dom pod eskortą detektywa Tama. Pożegnała skinieniem głowy Frosta, posyłając mu słaby uśmiech, i wsiadła do samochodu Tama. Nawet gdy tylne światła auta

zniknęły już we mgle, Frost nadal patrzył w tamtą stronę.

– Muszę przyznać – powiedziała Jane po chwili namysłu – że teraz pani Fang dała mi do myślenia.

Odwrócił się w jej stronę.

– Na jaki temat?

– W jednym masz rację. Na pewno kogoś zdenerwowała.

Kogoś, kto wściekł się tak bardzo albo poczuł się tak zagrożony, że ośmielił się włamać do jej domu. I wbić nóż w jej poduszkę.

– A jeśli ona się nie myli w sprawie tamtej masakry? I kucharz rzeczywiście tego nie zrobił?

Jane pokiwała głową.

– Najwyższy czas bliżej przyjrzeć się sprawie Czerwonego Feniksa.

Rozdział piętnasty

Posiadłość Patricka Diona ukryta za wysokim żywopłotem w Brookline była prywatnym rajem pełnym zagajników, w których wiły się ścieżki prowadzące przez strefy głębokiego cienia, przez trawniki, do skąpanych w słońcu klombów. Skrzydła bramy z kutego żelaza otworzyły się na oścież i kiedy Jane wraz z Frostem wjeżdżali do środka, ich oczom ukazała się rezydencja skryta za szeregiem białych jak duchy brzóz. Był to duży dom w stylu kolonialnym, stojący na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na włości pana Diona.

– A tak przy okazji, to kim, do diabła, jest ten cały inwestor VC dostarczający kapitału wysokiego ryzyka? Co to w ogóle znaczy? – zastanawiał się Frost, gdy mijali schowany za zagajnikiem kort tenisowy. – Ciągle obija mi się to o uszy.

– Zdaje się, że oni wykorzystują pieniądze, żeby zarobić pieniądze – odparła Jane.

– Ale skąd biorą pieniądze na początku?

– Od przyjaciół, którzy je mają.

– W takim razie muszę zorganizować sobie jakichś nowych przyjaciół.

Jane zatrzymała się na podjeździe, gdzie stały zaparkowane dwa samochody, i zadarła głowę, by przyjrzeć się rezydencji.

– Ale pomyśl. Masz te wszystkie pieniądze i taki ładny dom, aż tu nagle żona porzuca cię dla innego, a córka zostaje

porwana wprost z ulicy. Ja wolałabym klepać biedę. – Spojrzała na niego. – No dobra. Teraz musimy dokonać oceny strat. Z tego, co mówił pan Dion, nasz detektyw Tam wcale ich nie zachwyił.

Frost pokręcił głową.

– Musimy trochę przystopować tego chłopaka. Wszystko robi na pełnym gazie, jakby wrzucił nadbieg.

– A wiesz, kogo on mi przypomina?

– Kogo?

– Mnie. Mówi, że chciałby zostać detektywem w wydziale zabójstw jeszcze przed trzydziestką. – Jane otworzyła drzwiczki auta. – Może mu się udać.

Weszli po granitowych schodach prowadzących do wejścia, ale nim Jane nacisnęła dzwonek, drzwi się otworzyły i stanął w nich szpakowaty mężczyzna. Choć miał pod siedemdziesiątkę, wciąż był przystojny i w niezłej formie. Mimo to miał mizerną twarz, a zbyt luźne spodnie zdradziły Jane, że ostatnio stracił na wadze.

– Zobaczyłem wasz samochód na podjeździe – powiedział. – Nazywam się Patrick Dion.

– Detektyw Jane Rizzoli, a to mój partner detektyw Barry Frost.

Uścisnęli sobie dłonie. Uścisk Patricka był mocny, a jego spojrzenie spokojne.

– Proszę wejść. Wszyscy są w salonie.

– Czy jest tu pan Mark Mallory?

– Tak. Zaprosiłem również Mary Gilmore. Tworzymy

zjednoczony front, bo wszyscy jesteście zasmuceni i zdenerwowani tym wszystkim i chcielibyśmy wiedzieć, czy można wreszcie położyć temu kres.

Kiedy weszli do domu, Jane zobaczyła wypolerowany parkiet i poręcz, która pięła się z wdziękiem w górę w stronę imponującej galerii na piętrze. Czasu było jednak zbyt mało, by wszystko obejrzeć. Patrick zaprowadził ich prosto do salonu, gdzie czekali na nich pozostali dwaj goście.

Mark Mallory podniósł się z sofy z wdziękiem typowym dla człowieka wysportowanego. Miał około trzydziestu pięciu lat, był szczupły i opalony, a w jego ciemnych włosach nie srebrzył się ani jeden siwy włos. Jane zwróciła uwagę na pasek ze skóry aligatora, oryginalne mokasyny Sperry Top–Siders i zegarek marki Breitling. Drobne wskazówki, które zdawały się mówić z szyderczym uśmieszkiem: mam więcej pieniędzy, niż możesz sobie wyobrazić. Uścisk jego dłoni był zdawkowy, co wskazywało na to, że niecierpliwie czeka, aż wreszcie zajmą się tym, po co tu przyszli.

Trzecią osobę, która znajdowała się w pokoju, Jane mogła z łatwością przeoczyć, gdyby Patrick Dion nie uprzedził ich o jej obecności. Mary Gilmore miała mniej więcej tyle lat co Patrick, lecz była tak drobna i zgarbiona, że zanurzona w wielkim fotelu przy oknie stała się niemal niewidoczna. Kiedy usiłowała wstać, Frost natychmiast ruszył jej z pomocą.

– Proszę się nie trudzić, pani Gilmore. Powinna pani usiąść. Proszę. – Frost pospiesznie pomógł jej usadowić się w fotelu.

Obserwując promienny uśmiech, którym starsza pani

obdarzyła detektywa, Jane pomyślała: o co chodzi z tym Frostem i starszymi paniami? On je uwielbia, a one uwielbiają jego.

– Moja córka również chciała przyjść – powiedziała pani Gilmore – ale nie mogła zwolnić się z pracy, więc przyniosłam list, który dostała. – Wskazała artretyczną dłońią stolik. – Przyszedł pocztą tego samego dnia co mój. Przychodzą co roku trzydziestego marca, w dniu, w którym umarł mój Joey. Tak jakby nas prześladowała. To emocjonalne napastowanie. Czy policja nie może jej powstrzymać?

Na stoliku leżały trzy koperty. Zanim je wzięła, Jane wyjęła z kieszeni lateksowe rękawiczki.

– Nie ma sensu ich wkładać – powiedział Mark. – Na listach i na kopertach nigdy nie ma odcisków palców.

Jane ściągnęła brwi.

– Skąd pan to wie?

– Detektyw Ingersoll badał je w laboratorium kryminalistycznym.

– Wie o tych listach?

– On też je dostaje. Jak każdy, kto ma jakiś związek z ofiarami, nawet wspólnicy mojego ojca. Około dwunastu osób, z tego, co wiemy. Trwa to od lat, a w laboratorium kryminalistycznym nigdy niczego nie znaleźli ani na kopertach, ani na listach. Musi wkładać rękawiczki, kiedy je wysyła.

– Pani Fang twierdzi, że nie wysyła żadnych listów.

Mark prychnął.

– Kto inny mógłby to robić? To ona zamieściła ogłoszenie w

„Globe”. Ma na tym punkcie obsesję.

– Ale twierdzi, że nie wysyła listów. – Jane wzięła w zabezpieczone rękawiczkami palce pierwszą kopertę zaadresowaną do pani Mary Gilmore. Na kopercie widniał stempel bostońskiej poczty, nie było adresu zwrotnego. Wysunęła list, złożoną na pół kartkę, ksero nekrologu dwudziestopięcioletniego Josepha S. Gilmore'a, który zginął w restauracji w Chinatown na skutek zabójstwa połączonego z samobójstwem sprawcy. Żegna go pogrążona w bólu matka Mary Gilmore i siostra Phoebe Morrison. Msza pogrzebowa zostanie odprawiona w kościele pod wezwaniem świętej Moniki. Jane odwróciła kartkę i zobaczyła na odwrocie następujące zdanie wypisane drukowanymi literami: WIEM, CO SIĘ NAPRAWDĘ WYDARZYŁO.

– Ja dostałem taki sam pieprzony list – powiedział Mark. – Dostajemy to samo co roku. Tylko że ja dostaję nekrolog ojca.

– A ja Diny – dodał spokojnie Patrick.

Jane wzięła kopertę zaadresowaną do Patricka Diona. W środku znajdował się nekrolog Diny Mallory, która zginęła w wieku czterdziestu lat wraz ze swym mężem Arthurem w strzelaninie, która miała miejsce w restauracji Czerwony Feniks. Żegna ją córka z poprzedniego małżeństwa Charlotte Dion. Na odwrocie ktoś napisał to samo zdanie, co w liście Mary Gilmore: „Wiem, co się naprawdę wydarzyło”.

– Detektyw Ingersoll powiedział nam, że to zwyczajne koperty, których miliony sprzedaje się w sklepach sieci Staples – powiedział Mark. – A tusz jest taki sam jak ten, który można

znaleźć w każdym długopisie marki Bic. Laboratorium kryminalistyczne znalazło w kopertach mikroskopijne granulki mąki ziemniaczanej, co wskazuje na to, że nadawca wkłada lateksowe rękawiczki. Koperty i znaczki są samoprzylepne, więc nie ma śladów DNA. Trafiają do mojej skrzynki na listy rokrocznie w tym samym dniu. Trzydziestego marca.

– W dniu masakry – uściśliła Jane.

Mark pokiwał głową.

– Jakby trzeba nam było przypominać tę datę.

– A charakter pisma? – spytała Jane. – Jest taki sam, czy się różni?

– Zawsze te same duże litery. Ten sam czarny tusz.

– Ale w tym roku list jest inny – wtrąciła się pani Gilmore.

Mówiła tak cicho, że jej głos był ledwo słyszalny.

Frost, który stał najbliżej, delikatnie dotknął jej ramienia.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Wcześniej przez te wszystkie lata na kartce było napisane: *Czy chcesz poznać prawdę?* Ale w tym roku jest inaczej. W tym roku jest napisane: *Wiem, co się naprawdę wydarzyło.*

– Co za różnica? – prychnął Mark. – Znaczenie jest takie samo, tylko ujęte w nieco inny sposób.

– Nie. W tym roku znaczenie jest zupełnie inne. – Pani Gilmore spojrzała na Jane. – Skoro coś wie, to dlaczego po prostu do nas nie przyjdzie i nie powie nam prawdy?

– Wszyscy wiemy, jaka jest prawda, pani Gilmore – siedział spokojnie Patrick. – To ta sama odpowiedź, jaką znamy od dziewiętnastu lat. Jestem przekonany, że bostońska policja

wiedziała, co robi, kiedy zamykała tę sprawę.

– A jeśli się pomylili?

– Pani Gilmore, w tych listach chodzi tylko o jedno: żebyśmy zwrócili na nią uwagę – tłumaczył Mark. – Wszyscy wiemy, że ta kobieta jest nieźrównoważona.

– Co ma pan na myśli? – chciał wiedzieć Frost.

– Patricku, powiedz im, czego się dowiedziałeś na temat pani Fang.

Wyglądało na to, że starszy mężczyzna nie ma zbyt chętności o tym mówić.

– Nie jestem pewny, czy rzeczywiście musimy teraz się w to zagłębiać.

– Chcielibyśmy to usłyszeć, panie Dion – powiedziała Jane.

Patrick spuścił wzrok i zaczął się przyglądać swoim spoczywającym na kolanach dłoniom.

– Kilka lat temu, kiedy detektyw Ingersoll po raz pierwszy zajął się tymi listami, powiedział mi, że pani Fang cierpi na, jak on to nazwał, manię wielkości. Wierzy, że jest potomkinią starodawnego rodu wojowników. Wierzy, że jej świętą misją jako wojowniczką jest odnalezienie zabójcy męża i dokonanie na nim zemsty.

– Możecie w to uwierzyć? – Mark się zaśmiał. – To jakby żywcem wzięte z chińskiej opery mydlanej. Ta kobieta ma bzika.

– Jest mistrzynią wschodnich sztuk walki – przypomniał Frost. – Uczniowie z pewnością jej wierzą, a oni raczej poznaliby się na oszustwie.

– Panie detektywie – powiedział Patrick – my wcale nie twierdzimy, że ona jest oszustką. Ale chyba zgodzi się pan, że jej oczekiwania są co najmniej absurdalne. Wiem, że sztuki walki są głęboko zakorzenione w dawnych tradycjach, ale wiele z tych historii można włożyć między bajki. To treści legend i filmów z Jackiem Chanem. Uważam, a detektyw Ingersoll podziela to zdanie, iż szok spowodowany śmiercią męża doprowadził panią Fang do załamania psychicznego. Nigdy się z tym nie pogodziła. Próbuje poradzić sobie z bólem po stracie męża, doszukując się jakiegoś sensu, czegoś, co nada tej śmierci znaczenie i uczyni z tego zdarzenia coś więcej niż czyn popełniony przez szaleńca. Musi udowodnić, że jej męża zabiło coś większego, i nigdy nie przestanie szukać tego bezimiennego wroga, bo tylko to nadaje sens jej życiu. – Rozejrzał się ze smutną miną po pokoju. Spojrzał na Marka. A potem na Mary Gilmore. – Ale my znamy prawdę. Wiemy, że to była bezsensowna zbrodnia popełniona przez niezrównoważonego psychicznie człowieka. Arthur, Dina i Joey zginęli bez powodu. Niełatwo się z tym pogodzić, ale my się pogodziliśmy. A pani Fang tego nie potrafi.

– Dlatego musimy znosić to nękanie. – Mark wskazał leżące na stoliku listy. – I nie jesteśmy w stanie jej powstrzymać.

– Ale nie ma żadnego dowodu, że to ona je wysyła – odezwał się Frost.

– Cóż, my wiemy, że to ona za tym stoi – powiedział Mark i wyjął z kieszeni złożony wycinek z „Boston Globe”. Było to ogłoszenie na jedną czwartą strony, o którym detektyw Tam

wspominał Jane. Prosta ramka wytyczona czarnymi liniami. Pod słowem NIEWINNY widniało zdjęcie uśmiechniętego kucharza z Czerwonego Feniksa Wu Weimina. A pod zdjęciem masakry i jedno zdanie: PRAWDA NIGDY NIE WYSZŁA NA JAW.

– Przez to ogłoszenie jest jeszcze gorzej – powiedział Mark. – Teraz całe miasto żyje jej urojeniami. Dokąd nas to zaprowadzi? Kiedy to się skończy?

– Czy ktoś z państwa w ogóle rozmawiał z panią Fang? – Jane rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok zatrzymał się na Marku Mallorym.

Mark prychnął z oburzeniem.

– Ja na pewno nie traciłbym na nią czasu.

– Wobec tego nie poszedł pan do jej domu? Nie starał się doprowadzić do konfrontacji?

– Dlaczego akurat mnie pani o to pyta?

– Bo sprawia pan wrażenie najbardziej tym rozzłoszczonego, panie Mallory.

Ale czy był na tyle wściekły, by włamać się do domu Iris? Wbić ostrzeżenie w jej poduszkę? Nie znała Marka wystarczająco dobrze, by wyczuć, do czego jest zdolny.

– Proszę posłuchać, wszyscy jesteśmy tym zdenerwowani. – Głos Patricka zdradzał znużenie. – Ale wiemy również, że próby nawiązania kontaktu z tą kobietą byłyby nierozsądne. Zadzwoń w zeszłym tygodniu do detektywa Ingersolla z nadzieją, że zrobi coś w naszym imieniu. Ale do tej pory do mnie nie oddzwonił.

– W tym tygodniu nie ma go w mieście – poinformowała Jane. Zebrała listy i włożyła je do torebki na dowody. – Porozmawiamy z nim o tym, kiedy wróci. A na razie proszę mnie zawiadomić, jeśli otrzymacie państwo cokolwiek w tym stylu.

– A my będziemy wdzięczni za informowanie nas na bieżąco o przebiegu sprawy – powiedział Patrick.

Znów wszyscy uścisnęli sobie ręce na pożegnanie. I tym razem uścisk dłoni Marka był szorstki, jakby już zdecydował, że policja jest dla niego bezużyteczna. Ale Patrick zwlekał z wypuszczeniem jej dłoni ze swojej, po czym odprowadził ich do drzwi, najwyraźniej żałując, że już wychodzą.

– Proszę do mnie dzwonić o każdej porze – powiedział. – W tej sprawie lub... – Zamilkł, a w jego oczach pojawił się smutek. – W każdej innej.

– Przykro nam, że ta sprawa znów wypłynęła, panie Dion – powiedziała Jane. – Widzę, że to dla pana bardzo trudne.

– Zwłaszcza że jest związane z tamtym... innym wydarzeniem. – Opadły mu ramiona. – Domyślam się, że wiecie o mojej córce.

Jane skinęła głową.

– Rozmawiałam o Charlotte z detektywem Buckholzem.

Na dźwięk imienia córki jego twarz ściągnął ból.

– Śmierć Diny była straszna, ale niczego nie można porównać z utratą dziecka. Mojego jedyne dziecko. Te listy i ogłoszenie w gazecie przywołują tamte wydarzenia. I to naprawdę jest bolesne, pani detektyw. Dlatego chcę położyć temu kres.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie Dion.

Choć już się pożegnali, raz jeszcze uścisnął jej dłoń. To że w drodze do samochodu Jane milczała zasmucona. Otworzyła drzwiczki, ale nie od razu wsiadła do środka. Patrzyła na trawnik, drzewa, alejki, które prowadziły ku tonącym w popołudniowym cieniu zakątkom. Ma to wszystko, a mimo to nie ma niczego, pomyślała, i widać to na jego twarzy. W opadających kącikach ust, podkrążonych oczach.

Dziewiętnaście lat później wciąż nawiedza go duch córki, tak jak nawiedzałby każdego rodzica. Posiadanie dziecka oznacza, że twoje serce już zawsze jest zdane na łaskę świata.

– Pani detektyw?

Jane odwróciła się i zobaczyła na schodach panią Gilmore. Starsza pani była bardzo pochylona do przodu, na plecach dźwigała wdowi garb, lecz zdążyła w ich stronę z twardą determinacją.

– Muszę wam coś powiedzieć, zanim odjedziecie. Wiem, iż Patrick i Mark są przekonani, że sprawa została rozwiązana. Że nie ma wątpliwości co do wydarzeń w restauracji. Ale jeśli się mylą? A jeśli rzeczywiście nie znamy prawdy?

– A więc ma pani wątpliwości – powiedziała Jane.

Starsza pani zacisnęła usta.

– Muszę przyznać, że mój syn Joey nie był święty.

Wychowywałam go na porządnego chłopca, naprawdę się starałam, ale miał tyle pokus, no i nietrudno wpaść w złe towarzystwo. – Spojrzała twardo na Jane. – Zapewne wie pani, że Joey miał kłopoty.

– Wiem, że pracował dla Kevina Donohue.

Na dźwięk tego nazwiska pani Gilmore wybuchnęła ze złością:

– Kawał łajdaka! Cały ten klan Donohue taki jest. A mój Joey podziwiał władzę i lubił łatwe pieniądze. Myślał, że Donohue pokaże mu co i jak. Ale nim się zorientował, co jest grane, było już za późno. Nie mógł się wycofać. Donohue mu na to nie pozwolił.

– Sądzi pani, że kazał zabić pani syna?

– Od początku chodziło mi to po głowie.

– Nie było na to żadnych dowodów, pani Gilmore.

Starsza pani dostała ataku kaszlu, głośnego i męczącego, jak kaszel oskrzelowy.

– Myślicie, że Donohue nie stać na przekupienie kilku policjantów? Mógłby rozłożyć każde śledztwo.

– To poważne oskarżenie.

– Pochodzę z południowego Bostonu. Wiem, co się dzieje w tym mieście, i wiem, ile można załatwić za pieniądze. – Zmrużonymi oczami wpatrywała się intensywnie w Jane. – Jestem pewna, że pani również to wie.

Niedopowiedziane oskarżenie sprawiło, że Jane zeszywniała.

– Poświęcę pani obawom należyłą uwagę, pani Gilmore – odparła gładko i wskoczyła do samochodu. Kiedy odjeżdżali, zobaczyła we wstecznym lusterku, że starsza pani nadal stoi na podjeździe i na nich patrzy.

– To wcale nie jest miła staruszka – wycodziła Jane.

Frost zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Czyżby właśnie oskarżyła nas o branie łapówek?
- Nie inaczej.
- A wyglądała tak słodko.
- Dla ciebie one wszystkie są słodkie. Jeszcze nie spotkałeś takiej, której byś nie lubił.

Albo która nie lubiłaby ciebie, dodała w myślach Jane.

Zadzwoił telefon Frosta. Kiedy odbierał, Jane znów zaczęła myśleć o tym, z jaką łatwością potrafi oczarowywać starsze panie. Z pewnością zaczął przełamywać lody z Iris Fang, wciąż piękną i atrakcyjną mimo wieku. Przypomniała sobie, co mówił o niej Patrick: „Załamane psychiczne. Mania wielkości. Wierzy, że jest potomkinią pradawnych wojowników”. Może Iris rzeczywiście cierpiała na urojenia, ale ktoś naprawdę włamał się do jej domu i wbił nóż w jej poduszkę. Kogo zdenerwowałaś? Jaką bestię obudziłaś, Iris?

Frost rozłączył się z westchnieniem.

- Zdaje się, że to nie koniec pracy na dziś.
- Kto to był?
- Pośrednik handlu nieruchomościami, który zajmuje się budynkami przy Knapp Street. Przez cały dzień próbowałem się z nim skontaktować. Mówi, że dziś wieczorem wyjeżdża z miasta, ale jeśli chcemy tam się rozejrzeć, to spotka się z nami za godzinę.
- A więc jedziemy z powrotem do Chinatown?

Frost pokiwał głową.

- Z powrotem do Chinatown.

Rozdział szesnasty

O zmierzchu Knapp Street przypominała ciemny wąwóz zanurzony w mroku pomiędzy czteropiętrowymi domami z cegły. Jane i Frost stanęli przed budynkiem, w którym niegdyś mieściła się restauracja Czerwony Feniks. Próbowali zajrzeć do środka, ale za zakratowanymi oknami Jane zobaczyła tylko stare cienkie zasłony, tak powycierane, że niemal przezroczyste.

Frost zerknął na zegarek.

– Pan Kwan spóźnia się już piętnaście minut.

– Nie masz numeru jego komórki?

– On chyba nie używa komórki. Cały dzień próbowałem złapać go w biurze.

– Pośrednik, który nie ma komórki?

– Mam tylko nadzieję, że dobrze się zrozumieliśmy. Mówił z dość silnym chińskim akcentem.

– Przydałby nam się detektyw Tam. Gdzie on się podziewa?

– Mówił, że przyjdzie.

Jane cofnęła się na ulicę i zerknęła na rdzewiejące schody przeciwpożarowe i pozamykane naглуcho okna. Zaledwie tydzień temu chodziła po dachach tych domów z ekipą dokonującą oględzin miejsca zbrodni w poszukiwaniu łusek. Tuż za rogiem była uliczka, gdzie znaleziono odciętą dłoń niezidentyfikowanej kobiety. Wyglądało na to, że ta ulica i

budynek to strefa zero wszystkich wydarzeń.

– Chyba od dawna jest opuszczony. A to środek miasta, można by się spodziewać, że każda nieruchomość w tej okolicy będzie rozchwytywana.

– Tyle że to miejsce zbrodni. Tam mówi, że ludzie w tej okolicy naprawdę wierzą w duchy. A nawiedzony dom przynosi nieszczęście. – Zamilkł, wpatrując się w głąb ulicy. – Ciekawe, czyżby to był człowiek, na którego czekamy?

Starszy Chińczyk szedł w ich stronę, kuśtykając, jakby miał chore biodro, ale poruszał się przy tym z zaskakującą werwą. Obuty w nienagannie białe reeboki, z łatwością przeskakiwał ponad workami ze śmieciami, pokonując wyboisty chodnik. Jego marynarka była o kilka numerów za duża, ale nosił ją z pewną nonszalancją, jak wystrojony na wieczorne wyjście profesor.

– Pan Kwan?

– *Hello, hello*, pan detektyw Barry Frost?

– Tak, proszę pana. A to moja partnerka, detektyw Jane Rizzoli.

Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając dwa lśniące złote zęby.

– Powiem wam, ja zawsze w zgodzie z prawem, okay? Okay? Zawsze wszystko legalne.

– Nie dlatego do pana dzwoniłem.

– Świetna lokalizacja tu, na Knapp Street. Trzy mieszkania na górze. Na dole dobry lokal na biznes. Może na restaurację albo sklep.

- Proszę pana, chcielibyśmy tylko zajrzeć do środka.
- Z tyłu dwa miejsca parkingowe dla najemcy...
- Zamierza nam pokazać ten budynek czy go sprzedać? –

wymamrotała Jane.

– ...firma deweloperska z Hongkongu nie chce już nim zarządzać. Sprzedają po bardzo dobrej cenie.

– To dlaczego nie jest jeszcze sprzedany? – zainteresowała się Jane.

To pytanie go zaskoczyło. Nagle przestał trąkotać.

Wpatrywał się w nią intensywnie. W mroku jego pomarszczona twarz przybrała chmurny wyraz.

– Złe działo się tutaj – przyznał wreszcie. – Nikt nie chce wynająć, nikt kupić.

– Proszę pana, jesteśmy tu tylko po to, aby obejrzyć to miejsce – wyjaśnił Frost.

– Po co? Pusto w środku, co tam oglądać.

– To sprawa policji. Proszę tylko otworzyć drzwi.

Kwan niechętnie sięgnął po pęk kluczy, który zadźwięczał jak więzienne kajdany. W ciemnej uliczce odnalezienie właściwego klucza i włożenie go do zamku trwało w nieskończoność.

Wreszcie brama otworzyła się z ogłuszającym piskiem i wszyscy troje weszli do lokalu, w którym mieściła się dawniej restauracja Czerwony Feniks. Pan Kwan nacisnął włącznik i nad ich głowami zapaliła się pojedyncza goła żarówka.

– Czy to jedyne źródło światła? – spytała Jane.

Pośrednik spojrział na sufit i wzruszył ramionami.

– Czas kupić żarówki.

Jane wyszła na środek mrocznego pomieszczenia i rozejrzała się. Tak jak powiedział pan Kwan, w środku było pusto. Podłogę pokrywało popękane i pożółkłe ze starości linoleum. Jedyne lada z kasą wskazywała na to, że niegdyś mieściła się tu restauracja.

– Posprzątaaliśmy tu i pomalowaliśmy – powiedział pan Kwan. – Wygląda tak jak wcześniej, ale nikt nie chce kupić. – Pokręcił z niesmakiem głową. – Chińczycy zbyt przesądni. Nawet nie chcą wejść do środka.

Nie dziwię im się, pomyślała Jane, bo właśnie odniosła wrażenie, że czuje na skórze czyjś zimny oddech. Przemoc pozostawia ślady, plamy na psychice, których nie sposób zmyć wodą i środkami dezynfekującymi. W tak zaściankowej okolicy jak Chinatown każdy pamięta, co wydarzyło się w tym budynku. Każdego przechodzi dreszcz, gdy idzie Knapp Street. Nawet gdyby wyburzono ten dom, a na jego miejscu postawiono nowy, zakrwawiona ziemia zawsze będzie nawiedzona w umysłach tych, którzy znają jej niechlubną przeszłość. Jane spojrzała na linoleum, to samo, które spłynęło krwią. Choć ściany zostały pomalowane, a ślady po kulach zagipsowane, w rysach i wgnieceniach podłogi nadal tkwią ślady krwi. Niespodziewanie w jej głowie wyświetliło się zdjęcie z miejsca zbrodni, które oglądała jakiś czas temu. Była to fotografia ciała leżącego wśród rozrzuconych pudełek na jedzenie.

W tym miejscu zginął Joey Gilmore.

Spojrzała za ladę i wspomnienie kolejnego zdjęcia nałożyło

się na miejsce na posadzce: ciało Jamesa Fanga z przekrzywionymi okularami, w dopasowanej kelnerskiej kamizelce i czarnych spodniach. Upadł w kącie za ladą, wokół niego leżały banknoty.

Jane się odwróciła. Patrzyła w róg sali, tam gdzie kiedyś stał czteroosobowy stół. Wyobraziła sobie Dinę i Arthura Mallorych, popijających herbatę i ogrzewających się po chłodzie marcowego wieczoru. Ten obraz nagle się rozplynął i zastąpiło go zdjęcie z policyjnej kartoteki, które wykonano kilka godzin później. Arthur Mallory nadal siedzi na krześle, pochylony nad przewróconymi filiżankami. A kilka kroków dalej jego żona Dina leży twarzą do podłogi, obok niej krzesło przewrócone w panicznej próbie ucieczki. Stojąc w tym pustym pomieszczeniu, Jane mogła usłyszeć echo strzałów, brzęk tłuczonej porcelany.

Odwróciła się w stronę kuchni, gdzie zmarł kucharz. Nagle odeszła jej ochota, by przejść przez próg. To Frost wszedł tam pierwszy i zapalił światło. I tym razem była to tylko jedna żarówka. Jane weszła za nim. W bladym świetle zobaczyła poczerniałą kuchenkę, lodówkę i blaty z nierdzewnej stali. Betonowa posadzka była zniszczona.

Podeszła do drzwi prowadzących do piwnicy. Tu skończył kucharz Wu Weimin, tu leżało jego ciało, blokując dostęp do drzwi. Patrząc w dół, niemal miała wrażenie, że podłoga jest tu jakby ciemniejsza, beton wciąż zaplamiony starą krwią. Przypomniała sobie, że kucharz miał spokojną twarz i tylko ślad po kuli, która przeszła mu skroń, świadczył o tym, co się

wydarzyło. Ta kula odbiła się rykoszetem w jego czaszce, szatkując mózg, lecz nie odebrała życia od razu. Wiedzieli o tym, bo w ostatnich chwilach bardzo obficie krwawił, serce wciąż pompowało krew, która lała się z rany strumieniem płynącym na piwniczne schody.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na drewniane schodki prowadzące w dół, gdzie panowały egipskie ciemności. Nad jej głową dyndał sznurek wyłącznika światła. Pociągnęła za niego, ale nic się nie stało. Żarówka była przepalona.

Frost przeszedł przez kuchnię w stronę drzwi na zapleczu.

– Czy one prowadzą na dwór?

– Na tyły – potwierdził pan Kwan. – Na parking.

Frost otworzył drzwi i zobaczył kolejną zamkniętą bramę.

– Wychodzą na uliczkę. Według policyjnego raportu wtedy weszła żona kucharza. Usłyszała strzał, zeszła na dół, by sprawdzić, co się dzieje, i zastała w kuchni martwego męża.

– A więc teoretycznie, skoro te drzwi były otwarte, każdy intruz mógł wtedy wejść – stwierdziła Jane.

Kwan spoglądał na nich nierozumiejącym wzrokiem.

– Jaki intruz? Kucharz sam się zabił.

– Znów badamy tę sprawę, panie Kwan – powiedział Frost. – Żeby mieć pewność, że nic nie zostało przeoczone.

Zaniepokojony pośrednik pokręcił głową.

– To była bardzo zła sprawa dla Chinatown – wymamrotał, z pewnością porzucając wszelką nadzieję na pozbycie się tego budynku. – Lepiej o tym zapomnieć. – Zerknął na zegarek. – Jeśli skończyliście, pójdziemy, okay? Pozamykam.

Jane spojrzała w górę.

– Wu Weimin mieszkał wraz z rodziną na piętrze. Czy może nas pan zaprowadzić do ich mieszkania?

– Nic tam nie ma do oglądania – powiedział Kwan.

– Mimo wszystko musimy się temu przyjrzeć.

Westchnął ciężko, jakby prosili go o przysługę wykraczającą poza ludzkie możliwości. Znów wyciągnął swój ciężki pęk kluczy i rozpoczął skrupulatną procedurę poszukiwania właściwego. Sądząc po tym, ile ich wisiało na potężnej obręczy, pan Kwan musiał sprawować pieczę nad połową nieruchomości w Chinatown. Wreszcie znalazł klucz i poprowadził ich kuchennymi drzwiami na tyły budynku.

Podobnie jak wejście do restauracji Czerwony Feniks, tak drzwi prowadzące do mieszkań na górze były zabezpieczone stalową bramką. Zapadł już wieczór i Frost musiał poświecić latarką na zamek, inaczej Kwan nigdy by nie trafił kluczem do dziurki. Zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały, gdy otworzył bramę, ale trzeba było dopasować jeszcze jeden klucz do zamka, by pan Kwan mógł otworzyć drzwi wewnętrzne.

W środku panowały ciemności. Żarówka oświetlająca klatkę schodową była przepalona, więc Jane zapaliła latarkę. W jej świetle ujrzała prowadzące w górę schody, drewnianą poręcz wypolerowaną niezliczonymi zatłuszczonymi dłońmi, które przesuwają się po niej przez dziesięciolecia. Wydawało się, że ciemność potęguje odgłos ich kroków i skrzypienie schodów. Jane słyszała za sobą ciężki oddech pana Kwana, który z trudem wspinał się po schodach.

Zatrzymała się na samej górze pod drzwiami prowadzącymi do mieszkania. Nie były zamknięte, ale Jane nie miała ochoty ich otwierać, nie chciała widzieć, co się za nimi kryje. Stała z ręką na klamce, czuła zimny jak lód metal. Dopiero gdy nabrała pewności, że pan Kwan pokonał ostatni stopień, i usłyszała jego świszczący oddech tuż za swoimi plecami, nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi.

Jane i Frost weszli do dawnego mieszkania Wu Weimina.

Okna były zabite deskami i z zewnątrz nie docierało tu żadne światło. Choć mieszkanie od lat było puste, Jane nadal czuła zapachy pozostawione tu przez jego lokatorów. Słaba woń kadzidełka i pomarańczy wciąż unosiła się w powietrzu, uwięziona w egipskich ciemnościach. Kiedy strumień światła jej latarki prześlizgnął się po podłodze z desek, Jane zauważyła wyłobienia i rysy powstałe na skutek niemal stuletniego użytkowania, blizny pozostawione przez niezabezpieczone nogi krzeseł i przesuwane meble.

Podeszła do drzwi znajdujących się w drugim końcu pomieszczenia, a gdy przeszła przez próg, zapach kadzidła, ta dziwna obecność duchów, jakby się nasilił. Tu okna również były zabite deskami, a światło jej latarki nie mogło przebić się przez zasłonę ciemności. Omiotło ściany, blizny po starych gwoździach i plamy pleśni przypominające test Rorschacha.

I wtedy zobaczyła twarz.

Wydała stłumiony okrzyk i odskoczyła do tyłu, wpadając na Frosta.

– Co jest?

Z powodu szoku nie mogła mówić, poświeciła tylko latarką na oprawiony portret na ścianie. Kiedy podeszła bliżej, zapach kadzidła stał się intensywny. Pod portretem stał mały stolik, na którym wśród stosików popiołu zobaczyła resztki wypalonych kadzidełek. Na porcelanowym talerzyku leżało pięć pomarańczy.

– To on – wyszeptał Frost. – To zdjęcie kucharza.

Z początku Jane go nie rozpoznała, ale kiedy przyjrzała się tej twarzy, zrozumiała, że Frost ma rację. Zdjęcie naprawdę przedstawiało Wu Weimina, ale mężczyzna, który spoglądał na nich ze ściany, w niczym nie przypominał szalonego mordercy. Na tym zdjęciu Wu uśmiechał się, ściskając w ręku wędkę, w zawiadanie przekrzywionej czapce drużyny baseballowej Boston Red Sox na głowie. Szczęśliwy człowiek w szczęśliwym dniu życia.

– To wygląda jak jakiś ołtarz poświęcony jego pamięci – stwierdził Frost.

Jane wzięła do ręki pomarańczę i ją powąchała. Zauważyła, że czubek pokrył się zielonkawym nalotem. Prawdziwa, pomyślała. Odwróciła się do pana Kwana, którego sylwetka była ledwo widoczna w progu pokoju.

– Kto jeszcze ma klucze do tego budynku?

– Nikt – odparł, potrząsając pękiem kluczy. – Ja mam jedyny.

– Ale te pomarańcze są świeże. Ktoś tu niedawno był. Ktoś zostawił te dary i zapalił kadzidełka.

– Te klucze są zawsze przy mnie – upierał się, głośno podzwaniając kluczami dla podkreślenia swoich słów.

– Brama na dole zamyka się na zasuwę – powiedział Frost. – Nie można otworzyć takiego zamka.

– To jak ktoś mógłby... – Jane zamarła. Odwróciła się w stronę drzwi.

Na schodach słychać było tupot nóg.

W jednej chwili wyciągnęła broń i trzymała ją w obu rękach. Odpychając pana Kwana, wyskoczyła z sypialni. Kiedy przechodziła przez pokój, czuła, że wali jej serce, po prawej słyszała, jak pod nogami Frosta trzeszczą drewniane deski. Poczula zapach kadzidła, pleśni i potu, naraz mnóstwo szczegółów zaatakowało jej zmysły. Ale skupiła się na drzwiach wejściowych, na czarnych wrotach, za którymi coś wspinało się ku nim po schodach. Coś, co nagle przybrało postać mężczyzny.

– Stać! – krzyknął Frost. – Policja!

– O rany, panie detektywie! – zaskoczony Johnny Tam wybuchnął śmiechem. – To tylko ja.

Jane usłyszała, że chowający się za nią pan Kwan pisnął z przerażenia.

– Kim on jest? Kim on jest?

– Do diabła – sapnął Frost, wypuszczając głośno powietrze i chowając pistolet do kabury – mogłem ci odstrzelić głowę.

– Powiedziałeś, że mamy się tu spotkać, prawda?

Przyjechałbym wcześniej, ale w drodze ze Springfield utknąłem w korku.

– Rozmawiałeś z właścicielem hondy?

– Tak. Powiedział, że ktoś ukradł ją spod jego domu. A GPS

nie jest jego. – Zapalił latarkę i omiół pokój snopem światła. –
Więc co się tutaj dzieje?

– Pan Kwan oprowadza nas po budynku.

– Od lat stoi zabity dechami. Co tu jest do oglądania?

Światło latarki Tama odkryło plamy pleśni i pląty obłazącej
farby na suficie.

– To miejsce wygląda tak, jakby pamiętało czasy farb z
ołowiem.

– Żadnych farb z ołowiem. Nie tu – skwapliwie zaprzeczył
pan Kwan. – I żadnego azbestu.

– Ale zobacz, co tu znaleźliśmy. – Jane odwróciła się w
stronę sypialni. – Ktoś odwiedzał to mieszkanie. I zostawił... –
Zatrzymała się ze wzrokiem wbitym w pustą ścianę.

– Co zostawił?

Chyba patrzę w złe miejsce, pomyślała i uniosła nieco latarkę.
Znów zobaczyła pustą ścianę. Omiotła latarką cały pokój, aż
oświetliła stoliczek z kadzidełkami i pomarańczami. Ściana nad
nim była pusta.

– Co, u diabła? – wyszeptał Frost.

Poprzez bicie serca Jane usłyszała trzask odbezpieczanych
równocześnie trzech pistoletów. Kiedy wyciągała przed siebie
broń, wyszeptała:

– Johnny, zabierz pana Kwana na schody i zostań z nim.

Barry, ty idziesz ze mną.

– Dlaczego? – zaprotestował pan Kwan, kiedy Tam wyciągał
go z pokoju. – Co się dzieje?

– Tamte drzwi – szepnęła przez zaciśnięte zęby Jane,

oświetlając latarką czarny prostokąt.

Oboje przesuwali się w ich stronę, światła ich latarek krzyżowały się, badając każdy zakamarek. Własny oddech brzmiał w jej uszach niczym ryk, miała zmysły ostre jak diament. Zarejestrowała zapach ciemności, mignięcia jakby stroboskopowych lamp, gdy światło jej latarki przesunęło się to tu, to tam. Uspokajający ciężar broni w ręku. Tamta kobieta na dachu też miała broń i wcale jej to nie uratowało.

Pomyślała o ostrzu przecinającym kości jej nadgarstka, a potem szyję i tchawicę i poczuła lęk na myśl o przejściu przez te drzwi i stawieniu czoła temu, co czeka na nią po drugiej stronie.

Raz, dwa, trzy. Zrób to.

Pierwsza pokonała próg, skoczyła i przywarła do ściany, omiatając światłem latarki pokój. Usłyszała za sobą ciężki oddech Frosta, gdy z mroku wyłaniała się porcelanowa muszla klozetowa, umywalka, zardzewiała wanna. Żadnego straszydła z ostrzem.

Kolejne drzwi.

Tym razem prowadził Frost. Wślizgnął się do sypialni, gdzie całymi płatami odłaziła ze ścian tapeta, jakby pokój liniał i zrzucał skórę. Żadnych mebli, żadnego miejsca, gdzie można by się schować.

Jeszcze jedno drzwi i znaleźli się z powrotem w salonie. Na znanym terenie. Jane wyszła na klatkę schodową, gdzie czekał detektyw Tam z panem Kwanem.

– Nic? – spytał Tam.

– To zdjęcie nie zeszło samo ze ściany.

– Byliśmy cały czas tutaj, na schodach. Nikt nie mógł tędy przejść.

Jane znów wyjęła z kabury pistolet.

– Więc jak, do diabła...

– Jane! – krzyknął Frost. – Spójrz na to!

Zastali go przy oknie w sypialni, tam gdzie wisiał portret.

Podobnie jak pozostałe okna to również było zabite, ale kiedy Frost pociągnął za deskę, ta z łatwością odsunęła się na bok, przybita do ramy jednym tylko gwoździem. Jane wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła, że okno wychodzi na Knapp Street.

– Schody przeciwpożarowe są tuż obok – powiedział Frost. Wysunął głowę i zadarł ją w górę. – Hej, tam na górze coś się rusza!

– Dalej, łap go! – wrzasnęła Jane.

Frost niezdarnie wdrapał się na parapet, jakby zbyt długie ręce i nogi zawadzały w tej operacji, i zeskoczył z hukiem na podest. Tam wyskoczył tuż za nim, poruszając się z wdziękiem akrobaty. Ostatnia w oknie pokazała się Jane, a gdy zeskoczyła na metalową kratownicę stanowiącą podest schodów, kątem oka dostrzegła ulicę w dole. Zobaczyła roztrzaskane skrzynki, potłuczone butelki. Upadek z tej wysokości byłby bardzo nieciekawym. Spróbowała skupić się na drabince powyżej. Frost wspinał się po jej szczelkach, robiąc przy tym tyle hałasu, że nikt nie mógł mieć wątpliwości, że rozpoczął pościg.

Jane wspinała się tuż za Tamem, jej dłonie zaciskały się na śliskim metalu, powiew wiatru chłodził spoconą twarz. Słyszała

postękiwania Frosta i zauważyła zarys jego nóg na tle nocnego nieba, gdy podciągnął się i przeskoczył na dach. Jego ruchy wprawiły wszystkie szczeble po kolei w dygot zgodnie z efektem domina, a gdy schody zadrżały, Jane na moment spanikowała ze strachu, że mocowania puszczą i pod ciężarem trzech ciał cała rozklekotana konstrukcja oderwie się wśród szczęku metalu i ciśnie nimi wprost na chodnik w dole. Zamarła, ściskając kurczowo poręcz w obawie, że wystarczy podmuch wiatru i nieszczęście gotowe.

Wrzask, który doszedł z dachu, sprawił, że włosy stanęły jej dęba na głowie. Frost.

Spojrzała w górę, spodziewając się widoku spadającego ciała, ale zobaczyła tylko, jak Tam pokonuje ostatnie szczeble i znika na dachu. Pospieszyła za nim. Ze strachu było jej niedobrze. Kiedy dotarła do krawędzi, kawałek papy oderwał się pod naciskiem jej dłoni i spadł w ciemność. Choć drżały jej ręce, podciągnęła się na krawędź dachu. Kilka kroków dalej zobaczyła przyczajonego Tama.

Frost. Gdzie jest Frost?

Skoczyła na równe nogi i rozejrzała się po dachu. Dostrzegła jakiś przemykający cień, poruszający się tak szybko, że mógł to być tylko kocur czmychający przed nimi w mrok z właściwą tym zwierzętom gracją. Pod nocnym niebem Jane zobaczyła puste dachy, jeden przechodził płynnie w drugi, krajobraz jak z lotu ptaka, pełen wzgórków i dolin, wystających kominów i szybów wentylacyjnych. Ale ani śladu Frosta.

Dobry Boże, on spadł. Leży gdzieś na ziemi, martwy lub

umierający, pomyślała.

– Frost?! – zawołał Tam, okrążając dach. – Frost?!

Jane wyjęła komórkę.

– Mówi detektyw Rizzoli. Beach Street i Knapp Street.

Policjant w...

– Jest tutaj! – zawołał Tam. – Pomóż mi go wyciągnąć.

Odwróciła się w mgnieniu oka i zobaczyła Tama klęczącego na krawędzi dachu, jakby zamierzał zanurkować w głąb znajdującej się poniżej ulicy. Wcisnęła telefon do kieszeni i podbiegła do niego. Frost wisiał uczepiony obiema rękami rynny, jego nogi dyndały w powietrzu. Od ziemi dzieliły go cztery piętra. Tam położył się na brzuchu i wyciągnął rękę, łapiąc Frosta za lewy nadgarstek. Dach był w tym miejscu pochyły i każdy fałszywy ruch mógł sprawić, że obaj by się ześlizgnęli. Jane położyła się na brzuchu obok Tama i złapała Frosta za prawy nadgarstek. Wspólnymi siłami zaczęli go ciągnąć po szorstkich dachówkach, które rozdarły marynarkę Jane i podrapały jej skórę. Z głośnym stęknięciem Frost zwałił się na dach obok nich i leżał, ciężko sapiąc.

– Jezu! – wyszeptał. – Myślałem, że już po mnie!

– Co się, do cholery, stało? Poślizgnąłeś się i upadłeś? – spytała Jane.

– Gonilem to, ale przysięgam, to dosłownie przeleciało nad tym dachem jak jakiś nietoperz z piekła rodem.

– O czym ty mówisz?

– Nie widzieliście tego? – Frost usiadł. Nawet w ciemnościach Jane widziała, że jest blady i się trzęsie.

– Ja niczego nie widziałem – powiedział Tam.

– To było dokładnie tu, w tym miejscu. Stało tam, gdzie ty teraz. Odwróciło się i spojrzało na mnie. Wtedy odskoczyłem i się poślizgnąłem.

– To? – powtórzyła Jane. – Mówimy o jakimś człowieku czy o czym?

Frost, dygocząc, odetchnął głośno. Odwrócił się i rozejrzał po dachach Chinatown.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

Frost podniósł się powoli i stanął zwrócony w stronę, w którą to coś – cokolwiek to było – umknęło.

– Poruszało się zbyt szybko jak na człowieka. Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Posłuchaj, tu jest ciemno – stwierdził Tam. – Kiedy dostajesz zastrzyk adrenaliny, trudno powiedzieć, co tak naprawdę się widziało.

– Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale tam coś było. Coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Musicie mi uwierzyć!

– W porządku – powiedziała. Jane poklepała go po plecach. – Wierzę ci.

Frost spojrzał na Tama.

– Ale ty mi nie wierzysz, prawda?

W ciemnościach zobaczyli, że Tam wzrusza ramionami.

– To Chinatown. Zdarzają się tu różne dziwne rzeczy. – Zaśmiał się. – Może w tej całej trasie wycieczkowej śladami duchów jest więcej prawdy, niż sądziliśmy.

– To nie był duch – upierał się Frost. – Mówię wam, to było z krwi i kości i stało dokładnie w tym miejscu. To było prawdziwe.

– Tylko ty to widziałeś – zauważył Tam.

Frost odszedł kawałek dalej i stanął, wpatrując się w uliczkę na dole.

– Być może nie tylko ja.

Jane poszła za nim i zobaczyła schody przeciwpożarowe, po których przed chwilą się wspinali. Poniżej znajdowała się Knapp Street słabo oświetlona światłem latarni.

– Widzisz to? – spytał Frost, wskazując zamontowane na rogu budynku urządzenie.

Była to kamera monitoringu.

Rozdział siedemnasty

Choć było już wpół do ósmej wieczorem, pracownicy agencji ochrony Dedham Security nadal pracowali, obserwując nieruchomości na terenie całego obszaru metropolitalnego tak zwanego Wielkiego Bostonu.

– Żli faceci zwykle zabierają się do roboty po zapadnięciu zmierzchu – powiedział Gus Gilliam, prowadząc trójkę detektywów wzdłuż ściany ekranów pokazujących obrazy z kamer monitorujących – więc i my musimy być na nogach. Jeśli włączy się jakiś alarm, kontaktujemy się z bostońską policją, o tak. – Pstryknął palcami. – Gdybyście kiedyś potrzebowali systemu ochrony, dzwońcie do nas.

Tam rzucił okiem na monitory.

– O rany, naprawdę macie oko na całe miasto.

– Na całe hrabstwo Suffolk. A nasze kamery naprawdę działają. Połowa zamontowanych w mieście kamer to atrapy, które niczego nie nagrywają, więc dla złych facetów to jak gra w trzy kubki. Nie wiedzą, które kamery naprawdę ich obserwują, a które nie. Ale gdy już jakąś zauważą, to raczej wycofują się i idą tam, gdzie łatwiej mogą się obłowić. Dlatego umieszczenie kamery na widoku działa jak straszak.

– Mamy szczęście, że kamera przy Knapp Street jest prawdziwa – powiedziała Jane.

– Tak. Mamy tu nagranie długości około czterdziestu ośmiu

godzin. – Zaprowadził ich na zaplecze, gdzie przed ekranem czekały już cztery krzesła. – Jeżeli dojdzie do jakiegoś incydentu, zwykle tyle czasu wystarcza, żebyśmy otrzymali wiadomość i zachowali odpowiedni materiał filmowy. Tę kamerę zainstalowano jakieś pięć lat temu. Kiedy ostatnio proszono nas o wyjęcie z niej nagrania, złapaliśmy dzieciaka, który rozbił szybę. – Usiadł przed ekranem. – Mówiliście, że interesuje was podest schodów przeciwpożarowych na drugim piętrze, tak?

– Mam nadzieję, że znajduje się w polu widzenia waszej kamery. Budynek, o który nam chodzi, stoi jakieś dwadzieścia metrów dalej.

– Nie wiem. Może być za daleko, żeby zobaczyć szczegóły, a drugie piętro w ogóle może znajdować się poza polem widzenia. Dodatkowo nagrywamy w słabej rozdzielczości. Zobaczmy.

Kiedy trójka detektywów usiadła w ciasnym kręgu przed ekranem, Gilliam nacisnął ikonę „Play” i ich oczom ukazał się widok Knapp Street. Dwaj zwrócenii tyłem do kamery przechodnie szli w kierunku Kneeland Street.

– Spójrz – powiedział Frost. – Widać kawałek schodów przeciwpożarowych.

– Niestety, nie widać samego okna – zauważyła Jane.

– To może wystarczyć. – Frost nachylił się, żeby odczytać na nagraniu datę i czas. – Proszę cofnąć o dwie godziny. Do dziewiętnastej trzydzieści. Może nasz intruz mignie nam choć przez chwilę.

Gilliam przewinął nagranie do 19:30.

O 19:35 starsza pani przeszła powoli Knapp Street obładowana siatkami z zakupami.

O 19:50 przed restauracją Czerwony Feniks pojawił się Johnny Tam. Zajrzał przez okno do środka, zerknął na zegarek i znikł w otwartych drzwiach. Po chwili pojawił się znowu i spojrzał w górę na okna mieszkania na piętrze. Okrążył budynek i znikł za rogiem.

O 20:06 coś poruszyło się w pobliżu schodów przeciwpożarowych. Był to Frost, który niezdarnie gramolił się z okna. Skoczył na podest i zaczął wdrapywać się po stopniach, znikając z pola widzenia.

– Co, u diabła? – wymamrotał. – Przede mną nic tamtędy nie wyszło? Wiem, że coś ścigałem po tej drabinie.

– Nie pokazało się – potwierdziła Jane.

– A to ty, Jane. Jak to możliwe, że naszego detektywa Tama też nie widać? Wyszedł tuż za mną.

Tam parsknął śmiechem.

– Może jestem duchem?

– Problemem jest tu pole widzenia – wyjaśnił Gilliam. – Widzimy tylko sam róg schodów, więc kamera nie rejestruje nikogo, kto wchodzi lub schodzi z niej z... jakby to powiedzieć... z większą gracją.

– Innymi słowy, ja i detektyw Frost nie nadajemy się na włamywaczy – podsumowała Jane.

Gilliam się uśmiechnął.

– A pan detektyw Tam byłby świetny w tym fachu.

– Więc ta kamera niczego nie zarejestrowała. – Jane westchnęła.

– Zakładając, że to był jedyny raz, kiedy intruz wszedł do środka.

Jane przypomniała sobie zapach kadzidła, świeże pomarańcze na talerzyku. Ktoś regularnie bywał w tym mieszkaniu, zostawiając ofiary ku pamięci Wu Weimina.

– Proszę cofnąć dwa wieczory wstecz i puścić nagranie.

Gilliam skinął głową.

– Warto spróbować.

Czas na ekranie cofnął się do 21:38, czterdzieści osiem godzin wcześniej. Nagranie doszło do godziny dwudziestej drugiej, potem do północy, na ulicy pojawiali się i znikali przechodnie, poruszający się w przyspieszonym tempie, rozedrgani. O drugiej nad ranem Knapp Street opustoszała, obserwowali niezmienny obraz chodnika, nad którym tańczył i powiewał skrawek papieru.

Jane zobaczyła to o 3:02.

Jakby po podeście schodów przeciwpożarowych przemknął jakiś cień, niewiele, ale wystarczyło, by Jane pochyliła się gwałtownie do przodu.

– Stop. Do tyłu! – krzyknęła.

Gilliam przewinął nagranie i zatrzymał je na ujęciu przedstawiającym cień na schodach.

– Nie wygląda na duże – uznał Tam. – Taki cień mógł rzucić nawet kot.

– Jeżeli ktoś wszedł do tego budynku, to musi również z

niego wyjść, prawda? – rzekł Frost.

– Wobec tego zobaczmy, co się wydarzyło później. – Gilliam przewinął nagranie. Obserwowali obraz, mijały minuty.

Zobaczyli dwóch pijanych mężczyzn pokonujących chwiejnym krokiem Knapp Street i znikających za rogiem.

Kilka sekund później Jane westchnęła głośno.

– O tam! – Wskazała coś palcem.

Gilliam zatrzymał nagranie i spojrzał na pełznący po schodach cień.

– Co to, u diabła, jest? – szepnął.

– A nie mówiłem? – powiedział Frost. – To jest właśnie to coś.

– Ale co my właściwie widzimy? – zastanawiał się Tam. – Nie widać twarzy. Trudno powiedzieć, czy to w ogóle jest człowiek.

– Ale jest dwunożne – zauważył Frost. – Zobaczcie, jak przykucnęło. Jakby się przymierzało do skoku.

Zadzwoił telefon Jane. Ten dźwięk tak ją zaskoczył, że nim odebrała, musiała odetchnąć głęboko, by zapanować nad głosem.

– Detektyw Jane Rizzoli, słucham?

– Zostawiła pani wiadomość na mojej sekretarce – oznajmił męski głos. – Oddzwaniem. Nazywam się Lou Ingersoll.

Wyprostowała się na krześle.

– Przez cały tydzień próbowaliśmy się z panem skontaktować, detektywie. Musimy z panem porozmawiać.

– O czym?

– O zabójstwie w Chinatown, które miało miejsce w zeszłą środę wieczorem. Ofiara to trzydziestoletnia kobieta.

Tożsamość nieznana.

– Wie pani, że od szesnastu lat jestem na emeryturze?

Dlaczego chce pani ze mną o tym rozmawiać?

– Sądzimy, że to zabójstwo może mieć związek z jedną z pańskich starych spraw. Masakrą w Czerwonym Feniksie.

Zapadła długa cisza.

– Wolałbym nie rozmawiać o tym przez telefon – odezwał się wreszcie Lou Ingersoll.

– A w cztery oczy?

Jane usłyszała w słuchawce szuranie butów i ciężki oddech emerytowanego detektywa.

– W porządku. Ten pojazd chyba wreszcie odjechał. Szkoda, że nie zobaczyłem tej cholernej rejestracji.

– Jaki pojazd?

– Furgonetka, która stała po drugiej stronie ulicy, odkąd wróciłem do domu. Pewnie ten sam sukinsyn, który się tu włamał, kiedy byłem na północy kraju.

– Co się właściwie dzieje?

– Proszę przyjechać. Przedstawię pani moją teorię.

– Jesteśmy w Dedham. Zajmie nam to jakieś pół godziny, może więcej. Jest pan pewny, że teraz nie może pan rozmawiać?

Znów usłyszała odgłos kroków.

– Nie chcę nic mówić przez telefon. Ktoś może podsłuchiwać, a obiecałem jej, że będę ją trzymał z dala od tego

wszystkiego. Zaczekam, aż przyjedziecie.

– Ale o co w tym wszystkim chodzi?

– O dziewczynki, pani detektyw. To wszystko ma związek z tamtymi dziewczynkami.

– Przynajmniej teraz mi wierzysz – powiedział Frost, kiedy razem z Jane jechali w stronę Bostonu. – Kiedy zobaczyłaś to na własne oczy.

– Nie wiemy, co dokładnie widzieliśmy na tym nagraniu – odparła. – Jestem pewna, że znajdzie się jakieś logiczne wytłumaczenie.

– Nigdy nie widziałem człowieka, który poruszałby się tak szybko.

– Więc jak myślisz, co to było?

Frost wyjrzał przez okno.

– Wiesz, na tym świecie jest wiele rzeczy, których nie rozumiemy. Rzeczy tak starych, tak dziwnych, że nie potrafilibyśmy potraktować ich poważnie. – Zamilkł. – Kiedyś spotykałem się z pewną Chinką.

– Naprawdę? Kiedy?

– Jeszcze w szkole średniej. Przyjechała właśnie z rodziną z Szanghaju. Była naprawdę słodka i taka nieśmiała. I bardzo, ale to bardzo staroświecka.

– Może powinieneś się ożenić z nią, a nie z Alice?

– Cóż, z perspektywy czasu wygląda to inaczej. Zresztą ten związek i tak był bez szans, bo jej rodzina była absolutnie

przeciwna białym chłopakom. Ale jej prababcia mnie lubiła. Pewnie dlatego, że tylko ja poświęcałem jej uwagę.

– Jezu, czy jakakolwiek starsza pani kiedyś cię nie lubiła?

– Lubię słuchać ich opowieści. Ona opowiadała, a Jade tłumaczyła. To, co mi naopowiadała o Chinach, mówię ci, gdyby choć ułamek z tego był prawdą...

– Co na przykład?

Spojrzał na nią uważnie.

– Wierysz w duchy?

– Ilu martwych ludzi widziałeś w życiu? Gdyby duchy istniały, na pewno już byśmy je zobaczyli.

– Prababcia Jade mówiła, że w Chinach duchy są wszędzie. Mówiła, że to dlatego, iż Chiny są takie stare i zdążyły tam zginać całe miliony dusz. Gdzieś muszą się podziewać. Jeśli nie są w niebie, to muszą być tutaj. Wokół nas.

Jane zatrzymała samochód na światłach. Czekaając, aż się zmienią, pomyślała o tym, ile dusz mogłoby wciąż snuć się po tym mieście. Ile z nich mogłoby znajdować się w tym właśnie miejscu, na skrzyżowaniu dróg. Jeśliby policzyć wszystkich zmarłych na przestrzeni stuleci, Boston z pewnością jest nawiedzonym miastem.

– Stara pani Chang opowiadała mi rzeczy, które brzmiały jak czyste wariactwo, ale ona w to wierzyła. O świętym człowieku, który chodził po wodzie. Walecznych mnichach potrafiących latać i stawać się niewidzialnymi.

– Brzmi, jakby naoglądała się za dużo filmów kung-fu.

– Ale legendy muszą być na czymś oparte, nie sądzisz? Może

nasze zachodnie umysły są zbyt zamknięte, by przyjąć coś, czego nie potrafimy zrozumieć, a wokół nas dzieje się o wiele więcej niż to, czego jesteśmy świadomi. Nie masz takiego wrażenia w Chinatown? Ilekroć tu jestem, zastanawiam się, co mi umknęło, na jakie ukryte wskazówki byłem ślepy. Wchodzę do tych zakurzonych sklepów zielarskich i widzę w słojach dziwaczne zasuszone pnącza. Dla nas to jakieś hokus-pokus, ale jeśli te rzeczy naprawdę mogą wyleczyć raka? Albo zapewnić, że dożyjesz stu lat? W Chinach od pięciu tysięcy lat kwitła cywilizacja. Muszą posiadać ogromną wiedzę. Tajemnice, których nigdy nam nie zdradzą.

Jane widziała w lusterku wstecznym samochód Tama. Zastanawiała się, co by powiedział o ich rozmowie, czy czułby się urażony tym gadaniem o egzotycznych i tajemniczych Chinach. Zapaliły się zielone światła.

Kiedy przejeżdżali przez skrzyżowanie, powiedziała:

– Nie wspominałabym o tym naszemu młodszemu koledze.

Frost pokręcił głową.

– Pewnie by go to wkurzyło. Wiesz, to nie tak, żebym był rasistą, o nie. Ja naprawdę spotykałem się z tą Chinką.

– A to już na pewno by go wkurzyło.

– Staram się tylko zrozumieć, otworzyć swój umysł na to, czego nie widzimy.

– Ja natomiast nie widzę, jak to wszystko się łączy. Martwa kobieta na dachu. Stare morderstwo połączone z samobójstwem sprawcy. A teraz ten Ingersoll mamrocze coś o jakiejś furgonetce obserwującej jego dom. I coś o dziewczynkach.

– Dlaczego nie powiedział ci nic przez telefon? Podejrzewa, że jest podsłuchiwany?

– Nie wie na pewno.

– Kiedy ktoś zaczyna mówić o podsłuchu w telefonie, od razu świecą mi w głowie lampki ostrzegające przed wariatami. Nie mówił jak paranoik?

– Mówił jak ktoś, kto się martwi. I wspomniał o jakiejś kobiecie. Mówił, że obiecał trzymać ją z dala od tego wszystkiego.

– Iris Fang?

– Nie mam pojęcia.

Frost spojrział na drogę przed nimi.

– Taki stary gliniarz jak on pewnie będzie uzbrojony. Lepiej podejść do niego miło i spokojnie, żeby się nie wystraszył.

Piętnaście minut później Jane zatrzymała się przed domem Ingersolla, a Tam zaparkował tuż za nią. Wysiedli z samochodów, troje drzwi zatrzasnęło się równocześnie. W dwupiętrowym domu paliły się światła, ale kiedy Frost nacisnął dzwonek, nikt im nie otworzył. Zadzwoił jeszcze raz i zastukał w okno.

– Zadzwoię do niego – powiedziała Jane, wystukując na klawiaturze komórki numer Ingersolla. Słyszeli dźwięk dzwonka dochodzący gdzieś z wnętrza domu. Cztery dzwonki, a po nich zwięzła wiadomość nagrana na automatycznej sekretarce. „Nie ma mnie w domu. Zostaw wiadomość”.

– Nic tam nie mogę zobaczyć. – Tam zaglądał przez zasłonięte frontowe okno.

Jane się rozłączyła i powiedziała do Frosta:

– Dzwon dalej do drzwi, a my zajdziemy od tyłu. Może nas nie słyszy.

Kiedy obchodzili dom, słyszała, jak Frost puka do drzwi. Wąska ścieżka między domami była nieoświetlona i zarośnięta. Jane poczuła zapach wilgotnych liści. Jej buty grzęzły w mokrej trawie. W oknie błysnęła niebieska poświata telewizora. Jane zatrzymała się, zaglądając do salonu. Na stoliku leżał telefon komórkowy i niedojedzona kanapka.

– To okno nie jest domknięte – stwierdził Tam. – Mogę się wdrapać do środka. Mam to zrobić?

Spojrzeli po sobie w mroku, rozważając w myślach konsekwencje wejścia do czyjegoś domu bez zezwolenia lub nakazu.

– Zaprosił nas – uznała Jane. – Może po prostu siedzi w kiblu i nas nie słyszy.

Tam otworzył okno. W jednej chwili znalazł się na górze, przeskoczył przez parapet i bezgłośnie wślizgnął się do środka. Jak on to, do cholery, zrobił? – zastanawiała się Jane, spoglądając spod oka na parapet znajdujący się na wysokości piersi. Naprawdę byłby z niego niezły włamywacz.

– Panie Ingersoll! – zawołał Tam, wchodząc do następnego pokoju. – Policja! Jest pan tu?

Jane zastanawiała się, czy ma w pocie czoła wgramolić się na ten parapet i również wejść przez okno, ale ostatecznie doszła do wniosku, że zanim zdoła to zrobić, Tam zdąży otworzyć drzwi.

– On tu jest. Leży na ziemi!

Krzyk Tama rozwiął jej niezdecydowanie. Złapała za parapet i już miała się podciągnąć, gdy usłyszała szelest krzaków i tupot nóg w ciemnościach.

Tyły domu, podejrzany ucieka, pomyślała natychmiast.

Ruszyła w pogoń. Dobiegła na tył domu na tyle szybko, że zdążyła zobaczyć, jak jakaś ciemna postać przeskakuje przez płot i ląduje po drugiej stronie.

– Barry! Potrzebne mi wsparcie! – zawołała, biegnąc w stronę ogrodzenia. Zastrzyk adrenaliny wypchnął ją w górę, przez płot, w palce wbiły jej się drzazgi. Jane wylądowała po drugiej stronie, ale siła, z jaką uderzyła stopami o chodnik, była tak duża, że poczuła ból w kościach.

Ścigany był w polu widzenia. Mężczyzna.

Słyszała, że ktoś za nią przeskakuje przez ogrodzenie, ale nawet się nie obejrzała, żeby sprawdzić, czy to Frost, czy Tam.

Była skoncentrowana na majaczącej przed nią postaci. Zaczynała go doganiać, była na tyle blisko, by zauważyć, że jest ubrany na czarno, jak typowy przestępca. Nie ucieknie, pomyślała, tym bardziej że nie biegł dość szybko.

Słyszała, że jej wsparcie zostaje w tyle, ale nie zwolniła, nie dała swojej zwierzynie szansy, by się wyślizgnęła. Dzieliło ich już jakieś dwadzieścia metrów.

– Policja! – zawołała. – Stać!

Skreślił w prawo, chowając się między domami.

To ją zdenerwowało. Napędzana wściekłością pobiegła za róg i nagle znalazła się w zaułku. Było ciemno, zbyt ciemno. Jej

kroki odbijały się echem, gdy biegła. Jeszcze sześć kroków... wreszcie zwolniła i zatrzymała się.

Gdzie on jest? Gdzie on się podział? – pomyślała.

Z bronią w ręku i z bijącym sercem przeczesła wzrokiem mroczny teren wokół siebie. Zobaczyła pogniecione puszki, usłyszała dźwięk odskakującego kawałka stłuczonego szkła.

Kula uderzyła ją w plecy, równo między łopatki. Siła uderzenia sprawiła, że straciła równowagę i poleciała twarzą w dół, otwartymi dłońmi starając się zamortyzować upadek. Broń wypadła jej z ręki. Uratowała ją kamizelka kevlarowa, ale pod wpływem siły uderzenia straciła oddech, więc leżała oszołomiona, a jej broń znajdowała się poza zasięgiem ręki.

Słyszała zbliżające się kroki i z trudem podźwignęła się na kolana, macając wokół w poszukiwaniu pistoletu.

Kroki zatrzymały się tuż za nią.

Odwróciła się i zobaczyła wznoszącą się nad nią sylwetkę mężczyzny. Jego twarz była skryta w cieniu, ale pobliska latarnia rzucała wystarczająco dużo światła, by Jane mogła zobaczyć unoszące się ramię. Zobaczyła słaby błysk wycelowanego w jej głowę pistoletu. Koniec nadejdzie szybko, zabójca i ofiara nawet nie spojrzą sobie w oczy. Gabriel, Regina... nie zdążyłam wam powiedzieć, jak bardzo was kocham.

Usłyszała szept śmierci, poczuła, jak syczy jej do ucha niczym wiatr. Coś uderzyło ją w twarz. Zamrugła. Kiedy otworzyła oczy, wznosząca się nad nią sylwetka leciała już do przodu. Runęła na jej nogi jak zwalone drzewo. Uwięziona pod

ciężarem ciała mężczyzny Jane poczuła, że jakaś ciepła ciecz wsiąka w jej ubranie. Ten miedziany zapach знаła aż za dobrze.

Coś oddychało w ciemnościach, coś, co wyłoniło się teraz tam, gdzie kilka sekund temu stał mężczyzna z pistoletem. Nie widziała rysów twarzy, tylko ciemny owal i aureolę srebrzystych włosów. Nie powiedziało ani słowa, ale gdy się obróciło, w jego ręku coś zalśniło, zakrzywione ostrze, w którym odbijało się światło i które znikło równie szybko, jak się pojawiło. Usłyszała coś, co wydawało jej się powiewem wiatru, gdy cień dał nura w cień. I nagle była sama, wciąż przygwożdżona do ziemi przez mężczyznę, którego krew wsiąkała w jej koszulę.

– Jane? Jane!

Usiłowała uwolnić się spod śmiertelnego ciężaru przygniatającego jej nogi.

– Jestem tutaj! Barry!

W oddali błysnęło światło latarki. Zbliżyło się, przeczesując w tę i w tę zaułek, w którym się znalazła.

Z dużym wysiłkiem Jane wreszcie zepchnęła z siebie zwłoki. Dotyk martwego ciała sprawił, że zadrżała. Odczołgała się.

– Barry – jęknęła.

Światło zaświeciło jej prosto w oczy. Uniosła rękę, żeby się zasłonić.

– Jezu – wyszeptał Frost. – Jesteś...

– Nic mi nie jest. Jestem cała. – Odetchnęła głęboko i poczuła przeszywający ból po uderzeniu kuli w kamizelkę kevlarową. – A przynajmniej tak mi się zdaje.

– Ta cała krew...

– Nie moja. Jego.

Kiedy Frost oświetlił latarką ciało, zszokowana Jane tak gwałtownie wciągnęła powietrze, że aż zaboląły ją zębra. Ciało leżało na brzuchu, a odcięta głowa potoczyła się kilka metrów dalej. Wpatrywały się w nich szeroko otwarte oczy, a rozdziawione usta wyglądały jak wykrzywione w okrzyku zdumienia. Jane patrzyła na czysto i równo przeciętą szyję i nagle uświadomiła sobie, że ma przemoczone spodnie, tkanina oblepiała jej nogi. Wszystko wokół zaczęło wirować i Jane niepewnym krokiem odeszła na bok, oparła się o mur i pozwoliła głowie opaść na piersi. Ze wszystkich sił starała się opanować mdłości.

– Co się stało? – spytał Frost.

– Widziałam to – szepnęła. – To coś. To twoje stworzenie z dachu. – Miała wrażenie, że nogi ma jak z waty. Osunęła się i usiadła pod murem. – Przed chwilą uratowało mi życie.

Zapadła cisza. W zaułku powiał wiatr, unosząc w powietrze piasek, który wpadł Jane do oczu i oblepił twarz. Powinnam być martwa, pomyślała. Powinnam tu leżeć z kulką w głowie. A jednak wrócę dziś wieczorem do domu. Obejmę męża i ucałuję moje dziecko. A ten cud zawdzięczam istocie, kimkolwiek ona jest, która nagle wyłoniła się z ciemności.

Podniosła głowę i spojrzała na Frosta.

– Musiałeś to widzieć. To było przed sekundą.

– Niczego nie widziałem.

– Musiało przebiec obok ciebie, kiedy wbiegłeś w tę alejkę.

Pokręcił głową.

– Tak samo było na dachu. Tylko ja to widziałem, a ty mi nie wierzyłaś.

Jane spojrzała na zwłoki. Na pistolet, który wciąż tkwił w zaciśniętej dłoni bezgłowego ciała.

– Teraz ci wierzę.

Rozdział osiemnasty

Maura zobaczyła przez szybę swojego zaparkowanego samochodu dwóch policjantów. Stali przy żółtej taśmie broniącej dostępu do miejsca, w którym popełniono przestępstwo. Zerknęli w jej stronę. Niemal na pewno rozpoznali jej czarnego lexusa, więc musieli wiedzieć, że przyjechał lekarz sądowy. Ale kiedy wysiadła i ruszyła w ich stronę, odwrócili się, zajęci pogawędką. Dopiero gdy się przedstawiła, raczyli łaskawie na nią spojrzeć.

– Czy detektyw Jane Rizzoli jest w domu pana Ingersolla? – spytała.

– Nie wiem, proszę pani – odpowiedział jeden z policjantów z patrolu. – Proszę sprawdzić w środku.

Czy celowo był tak nieskory do pomocy? Z jego neutralnego, nieco chłodnego wyrazu twarzy trudno było cokolwiek wywnioskować. Schyliła się i przeszła pod taśmą, ale gdy szła w stronę drzwi wejściowych, usłyszała ich śmiech i zaczęła się zastanawiać, czy to z niej się śmieją. Czy tak już będzie zawsze, na każdym miejscu zbrodni?

Te spojrzenia, szepty, ledwo skrywana wrogość. Zatrzymała się przed drzwiami, żeby założyć ochraniacze na buty, ostrożnie, bo jeszcze straci równowagę i da im kolejny powód do śmiechu. Kiedy się wyprostowała, drzwi się otworzyły i stanął w nich detektyw Tam.

– Doktor Isles, przepraszam, że wyciągnąłem panią z domu o tak późnej porze.

– Czy obie ofiary są w domu?

– Jedna jest w kuchni. Druga leży kilka ulic dalej, w takim zaułku.

– Dlaczego ofiara numer dwa znalazła się tak daleko od ofiary numer jeden?

– Ofiara numer dwa, czyli napastnik, próbował uciec przed detektyw Rizzoli. Twarda z niej sztuka.

Tam poprowadził Maurę z przedsionka do holu. Szurając ochraniaczami, poszła za nim do kuchni. Zaskoczył ją widok szefa wydziału zabójstw bostońskiej policji stojącego obok Barry'ego Frosta. Porucznik Marquette nieczęsto zjawiał się na miejscu zbrodni, więc jego obecność świadczyła o tym, że to zabójstwo musiało się czymś wyróżniać.

Ofiara leżała na boku na terakotowej posadzce, twarz spoczywała w krzepnącej kałuży krwi. Był to biały mężczyzna solidnej budowy, ubrany w jasnobrązowe spodnie, trykotową koszulę i ciemne skarpetki. Jeden kapeć wciąż znajdował się na jego stopie. Rana po kuli widniejąca w lewej skroni nie pozostawiała wątpliwości co do przyczyny śmierci. Maura nie od razu pochyliła się nad ciałem. Stała przez chwilę, rozglądając się za bronią. W pobliżu ciała nie zauważyła pistoletu. To nie samobójstwo.

– Był gliniarzem – powiedziała cicho Jane.

Maura nie słyszała jej kroków. Odwróciła się i spojrzała na jej zaplamioną krwią koszulę. Zamiast zwykłych ciemnych

spodni od garnituru Jane miała na sobie luźne spodnie od dresu. Najwyraźniej okoliczności zmusiły ją do szybkiej zmiany ubrania.

- Mój Boże, Jane.
- Zrobiło się tu trochę gorąco.
- Nic ci nie jest?

Jane pokiwała uspokajająco głową i spojrzała na martwego mężczyznę.

- Niestety, o nim nie mogę tego powiedzieć.
- Kim on jest?

Odpowiedział jej porucznik Marquette:

– To detektyw Lou Ingersoll. Pracował w wydziale zabójstw. Szesnaście lat temu przeszedł na emeryturę. Był jednym z nas, doktor Isles. Musimy dać z siebie wszystko. To mu się należy.

Czyżby sugerował, że w jego przypadku mogłaby nie dać z siebie wszystkiego? Że lekarz sądowy, który występując przeciwko policjantowi, zdradził cienką niebieską linię, zawiedzie również tego gliniarza? Z płonącymi policzkami pochyliła się nad ciałem. Dopiero po kilku sekundach skojarzyła nazwisko. Lou Ingersoll.

Zerknęła na Tama.

– To człowiek, który pracował przy sprawie masakry w Czerwonym Feniksie.

– Już o tym wiesz? – zdziwiła się Jane.

– Detektyw Tam powiedział mi o tym, kiedy przyniósł raporty z sekcji ofiar.

Jane odwróciła się do Tama.

– Nie wiedziałam, że konsultowałeś z doktor Isles tę sprawę. Tam wzruszył ramionami.

– Chciałem usłyszeć opinię pani doktor. Byłem ciekaw, czy dziewiętnaście lat temu coś komuś nie umknęło.

– Pani detektyw? – W drzwiach kuchni stanął jeden z techników ze słuchawkami na szyi. – Przeczesał pokój skanerem częstotliwości. Miała pani rację. Nie mamy wątpliwości, że z jego telefonu stacjonarnego płynie sygnał.

– Sygnał? – Porucznik Marquette spojrzał na Jane.

– Ingersoll podejrzewał, że ktoś podsłuchuje jego rozmowy – wyjaśniła Jane. – Prawdę mówiąc, jestem zdziwiona, że coś znaleźliśmy.

– Po co ktoś miałby zakładać mu pluskwę?

– Na pewno możemy wykluczyć najbardziej typowe powody. Od osiemnastu lat był wdowcem, więc wojna rozwodowa nie wchodzi w grę. Miał jedną córkę, która nie ma pojęcia, o co w tym chodzi. – Jane spojrzała na martwego mężczyznę. – To wszystko jest coraz bardziej dziwne. Narzekał na furgonetkę, z której obserwowano jego dom. Mówił, że ktoś się tu włamał podczas jego nieobecności. To wszystko brzmiało, jakby gadał od rzeczy.

– A jednak okazało się, że wcale nie tak od rzeczy. – Marquette spojrzał na technika. – Sprawdziliście już jego telefon komórkowy?

– Nie wykryliśmy żadnego sygnału. Padła bateria. Po naładowaniu sprawdzimy historię połączeń.

– Zbierzcie informacje o wszystkich połączeniach, tych z

telefonu komórkowego i stacjonarnego. Sprawdźmy, z kim ostatnio rozmawiał.

Maura wstała.

– Jak rozumiem, jest jeszcze jedna ofiara.

– Zabójca – powiedziała Jane. – To znaczy mężczyzna, którego podejrzewamy o zastrzelenie Ingersolla. Ścigałam go przez kilka przecznic.

– Sama go załatwiłaś?

– Nie.

– A kto to zrobił?

Jane nabrała powietrza, jakby przygotowywała się na to, co ma nastąpić.

– Niełatwo to wytłumaczyć. Lepiej ci pokażę.

Wyszły na dwór, gdzie zbierał się już tłum ludzi zafascynowanych najazdem służb porządku publicznego na ich dzielnicę. Jane utorowała sobie drogę wśród gapiów i poprowadziła Maurę za róg budynku, na cichą boczną uliczkę. Choć Jane szła jak zwykle zwawym krokiem, jej buta gdzieś znikła, a ramiona opadły, jakby ta noc ją pokonała, odbierając pewność siebie.

– Na pewno wszystko w porządku? – spytała Maura.

– Pomijając fakt, że moje spodnie od najlepszego kostiumu nadają się na śmietnik? Nie, nic mi nie jest.

– Nie wyglądasz najlepiej. Jane, odezwij się do mnie.

Jane zwolniła kroku, aż wreszcie się zatrzymała. Patrzyła w głąb ulicy, jakby bała się spojrzeć na Maurę, zdradzić, jak bezradna się poczuła w tamtym momencie.

– Nie powinnam stać w tym miejscu – wyszeptała. – Powinnam leżeć martwa jak Ingersoll. W ciemnym zaułku z kulką w głowie. – Przyjrzała się swoim dłoniom i ściągnęła brwi, jakby jej ręce należały do kogoś innego. – Spójrz na to. Ja się trzęsę.

– Mówiłaś, że ścigałaś podejrzanego.

– Tak, ścigałam go. Ale poczułam się zbyt pewnie. Wbiegłam za nim w ten zaułek. Upadłam. – Objęła się ramionami, jakby nagle przeszły ją dreszcze. – Uratował mnie prezent urodzinowy. Pamiętasz tę kamizelkę kevlarową, którą dostałam od Gabriela? Jak się obie z niej śmiałyśmy? Jaki romantyczny prezent, każda dziewczyna chciałaby coś takiego dostać. Okropnie się wściekł, bo jej nie nosiłam, więc dziś rano dla świętego spokoju ją włożyłam. Teraz już zawsze będzie to powtarzał. Że miał rację.

– Czy Gabriel wie, co się stało?

– Jeszcze do niego nie dzwoniłam. – Jane otarła twarz rękawem. – Nie miałam czasu.

– Powinnaś pojechać do domu. Natychmiast.

– W samym środku tego wszystkiego?

– Jane, ledwo się trzymasz na nogach. Twoja ekipa da radę zbadać miejsce zbrodni.

– Mam pojechać, kiedy jest tu Marquette? Żeby zobaczył, że nie radzę sobie z takim drobiazgiem jak postrzał w plecy? Chrzanię to. – Jane odwróciła się i ruszyła dalej, jakby chciała czym prędzej mieć to za sobą. Udowodnić, że stoi na wysokości zadania.

Och, Jane, pomyślała Maura, wciąż coś sobie udowadniasz i nigdy nie będziesz miała dosyć. Na zawsze pozostaniesz walczącą o uznanie nowicjuską, bojącą się okazać słabość.

Doszły do kolejnego miejsca odgradzonego taśmą. Policjanci z patrolu pilnowali wejścia do zaułka. I znów Maurę powitała zimna obojętność. Kiedy zakładała nowe ochraniacze i przechodziła pod taśmą, czuła na sobie wzrok policjanta. Z ulgą uciekła przed jego spojrzeniem, idąc za Jane w głąb ciemnej uliczki.

– A oto kawaler numer dwa – oznajmiła Jane, kierując snop światła latarki na chodnik. Jej żartobliwy ton zbił Maurę z tropu. Dlatego gdy jej oczom ukazał się widok jak z horroru, była w szoku.

Głowa została odcięta i leżała – w ciemnej wełnianej czapce – w odległości kilku metrów od ciała białego mężczyzny około czterdziestki. Odziane w czerń ciało spoczywało na brzuchu, jakby pływało żabką w morzu krwi. Zastygła w śmiertelnym spazmie dłoń wciąż zaciskała się na kolbie pistoletu. Zataczając koła latarką, Maura zobaczyła wyznaczone kolejnymi chlapnięciami łuki i elipsy krwi na murze, nierówne, jakby się jąkały, i krzepnące kałuże niczym rozdeptana na chodniku czarna kaszanka.

– Przyjrzyj się dobrze temu dupkowi, który zniszczył mój ulubiony kostium – powiedziała Jane.

Maura ściągnęła brwi, przyglądając się bezgłowemu ciału. I pistoletowi w ręku mężczyzny.

– To jego ścigałaś od domu Ingersolla?

– Tak. Zaczęłam go ścigać na tyłach domu. Zaczaił się i strzelił mi w plecy. Do tej pory boli jak diabli.

– Wobec tego, w jaki sposób skończył...

– Do akcji wkroczył ktoś jeszcze. Jeśli masz jakieś pytania na temat sposobu, w jaki zginął ten facet, pytaj śmiało, bo przy tym byłam. Leżałam na ziemi, a on miał właśnie wpakować mi kulkę w łeb. Pomyślałam, że już po mnie... Pomyślałam... – Przełknęła ślinę. – I wtedy usłyszałam jakiś odgłos, jakby coś zaszeleściło w powietrzu. I on po prostu zwałił się na mnie. – Patrząc pod nogi, Jane powiedziała cicho: – I nadal żyję.

– Widziałaś, kto to zrobił?

– Sam cień. Srebrne włosy.

– Tylko tyle?

Jane się zawahała.

– I miecz. Chyba widziałam miecz albo raczej szablę.

Maura spojrzała na ciało i poczuła podmuch wiatru.

Zastanawiała się, czy śmiertelnemu cięciu towarzyszył taki sam dźwięk jak szept wiatru? Przypomniała sobie amputowaną dłoń kobiety, równo przecięte stawy i ścięgna. Jej spojrzenie przykuł pistolet w ręku mężczyzny.

– Ten pistolet ma tłumik.

– Tak. Facet jest ubrany na czarno i ma przy sobie ulubioną broń płatnych zabójców. Zupełnie jak tamta niezidentyfikowana kobieta z dachu.

– To nie jest zwykły włamywacz. – Maura podniosła wzrok. – Dlaczego telefon Ingersolla był na podsłuchu?

– Nie zdążył mi powiedzieć. Ale na pewno był zaniepokojony

i chciał porozmawiać. O dziewczynkach. „Chodzi o to, co się stało z tamtymi dziewczynkami”, tak powiedział.

– Jakimi dziewczynkami?

– Przypuszczam, że ma to jakiś związek z masakrą w Czerwonym Feniksie. Czy wiesz, że córki dwóch ofiar zaginęły?

Maura usłyszała jakieś głosy i trzask drzwi samochodu. Podniosła głowę i zobaczyła zbliżające się światła ekipy prowadzącej oględziny miejsca zbrodni.

– Teraz to już na pewno przejrzę te pliki, które podrzucił mi detektyw Tam.

– Dlaczego to zrobił? Byłam zaskoczona, że zwałił ci to na głowę.

– Chciał obiektywnej opinii. Chyba nie wierzy w winę kucharza.

– A ty co o tym myślisz?

– Nie miałam czasu się temu przyjrzeć. W tym tygodniu przyjechał do mnie w gości Szczurek. Spędzam z nim cały wolny czas. – Maura odwróciła się, gotowa ruszyć w drogę powrotną. – Jutro z samego rana zrobię sekcję. Gdybyś chciała przy tym być.

– Zrobisz obie sekcje?

To pytanie wydało się Maurze dziwne, odwróciła się zaskoczona.

– A dlaczego miałabym ich nie zrobić?

– Ingersoll był gliniarzem. Tak tylko pomyślałam, że teraz to taki trudny okres... w związku z tą sprawą Graffa.

Maura słyszała w głosie Jane zakłopotanie i знаła jego powód.

– Czy odtąd mam zakaz wykonywania sekcji gliniarzy?

– Tego nie powiedziałam.

– Uwierz mi, nie musisz. Jestem w pełni świadoma tego, co zostało powiedziane. Jestem tego świadoma za każdym razem, gdy jakiś glina patrzy na mnie albo odwraca wzrok. Uważają mnie za wroga.

– To minie, Mauro. Tylko potrzeba czasu.

Aż znów złożę zeznania przeciwko jakiemuś gliniarzowi, pomyślała Maura.

– Nie chcę być politycznie niepoprawna – powiedziała. – Poproszę doktora Bristola o przeprowadzenie sekcji zwłok Ingersolla. – Znów przeszła pod taśmą. Po drodze minęła bez słowa ekipę techników. Dopiero gdy przeszła przez kolejną uliczkę, poczuła, jak w jej gardle rozluźnia się węzeł. „To minie, Mauro”, tak powiedziała Jane, ale czy naprawdę tak się stanie? Gliniarze mają dobrą pamięć. Pamiętają szczegóły spraw sprzed dziesięcioleci i długo chowają urazę, nigdy nie zapominając, kto był z nimi, a kto przeciw nim. Na zawsze zostaną kimś drugiej kategorii, pomyślała. Za dwadzieścia lat wciąż będą pamiętali, że pomogłam posłać gliniarza za kratki.

Nim wróciła do domu Ingersolla, przyjechało jeszcze więcej samochodów policyjnych. Maura zatrzymała się, oszołomiona błyskającymi światłami i właściwym niecodziennym zdarzeniom nastrojem wszechobecnego chaosu i podniecenia. Nagle przez terkotanie i trzaski policyjnych krótkofalówek

przebił się kobiecy szloch.

– Pozwólcie mi go zobaczyć! Muszę zobaczyć mojego ojca!

– Proszę pani, teraz nie może tam pani wejść – tłumaczył policjant. – Gdy tylko to będzie możliwe, ktoś do pani wyjdzie i porozmawia.

– Ale to mój tatuś. Mam prawo wiedzieć, co mu się stało!

– Ojciec Brophy! – zawołał policjant. – Czy mógłby ojciec pomóc tej pani?

Wysoki mężczyzna w koloratce cicho przebijał się przez gromadę gapiów. Kapelan bostońskiej policji często bywał wzywany na miejsce zbrodni, więc Maura nie była tym zaskoczona, ale mimo to na jego widok poczuła się, jakby dostała obuchem. Stęsknionymi oczami przyglądała się, jak Daniel wyprowadza córkę Ingersolla poza odgradzony taśmami teren. Czyżby zeszczupełił? Czy zmizerniał, a jego włosy lekko posiwiały? Czy tęsknisz za mną tak jak ja za tobą, Danielu? – zastanawiała się.

Poprowadził łkającą kobietę w stronę policyjnego auta, a potem nagle zauważył Maurę. Ich oczy się spotkały. Przez chwilę cały świat znikł, Maura widziała tylko Daniela. Poczuła, że serce jej wali, oszalałe niczym skrzydła umierającego ptaka.

Wciąż na niego patrzyła, gdy odszedł, obejmując ramionami łkającą kobietę.

Rozdział dziewiętnasty

Jane stała w prosektorium przed negatoskopem, przyglądając się zdjęciom rentgenowskim zmarłego. Jego kości wydawały się nienaruszone, poza jednym uderzającym wyjątkiem: czaszka została oddzielona od ciała równym cięciem pomiędzy trzecim i czwartym kręgiem kręgosłupa szyjnego. Tam i Frost podeszli już do stołu, czekając na początek sekcji zwłok, ale Jane tkwiła w miejscu jak zaklęta, wciąż niegotowa spojrzeć na to, co leżało pod prześcieradłem. Zdjęcia rentgenowskie były czymś abstrakcyjnym, jak komiks w porównaniu z filmem, przedstawiały czarno-białą anatomię ciała. Nie miały wyglądu ani zapachu ciała z krwi i kości, nie miały twarzy. Dlatego stała przed negatoskopem dłużej, niż to było konieczne, skupiona na cieniach przedstawiających płuca i serce, to samo, które poprzedniego wieczoru pompowało tryskającą na jej ubranie krew. Gdyby nie mój bezimienny zbawca, byłyby to moje zdjęcia, pomyślała. A na stole moje ciało.

– Jane? – odezwała się Maura.

– Trudno wyobrazić sobie ostrze zdolne do wykonania takiego cięcia – powiedziała Jane ze wzrokiem wciąż wbitym w zdjęcia.

– To kwestia znajomości anatomii. Kąta, pod jakim ostrze uderza w stawy. W średniowieczu wprawny kat potrafił jednym ruchem ściąć głowę. Jeśli musiał zadać kolejny cios, to

znaczyło, że jest niedouczony. Albo pijany.

– Miło tak to sobie wyobrazić z samego rana – mruknął Tam.

Maura zdjęła prześcieradło.

– Jeszcze go nie rozebraliśmy. Przypuszczałam, że wszyscy chcieliście przy tym być.

Nie, ja wcale nie chcę tu być, pomyślała Jane. Nie chcę tego oglądać. Ale zmusiła się, by podejść do stołu. Choć to, co na nim leżało, nie było dla niej zaskoczeniem, gwałtownie wciągnęła powietrze na widok odciętej głowy. Niczego nie wiedziała o tym człowieku, nie знаła jego nazwiska ani pochodzenia. Jedyne wskazówki stanowiły jak dotąd przedmioty wyjęte poprzedniego wieczoru z jego kieszeni: zapasowy magazynek, zwitek banknotów i kluczyki do kradzionej furgonetki marki Ford, która stała dwie ulice dalej za domem Ingersolla. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów.

Tam pochylił się nad stołem i z kamiennym wyrazem twarzy przyjrzał się odciętej głowie. Nawet nie drgnął, kiedy Maura zsunęła z głowy wełnianą czapkę, odsłaniając krótko ostrzyżone kasztanowe włosy. Twarz mężczyzny nie wyróżniała się niczym szczególnym. Miał całkiem przeciętny nos, usta i policzki. Ktoś, o kim natychmiast zapomnisz, ledwo miniesz go na ulicy.

Dłonie były już spuchnięte, a odciski palców zostały pobrane poprzedniej nocy, gdy tylko zwłoki trafiły do prosektorium. Czerwony tusz zaplamił palce. Maura z Yoshimą zaczęły zdejmować ubranie, ściągnęli bluzę, spodnie, slipy i skarpetki.

Bezgłowe ciało było przysadziste i dobrze umięśnione. Prawe kolano przecinała zagojona blizna – pamiątka po dawno przeprowadzonym zabiegu. Jane przyglądała się bliźnie i pomyślała: teraz już wiem, dlaczego tak łatwo go dogoniłam.

Maura oglądała przez szkło powiększające przecięte tkanki miękkie.

– Nie widzę żadnych śladów ząbków – powiedziała. – Brzegi rany są równe, nieposzarpane. Rana została zadana jednym cięciem.

– A nie mówiłam – powiedziała Jane. – To był miecz. Jedno cięcie.

Maura zerknęła na nią.

– Bez względu na wiarygodność świadka zawsze muszę znaleźć potwierdzenie jego słów. – Znow skupiła się na szyi. – To cięcie zadano pod dziwnym kątem. Która ręka trzymała narzędzie, prawa czy lewa?

Jane się zawahała.

– Nie widziałam samego cięcia, ale gdy odchodził, to było... to było w jego prawej ręce.

– Jesteś pewna?

– Tak. Dlaczego?

– Bo to cięcie zaczyna się niżej po prawej, biegnie po łuku w górę i kończy po lewej stronie szyi.

– I co z tego?

– Ofiara ma nieco ponad sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Jeśli zabójca zaatakował z tyłu, tnąc od prawej do lewej, to prawdopodobnie był od niego niższy. – Maura

spojrzała na Jane. – Zgadza się?

– Leżałam na plecach. Z takiej pozycji każdy wygląda na wysokiego, zwłaszcza ktoś z wielkim lśniącym mieczem. – Wypuściła powietrze, nagle uświadamiając sobie, że Maura patrzy na nią tym swoim analitycznym spojrzeniem, które tak ją denerwowało. Spojrzeniem naruszającym granice prywatności, pod którym czuła się jak pływający w formalinie okaz.

Jane gwałtownie odwróciła się od stołu.

– Chyba już nie muszę dłużej tego oglądać. Co nam powie ta sekcja? Niespodzianka, ktoś odciął mu głowę? – Wrzuciła fartuch do pojemnika na skażone materiały. – Wy, chłopcy, zostańcie do końca. Ja sprawdzę, co się dzieje w laboratorium kryminalistycznym i zobaczę, czy coś interesującego wynikło z badania telefonu komórkowego Ingersolla.

Nagle drzwi od śluzy otworzyły się szeroko i zaskoczona Jane zobaczyła w nich swojego męża.

– Co ty tu robisz?

Sala sekcyjna nie stanowiła żadnej nowości dla agenta specjalnego Gabriela Deana. Jane poznała swojego męża przy okazji sprawy seryjnego mordercy, a w trakcie tamtego śledztwa spędzili więcej niż kilka godzin w trupim odorze, pochylając się nad ciałami znajdującymi się w różnych stadiach rozkładu. Gabriel zdążył już włożyć fartuch i ochraniacze na buty. Teraz skupiony i nieco skrzywiony naciągał rękawiczki.

– To jest człowiek z zaułka? – spytał ostro. – Ten, który o mało cię nie zabił?

– Ciebie też miło widzieć, kochanie – powiedziała Jane i

spojrzała na Tama.

– Gdybyś się zastanawiał, kim jest ten awanturnik, to Gabriel, mój mąż. I nie mam najmniejszego pojęcia, co tu robi.

Uwagę Gabriela wciąż przykuwały zwłoki.

– Co o nim wiemy?

– My? Odkąd to dołączyłeś do naszej grupy? – spytała Jane.

– Odkąd ten facet do ciebie strzelał.

– Gabrielu – Jane westchnęła – możemy porozmawiać o tym później?

– Teraz jest czas, żeby o tym porozmawiać.

Wpatrywała się w męża, usiłując zrozumieć, co się dzieje.

Próbowała wyczytać coś z jego twarzy, kamiennej w świetle lamp prosektorium.

– O co ci chodzi?

– O odciski palców.

– Nie dostaliśmy na jego temat żadnych informacji z AFIS-u.

– Mówię o odciskach palców niezidentyfikowanej kobiety.

Tej z dachu.

– Do jej odcisków też niczego nie dopasowano – powiedziała Maura. – Nie mam jej w bazie FBI.

– Wysłałem czarną kartkę* do Interpolu – powiedział. – Bo nie mam wątpliwości, że ta sprawa wiąże się z jakąś inną, grubszą. Dużo grubszą. Pomyśl, jak ta kobieta była ubrana.

Jaką broń miała przy sobie. I żadnych dokumentów, a przyjechała kradzionym samochodem. – Spojrzał na ciało. – Jak ten mężczyzna.

* Czarna kartka (ang. black notice, pełna nazwa: Black Notice Application)

Form) – formularz Interpolu, w którym należy podać informacje na temat niezidentyfikowanego ciała. Nazywana jest tak również wiadomość rozsyłana przez Interpol w celu zdobycia informacji na temat zgłoszonego niezidentyfikowanego ciała.

– Dostałeś jakąś odpowiedź z Interpolu? – spytała Jane.

Pokiwał głową.

– Godzinę temu. Jest w ich bazie danych. Nie mają jej nazwiska, tylko odciski palców. Były na składnikach bomby samochodowej, która dwa lata temu wybuchła w Londynie. Zginął kierowca, amerykański biznesmen.

– Czy mamy do czynienia z terroryzmem? – spytał Tam.

– Interpol uważa, że ta bomba była ciosem zadany przez przestępczość zorganizowaną. Płatne zabójstwo. Twoja kobieta z dachu była bez wątpienia zawodowcem, i jak się domyślam, ten mężczyzna również. – Spojrzał na Jane. – Kamizelka kevlarowa cię nie ochroni, Jane. Nie przed takim jak oni.

Jane wybuchnęła śmiechem.

– O rany, naprawdę wygraliśmy los na loterii, prawda?

– Masz córkę – przypomniał Gabriel. – Oboje mamy córkę.

Pomyśl o tym.

– O czym tu myśleć?

– Czy bostońska policja da sobie z tym radę.

– Zaczekaj, zaczekaj, czy możemy porozmawiać o tym na osobności?

Zerknęła na kolegów.

– Przepraszam – mruknęła i pchnęła wahadłowe drzwi.

Dopiero gdy znaleźli się w holu na tyle daleko, że pozostali nie mogli ich słyszeć, Jane wybuchła:

– Co ty sobie wyobrażasz? Co ty wyprawiasz?
– Staram się zachować moją żonę przy życiu.
– To mój teren i ja tu decyduję.
– Czy ty wiesz, z czym masz do czynienia?
– Zamierzam się tego dowiedzieć.
– W międzyczasie dostajesz kule i zbierasz martwe ciała.
– Tak. Robi się z tego cała kolekcja.
– Obejmująca glinę. Ingersoll wiedział, jak się bronić, a teraz leży w worku.

– Więc chcesz, żebym to zostawiła? Uciekła do domu i schowała się pod łóżkiem? – Jane prychnęła. – To się nie stanie.

– Kto sprowadza zawodowych zabójców, Jane? Każdy, kto wynajmuje płatnego zabójcę, żeby pozbyć się byłego gliniarza, nie boi się bostońskiej policji. Nie boi się ciebie. To musi być zorganizowana przestępczość. Mafia rosyjska albo chińska...

– Kevin Donohue – powiedziała.

– Mafia irlandzka?

– Już mamy na niego oko. Jeden z jego ludzi, niejaki Joey Gilmore, zginął w masakrze w Chinatown. Matka Gilmore'a wierzy, że to było morderstwo na zlecenie Donohue. Ingersoll był głównym detektywem w tej sprawie.

– Jeśli to Donohue, to jego macki sięgają bardzo daleko. Może nawet do samej policji.

Jane spojrzała na męża.

– Czy FBI może dać nam wsparcie?

– Brak dowodów, żeby to wszystko połączyć. Ale mówię ci,

Jane, to nie jest facet, z którym chciałabyś zadzierać. Jeśli ma wtyczkę w lokalnej policji, to już doskonale wie, do czego zmierzasz. Wie, że masz na niego oko.

Pomyślała o tych wszystkich policjantach, z porucznikiem Marquette'em na czele, którzy pojawili się wczoraj wieczorem w domu Ingersolla. Ilu gliniarzy ją obserwowało, pilnie notując wszystko, co powiedziała, co planowała? Jak wiele z tych informacji przeciekło do Donohue?

– Wczoraj wieczorem to było jak prezent od losu – powiedział Gabriel. – Przeżyłaś. Może powinnaś zabrać ten prezent do domu i przez chwilę po prostu się nim cieszyć?

– Rzucić tę sprawę? O to mnie prosisz?

– Weź zwolnienie. Potrzeba ci czasu, żeby dojść do siebie.

– Ani się waż. – Podeszła tak blisko, że musiała wyciągać szyję, by spojrzeć mu w oczy. Gabriel się nie cofnął. Nigdy tego nie robił. – Nie muszę tego słuchać – powiedziała. – Nie teraz.

– Więc kiedy mam to powiedzieć? Na twoim pogrzebie?

Zapadła cisza, którą przerwał dzwonek jej komórki. Sięgnęła po aparat i warknęła:

– Słucham?

– Hm, czy to zły moment, pani detektyw?

– Kto mówi?

– Erin. Z laboratorium.

Jane odetchnęła z ulgą.

– Przepraszam. O co chodzi?

– Pamięta pani te dziwne włosy z ubrania tej

niezidentyfikowanej kobiety? Te, których nie mogłam zidentyfikować?

– Tak. Te siwe.

– Już nie mogę się doczekać, kiedy pani powiem, skąd pochodzą.

Rozmowa z Gabrielem wciąż nie dawała Jane spokoju, gdy jechała z Frostem do Schroeder Plaza. Znał jej humory na tyle, żeby siedzieć cicho przez większą część drogi, ale gdy skręciła do garażu, powiedział tęsknie:

– Brak mi tego aspektu małżeństwa.

– Jakiego aspektu? – spytała.

– Tego, że masz kogoś, kto się o ciebie troszczy. Zamęcza cię, żebyś nie podejmował ryzyka.

– I to ma być dobre?

– A nie jest? To znaczy, że on cię kocha. Że nie chce cię stracić.

– To raczej znaczy, że muszę toczyć walkę na dwóch frontach. Wykonywać swoją pracę, gdy Gabriel usiłuje włożyć mi kaftan bezpieczeństwa.

– A gdyby tego nie robił? Zastanawiasz się czasem nad tym? Jak by to było, gdyby nie zależało mu tak bardzo i nic by nie mówił? Jak by to było, gdybyś nie miała męża?

Wjechała na wolne miejsce parkingowe i zgasła silnik.

– On nie chce, żebym pracowała nad tą sprawą.

– Sam nie jestem pewny, czy chcę nad nią pracować. Po tym,

przez co przeszliśmy.

Jane spojrzała na niego.

– To cię przeraża?

– Nie boję się do tego przyznać.

Usłyszeli trzask drzwi samochodu, a gdy się odwrócili, zobaczyli Tama wysiadającego z zaparkowanego kilka miejsc dalej auta.

– Założę się, że jego to nie przeraża – szepnęła. – Naszego Bruce'a Lee nic nie rusza.

– Pewnie udaje. Tylko szalenciec nie bałby się Donohue i jego chłopców.

Jane otworzyła drzwi samochodu.

– Chodźmy, zanim ktoś pomyśli, że się tu obcałowujemy albo co innego.

Kiedy dotarli do laboratorium, Tam siedział już przy mikroskopie Erin Volchko i patrzył na szkiełko.

– Jesteście wreszcie – powiedziała Erin. – Przyglądaliśmy się właśnie z panem detektywem Tamem próbkom włosów naczelných.

– Czy któryś z nich wygląda jak włos zdjęty z ubrania naszej dziewczyny? – spytała Jane.

– Tak, ale mikroskop nie wystarczy, by precyzyjnie określić gatunek. W tym celu musiałam sięgnąć po inną metodę. – Erin rozłożyła na blacie kartkę zadrukowaną kolumnami różnych odcieni szarości. – To wzorce keratynowe. Włosy składają się z różnych białek, które można oddzielić za pomocą elektroforezy. Trzeba umyć i wysuszyć próbkę, rozpuścić ją w takiej jakby

chemicznej żupie i umieścić rozpuszczone białka na cienkiej warstwie żelu. Następnie poddaje się je działaniu prądu elektrycznego. Wówczas różne białka przemieszczają się w żelu w różnym tempie.

– I otrzymujemy obraz tych szarych kolumn.

– Tak. Po barwieniu srebrem i płukaniu, by wzmocnić kontrast.

– Wcale nie wygląda ekscytująco. – Frost wzruszył ramionami.

– Ale kiedy wysłałam ten wzorzec e–mailem do Laboratorium Ekspertyz Sądowych Fauny i Flory w Oregonie, mogli go odszukać w swojej bazie danych wzorców keratynowych.

– To taka baza w ogóle istnieje? – zdziwił się Tam.

– Oczywiście. I jest coraz bogatsza dzięki naukowcom badającym faunę z całego świata. Kiedy amerykańscy celnicy przechwycają transport skór zwierzęcych, muszą wiedzieć, czy to skóry gatunków zagrożonych wyginięciem. Baza danych pomaga im określić, jakiego zwierzęcia to skóra. – Erin otworzyła teczkę i wyjęła kolejną kartkę z wzorcami keratyny.

– Oto do czego porównali nasze włosy. Zauważcie, że te pasma białek niemal idealnie pasują do jednego konkretnego gatunku.

Jane zerknęła na jedną i drugą kartkę.

– Kolumna numer cztery?

– Zgadza się.

– Więc co to za gatunek ten numer cztery?

– Tak jak przypuszczałam, to gatunek z rzędu naczelnych,

pewna małpa z rodzaju *Semnopithecus*. Ten konkretny jest znany jako hulman szary.

– Szary? – powtórzyła Jane, podnosząc wzrok.

Erin pokiwała głową.

– Tego samego koloru są włosy pochodzące z ubrania niezidentyfikowanej kobiety. Te małpy są dość duże, o czarnej twarzy i szarych bądź jasnych włosach. Zamieszkują tereny południowej Azji, od Chin aż po Indie, prowadzą zarówno nadrzewny, jak i naziemny tryb życia. – Przerwała na chwilę. – To znaczy, że mogą żyć na ziemi, ale też na drzewach. – Odwróciła się do komputera i wstukała nazwę w wyszukiwarce Google. – Oto i zdjęcie. Tak wyglądają te małpy.

To, co Jane zobaczyła na ekranie, sprawiło, że dłonie zdrętwiały jej z zimna. Czarna twarz. Siwe włosy. Poczowała ból między łopatkami, tam gdzie w kamizelkę kuloodporną trafiła kula. Przypomniała sobie ciepłą krew zalewającą jej twarz i pochyloną nad nią sylwetkę z głową otoczoną aureolą srebrzystych włosów.

– Jak duże są te małpy?

– Osobniki męskie mają około siedemdziesięciu, osiemdziesięciu centymetrów wzrostu.

– Na pewno nie zdarzają się wyższe?

– To nie są człekokształtne, tylko zwykłe małpy.

Jane spojrzała na Frosta. Zobaczyła, że ma bladą twarz i wyraz zdumienia w oczach.

– To właśnie widziałeś, prawda? – spytała. – Tam, na dachu.

Erin ściągnął brwi.

– Co pan widział?

Frost pokręcił głową.

– To było dużo wyższe niż osiemdziesiąt centymetrów.

Jane pokiwała głową.

– Zgadzam się.

Erin spoglądała to na Jane, to na Frosta.

– Oboje to widzieliście?

– Miało taką samą twarz – powiedział Frost. – I szare włosy.

Ale to nie mogła być małpa. Zresztą kto to widział: małpa z mieczem?

– No to teraz żeście mnie wystraszyli, aż ciarki przeszły mi po plecach – powiedziała cicho Erin. – Zważywszy na to, co to za małpa. W Indiach te małpy znane są również pod nazwą *Hanuman langur*. Hanuman to hinduski bóg znany jako Małpa Wojownik.

Nagle Jane odniosła wrażenie, że po karku musnął ją lodowaty oddech, a po plecach przeszły ciarki. Pomyślała o stworzeniu w zaułku. I przypomniała sobie błysk miecza, kiedy stwór odwrócił się i znikł w ciemnościach.

– Czyżby to była ta sama postać co Małpi Król? – powiedział Tam. – Bo znam tę legendę. Istnieje jej chińska wersja. Moja babcia mi o tym opowiadała.

– Kim jest Małpi Król? – zainteresowała się Jane.

– W Chinach nazywa się Sun Wukong. Narodził się ze świętej skały i na początku jest po prostu małpą z kamienia. Potem przechodzi przemianę w istotę z krwi i kości i koronują go na króla małp. Zostaje wojownikiem i odbywa podróż do

nieba, gdzie ma poznać mądrość bogów. Ale na górze pakuje się w różne tarapaty.

– Więc to jest czarny charakter? – spytał Frost.

– Nie, nie jest zły, tylko impulsywny i psotny, jak prawdziwe małpy. Jest taki zbiór opowiadań na jego temat. W jednym zjada wszystkie brzoskwinie z niebiańskiego sadu, potem upija się i wykrada magiczny eliksir. Wreszcie wdaje się w awanturę z Nieśmiertelnymi, którzy nie wiedzą, jak sobie z nim poradzić, więc wyrzucają go z nieba i tymczasowo zamykają w górskim więzieniu.

Frost się zaśmiał.

– To mi przypomina kilku chłopaków, z którymi chodziłem do szkoły.

– A co się z nim dzieje potem? – spytała Jane.

– Sun Wukong ma liczne przygody na ziemi. Czasem sprawia kłopoty. Czasem robi dobre uczynki. Nie pamiętam wszystkich historii, ale wiem, że było tam sporo magicznych walk, rzecznych potworów i gadających zwierząt. Tak jak w typowych zachodnich bajkach.

– Bajki nie ozywają – zauważyła Jane. – Nie spadają z nich prawdziwe włosy na prawdziwe ofiary.

– Opowiadam tylko, co mówią na ten temat legendy. To skomplikowana istota, czasem pomocna, czasem destruktywna. Ale gdy Małpi Król musi wybrać między dobrem a złem, prawie zawsze postępuje jak należy.

Jane wpatrywała się w zdjęcie na ekranie komputera Erin. W twarz, która niedawno zmroziła jej krew w żyłach.

- A więc wcale nie jest zły – powiedziała.
- Nie – odparł Tam. – Mimo jego wad i chaosu, który czasem powoduje, Małpi Król stoi po stronie sprawiedliwości.

Rozdział dwudziesty

W kuchni Angeli Rizzoli unosił się zapach pieczonego kurczaka i rozmarynu, a z jadalni, gdzie emerytowany detektyw Vince Korsak nakrywał do stołu, dobiegał brzęk porcelany i srebrnych sztućców. Na podwórku córka Jane, Regina, śmiała się i piszczała huśtana przez Gabriela. Ale pochłonięta lekturą Jane nie zwracała na to uwagi. Siedziała na sofie, a przed nią na stoliku piętrzyło się z pół tuzina wypożyczonych z biblioteki książek. Były to lektury o zamieszkujących Azję ssakach z rzędu naczelnych i o szarych hulmanach. A także książki o Małpim Królu Sun Wukongu. Jane odkryła, że przygody Sun Wukonga zostały opisane nie tylko w książkach, ale stanowią również kanwę filmów chińskich oper, tańców, a nawet telewizyjnego programu dla dzieci.

W jednym ze zbiorów chińskich podań ludowych Jane znalazła wprowadzenie do tej legendy. Choć te opowieści zostały spisane w XVI wieku przez pewnego chińskiego pisarza o imieniu Wu Cheng'en, same historie były dużo starsze i, jak powiadają, pochodziły z dawnych czasów pełnych duchów i magii, kiedy to bogowie i potwory walczyły ze sobą zarówno w niebie, jak i na ziemi.

Od powstania świata minęło już bardzo dużo lat i przez ten czas gład znajdował się pod ciągłym wpływem oddziaływania dobroczynnej energii nieba

i ziemi; spowity promieniami słońca, skąpany w poświacie księżycy, wypełniał się substancją duchową, aż w końcu w jakiś cudowny sposób zrodziło się w nim życie. Pewnego dnia gład rozpadł się, odsłaniając w swym wnętrzu kamienne jajo w kształcie olbrzymiej piłki. Pod działaniem wiatru jajo z czasem przemieniło się w kamienną małpę. Miała ona wszystko, co potrzeba, i organy pięciu zmysłów, i cztery kończyny (...) a dwa złociste promienie z jej oczu świeciły takim blaskiem, że nawet Nefrytowy Cesarz został nimi porażony.

...Małpa z kamienia, nieposiadająca ani ojca, ani matki, wkrótce została królem wszystkich małp. Żyły one w idealnej harmonii aż do czasu, gdy pewnego dnia Małpi Król zrozumiał, że wszystkich ich czeka śmierć. Wyruszył zatem w podróż, by osiąść tajemnicę nieśmiertelności, a wędrówka ta zawiodła go do niebios i na pokuszenie, ku psotom i uwięzieniu. Gdy szedł na własną egzekucję, a miał zostać spalony w tyglu w alchemicznym płomieniu, zdołał się uwolnić i uciec, a jego walka o przetrwanie doprowadziła do sporego zamieszania w niebiosach, bogowie zostali zmuszeni zamknąć go we wnętrzu Góry Pięciu Elementów. Uwięziony w ciemnościach pośród skał czeka całe wieki, aż będzie potrzebny. Czeka na dzień, w którym na świecie zapanuje zło, i

Małpi Król będzie musiał znów się wyłonić, by poprowadzić przeciw niemu walkę.

Jane odwróciła stronę i spojrzała prosto w oczy Sun Wukonga kurczowo ściskającego kij do walki. Choć była to tylko ilustracja, na widok Małpiego Króla przeszedł ją dreszcz, a włoski na jej ramionach się zjeżyły. Wpatrywała się w ostre, szczerzące się w czarnym pysku zęby, aureolę srebrnych włosów i nie mogła oderwać wzroku.

Przypomniała sobie pewne popołudnie w zoo, kiedy miała jakieś sześć lat, a ojciec podnosił ją do góry, żeby mogła zobaczyć małpy czepiaki. Ledwo ją zobaczyły, a już w całej klatce zapanował potworny chaos. Małpy z wrzaskiem przeskakiwały z gałęzi na gałąź, jakby zobaczyły diabła. Szybko przybiegł jakiś pracownik zoo i zaczął krzyczeć: „Cofnąć się, cofnąć! Nie wiem, co je tak wystraszyło!”. Ale kiedy ojciec z małą Jane na rękach wycofywał się z pola widzenia małp, wiedziała, co sprawiło, że małpy zaczęły się tak zachowywać. To ona wystraszyła małpy. Zastanawiała się, co takiego mogły zobaczyć? Była przecież tylko sześciolletnią dziewczynką z kręconymi ciemnymi włosami. A może dostrzegły w niej coś jeszcze? Coś związanego z tym, kim miała zostać w przyszłości?

– I jak ci idzie z tymi książkami o małpach?

Głos Korsaka wyrwał ją z zamyślenia. Zaskoczona podniosła wzrok. Vince Korsak miał na sobie swój najlepszy niedzielny strój, a w każdym razie najlepsze ubrania, jakie mógł włożyć na

wydawany przez Angelę Rizzoli obiad. Przynajmniej na jego białej koszulce polo i bawełnianych dockersach nie było plam po keczupie. Po zawale, który przeszedł kilka lat temu, zrzucił kilkanaście kilo, będąc na specjalnej diecie dla sercowców, ale jego waga znów powoli rosła i mimo nowej dziurki w pasku wciąż powiększający się brzuch nie mieścił się w spodniach.

– To do nowej sprawy — odrzekła Jane. Zamknęła książkę, z ulgą pozbywając się z pola widzenia wizerunku Sun Wukonga.

– Tak. Sporo o tym słyszałem. Wpakowałaś się w kolejną cudaczną historię. Zaczęło się od tej nieboszczki na dachu, prawda? Gdy o tym słyszę, od razu bierze mnie ochota, żeby znów znaleźć się w siodle.

Jane zerknęła na jego brzuch i pomyślała: Boże, miej w opiece konia, którego dosiądzie Korsak.

Emerytowany detektyw opadł ciężko na fotel – ten sam, na którym zwykł siadać jej ojciec. Dziwnie było go widzieć rozwalonego na dawnej grzędzie Franka Rizzoliego, ale ojciec Jane stracił wszelkie prawa do tego fotela w dniu, w którym opuścił Angelę i zamieszkał z Lalunią. Bo tak ją teraz nazywali, choć bardzo dobrze znali jej prawdziwie imię. Sandie Huffington, Sandie z „e” na końcu. Jane wiedziała wszystko na temat Laluni, łącznie z liczbą mandatów, które zebrała w ciągu ostatnich dziesięciu lat. A było ich trzy. To właśnie za sprawą Laluni Vince Korsak siedział teraz w tym fotelu, gruby i szczęśliwy na wikcie Angeli.

Jane wołała nie myśleć o innych rzeczach, które robiła Angela, a które uszczęśliwiały Vince'a Korsaka.

– Chinatown – mruknął Korsak. – Dziwne miejsce. Dobra kuchnia.

Nie byłby sobą, gdyby nie wspomniał o jedzeniu.

– Co pamiętasz na temat tamtej strzelaniny w Czerwonym Feniksie? – spytała. – Musiałeś słyszeć jakieś plotki.

– To był skandal, okropna historia. No bo dlaczego ktoś, kto ma śliczną małą córeczkę, miałby zastrzelić czworo ludzi i strzelić sobie w łeb? Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć. – Pokręcił głową. – I to taka słodka dziewczynka. Prawdziwe oczko w głowie tatusia.

To ją zaskoczyło.

– Znałeś rodzinę kucharza?

– Nie bardzo. Ale często tam jadałem. Ci Chińczycy nie potrafią zrobić sobie dnia wolnego od pracy, więc ta knajpa zawsze była otwarta, bez względu na porę. Gdy człowiek kończył późno zmianę, mógł tam zjeść kolację. Kiedyś byłem tam o dwudziestej drugiej, w niedzielę, a ta mała dziewczynka przyniosła mi ciasteczka z wróżbami. To w zasadzie kwalifikowało się jako wykorzystywanie dziecka do pracy, ale ona wyglądała na bardzo zadowoloną, bo mogła kręcić się w pobliżu taty.

– Jesteś pewny, że to była córka kucharza? Musiała być bardzo mała.

– Wyglądała na bardzo małą. Miała może pięć lat. Słodka jak cukierek. – Westchnął ciężko. – Nie mogę uwierzyć, żeby ojciec mógł zrobić coś takiego, zostawić żonę i dziecko. Nie wspominając o innych rodzinach, którym zmarnował życie.

Córka jednej z ofiar została porwana kilka tygodni później.

– Charlotte Dion.

– Tak się nazywała? Pamiętam, że to było jak grecka tragedia.

Jedno nieszczęście pociągało za sobą kolejne.

– Wiesz, co jest w tym najdziwniejsze? – spytała Jane. – Dwa lata wcześniej zaginęła córka innej ofiary tej masakry. Zniknęła w drodze ze szkoły do domu.

– No coś ty? O tym nie wiedziałem. – Korsak się zamyślił. – To podejrzane. Naprawdę można się zastanawiać, czy to aby tylko zbieg okoliczności.

– Jedną z ostatnich rzeczy, które detektyw Ingersoll powiedział mi przez telefon, było coś na temat dziewczynek. „Chodzi o to, co stało się z tamtymi dziewczynkami”. Tak powiedział.

– Z tamtymi dwiema dziewczynkami? Czy tamtymi innymi dziewczynkami?

– Nie wiem.

Korsak znów pokręcił głową.

– Minęło tyle lat, a my wciąż o nich myślimy. Dziwnie to sobie uświadomić, ale teraz zostały po nich pewnie same kości.

– Zamilkł na chwilę. – Lecz dziś wieczorem wolę o tym nie myśleć. Napijmy się wina.

– Myślałam, że jesteś piwoszem.

– Twoja mama mnie nawróciła. Starym serduszkom lepiej robi winko, wiesz, jak to jest. – Z niejakim trudem podźwignął się z fotela. – Czas porozmawiać na weselsze tematy, zgadzasz się?

Byłe nie o nieboszczykach, pomyślała Jane. Strzelaninach, w których ginie wielu niewinnych ludzi, i porwanych dziewczynkach. Ale kiedy do domu wszedł Gabriel, trzymając Reginę za filigranową rączkę, Jane nie mogła przestać myśleć o Charlotte Dion i Laurze Fang. Pomogła mamie nosić półmiski do jadalni. Był to długi ciąg następujących po sobie coraz to bardziej zachwycających dań. Chrupiące pieczone ziemniaki. Zielona fasolka skropiona oliwą z oliwek. I wreszcie dwa wspaniałe pieczone kurczaki, które rozsiewały aromat rozmarynu. Ale nawet gdy zasiedli do stołu i zawiązała Reginie śliniak, a następnie pokroiła jej mięso na odpowiedniej wielkości kawałki, Jane wciąż rozmyślała o zaginionych dziewczynkach i zdruzgotanych rodzicach. Jak matka może żyć po takiej tragedii? Zastanawiała się, czy Iris Fang kiedykolwiek rozważała możliwość zakończenia swoich cierpień. Skok z dachu, garść tabletek nasennych. O ileż to łatwiejsze niż życie wypełnione żalem i rozpaczą, dzień po dniu, usychając z tęsknoty za bliskimi, których już nigdy nie zobaczy.

– Coś nie tak z twoim jedzeniem, Janie? – spytała Angela.

Jane spojrzała na matkę, która miała pewną niesamowitą zdolność: zawsze doskonale wiedziała, co trafiło przed chwilą do ust każdego z biesiadników siedzących przy jej stole.

– Jest cudowne, mamuś. Dziś przeszłaś samą siebie.

– To dlaczego nie jesz?

– Jem.

– Zjadłaś kęs kurczaka, a potem zaczęłaś grzebać w talerzu.

Mam nadzieję, że nie jesteś na diecie, bo ty, kochanie,

naprawdę nie masz się z czego odchudzać.

– Nie jestem na diecie.

– Te wszystkie dziewczęta, one zawsze są na diecie. Głodzą się sałatami, i po co to wszystko?

– Na pewno nie robią tego dla mężczyzn – wymamrotał Korsak z ustami pełnymi ziemniaków. – Chłopaki lubią ciało. – Puścił oko do Angeli. – Weź na przykład twoją mamę. Zbudowana jak przystało na kobietę.

Jane nie mogła oczywiście zobaczyć, co dzieje się pod stołem, ale zauważyła, że jej matka nagle podskoczyła na krześle, po czym wybuchła śmiechem.

– Vincencie! Zachowuj się.

Proszę, zachowuj się, bo nie mogę już na to patrzeć, pomyślała Jane.

– Wiesz – powiedział Korsak, krojąc kurczaka – to dobry moment, żeby porozmawiać... no... wiesz o czym.

Nigdy jeszcze trzy słowa nie zabrzmiały tak złowieszczo. Jane gwałtownie uniosła głowę i spojrzała na matkę.

– „Wiesz o czym”? Co to ma znaczyć?

– Chodzi o coś, o czym rozmawialiśmy już od dłuższego czasu – powiedziała Angela. – To znaczy ja i Vince.

Jane zerknęła na męża, ale jak zwykle Gabriel zrobił tę swoją minę agenta FBI, z której nic nie można było wyczytać, choć zapewne domyślał się, dokąd zmierza rozmowa.

– Cóż, wiesz przecież, że Vince i ja spotykamy się już od dłuższego czasu – zaczęła Angela.

– Od dłuższego czasu? Ile to będzie? Zaledwie półtora roku,

tak?

– To mnóstwo czasu, żeby kogoś poznać, Janie. Przekonać się, że to ktoś o dobrym sercu. – Angela posłała Korsakowi promienny uśmiech i oboje nachylili się do siebie, cmokając się w usta.

– Z tatą spotykałaś się przez całe trzy lata – zauważyła Jane. – I zobacz, dokąd was to zaprowadziło.

– Kiedy spotkałam twojego ojca, miałam piętnaście lat. Był dopiero moim drugim chłopcem.

– Już jako piętnastolatka miałaś chłopca?

– Chodzi o to, że byłam jeszcze dzieckiem i nie wiedziałam, co świat może mi dać. Za wcześnie wyszłam za mąż i za wcześnie miałam dzieci. Dopiero teraz wiem, czego chcę.

Jane spojrzała na Korsaka i pomyślała: chyba nie masz na myśli jego?

– Dlatego chcieliśmy, żebyście przyszli dziś na obiad, kochani. Ty i Gabriel dowiecie się jako pierwsi. Nie powiedziałam jeszcze Frankiemu ani Mike'owi bo... no wiesz... jacy oni są. Nadal przywiązani do taty i tak dalej, choć on przecież sypia z tą Lalunią. – Angela przerwała, żeby zaczerpnąć tchu i nieco się uspokoić. Sama wzmianka o Laluni sprawiała, że jej głos wznosił się o pół oktawy. – Twoi bracia tego nie rozumieją. Ale ty jesteś moją córką i wiesz, z czym kobieta musi się borykać na tym świecie. Wiesz, jakie wszystko jest niesprawiedliwe.

– Mamuś, nie ma powodu tak się spieszyć.

– Och, my się wcale nie spieszymy. Zamierzamy zaręczyć się

na długo przedtem i wszystko zorganizować jak należy. Zamówimy zaproszenia w drukarni. Wynajmiemy dużą salę na przyjęcie i zamówimy catering. I możemy wybrać się razem na zakupy, Janie, po sukienki! To dopiero będzie frajda, tylko ty i ja! Myślałam o kolorze brzoskwiniowym albo lawendowym, bo przecież nie jestem... no wiesz.

Jane zerknęła na Korsaka, żeby sprawdzić, jak reaguje na tę jakże kobiecą listę rzeczy do zrobienia. Ale on tylko szczerzył zęby niczym szczęśliwy marynarz.

– Tym razem zamierzam wszystko zrobić powoli i cieszyć się każdą minutą mojego ślubu – mówiła Angela. – I dzięki temu twoi bracia zdążą się przyzwyczaić do tej sytuacji.

– A co z tatą?

– A co ma być?

– Jak on się do tego przyzwyczai?

– A to już jego problem. – Oczy Angeli posmutniały. – Oby tylko pierwszy nie wyskoczył do ołtarza. Och, na ile go znam, jest do tego zdolny. Szybko ożeni się z Lalunią tylko po to, żeby mnie zdenerwować. – Spojrzała na Korsaka. – Gdy się tak nad tym zastanawiam, to myślę, że może powinniśmy wybrać wcześniejszy termin.

– Och nie! Mamusiu, posłuchaj, zapomnij, że w ogóle wspomniałam o tacie.

– Chciałabym w ogóle o nim zapomnieć. Raz na zawsze. Ale on zawsze gdzieś tam będzie tkwił jak drzazga w stopie. Nie sposób się jej pozbyć i nie sposób udawać, że jej nie ma. Po prostu wciąż mnie kłuje. Mam nadzieję, Janie, że ty nigdy nie

dowiesz się, jakie to uczucie. – Zamilkła i spojrzała na Gabriela. – Oczywiście, że się nie dowiesz. Masz takiego dobrego męża.

Dobrego męża, który równocześnie jest irytującym gliniarzem.

Gabriel roztropnie nie wtrącał się do rozmowy, zajęty nakłanianiem Reginy, by wzięła do buzi malutki kawałek ziemniaka.

– A więc już znacie wielką nowinę – powiedział Korsak, biorąc kieliszek wina. – Wznoszę toast za rodzinę!

– No dalej, Jane! Gabrielu! – ponaglała Angela. – Wznieśmy toast!

Jane ze stoickim spokojem podniosła kieliszek i mruknęła:

– Za rodzinę.

– Pomyśl tylko – Korsak poklepał ją serdecznie po ramieniu – teraz możesz mówić do mnie tato.

– To nie jest tak, że zupełnie się tego nie spodziewałaś – powiedział Gabriel, kiedy wracali do domu z Reginą śpiącą na tylnym siedzeniu. – Byli dwójką samotnych ludzi, a zobacz, jacy są teraz szczęśliwi. To doskonale dobrana para.

– Tak. Ona gotuje. On je.

– Mogło być dużo gorzej.

– Oboje zostali porzuceni. Za wcześnie dla nich na małżeństwo.

– Życie jest krótkie, Jane. Powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż

ktokolwiek inny. Może zgasnąć w jednej chwili. Wystarczy oblodzona nawierzchnia, pijany kierowca.

Albo kula w ciemnym zaułku, pomyślała. Tak, wiedziała o tym, bo nazbyt często widywała, jak czyjeś życie nagle się kończy. Widziała, jak śmierć niczym kamień rzucony do wody wywołuje fale, które długo odbijają się w życiu tych, którzy zostali. Pamiętała wyniszczoną twarz matki Joeya Gilmore'a i żal, przez który smutniały oczy Patricka Diona, gdy mówił o swojej córce Charlotte. Nawet dziewiętnaście lat później te fale wciąż obijały się o tych, którzy przeżyli.

– Boję się oznajmić taką nowinę moim braciom – westchnęła.

– Myślisz, że nie przyjmą tego dobrze?

– Frankie zrobi awanturę. Nie cierpi samej myśli, że mamuś mogłaby z innym mężczyzną, no wiesz...

– Spać?

Jane się skrzywiła.

– Przyznaję, mnie też to napędza stracha. Lubię Korsaka. Jest przyzwoitym człowiekiem i będzie ją dobrze traktował. Ale, na litość boską, to moja mama.

Gabriel się zaśmiał.

– Jednak twoja mama nadal jest kobietą. Musisz się z tym pogodzić. Zadzwoń po prostu do Frankiego i miej to za sobą.

Ale gdy wrócili do domu, Jane odłożyła tę sprawę na później, po czym unikała telefonu jak ognia. Nastawiła wodę na herbatę i usiadła przy kuchennym stole, żeby raz jeszcze przejrzeć wypożyczone książki. Małpi Król znów zerkał na nią z ilustracji, wywijając kijem, który dzierżył w łapach. Podobizna

była tak przerażająca, że Jane z niechęcią dotknęła rogu kartki, by ją przewrócić.

Rozdział dziewiąty. Opowieść o Chen O

Wspaniałe miasto Ch 'ang–an od dawna było stolicą całych Chin. W tym czasie na tronie zasiadał Tai Tsing z dynastii Tang. W całym kraju panował pokój.

Był to rozbrajająco przyjemny wstęp do opowieści o prawym i wykształconym młodzieńcu o imieniu Chen O. Poślubiwszy dziewczę niezwyklej urody, Chen O został mianowany gubernatorem pewnej odległej prowincji. Wraz ze swą brzemienną małżonką i sługami podróżował przez porośnięte bujną roślinnością tereny do wyznaczonej mu prowincji. Gdy jednak dotarli do przeprawy rzecznej, czarująca bajka nagle zamieniała się w krwawą jatkę, na podróżników bowiem napadli bandyci. Koniec końców z sielankowej baśni zrobiła się opowieść pełna krzyków, przerażenia i zmasakrowanych ciał, które wpadały do wartkiej rzeki. Tej nocy tylko jedna osoba nie została poćwiartowana: brzemienna żona, którą zbójcy uprowadzili z powodu jej olśniewającej urody i która w niewoli oczekiwała narodzin swego nieszczęsnego dziecka.

Gwizd czajnika przerwał lekturę Jane. Kiedy podniosła wzrok znad książki, zobaczyła, że Gabriel gasi ogień i nalewa wrzątek do imbryka. Nie słyszała nawet, kiedy wszedł do kuchni.

– Ciekawa lektura? – spytał.

– Jezu, co za pokręcona historia. – Wzdrygnęła się. – Na

pewno nie czytałabym takich bajek mojemu dziecku. O, na przykład ta *Opowieść o Chen O*. O jatce przy przeprawie przez rzekę. Jedyłą ocalałą osobą jest kobieta w ciąży, którą porywają rozbójnicy.

Gabriel postawił na stole imbryk i usiadł naprzeciwko Jane. Przez cały wieczór był opanowany i dopiero teraz Jane zauważyła tę charakterystyczną bruzdę między jego brwiami. Delikatną oznakę marszczenia brwi, którą teraz w jasnym kuchennym świetle widziała wyraźnie.

– Wiem, że nie mogę sprawić, byś zmieniła zdanie na temat tego śledztwa – zaczął. – Chciałbym tylko raz jeszcze wyrazić moje obawy.

Jane westchnęła.

– Przyjmuję do wiadomości.

– Jane, nie mogę przestać o tym myśleć. Jak ty wyglądałaś tamtej nocy, kiedy wróciłaś do domu. W szoku. Cała we krwi. Nie widziałem, żebyś tak się trzęsła, odkąd...

Nie wypowiedział tego imienia, ale oboje wiedzieli, że mówi o potworze, który ich połączył. Mężczyźnie, który pocałował jej rękę, którego krwawe odciski palców nadal prześladowały ją w sennych koszmarach.

– Pamiętasz, czym zarabiam na życie? – spytała.

Pokiwał głową.

– I wiedziałem, że nadejdą takie dni jak te. Ale nie spodziewałem się, że tak trudno będzie z tym żyć.

– Czy czasem tego żałujesz? – spytała cicho.

– Że ożeniłem się z gliną?

– Że ożeniłeś się ze mną.

– Cóż. – Pocierając policzek, mruknął z przesadą: – Hm, niech się zastanowię.

– Gabrielu!

Odwrócił się do telefonu, który w tym momencie zadzwonił, przerywając ich rozmowę.

– Dlaczego zadajesz takie pytanie? – spytał, przechodząc przez kuchnię, żeby odebrać. – Niczego nie żałuję. Mówię tylko, że nie podoba mi się to, co się dzieje i z czym walczysz.

– Mnie też się to nie podoba – powiedziała Jane i zerknęła jeszcze raz na książkę. Na opowieść o Chen O. Podobnie jak sprawa Czerwonego Feniksa była to historia rzezi. I uprowadzonej kobiety, pomyślała, przypominając sobie Charlotte Dion.

– Jane, to do ciebie. – Gabriel stał z telefonem w ręku i niepokojem w oczach. – Nie chciał się przedstawić.

Jane wzięła telefon.

– Detektyw Jane Rizzoli, słucham?

– Wiem, że pani o mnie rozpytywała, więc postanowiłem skrócić te zabawy i przejść do sedna. Porozmawiajmy, ale nie przez telefon. Jutro o szesnastej u mnie w domu. Tylko pani i nikt więcej. A mężowi może pani powiedzieć, że nie ma się czym martwić.

– Kto mówi? – spytała.

– Kevin Donohue.

Spojrzała gwałtownie na Gabriela. Ledwie zdołała zapanować nad głosem, kiedy zadawała kolejne pytanie:

- O co chodzi, panie Donohue?
- O Czerwonego Feniksa. Pani śledztwo schodzi na niewłaściwe tory. Myślę, że czas wyjaśnić sobie kilka spraw.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Chociaż zarówno Frost, jak i Tam obserwowali ją z zaparkowanych samochodów, Jane czuła się nieswojo, gdy samotnie stała przed bramą domu Kevina Donohue i naciskała dzwonek. Chwilę później dwóch napakowanych facetów ruszyło w jej stronę sprężystym krokiem, a każdy z nich paradował z rzucającym się w oczy wybrzuszeniem pod kurtką – nieomylnym znakiem noszonej przy pasku broni. Nie zadali jej żadnych pytań, wpuścili tylko przez bramę, którą natychmiast zamknęli. Przechodząc pod łukiem bramy, zauważyła zamontowaną u góry kamerę. Każdy jej ruch był obserwowany.

Kiedy szła za mężczyznami, jej uwagę zwrócił brak drzew i krzewów. Jediną wątpliwą ozdobę posiadłości stanowił duży trawnik i wybetonowany podjazd, wzdłuż którego stały brzydkie latarnie, na nich zaś zamontowano jeszcze więcej kamer, co stanowiło niezbity dowód, że pozycja księcia irlandzkiej mafii ma swoje minusy. W takiej sytuacji trzeba bez przerwy oglądać się za siebie, bo wiadomo, że zawsze znajdzie się jakaś kula, na której wypisano twoje imię.

Donohue miał bardzo przeciętny gust, co przy całym jego bogactwie i zamożności było wręcz przygnębiające, a stało się bardzo widoczne, gdy tylko Jane przekroczyła próg tego domu i zobaczyła na ścianach nijakie obrazy w pastelowych kolorach.

Wyglądały jak pejzaże produkowane taśmowo i sprzedawane w każdym lokalnym centrum handlowym. Pod eskortą mięśniaków Jane weszła do salonu, w którym nadęty, potężny jak ropucha mężczyzna siedział w przepastnym fotelu. Miał koło sześćdziesiątki, był gładko ogolony i łysiejący, spod ciężkich powiek lypały niebieskie oczy. Prezentacja nie była potrzebna. Jane nie miała wątpliwości, że ten osobnik wyglądający jak Jabba z *Gwiezdnych wojen* to Kevin Donohue, znany z ogromnego apetytu i równie niepohamowanego temperamentu.

– Sprawdź ją, Sean – nakazał czyjś głos. Jane nie zauważyła, że w pokoju był jeszcze jeden mężczyzna, chudy gość w garniturze sprawiający wrażenie nerwowego.

Jeden z mięśniaków podszedł do niej ze skanerem częstotliwości radiowych w rękę i Jane natychmiast zareagowała:

– Co to, do diabła, ma znaczyć?

– Jestem adwokatem pana Donohue – wyjaśnił chudzielec. – Zanim pan Donohue będzie mógł z panią porozmawiać, musimy się upewnić, że nie ma pani na sobie żadnych pluskiew. I proszę nam oddać swój telefon komórkowy.

– Tego nie było w umowie.

– Pani detektyw – zadudnił donośny głos Donohue – otrzymała pani przywilej zatrzymania broni, ponieważ zjawiała się tu pani dobrowolnie. Ale nie życzę sobie żadnych nagrań tej rozmowy. Jeśli obawia się pani o swoje bezpieczeństwo, jestem pewny, że pani współnicy, którzy siedzą w samochodach przed

domem, zjawią się w te pędy, gdy coś ich zaniepokoi.

Przez chwilę Jane i Donohue uważnie się sobie przyglądali w końcu Jane oddała telefon adwokatowi i stanęła bez ruchu, pozwalając, by ochroniarz sprawdził ją skanerem. Dopiero gdy Sean oświadczył, że jest czysta, Donohue ruchem ręki zaprosił ją, by usiadła na sofie. Mimo to Jane wybrała fotel. Woląла być na tym samym poziomie co jej rozmówca.

– Dużo o pani słyszałem, pani detektyw – zagaił Donohue.

– Ja o panu również.

Donohue się zaśmiał.

– Widzę, że plotki są prawdziwe.

– Plotki?

Złożył ręce na opasłym brzuchu.

– Detektyw Rizzoli, mądrała o ostrym języku, zaciekle jak cholerny buldog.

– Uznaję to za komplement.

– I dlatego mówię, że trzeba powęszyć gdzie indziej. Traci pani na mnie czas.

– Doprawdy?

– Zadaje pani mnóstwo pytań na mój temat. Podobnie jak pani mąż. O tak, wiem wszystko o pani mężu. Pan Gabriel Dean, agent specjalny. Dobrana z was para organów ochrony porządku publicznego. Nie boję się, że coś na mnie znajdziecie, co to, to nie. Ale te wszystkie pytania, ten szum wokół mnie, to może osłabić moją pozycję w oczach rywali. Mogą pomyśleć, że zbliża się koniec, że łatwo mnie obalić. A jeśli będę wyglądał na słabego, to sępy zaraz się zlecą. – Pochylił się do

przodu, jego opasły brzuch jeszcze bardziej wylał się zza paska.

– Niczego nie znajdziecie, jasne? Niczego, co mogłoby mnie powiązać z Czerwonym Feniksem.

– A Joey Gilmore?

Donohue westchnął.

– Rozmawiała pani z tą staruchą, jego matką?

– Mówi, że dziewiętnaście lat temu pokłócił się pan z nim.

– Nic wielkiego. Taka tam niewarta kulki błahostka.

– Jaka błahostka, skoro teraz sprowadza pan ludzi z zewnątrz, żeby po tym posprząтали.

– Co takiego?

Jane zerknęła na ochroniarzy Donohue.

– Sięgnę teraz do kieszeni po zdjęcia, dobrze? Nie panikujcie, chłopaki. – Wyjęła dwa zdjęcia z prosektorium, położyła je na stoliku i popchnęła w stronę Donohue. – Tyle że pańska wynajęta pomoc nie potrafi utrzymać prosto głowy.

Donohue gapił się na zdjęcia. Spośród wszystkich, które mogła przynieść, wybrała dwa najbardziej groteskowe. Ziejąca pustką otchłań poderżniętego gardła niezidentyfikowanej kobiety. Odcięta głowa niezidentyfikowanego mężczyzny leżąca obok jego ciała na stole sekcyjnym. Zdjęcia odniosły pożądany skutek. Twarz Donohue przybrała trupio błądy odcień.

– Dlaczego, do cholery, mi to pani pokazuje? – zdenerwował się.

– Dlaczego wynajął pan tych płatnych morderców?

– Rozmowa dobiegła końca – wtrącił prawnik. – Sean, Colin,

proszę wyprowadzić panią detektyw z domu.

– Zamknij się – warknął Donohue.

– Panie Donohue, nie leży w pańskim interesie... – zaczął prawnik.

– Odpowiem na jej pytanie, jasne? – Donohue spojrzał na Jane. – Nie wynająłem ich. Nie wiem nawet, kim jest ta kobieta. – Zerknął na zdjęcie z zainteresowaniem, tym razem koncentrując się najwyraźniej na innych szczegółach, i mruknął: – Niezła dziewczyna. Co za strata.

– A mężczyzna? Rozpoznaje go pan?

– Być może. Wygląda znajomo. Co powiesz, Sean?

Sean rzucił okiem na fotografię.

– Chyba go widziałem. Kręcił się po okolicy. Nie wiem, jak się nazywa, ale to miejscowy chłopak. Ukrainiec albo Rosjanin. Donohue pokręcił głową.

– Z tymi chłopakami zawsze jest utrapienie. Zupełnie brak im świadomości moralnej. Mówię pani, ten facet nigdy dla mnie nie pracował. – Spojrzał na Jane. – I już nie popracuje.

– Dlaczego panu nie wierzę? – spytała.

– Bo już pani zdecydowała, że jestem winny. Nawet gdybym przysiągł na Biblię mojej matki, że nie wynająłem tej pary. – Po początkowym szoku wywołanym zdjęciami z prosektorium wróciły mu rumieńce i tupet. – Więc może da pani spokój.

– Czy pan mi grozi, panie Donohue?

– Sprytna z pani dziewczyna. Jak pani sądzi?

– Myślę, że jest pan wystraszony. Chyba wie pan, że jest osaczony.

– Przez panią? – Zaśmiał się. – Pani jest ostatnim z moich zmartwień.

– Nazwał mnie pan buldogiem, prawda? Cóż, zamierzam nadal węszyć w pana ogródku, bo tam właśnie znajdę kości Joeya Gilmore'a.

– Niechże pani da spokój. Kucharz zabił tych ludzi i pociągnął za cyngiel. Wszyscy wiedzą, że to było samobójstwo, ale ta starucha matka Joeya, nie może się z tym pogodzić. Dlatego wysyła mi te cholerne liściki.

Jane zamarła.

– Dostał pan list?

– Kilka tygodni temu dostałem kopię nekrologu Joeya. I jakąś głupią wiadomość, którą wypisała na odwrocie: *Wiem, co naprawdę się wydarzyło*. Co to ma, do cholery, znaczyć?

– Jeśli prowadzi pani dochodzenie z powodu pani Gilmore – odezwał się adwokat – to szkoda czasu.

– Skąd pan wie, że te listy wysyła pani Gilmore? – spytała Jane. – Czy podpisała się pod listem? Czy na kopercie był adres nadawcy?

Adwokat ściągnął brwi. Nagle dotarł do niego sens słów Jane.

– Listy, w liczbie mnogiej? To znaczy, że jest ich więcej?

– Tak, były inne listy. Wysyłane do członków rodzin ofiar Czerwonego Feniksa. Podobne do tego, który otrzymał pan Donohue.

Adwokat był zmieszany.

– To nie ma sensu. Dlaczego pani Gilmore miałyby nękać innych takimi listami?

– Być może to nie ona je wysyła – odparła Jane.

Adwokat i Donohue spojrzeli po sobie.

– Musimy to przemyśleć – powiedział adwokat. –

Najwyraźniej chodzi tu o coś innego. Skoro nie stoi za tym
Mary Gilmore...

– To chcę się dowiedzieć, kto to, u diabła, robi – powiedział
Donohue, zaciskając pulchne pięści.

Rozdział dwudziesty drugi

Maura obudziła się o świcie i była szczęśliwa, że świeci słońce. Przygotuje naleśniki i kielbaski dla chłopca, a potem wyruszą na wycieczkę po Bostonie. Pierwszy punkt programu to Szlak Wolności i historyczna dzielnica North End, a potem zrobią sobie piknik i pobiegają z psem po rezerwacie Blue Hills. Zaplanowała dzień wypełniony tyloma atrakcjami, żeby nie było czasu na chwile niezręcznej ciszy, przypominające im obojgu, że nadal są dla siebie obcymi ludźmi. Sześć miesięcy temu w górach w Wyoming powierzyła Szczurkowi, czyli Julianowi Perkinsowi, swoje życie. Teraz musiała przyznać, że ten wielgachny nastolatek o ogromnych stopach nadal pozostaje dla niej tajemnicą. Zastanawiała się, czy on podobnie myśli na jej temat. Czy martwi się, że Maura go porzuci, tak jak wszyscy dotąd w jego życiu?

Włożyła dżinsy i podkoszulek, strój odpowiedni do zabaw z psem. Pomyślała o kanapkach z kurczakiem i awokado, które zamierzała przygotować, i zaczęła się zastanawiać, czy Szczurek lubi awokado. Czy w ogóle kiedykolwiek spróbował awokado albo kiełków lucerny lub estragonu? Tak mało o nim wiem, pomyślała. A jednak jest tutaj, stanowi część mojego życia.

Zeszła na dół i zauważyła, że drzwi do jego sypialni są otwarte.

– Szczurku? – spytała.

Zajrzała do środka. Pokój był pusty.

Zastała go w kuchni siedzącego przy laptopie, który zostawiła poprzedniej nocy. Pies leżał u jego stóp i na widok Maury jego uszy radośnie się uniosły, jakby nareszcie zjawił się ktoś, kto poświęci mu uwagę. Zajrzała Szczurkowi przez ramię i przeżyła szok, widząc na ekranie zdjęcia z sekcji zwłok.

– Nie patrz na to – powiedziała. – Zeszłej nocy powinnam była to wszystko pozamykać. – Nacisnęła klawisz „Exit” i zdjęcia zniknęły. Szybko pozbierała papiery dotyczące Czerwonego Feniksa i odłożyła je na bok.

– Pomożesz mi przygotować śniadanie?

– Dlaczego to zrobił? – spytał chłopak. – Dlaczego zabił ludzi, których nawet nie znał?

Maura spojrzała w jego zatroskane oczy.

– Czytałeś raport policyjny?

– Leżał na stole i nie mogłem się powstrzymać. Ale moim zdaniem to bez sensu. Dlaczego miałyby coś takiego zrobić?

Przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko chłopca.

– Czasami nie sposób znaleźć wytłumaczenia, Szczurku. Z przykrością muszę stwierdzić, że bardzo często nie mam pojęcia, dlaczego ludzie robią takie rzeczy. Dlaczego topią własne dzieci albo duszą swoje żony czy strzelają do kolegów z pracy. Widzę rezultaty ich działań, ale nie potrafię wyjaśnić, co nimi powoduje. Wiem tylko, że tak się dzieje. A ludzie są zdolni do strasznych czynów.

– Wiem – mruknął i spojrzał na psa, który oparł wielki pysk

na jego kolanach, jakby wiedział, że chłopca trzeba w tym momencie pocieszyć. – A więc tym się zajmujesz?

– Tak.

– Lubisz swoją pracę?

– „Lubić” to chyba nie jest właściwe słowo.

– A jakie jest właściwe?

– Ta praca stanowi dla mnie wyzwanie. Jest ciekawa.

– I nie przeszkadza ci, że oglądasz takie rzeczy?

– Ktoś musi zabrać głos w imieniu zmarłych. Wiem, jak to zrobić. Zmarli, to znaczy ich ciała, mówią mi, w jaki sposób zginęli. Czy to była śmierć naturalna, czy gwałtowna. Tak, to może być nieprzyjemne. Kiedy widzisz, co jeden człowiek może wyrządzić drugiemu, zaczynasz się zastanawiać, co to znaczy być człowiekiem. Ale zawsze czułam, że mam powołanie do tej pracy, że powinnam być ich głosem.

– Myślisz, że ja też mógłbym to robić? – Spojrzał na stos papierów. – Wykonywać taką pracę?

– To znaczy być patologiem?

– Ja też chcę poznać odpowiedzi. – Spojrzał na Maurę. – Chcę być taki jak ty.

– To jest najmiłsza rzecz – Maura się uśmiechnęła – jaką kiedykolwiek ktoś mi powiedział.

– W Evensong nauczyciele uważają, że jestem niezły w zauważaniu rzeczy, które innym umykają. Więc myślę, że się nadaję.

– Jeśli chcesz być patologiem, musisz mieć bardzo dobre stopnie.

– Wiem.

– Musisz pójść do college'u, a potem ukończyć czteroletnią szkołę lekarską. Potem trzeba zrobić staż i stypendium naukowo–badawcze w zakresie patologii sądowej. To zajmuje wiele lat i wymaga dużego zaangażowania, Szczurku.

– Chcesz powiedzieć, że nie dam rady?

– Chcę jedynie powiedzieć, że naprawdę musisz tego chcieć.

– Spojrzała w jego ciemne oczy i pomyślała, że chyba widzi w nim mężczyznę, którym się kiedyś stanie. Głęboko emocjonalnego i bardzo lojalnego. Mężczyznę, który nie tylko będzie przemawiał w imieniu zmarłych, ale również w ich imieniu walczył. – Będziesz musiał opanować różne dziedziny nauki, bo tylko nauka może dostarczyć dowodów w sprawie. Samo przeczucie nie wystarcza.

– A jeśli masz naprawdę silne przeczucie?

– Nigdy nie jest tak przekonujące jak to, co można wyczytać z jednej kropli krwi.

– Ale przeczucie podpowiada ci, gdzie coś jest nie tak. Jak na przykład na tym zdjęciu.

– Na którym?

– Tego Chińczyka, który się zabił. Pokażę ci. – Wstał i przyniósł laptop oraz stos papierów. Kilka kliknięć myszą wystarczyło, by otworzył zdjęcie przedstawiające zwłoki Wu Weimina leżące na posadzce w kuchni Czerwonego Feniksa. – Policja stwierdziła, że strzelił sobie w głowę, że to był jeden strzał – powiedział Szczurek.

– Tak.

– Spójrz, co leży obok niego na podłodze.

Poprzedniej nocy Maura pobieżnie przejrzała zdjęcia, Było już późno, miała za sobą długi dzień w towarzystwie chłopca, a po dwóch kieliszkach wina czuła się senna. Teraz skupiła się z dużo większą werwą na martwym kucharzu i broni, która wciąż tkwiła w jego zaciśniętej dłoni. Na wysokości jego ramion leżała pusta łuska.

Szczurek wskazał przedmiot, którego nie dostrzegła, leżący na samym skraju kadru. Była to druga łuska.

– Podobno miał tylko jedną kulkę w głowie – powiedział. – Ale skoro wystrzelił dwa razy, to gdzie trafił drugi nabój?

– Mógł wylądować gdziekolwiek w kuchni. W tych okolicznościach policja prawdopodobnie uznała, że nie ma sensu go szukać.

– A dlaczego strzelił dwa razy?

– Widziałam już takie rzeczy w przypadku samobójstw.

Ofiara musi zdobyć się na odwagę, żeby się zabić, i za pierwszym razem może nie trafić. Albo broń może wystrzelić za wcześnie. Widziałam nawet samobójcę, który postrzelił się w głowę więcej niż dwa razy. I jeszcze takiego, który zastrzelił się, trzymając broń w ręce, która nie była jego dominującą. I był też taki facet, który... – Przerwała, nagle zaskoczona tym, że prowadzi taką rozmowę z szesnastolatkiem. Ale Szczurek spoglądał na nią spokojnym wzrokiem starego wygi i zawodowca. – Z pewnością to słuszna uwaga. I policja na pewno rozważała tę kwestię.

– Ale to nie zmieniło ich zdania. I tak twierdzili, że to on

zabił tę czwórkę ludzi, choć nie potrafili tego wytłumaczyć.

– Jakie mogli znaleźć wytłumaczenie? Tak niewiele osób znało kucharza.

– I nikt tak naprawdę nie znał mnie – powiedział cicho.

Dopiero teraz Maura zrozumiała, co trapi chłopca. On również został nazwany mordercą. On również został osądzony przez ludzi, którzy ledwo go znali. Kiedy Szczurek patrzył na Wu Weimina, widział w nim siebie.

– No dobrze – zgodziła się Maura. – Przyjmijmy na chwilę, że kucharz nie zabił się sam. Załóżmy, że zostało to upozorowane na samobójstwo. Co oznacza, że ktoś inny musiał zastrzelić tych ludzi, a potem zabić kucharza.

Szczurek pokiwał głową.

– Pomyśl o tym. Wyobraź sobie, że jesteś kucharzem, a ktoś zaczyna strzelać na sali. Broń nie miała tłumika, więc słyszysz strzały.

– Więc jak to możliwe, że nikt inny ich nie słyszał? Według raportu policyjnego w trzech mieszkaniach na wyższych piętrach byli ludzie, ale słyszeli tylko jeden wystrzał. Dlatego nikt nie wezwał natychmiast policji. A potem żona kucharza zeszła na dół i znalazła ciało męża.

– Ile zdążyłeś przeczytać?

– Prawie cały raport.

– To więcej niż ja – przyznała Maura. Otworzyła raport sporządzony przez Stainesa i Ingersolla. Kiedy Tam podrzucił jej materiały, nie była zachwycona z powodu dodatkowej roboty i odłożyła ją aż do ostatniej nocy, a i wtedy tylko rzuciła

okiem na zdjęcia. Teraz przeczytała raport od deski do deski i stwierdziła, że Szczurek ma rację. Siedmiu różnych świadków zeznało, że był tylko jeden wystrzał, a przecież w restauracji Czerwony Feniks znaleziono dziewięć łusek.

Jej szósty zmysł zaczynał dawać o sobie znać. To było takie dziwne przecucie, że coś tu nie gra, dokładnie tak, jak mówił chłopak.

Otworzyła raport z sekcji Wu Weimina. Według patologa kucharza znaleziono leżącego na boku, odwróconego plecami do zamkniętych drzwi piwnicy. Jego prawa dłoń, ta, w której trzymał broń, została później poddana analizie i znaleziono na niej ślady prochu. Nie zważając na to, że Szczurek ją obserwuje, Maura przejrzała zdjęcia z sekcji kucharza. Śmiertelny nabój został wystrzelony w prawą skroń, a na zbliżeniu widać było wyraźnie, że jest to rana postrzałowa kontaktowa o przypalonych i poczerniałych brzegach, w obrębie pierścienia powstałego wskutek nacisku gazów wydostających się z lufy. Nie było rany wylotowej. Kliknęła na skany zdjęć rentgenowskich i zobaczyła metalowe odłamki rozproszone w obrębie czaszki. Nabój o wydrążonym wierzchołku, pomyślała, grzybkujący i deformujący się po wnikięciu w ciało, przekazuje swoją energię kinetyczną tkankom. Maksimum zniszczeń przy minimum penetracji.

Przeszła do kolejnych dokumentów.

Następny raport dotyczył sekcji zwłok Jamesa Fanga, lat trzydzieści siedem, którego ciało znaleziono za ladą z kasą. Został postrzelony w głowę jednym pociskiem. Kula weszła

nad jego lewą brwią.

Trzeci raport z sekcji Joeya Gilmore'a, lat dwadzieścia pięć. Jego ciało leżało przed kasą, wokół porozrzucone były pudełka z jedzeniem na wynos. Został postrzelony raz w tył głowy.

Ostatnie dwie ofiary to Arthur i Dina Mallory, oboje znaleziono przy stoliku w rogu sali, przy którym wcześniej siedzieli. Arthur został postrzelony dwukrotnie, raz w tył głowy i raz w kręgosłup. Jego żona zaś trzy razy, kule przebiły jej policzek, plecy i czaszkę. Przeglądając raport patologa, Maura zauważyła, że doszedł do tego samego wniosku co ona: że Dina Mallory musiała znajdować się w ruchu, gdy dosięgły ją dwie pierwsze kule, prawdopodobnie próbowała uciec przed napastnikiem. Maura już miała odłożyć raport, gdy zauważyła fragment opisujący wyniki sekcji jamy brzusznej:

Opierając się na zawartości żołądka, obejmującej kawałki spaghetti w sosie pomidorowym, czas, który upłynął od spożycia ostatniego posiłku, został oszacowany na mniej więcej jedną do dwóch godzin.

Maura otworzyła raport z sekcji Arthura Mallory'ego, szybko odnalazła część poświęconą badaniu żołądka, który rutynowo w trakcie sekcji rozcinano, pobierając do analizy jego zawartość.

Zawartość żołądka obejmuje ser i mięso z częściowo strawionymi kawałkami sałaty. Czas od spożycia ostatniego posiłku został oszacowany na od jednej do

dwóch godzin.

To nie ma sensu. Dlaczego państwo Mallory z brzuchami pełnymi jedzenia z najwyraźniej włoskiej kuchni siedzieli w chińskiej knajpie?

Opis zawartości żołądków, strawionej sałaty i sosu pomidorowego odebrał jej apetyt.

– To nie jest najlepszy pomysł, żeby tak zaczynać śniadanie – powiedziała, zamykając folder. – Jest piękny dzień, a ja zamierzam zrobić naleśniki, co ty na to? Nie myślmy już o tej sprawie.

– A co z brakującym nabojem?

– Nawet gdybyśmy mogli się teraz tego dowiedzieć, to i tak nie zmieniliby końcowych wniosków. Ciała zostały dawno pochowane albo skremowane, a miejsce zbrodni wyczyszczone. Aby ponownie otworzyć sprawę, trzeba mieć dowody sądowe. Po tylu latach nie sposób ich znaleźć.

– Ale jest w tym wszystkim coś dziwnego, prawda? Też tak myślisz.

– Niech ci będzie – westchnęła. – Załóżmy, że kucharz nie zabił się sam. Załóżmy, że zrobił to ktoś inny, jakiś nieznajomy wszedł i zaczął strzelać. Dlaczego kucharz po prostu nie uciekł?

– Może nie mógł się wydostać?

– Z kuchni jest drugie wyjście. Według raportu policyjnego prowadzi na ulicę.

– Może drzwi były zamknięte od zewnątrz.

Otworzyła na laptopie zdjęcia z miejsca zbrodni. Nie były to

obrazy odpowiednie dla oczu chłopca, ale zadał mądre pytanie, a nic, co dotąd zobaczył, jakoś nie wytrąciło go z równowagi.

– Proszę – powiedziała, pokazując kuchenne drzwi. – Są otwarte. Mógł zatem uciec. Gdyby usłyszał strzały dochodzące z głównej sali, to jak każdy przy zdrowych zmysłach uciekłby kuchennymi drzwiami.

– A te drzwi? – Szczurek pokazał drzwi od piwnicy, zabarykadowane ciałem kucharza. – Może próbował się tu schować.

– Piwnica to ślepy zaułek. Nie ma sensu tędy uciekać. Spójrz, Szczurku, na wszystkie dowody. Znaleziono go z pistoletem. Na dłoni miał ślady prochu, co oznacza, że miał kontakt z bronią w chwili, gdy wypaliła. – Maura przerwała, zastanawiając się nagle nad dodatkową łuską. Pistolet wypalił dwukrotnie w kuchni, ale słyszano tylko jeden strzał. A glock miał gwintowaną lufę, więc można było zamontować na niej tłumik. Próbowała wyobrazić sobie alternatywną wersję wydarzeń. Nieznany sprawca zabija Wu Weimina. Zdejmuje tłumik i wkłada pistolet w dłoń martwego mężczyzny. Strzela raz jeszcze, żeby na skórze ofiary pozostały ślady prochu. To by wyjaśniało, dlaczego słyszano tylko jeden wystrzał, a w kuchni znaleziono dwie łuski. Ale ten scenariusz nie wyjaśniał jednej ważnej rzeczy: dlaczego Wu Weimin pozostał w kuchni, skoro mógł uciec.

Skupiła się na drzwiach od piwnicy. Na zwłokach kucharza leżących przed tymi drzwiami. Blokujących je. Nagle pomyślała: a może nie mógł uciec?

Bo miał wystarczająco dobry powód, by zostać.

Rozdział dwudziesty trzeci

– Pod wpływem luminolu prawdopodobnie wszystko będzie tu świecić – powiedziała Jane. – Pośrednik twierdzi, że po całym tym zajściu umyli tylko ściany i podłogę. Linoleum nie zostało wymienione. Ale nie jestem pewna, co nam da całe to badanie.

– Nie dowiemy się, dopóki nie zobaczymy na własne oczy, prawda? – powiedziała Maura.

Stały przed restauracją Czerwony Feniks, czekając na ekipę policyjnych techników. Aby prawidłowo przeprowadzić doświadczenie, konieczne były całkowite ciemności, a zmierzch właśnie zamieniał się w noc niosącą ze sobą przejmujący chłód. Maura zaczęła żałować, że wzięła tylko prochowiec. Na drugim końcu ulicy zapaliła się latarnia, ale tu, gdzie stali, panował mrok, a budynek z zabitymi oknami i zabezpieczonym bramą wejściem wyglądał jak więzienie z zamurowanymi w środku duchami.

Jane zajrzała przez okno do środka i wzruszyła ramionami.

– Wiesz, że już tu byliśmy. To obskurne miejsce i pewnie roi się w nim od karaluchów. Same gołe ściany i puste pomieszczenia. Naprawdę nic tam nie zostało.

– Krew nadal tam będzie – upierała się Maura. Szczotka i mydło starły jedynie dowody widoczne gołym okiem. Chemiczny duch krwi pozostał na posadzce i w ścianach.

Luminol mógł odsłonić dawne ślady i odciski stóp, które zostały pominięte w pierwszym śledztwie.

Błysk światel przednich reflektorów sprawił, że Maura odwróciła się, mrużąc oczy. Samochód skręcił i powoli się zatrzymał. Wsiedli z niego detektywi Frost i Tam.

– Masz klucz?! – zawołała Jane.

Frost wyjął klucz z kieszeni.

– Musiałem przysiąc na nasze życie, nim pan Kwan mi go dał.

– Po co takie ceregiele? Tu i tak nie ma co kraść.

– Powiedział, że jeśli coś zniszczymy, to wartość nieruchomości spadnie.

– Mogłabym zwiększyć wartość tej nieruchomości za pomocą jednej laski dynamitu – oburzyła się Jane.

Frost otworzył drzwi i zaczął macać ścianę w poszukiwaniu włącznika światła.

– Ta żarówka chyba się jednak przepaliła – stwierdził w końcu.

Za progiem w ciemnościach coś się poruszyło, oburzone nagłym wtargnięciem intruzów. Maura zapaliła latarkę i zobaczyła pół tuzina karaluchów rozbiegających się na boki, byle dalej od strumienia światła, i czmychających za ladę.

– Brrr. – Frost się wstrząsnął. – Założę się, że roi ich się tam z tysiąc.

– Bardzo dziękuję – mruknęła Jane. – Teraz już nigdy nie pozbędę się tej wizji z mojej głowy.

Światła czterech latarek biegały we wszystkie strony

przecinając się w ciemnościach. Tak jak mówiła Jane w środku były tylko gołe ściany i podłoga, ale gdy Maura się rozejrzała, obrazy, które знаła ze zdjęć zrobionych na miejscu zbrodni, same zaczęły nakładać się na pustą przestrzeń. Zobaczyła Joeya Gilmore'a leżącego przed kasą. I Jamesa Fanga spoczywającego za ladą. Przeszła do kąta, w którym zginęli państwo Mallory, i wyobraziła sobie ich upadające ciała. Arthur osunął się twarzą na stolik. Dina leżała wyciągnięta na podłodze.

– Halo! Jest tam kto?! – zawołał ktoś na dworze. – Detektyw Rizzoli?

– Jesteśmy tutaj! – zawołała w odpowiedzi Jane.

Dołączyła do nich kolejna para toczących pojedynkę latarek, gdy do środka weszli dwaj technicy z ekipy.

– Z pewnością jest tu wystarczająco ciemno – powiedział jeden z nich. – I nie ma żadnych mebli, więc niczego nie trzeba przesuwac, a to znacznie przyspieszy całą operację. – Ukląkł i zbadał podłogę. – To jest to samo linoleum?

– Tak nam powiedziano – odparł Tam.

– Tak też wygląda. Linoleum we wzorki, mnóstwo wgnieceń i rys. Powinno nieźle świecić. – Stęknął, wstając, bo jego brzuch był tak wielki, jak u kobiety w ósmym miesiącu ciąży.

Jego o wiele chudszy kolega, który przewyższał go o głowę, spytał:

– Co spodziewacie się tu znaleźć?

– Nie jesteśmy pewni – odrzekła Jane.

– Musicie mieć jakiś powód, żeby znów tu czegoś szukać po dziewiętnastu latach.

W ciszy Maura poczuła, że płonie jej twarz, i zastanawiała się, czy cała odpowiedzialność za tę wyprawę spadnie wyłącznie się, na nią. Ale wtedy odezwała się Jane:

– Mamy powód przypuszczać, że to nie było morderstwo połączone z samobójstwem.

– Więc szukamy podejrzanych odcisków butów? Dowodów obecności intruza, tak?

– Od tego zaczniemy.

Jego korpulentny kolega westchnął.

– Dobrze, zrobimy wszystko od A do Z. Mówisz i masz.

– Pomogę rozładować furgonetkę – zaproponował Tam.

Mężczyźni przynieśli lampy i kamerę wideo, kable i odczynniki chemiczne. Co prawda wszystkie żarówki w restauracji były przepalone, ale gniazdka wciąż działały i kiedy podłączyli kabel i włączyli lampy ustawione w głównej sali, nagle zrobiło się tam jasno jak w środku dnia. Jeden z techników nagrywał na wideo pomieszczenie, a jego partner zajął się wyjęciem odczynników chemicznych z chłodziarki. Dopiero teraz, w świetle, Maura poznała, że to ci sami technicy, których widziała na dachu, na którym zginęła niezidentyfikowana kobieta.

Operator kamery powoli zrobił panoramiczne ujęcie całego pomieszczenia, po czym się wyprostował.

– W porządku, Ed? Jesteś gotowy?

Tam podał Maurze gogle i maskę przeciwgazową, które założyła dla ochrony przed oparami luminolu. Dopiero gdy wszyscy założyli maski i gogle, Ed – teraz przynajmniej Maura wiedziała, jak się nazywa wysoki facet – zaczął łączyć

substancje chemiczne. Zamieszał roztwór w słoju, a potem przelał do butelki z rozpylaczem.

– Czy ktoś chce zająć się światłami?

– Ja to zrobię – powiedział Frost.

– Będzie naprawdę bardzo ciemno, więc proszę stać blisko lampy, bo inaczej będzie pan po omacku szukał włącznika. –

Ed rozejrzał się po sali. – To gdzie chcecie zacząć?

– W tej części. – Jane wskazała na kontuar.

Ed zajął odpowiednie miejsce, zerknął na Frosta i wydał komendę:

– Światła.

W pomieszczeniu zapadła ciemność, która wydawała się potęgować głośny oddech Maury w masce przeciwgazowej. Ledwo słyszała syk butelki z rozpylaczem, kiedy Ed rozpyłał mgiełkę luminolu. Nagle na podłodze zaśnił geometryczny niebieskozielony wzór. Luminol wszedł w reakcję z cząsteczkami starej hemoglobiny. Krew, gdziekolwiek spadnie, rozleje się lub popłynie, wszędzie pozostawia echa swej obecności. Dziewiętnaście lat temu w to linoleum wsiąkała krew, uparcie sączyła się w rysy i pęknięcia i żadne, nawet najbardziej zaciekle szorowanie by jej stamtąd nie usunęło na dobre.

– Światło.

Frost nacisnął włącznik i wszyscy zaczęli mrugać.

Niebiesko–zielona poświata znikła, a na jej miejscu znów widzieli te sam kawałek starej podłogi co wcześniej.

Tam spojrział zza ekranu laptopa, na którym otworzył zdjęcia

z miejsca zbrodni wykonane lata temu w Czerwonym Feniksie.

– Zgadza się z tym, co tu widzę – powiedział. – Żadnych niespodzianek. Dokładnie w tym miejscu znaleziono ciało Joeya Gilmore'a.

Przesunęli kamerę i statyw do wnęki za ladą. Wszyscy zajęli swoje miejsca. Znów zgasły światła i znów słysząc było syk rozpylacza i wzór szachownicy rozświetlił się fluorescencyjnym światłem na kolejnym fragmencie linoleum. Tu zginął James Fang. Ściana też się rozświetliła w miejscach, gdzie prysnęła krew kelnera. Widniały tam świetliste kleksy niczym blednące echa krzyku.

Podobnych krzyków jednak można było w tym pomieszczeniu usłyszeć więcej.

Przenieśli się do kąta, w którym zginęli państwo Mallory. Dwa ciała oznaczały dwa razy więcej plam i kleksów i w tym miejscu wrzask dał się słyszeć najgłośniejszym przez przerażający widok rozmazanych plam i smug, które rozbłysły w ciemnościach i powoli przygasły.

Frost zapalił światła i przez chwilę wszyscy stali w milczeniu, spoglądając na sfatygowane linoleum, które chwilę wcześniej tak intensywnie rozbłysło. Jak dotąd nic ich nie zaskoczyło, a jednak to, co widzieli, wytrąciło ich z równowagi.

– Przejdźmy do kuchni – powiedziała Jane.

Przekroczyli jeden po drugim próg. W następnym pomieszczeniu było jakby chłodniej, tak chłodno, że Maura poczuła na skórze ciarki. Spojrzała na lodówkę, okap starego typu i piec. Tu posadzka była z betonu, aby łatwiej ją myć, bo

wylewał się na nią tłuszcz i różne sosy. A także krew. Stała, drżąc, przy drzwiach od piwnicy, a ekipa przenosiła cały sprzęt, kamery i substancje chemiczne. Kiedy pomieszczenie zostało jasno oświetlone, Ed i jego partner rozejrzeli się, ściągając brwi.

– Mają tu dość zardzewiałe wyposażenie – stwierdził Ed. – To wejdzie w reakcję z luminolem i będzie świecić.

– Musimy skupić się na podłodze – powiedziała Maura tu znaleziono kucharza.

– No to odkryjemy więcej krwi. Ale niespodzianka – mruknął Ed z sarkazmem.

– Słuchajcie, jeśli uważacie, że to strata czasu, to dajcie mi butelkę z rozpylaczem i sama to zrobię – zaatakowała go Maura.

W ciszy, która nagle zapadła, obaj technicy spojrzeli po sobie.

– Może nam pani powie, pani doktor, czego pani szuka? Tak, żeby to miało ręce i nogi.

– Powiem wam, gdy to zobaczę. Zacznijmy od wejścia do głównej sali.

Ed skinął głową w stronę Frosta.

– Światła.

W kuchni zapadła tak idealna ciemność, że Maura poczuła, że się chwieje zdezorientowana brakiem jakichkolwiek wizualnych punktów odniesienia. W ciemnościach ktoś mógł stanąć obok niej, a ona nie miałaby pojęcia, że ktoś tam jest. Zasyczała butelka z rozpylaczem, a gdy na podłodze załśniły jak za sprawą magii niebieskozielone smugi, znów poczuła

ciarki na skórze, jakby tuż obok przemknęła zjawa. W tym miejscu naprawdę są duchy, pomyślała, duchy przelanej krwi, która wciąż tkwi w tej posadzce. Znów usłyszała syk luminolu, który wydobył kolejne fluorescencyjne plamy.

– Widzę tu ślady butów – powiedział Ed. – Chyba damskich, rozmiar pięć albo sześć.

– Te ślady są też na zdjęciach – powiedział Tam. – Pierwsza weszła do środka żona kucharza. Mieszkała piętro wyżej. Kiedy usłyszała strzał, weszła tylnymi drzwiami i znalazła męża. Zaniosła jego krew na podeszwach butów aż do głównej sali, gdzie znalazła kolejne ofiary.

– Cóż, tak to właśnie wygląda. Ślady butów zmierzają w stronę głównej sali.

– Kucharz leżał dokładnie w tym miejscu, gdzie stoję – stwierdziła Maura. – Tu powinniśmy skupić naszą uwagę.

– Spokojnie, pani doktor – powiedział technik, a Maura wyraźnie słyszała w jego głosie irytację. – Dotrzemy i tam.

– Mamy to nagrane.

– Dobra. Zmiana.

Maura usłyszała kolejny syk i pojawiły się następne odciski butów, fluorescencyjny zapis ruchów żony kucharza. Podążyli za śladami w odwrotną stronę, aż nagle rozbłysła wielka jasna plama. Tu zebrała się krew Wu Weimina wypływająca z rany na skroni. Maura czytała raport z sekcji i widziała zdjęcia przedstawiające coś, co nawet na zbliżeniu było zaledwie małą dziurką w skórze i czaszce, za którą kryła się dewastacja mózgu. A mimo to jeszcze przez jakiś czas jego serce wciąż

pracowało, a krew płynęła, tworząc zastygającą aureolę. Tu pochyliła się nad nim żona, zostawiając odciski butów. Jego ciało wciąż było ciepłe.

– Światła.

Maura zamrugnęła, patrząc na posadzkę z betonu. Ale kiedy Ed znów napełnił rozpylacz z luminolem, wciąż miała przed oczami tamtą kałużę i dowody obecności żony.

– Na tym skończymy – powiedział Ed, wskazując drzwi prowadzące z kuchni na zewnątrz. – Czy żona wyszła tą samą drogą, którą weszła?

– Nie – odparł Tam. – Zgodnie z raportem Ingersolla wybiegła frontowymi drzwiami na Knapp Street i skierowała się w stronę Beach Street, wołając o pomoc.

– Więc w tej części nie powinno być śladów krwi.

Tam zerknął na ekran komputera.

– Na zdjęciu z miejsca zbrodni nie widzę tu żadnej krwi.

Maura zauważyła, że Ed zerka na zegarek, i przypomniała sobie, że jest już późno. Jak dotąd zarejestrowali na wideo dokładnie to, co spodziewali się znaleźć. Zastanawiała się, co też ci technicy powiedzą później na jej temat, myślała o komentarzach, które na pewno będą krążyły po całej bostońskiej policji. „Doktor Isles wysłała nas w pogoń za cieniem”.

Czy to był błąd? – zastanawiała się Maura. Czy zmarnowałam wszystkim wieczór, bo posłuchałam szesnastolatka? Ale Maura podzielała wątpliwości Szczurka. Kiedy wrócił do szkoły, zostawiając ją samą w domu, który nagle wydał jej się smutny,

cichy i pusty, spędziła wiele godzin, przeglądając raporty i zdjęcia ze sprawy Czerwonego Feniksa. Frapujące szczegóły, na które chłopak tak szybko zwrócił uwagę, coraz bardziej ją niepokoiły.

– Uwińmy się z tym raz–dwa i chodźmy do domu – zaproponowała Jane zmęczonym i nieco zirytowanym głosem.

Światła znów zgasły. Maura stała z zaciśniętymi pięściami, szczęśliwa, że jej twarz kryje się w mroku. Po raz kolejny usłyszała syk wydobywających się oparów luminolu.

Nagle Ed zawołał:

– Hej, widzicie to?!

– Światła! – krzyknęła Jane i Frost zapalił lampę.

Stali przez chwilę w ciszy, wpatrując się w goły beton.

– Tego nie było na żadnym ze zdjęć z miejsca zbrodni – powiedział Tam.

Ed ściągnął brwi.

– Odtworzę nagranie – powiedział.

Kiedy stłoczyli się wokół kamery, przewinął i wcisnął przycisk „Play”. W ciemnościach lśniły trzy niebieskozielone plamki, które zmierzały w linii prostej w stronę wychodzących na tył budynku kuchennych drzwi. Dwa ślady były rozmazane i niewyraźne, ale trzeci bez cienia wątpliwości był odciskiem małego bucika.

– Może te ślady w ogóle nie są związane ze strzelaniną? – zastanawiała się Jane. – Te plamy mogły przez lata się na siebie nałożyć.

– Dwa krwawe zdarzenia w tej samej kuchni? – spytał Tam.

– Jak wyjaśnić fakt, że tych śladów nie ma na żadnym ze zdjęć z miejsca zbrodni?

– Bo ktoś je stał – powiedziała cicho Maura. – Zanim przyjechała policja. – A jednak coś po nich pozostało, pomyślała. Niewidoczne dla oka, lecz nie dla luminolu.

Pozostali byli pod wrażeniem tego, co właśnie odkryli. W kuchni było dziecko. Dziecko, które weszło w kałużę krwi i pozostawiło ślad stóp na podłodze, wyraźnie zmierzając w stronę drzwi, na ulicę.

– Piwnica – powiedziała Jane. Podeszła do piwnicznych drzwi i odsunęła rygiel. Maura stanęła za nią, a Jane oświetliła latarką drewniane schodki. Z mroku wydobywał się zapach wilgotnych kamieni i pleśni. Strumień światła przeszywał mrok. Maura zauważyła wielkie beczki i ogromne puszkę oleju do gotowania, na pewno zepsutego po dwóch dekadach.

Tym razem nie było żadnych niecierpliwych spojrzeń, żadnych westchnień ani zerkania na zegarki. Technicy sprawnie przesunęli statyw z kamerą, kierując obiektyw na piwniczne schody. Wszyscy stanęli blisko siebie, gdy zgasły światła, a Ed rozpylił ostatnią chmurę luminolu. I wtedy zobaczyli, że krew pociekła z kuchennej posadzki na górny schodek.

Schodek, na którym wyraźnie odcisnął się ślad małego bucika.

Rozdział dwudziesty czwarty

– Tamtej nocy ktoś był w piwnicy pod kuchnią, proszę pani. Jakieś dziecko, które może wiedzieć, co się tam naprawdę wydarzyło – mówi Jane Rizzoli. – Czy wie pani, kim było to dziecko?

Policjantka przygląda mi się badawczo, obserwuje moją reakcję na to, co przed chwilą powiedziała. Przez zamknięte drzwi słyszę uderzenia kijów do walki i głosy moich uczniów śpiewnie recytujących jednym głosem w trakcie ćwiczenia pozycji bojowych. Ale tu, w moim biurze, panuje cisza, ja zaś rozważam możliwe odpowiedzi. Już samo moje milczenie jest reakcją, więc Jane Rizzoli stara się domyślić, co ono oznacza, ale ja nie pozwalam, by na mojej twarzy odmalował się choćby cień emocji. To, co dzieje się pomiędzy nami dwiema, zaczęło przypominać partię szachów w innej partii szachów, rozgrywanej tak subtelными ruchami, że detektyw Frost, który również tu jest i nas obserwuje, zapewne nie jest nawet tego świadomy.

Ta kobieta jest moim prawdziwym przeciwnikiem. Zadając pytanie, patrzę jej prosto w oczy.

– Skąd pani wie, że ktoś był w piwnicy?

– W kuchni i na schodach prowadzących do piwnicy były ślady stóp. Stóp dziecka.

– Przecież to się wydarzyło dziewiętnaście lat temu.

– Nawet po wielu latach po krwi zostają ślady, pani Fang – wyjaśnia Frost. Łagodnym, przyjacielskim tonem głosu tłumaczy to, czego w jego mniemaniu nie rozumiem. – Przy użyciu pewnych substancji chemicznych możemy te ślady zobaczyć. I dzięki temu wiemy, że z piwnicy wyszło dziecko, stanęło w kałuży krwi Wu Weimina i wyszło z kuchni na ulicę.

– Nikt wcześniej mi o tym nie mówił. Detektyw Ingersoll o niczym takim nie wspominał.

– Bo nie widział tych śladów – mówi Jane Rizzoli. – Nim przyjechała policja, ślady znikły. – Zbliży się do mnie tak bardzo, że widzę jej źrenice, czarne oczy jak u byka w czekoladowobrązowych tęczęwkach. – Kto mógł to zrobić, pani Fang? Kto chciałby ukryć fakt, że w piwnicy było dziecko?

– Dlaczego akurat mnie o to pytacie? Nawet nie było mnie wtedy w kraju. Kiedy to się stało, byłam na Tajwanie w odwiedzinach u rodziny.

– Ale znała pani Wu Weimina i jego żonę. Podobnie jak oni mówi pani językiem mandaryńskim. Tym dzieckiem w piwnicy była ich mała córeczka, prawda? – Wyciąga z kieszeni notes i odczytuje: – Mei Mei, lat pięć. – Patrzy na mnie. – Dokąd one pojechały? Matka z córką?

– Skąd mam wiedzieć? Dopiero trzy dni później złapałam samolot do Stanów. Do tego czasu już ich nie było. Spakowały ubrania i pozostałe manatki. Nie mam pojęcia, dokąd pojechały.

– Dlaczego uciekły? Bo jego żona nie miała prawa pobytu? Moje szczęki się zaciskają. Znów patrzę jej prosto w oczy.

– Naprawdę dziwi to panią, że uciekła? Gdybym ja nie miała

prawa pobytu, a pani by sądziła, że mój mąż właśnie zabił czworo ludzi, jak szybko by mi pani założyła kajdanki i deportowała z kraju? Dziewczynka się tu urodziła, ale nie jej matka Li Hua. Chciała, żeby córka dorastała w Ameryce, więc czy można ją winić, że unikała policji? Że wolała pozostać w cieniu?

– Jeśli starła te ślady stóp, to zniszczyła ważny dowód.

– Może zrobiła to, by chronić córkę.

– Dziewczynka była świadkiem. Mogła zmienić przebieg śledztwa.

– A czy pani posłałaby pięciolatkę do sądu i kazała jej zeznawać? Myśli pani, że sąd dałby wiarę dziecku nielegalnych imigrantów, kiedy całe miasto już zrobiło z jej ojca potwora?

Moja odpowiedź zbija ją z tropu. Milczy, zastanawiając się nad tym, co powiedziałam. Zaczyna rozumieć, że działania Li Hua były w istocie rozsądne. Kierowała nią logika zropaczonej matki gotowej na wszystko, by ochronić siebie i swoje dziecko przed władzami, do których nie miała zaufania.

Teraz odzywa się Frost. Mówi łagodnie:

– Nie jesteśmy wrogami, pani Fang. Staramy się tylko poznać prawdę.

– Ja już dziewiętnaście lat temu powiedziałam prawdę – zwracam mu uwagę. – Powiedziałam policji, że Wu Weimin nigdy nikogo by nie skrzywdził, ale nie chcieli mnie słuchać. Woleli uznać, że był jakimś szalonym Chińczykiem, tak było łatwiej. A kto by się tam przejmował tym, co dzieje się w głowie jakiegoś Chińczyka? – Słyszę w swoim głosie gorycz,

ale nie staram się jej stłumić. Wylewa się ze mnie ostra i drażniąca. – Poszukiwanie prawdy wymaga zbyt wiele pracy. Tak uważała policja.

– Ale ja tak nie uważam – mówi cicho Frost.

Patrzę na niego i widzę w jego oczach szczerość. W sali obok skończyły się zajęcia. Słyszę, że uczniowie wychodzą, raz za razem trzaskają drzwi.

– Skoro Mei Mei była w piwnicy – mówi Jane Rizzoli – musimy ją znaleźć. Musimy się dowiedzieć, co zdołała zapamiętać.

– A wy byście jej uwierzyli?

– Zależy, co to za dziewczyna. Co może nam pani o niej powiedzieć?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę, sięgam do spowitych mgłą czasu wspomnień.

– Pamiętam, że niczego się nie bała. Nigdy nie mogła usiedzieć w miejscu, zawsze biegała i skakała. Mój tygrysek, tak nazywał ją ojciec. Kiedy moja córka Laura opiekowała się nią, wracała do domu wykończona. Powiedziała, że nigdy nie chce mieć dzieci, jeśli mają być tak dzikie jak Mei Mei.

– To była inteligentna dziewczynka?

Uśmiecham się smutno.

– Ma pani dzieci, pani detektyw?

– Tak, dwuletnią córkę.

– I pewnie sądzi pani, że to najbystrzejsze dziecko pod słońcem?

Teraz uśmiecha się detektyw Jane Rizzoli.

– Oczywiście, jestem tego pewna.

– Bo wszystkie dzieci są bystre, prawda? Mała Mei Mei była bardzo żwawa, wszystko ją interesowało... – Mój głos cichnie, z trudem przełykam ślinę. – Kiedy wyjechały, czułam się tak, jakbym znów traciła córkę.

– Dokąd pojechały?

Kręcę głową.

– Miały chyba jakiegoś kuzyna w Kalifornii. Li Hua miała zaledwie dwadzieścia kilka lat i była piękna. Mogła znów wyjść za mąż. Mogła zmienić nazwisko.

– Nie ma pani pojęcia, gdzie teraz jest?

Milczę przez krótką chwilę, jednak na tyle długą, by w jej głowie zaczęły kiełkować wątpliwości. Żeby musiała się zastanowić, czy moja odpowiedź jest prawdziwa. Nasza partia szachów nadal trwa, po każdym ruchu następuje kontrofensywa.

– Nie – odpowiadam wreszcie. – Nie wiem nawet, czy ona żyje.

Słychać pukanie do drzwi i do gabinetu wchodzi Bella.

Prowadziła zajęcia i teraz ma zarumienione z wysiłku policzki, a jej krótkie czarne włosy stoją na sztorc, sztywne od potu.

Pochyla głowę w ukłonie.

– *Sifu*, ostatnia grupa skończyła zajęcia. Czy będziesz mnie jeszcze potrzebowała?

– Zaczekaj chwilę, już kończymy.

Dla pary detektywów staje się jasne, że nie mam im nic więcej do powiedzenia, i zbierają się do wyjścia. Po drodze

Pani detektyw zatrzymuje się i przygląda Belli. To długie pełne namysłu spojrzenie, a ja niemal widzę kłębiące się w jej głowie myśli. Mei Mei miała pięć lat, kiedy znikła. Ile lat ma ta młoda kobieta? Czy to możliwe?

Kiedy zamykają się za nimi drzwi, mówię do Belli:

– Zostało nam mało czasu.

– Czy oni wiedzą?

– Są blisko odkrycia prawdy. – Oddycham głęboko. Martwi mnie, że nie mogę pozbyć się tego nowego, nieznanego mi dotąd uczucia zmęczenia, które teraz mnie dopada. Toczę równocześnie dwie bitwy, jedną przeciw wrogowi, który niszczy mój szpik kostny. Wiem, że jeden z tych wrogów pozbawi mnie życia.

Pozostaje tylko pytanie, który z nich będzie pierwszy?

Rozdział dwudziesty piąty

Teraz były już trzy zaginione dziewczynki.

Jane wypła letnią kawę i zjadła kanapkę z kurczakiem, przeglądając piętrzący się stos papierów. Na jej biurku leżały akta niezidentyfikowanej kobiety, masakry w Czerwonym Feniksie oraz zaginionych Laury Fang i Charlotte Dion. Teraz Jane założyła nową teczkę dotyczącą kolejnej zaginionej dziewczynki: Mei Mei, córki kucharza, która zniknęła wraz ze swą matką dziewiętnaście lat temu. Mei Mei musi mieć teraz dwadzieścia cztery lata, być może wyszła za mąż i zmieniła nazwisko. Nie mają żadnego zdjęcia, odcisków palców ani bladego pojęcia, jak teraz wygląda. Być może nawet nie mieszka w Stanach. Choć równie dobrze może znajdować się tuż pod ich nosem, ucząc chińskiej sztuki walki w pewnej akademii w Chinatown, pomyślała Jane. Przed oczami stanęła jej kamienna twarz asystentki Iris, Belli Li, w której przeszłość zdążyli już zajrzeć.

Spośród tych trzech dziewczynek najprawdopodobniej jedynie Bella Li mogła wciąż żyć. Pozostałe dwie prawie na pewno umarły.

Jane znów skupiła się na Laurze Fang i Charlotte Dion. Na zaskakującym zbiegu okoliczności, który związał je ze sobą, choć w życiu dzieliła je przepaść. Charlotte była zamożna i biała. Laura była córką z trudem wiążących koniec z końcem imigrantów. Charlotte dorastała w rezydencji w Brookline a

Laura w ciasnym mieszkaniu w Chinatown. Dwie tak różne dziewczynki, ale ojciec jednej, a matka drugiej zginęli w strzelaninie w restauracji i teraz ich akta zajmowały równorzędne miejsca na biurku Jane w wydziale zabójstw, a to z pewnością nie jest miejsce, w którym ktokolwiek chciałby skończyć. Przeglądając ich akta, słyszała echo ostatnich słów Ingersolla: „Chodzi o to, co stało się z tamtymi dziewczynkami”.

Czy to o te dziewczynki mu chodziło?

Posiadłość Patricka Diona robiła równie imponujące wrażenie jak za pierwszym razem.

Jane przejechała między dwiema kamiennymi kolumnami i znalazła się na prywatnej drodze prowadzącej wśród brzoź i krzaków bzoź, w górze, poprzez równiutki trawnik, do rozległego domu w stylu kolonialnym.

– Dziękuję, że zgodził się pan ponownie ze mną spotkać – powiedziała, gdy uścisnęli sobie dłonie.

– Czy wiadomo coś nowego w sprawie Charlotte? – spytał z nadzieją w oczach i lekko drżącym głosem, co sprawiło Jane ból.

– Przykro mi, jeśli nie dość jasno przedstawiłam powód mojej wizyty – powiedziała. – Obawiam się, że nie mam nic nowego.

– Ale mówiła pani przez telefon, że chciałaby porozmawiać o Charlotte.

– Tak, w związku z aktualnym śledztwem. Morderstwem w

Chinatown.

– Co to ma wspólnego z moją córką?

– Nie jestem pewna, panie Dion. Ale z jakichś powodów zaczęłam podejrzewać, że zniknięcie Charlotte może mieć związek z zaginięciem innej dziewczynki.

– Ten wątek badał już detektyw Buckholz dziewiętnaście lat temu.

– Chciałabym znowu się temu przyjrzeć. Choć minęło już dziewiętnaście lat, nie pozwolę, by pańska córka została zapomniana. Charlotte zasługuje na więcej.

Zauważyła, że Patrick Dion mruga szybko, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy, i wiedziała, że dla niego ból wciąż jest żywy. Rodzice nigdy nie zapominają.

Przygnębiony skinął głową i powiedział:

– Proszę wejść. Przyniosłem jej rzeczy ze strychu, tak jak pani prosiła. Proszę się nie spieszyć. Może je pani przeglądać tak długo, jak będzie trzeba.

Poszła za nim do holu i tym razem też podziwiała lśniące parkiety i portrety olejne, które miały chyba ze dwieście lat. Mimo woli porównywała ten dom z rezydencją Kevina Donohue, z jego pospolitymi meblami i obrazami z centrum handlowego. Stare pieniądze przeciwko nowym. Patrick zaprowadził ją do oficjalnej jadalni, gdzie palladiańskie okna wychodziły na staw z liliami. Na stole z różanego drewna, wystarczająco dużym, by pomieścić tuzin gości, stały kartonowe pudła.

– To wszystko, co zachowałem – powiedział ze smutkiem. –

Większość ubrań oddałem w końcu organizacji dobroczynnej. Myślę, że Charlotte by to zaaprobowała. Takie rzeczy były dla niej ważne, karmienie biednych, dawanie schronienia potrzebującym. – Rozejrzał się po pokoju i uśmiechnął z ironią. – Myśli pani pewnie, że to trąci hipokryzją, prawda? Mówić takie rzeczy, mieszkając w takim domu, w takiej posiadłości. Ale moja córka naprawdę miała dobre serce. Wspaniałomyślnie. – Sięgnął do jednego z pudeł i wyjął sprane dzinsy. Wpatrywał się w nie, jakby wciąż widział je na szczupłych biodrach córki. – To zabawne, ale nigdy nie zdobyłem się na to, żeby oddać te dzinsy. Niebieskie dzinsy nigdy nie wychodzą z mody. Jeśli kiedykolwiek wróci, wiem, że znów będzie chciała je włożyć. – Ostrożnie odłożył je na bok i ciężko westchnął.

– Tak mi przykro, panie Dion. Wiem, że przeze mnie ten ból powraca. Może będzie łatwiej, jeśli sama przejrzy te pudła?

– Nie, będę musiał wyjaśnić pani kilka rzeczy. Nie będzie pani wiedziała, co niektóre z tych przedmiotów znaczą. – Sięgnął do drugiego kartonu i wyjął album ze zdjęciami. Przez moment ścisnął go w rękach, jakby nie chciał oddać. Podając go Jane, wciąż trzymał, niczym cenny dar, który odebrała z należyty szacunkiem. – Przypuszczam, że przede wszystkim to chciała pani zobaczyć.

Otworzyła okładkę. Na pierwszej stronie znajdowało się zdjęcie młodej blondynki trzymającej czerwonego na twarzy noworodka, dziecko było owinięte białym kocykiem, wyglądało jak maleńka mumia. NASZA CHARLOTTE W ÓSMEJ GODZINIE ŻYCIA wyjaśniał napis pod zdjęciem

wypisany kobiecą ręką z wymyślnymi zawijasami i ozdobnikami. A więc tak wyglądała Dina, gdy była jeszcze świeżo poślubioną małżonką Patricka. Zanim w ich życiu pojawił się Arthur Mallory i zniszczył ich małżeństwo.

– Charlotte była waszym jedynym dzieckiem? – spytała Jane.

– Dina upierała się, że powinniśmy mieć tylko jedno dziecko.

Wtedy nie miałem nic przeciwko temu, ale teraz...

Teraz tego żałuje, pomyślała. Żałuje, że przelał całą swoją miłość i nadzieje na dziecko, które pewnego dnia miał stracić.

Odwróciła stronę i przyjrzała się innym zdjęciom przedstawiającym Charlotte jako niebieskookiego bobasa o złocistych włosach. Na niektórych zdjęciach pojawiała się Dina, ale Patricka nie było na żadnym, był tam tylko jako trudno uchwytny cień w rogu zdjęcia, kiedy to on trzymał aparat. Jane doszła do ostatniej strony albumu, kiedy to Charlotte skończyła cztery latka.

Patrick podał jej kolejny album.

Tu lata bieging jakby szybciej, dziewczynka rosła i zmieniała się z każdą kolejną stroną. Po nagłym przyplwyie zainteresowania w pierwszych latach życia, gdy świeżo upieczonym rodzicom dziecko już nieco spowszedniało, zaczęli robić zdjęcia z większym namysłem, aparat wyjmowali tylko przy specjalnych okazjach. Przyjęcie z okazji piątych urodzin. Pierwszy występ w balecie. Wycieczka do Nowego Jorku. Nagle z bobaska o twarzy cherubina wyrosła ponura nastolatka, pozująca do zdjęcia w szkolnym mundurku przed główną bramą Bolton Academy.

– Na tym zdjęciu miała dwanaście lat – powiedział Patrick. – Pamiętam, że nienawidziła tego mundurka. Bardzo to przeżyłem, kiedy posłaliśmy moją małą dziewczynkę do szkoły z internatem. Dina upierała się przy tym, bo sama skończyła tę szkołę i uważała, że jest to miejsce, gdzie dziewczynka może „poznać odpowiednie osoby”. Tak to ujęła Dina. – Zamilkł. – Mój Boże, to pewnie brzmi bardzo powierzchownie, ale Dina miała fioła na punkcie takich rzeczy żeby Charlotte zaprzyjaźniła się z odpowiednimi osobami i poślubiła właściwego mężczyznę. A wyszło na to, że to Dina poznała męża w Bolton Academy – dodał ironicznie.

– Musiał pan bardzo przeżyć odejście żony.

Patrick wzruszył z rezygnacją ramionami.

– Zaakceptowałem to. Co innego mogłem zrobić? A co dziwniejsze, polubiłem Arthura Mallory'ego. Zresztą jak całą rodzinę Mallory, Barbarę i Marka, ich syna. Wszyscy byli przyzwoitymi ludźmi. Ale hormony to potężna siła. Myślę, że straciłem żonę już wtedy, gdy po raz pierwszy na siebie spojrzeli. Mogłem tylko stać i patrzeć, jak moje małżeństwo się rozpada.

Jane przewróciła ostatnią stronę i przyjrzała się uważnie ostatniemu zdjęciu w albumie. Było to zdjęcie ślubne. Pośrodku stała panna młoda i pan młody, Dina i Arthur Mallory, a po bokach ich dzieci, Mark po stronie swojego ojca, Charlotte po stronie matki. Młoda para promieniała szczęściem, ale Charlotte wyglądała na oszołomioną, jakby nie rozumiała, jakim cudem znalazła się wśród tych ludzi.

- Ile lat ma Charlotte na tym zdjęciu? – spytała Jane.
- Trzynaście.
- Wygląda na nieco zagubioną.
- To wydarzyło się tak szybko, chyba wszyscy byliśmy oszołomieni. Poznaliśmy państwa Mallory zaledwie rok wcześniej, kiedy Charlotte i Mark występowali na bożonarodzeniowym koncercie. Rok później znów się wszyscy spotkaliśmy na koncercie, ale wówczas Dina już mnie porzuciła dla Arthura. A ja stałem się jeszcze jednym samotnym ojcem wychowującym córkę.
- Charlotte została z panem po rozwodzie?
- Dina i ja sporo o tym rozmawialiśmy i oboje doszliśmy do wniosku, że najlepiej, jeśli ja będę sprawował opiekę nad Charlotte, bo wtedy zostanie w domu, w którym dorastała. Co kilka miesięcy miała spędzać weekend z Diną i Arthurem, ale wciąż podróżowali i prawie nie bywali w domu.
- I to wszystko odbyło się bez wojny w sądzie czy rywalizacji o córkę?
- To, że dwoje ludzi się rozwodzi, nie znaczy, że już o siebie nie dbają. My dbaliśmy o siebie nawzajem. Staliśmy się wtedy częścią powiększonej rodziny. Obawiam się, że była żona Arthura, Barbara, miała kłopoty z zaakceptowaniem rozwodu i nigdy mu nie wybaczyła. Ale ja nie chciałem żywić urazy, bo niczego dobrego by mi to nie przyniosło. To się nazywa być cywilizowanym człowiekiem.
- Tak też napisał w raporcie detektyw Ingersoll, że Patrick i jego była żona pozostali w serdecznych stosunkach nawet po

rozwodzie. Teraz, kiedy Jane usłyszała to z ust Patricka, była skłonna dać temu wiarę.

– Spędzili tu nawet ze mną ostatnie święta Bożego Narodzenia – ciągnął. – Arthur z Diną i Markiem. Tu, w tej jadalni, jedliśmy razem kolację. Otwieraliśmy prezenty. – Rozejrzał się, jakby wciąż widział ich cienie siedzące za stołem. – Pamiętam, że Charlotte siedziała tam, na końcu stołu, i pytała Marka o Harvard i o to, czy mu się tam podoba. Dina dała jej naszyjnik z pereł. Na deser jedliśmy placek z dyni. A potem zabrałem Marka na dół do mojego warsztatu, bo on uwielbia majsterkować. Dzieciak z Harvardu, który wolałby zostać stolarzem i tworzyć piękne meble. – Patrick zamrugał i spojrzał na Jane, jakby nagle przypomniał sobie o jej obecności. – A teraz ich nie ma. Zostaliśmy tylko my dwaj, Mark i ja.

– Zdaje się, że jesteście sobie dość bliscy?

– Och, to wspaniały młody człowiek. – Patrick zamilkł i nagle się uśmiechnął. – Mark ma już trzydzieści dziewięć lat, ale w moim wieku każdy, kto nie ma czterdziestki, wydaje się młody.

Jane wyjęła z pudła kolejny tom. Tym razem nie był to album ze zdjęciami, lecz księga pamiątkowa Bolton Academy, ze złotym emblematem szkoły wytłoczonym na rdzawoczerwonej okładce.

– To księga z tego roku, w którym Charlotte była w drugiej klasie – wyjaśnił Patrick, oglądając okładkę. – To było rok przed... – Jego twarz posmutniała. – Chciałem pozwać szkołę do sądu za niedopatrzenie. Zabrali moją córkę na wycieczkę w teren bez odpowiedniego nadzoru. Przecież tam byli, w miejscu

publicznym. To było w Faneuil Hall! Mogli podejrzewać, że niektóre dzieciaki się rozejdą, że jakiś nieznajomy może je zaczepić. Ale nauczyciele nie zwracali na nich uwagi i nagle moja córka znikła. Byłem wtedy za oceanem i nie mogłem nic, ale to nic zrobić, żeby uratować moją dziewczynkę.

– Rozumiem, że był pan wtedy w Londynie, tak?

Pokiwał głową.

– Miałem spotkanie z pewnymi potencjalnymi inwestorami, żeby pomnożyć mój cholerny majątek. Oddałbym wszystko, gdybym tylko mógł... – Patrick nagle wstał. – Chyba dobrze mi zrobi coś mocniejszego. Czy mogę coś pani podać?

– Nie, dziękuję. Prowadzę.

– Ach, odpowiedzialna policjantka. Przepraszam na chwilę – powiedział i wyszedł.

Jane otworzyła księgę pamiątkową, odszukała część poświęconą drugoklasistom i znalazła Charlotte na zdjęciach w dolnym rzędzie. Jej jasne włosy opadały swobodnie na ramiona, a na ustach malował się smutny uśmiech. Była śliczną dziewczyną, ale na jej twarzy już odbiło się piętno tragedii, jakby wiedziała, że w przyszłości czekają ją wyłącznie bolesne przeżycia. Pod zdjęciem wydrukowano listę jej zainteresowań i dodatkowych zajęć. Kółko teatralne. Sztuka. Orkiestra. Tenis. Orkiestra. Jane przypomniała sobie, że Charlotte grała na altówce. Przypomniała sobie również, że Laura grała na skrzypcach. Dziewczynki dorastały co prawda w dwóch różnych światach, ale łączyła je muzyka.

Pospiesznie przejrzała księgę w poszukiwaniu części

poświęconej zajęciom dodatkowym i odnalazła kolejne zdjęcie Charlotte, tym razem w grupie około dwudziestu muzykalnych uczniów. Siedziała w drugim rzędzie dzieci grających na instrumentach smyczkowych z altówką opartą na kolanach. Pod zdjęciem widniał podpis: *Pani Candace Forsyth, dyrektor ds. muzycznych i orkiestra Bolton Academy.*

Jane usłyszała kroki Patricka wracającego do jadalni z drinkiem, w którym grzechotały kostki lodu.

– Czy pana córka знаła dziewczynkę, która nazywała Laura Fang? – spytała.

– Detektyw Buckholz zadał mi to samo pytanie, kiedy zagięła Charlotte. Mówiłem mu, że nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Dopiero później dowiedziałem się, że Laura Fang zagięła dwa lata przed Charlotte, i zrozumiałem, dlaczego mnie o nią pytał.

– Nie przypomina pan sobie niczego, co mogło je łączyć? Charlotte nigdy nie wspominała imienia Laury?

Patrick spojrział na zdjęcie boltońskiej orkiestry.

– Każde dziecko, kiedy wraca ze szkoły, opowiada różne rzeczy, czasem wspomni o jakiejś dziewczynce, czasem o chłopcu. Który rodzic byłby w stanie zapamiętać te wszystkie imiona?

Miał rację. Trudno było oczekiwać czegoś takiego od matki czy ojca.

Jane zajrzała na koniec księgi, do części poświęconej starszym uczniom, i przejrzała zdjęcia równo ostrzyżonych chłopców w mundurkach szkoły Bolton, czyli granatowych

marynarkach i czerwonych krawatach. Było wśród nich zdjęcie Marka Mallory'ego, o nieco szczuplejszej niż teraz twarzy i dłuższych, bardziej kręconych włosach. Już wtedy był przystojnym młodzieńcem w drodze na Harvard. Umieszczona pod zdjęciem lista zainteresowań obejmowała lacrosse, orkiestrę, szachy, szermierkę i teatr.

Znów orkiestra. W końcu tak się poznali państwo Dion i państwo Mallory – poprzez ich muzyczne dzieci, które występowały w przedstawieniu bożonarodzeniowym.

– Nie wiem, czy to pani w jakiś sposób pomoże – powiedział Patrick. – Detektyw Buckholz zadał mi te same pytania dziewiętnaście lat temu.

Jane podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Może zmieniły się odpowiedzi.

Kiedy Jane opuściła Brookline i jechała na zachód odcinkiem autostrady międzystanowej znanym jako Massachusetts Turnpike, popołudniowe słońce świeciło jej prosto w oczy. Dość szybko pokonała drogę do Worcester, ale od tego punktu wlokła się powoli. Jechała drugorzędnymi drogami, na których samochody poruszały się jednym pasem z powodu wymiany nawierzchni. Gdy dotarła do Bolton Academy, była już prawie siedemnasta. Wjechała przez główną bramę na biegnącą zakolami drogę dojazdową wysadzaną starymi dębami. Przed gmachem na kamiennych schodach siedziały trzy pochłonięte pogaduszkami dziewczynki. Nie raczyły nawet spojrzeć na

Jane, kiedy zaparkowała i wysiadła z samochodu. Wyglądały na piętnaście albo szesnaście lat, wszystkie trzy były szczupłe i śliczne, doskonale zaprojektowane przez matkę naturę, by wypełnić swój biologiczny cel na ziemi i przyciągnąć uwagę młodzieńców.

– Przepraszam, szukam pani Forsyth, dyrektor do spraw muzycznych – powiedziała Jane.

Trzy boginie odpowiedziały obojętnymi spojrzeniami. Nawet w plisowanych spódniczkach i białych bluzkach potrafiły sprawić, że Jane poczuła się beznadziejnie niemodnie ubrana.

– Jest w Bennett Hall – powiedziała wreszcie jedna z nich.

– A gdzie to jest?

Dziewczynka z wdziękiem wskazała okazały budynek po drugiej stronie trawnika.

– Tam.

– Dziękuję.

Kiedy Jane szła przez trawnik, czuła, że patrzą za nią, przedstawicielką obcego gatunku należącego do świata zwykłych, przeciętnych ludzi. A więc tak wygląda szkoła z internatem. Na pewno nie jest to tak zabawne miejsce jak Hogwart, kojarzy się raczej z jakimś koszmarnym żeńskim zgromadzeniem. Zatrzymała się u stóp schodów prowadzących do Bennett Hall i spojrzała w górę na białe kolumny i misternie rzeźbiony fronton. Jakbym wdrapywała się na Olimp, pomyślała, wchodząc po schodach do głównego holu.

Z korytarza po lewej dobiegało rzępolenie na skrzypcach. Szukając źródła tych dźwięków, trafiła do klasy, gdzie jakaś

ogromnie skoncentrowana nastolatka ćwiczyła grę na skrzypcach pod okiem zagniewanej siwowłosej nauczycielki.

– Na litość boską, Amando, twoje vibrato brzmi jak gra na napiętym drucie! Od samego słuchania wysiadają mi nerwy. I tak wykręcasz szyję, że się udusisz. Rozluźnij nadgarstek. – Nauczycielka pociągnęła dziewczynkę za lewą rękę i mocno nią szarpnęła. – No już, rozluźnij!

Nagle uczennica zauważyła Jane i zamarła. Kobieta odwróciła się z pytającym spojrzeniem.

– Tak?

– Pani Forsyth? Dzwoniłam do pani. Jestem detektyw Jane Rizzoli.

– Już kończymy. – Nauczycielka odwróciła się do uczennicy i westchnęła. – Dziś jesteś bardzo spięta, więc nie ma sensu ciągnąć tej lekcji. Wracaj do akademika i poćwicz potrząsanie nadgarstków. Obie dłonie. Skrzypaczka przede wszystkim musi mieć elastyczne nadgarstki.

Dziewczyna z rezygnacją zaczęła pakować swoje rzeczy, już wyjść z sali, gdy nagle zatrzymała się i odezwała do Jane:

– Mówiła pani, że jest detektywem. Czy to znaczy, że jest pani z policji?

Jane skinęła głową.

– Z policji bostońskiej.

– Ale super! Ja chcę zostać agentką FBI.

– Wspaniale. W agencji przydałoby się więcej kobiet.

– Tak, proszę to powiedzieć moim rodzicom. Mówią, że praca w policji jest dla innych ludzi – mruknęła i wymknęła się

z klasy.

– Obawiam się, że z tej dziewczynki nie wyrosnie żaden muzyk – powiedziała pani Forsyth.

– O ile mi wiadomo, opanowanie gry na skrzypcach nie należy do wymagań stawianych przez FBI.

Ta sarkastyczna uwaga nie dodała Jane punktów w oczach nauczycielki. Pani Forsyth spojrzała na nią zimnym wzrokiem.

– Wspominała pani, że chciałyby zadać mi kilka pytań, tak?

– Na temat jednej z dziewcząt, która uczyła się tu dziewiętnaście lat temu. Była w szkolnej orkiestrze. Grała na altówce.

– Przyjechała tu pani w sprawie Charlotte Dion, prawda? – Nauczycielka, widząc, że Jane skinęła głową, westchnęła. – Oczywiście, o kogo innego może chodzić. Jedyna uczennica, o której nikt nie pozwoli nam zapomnieć. Po tylu latach pan Dion wciąż nas o to obwinia, prawda? Że stracił córkę.

– Każdemu rodzicowi trudno by było się z tym pogodzić. Można to chyba zrozumieć.

– Policja bostońska bardzo dokładnie badała sprawę jej zaginięcia i nigdy nie stwierdzili, że doszło do zaniedbania ze strony szkoły. Na tamtej wycieczce było aż nadto opiekunów średnia wynosiła po jednym na sześciu uczniów. A przecież to nie były małe dzieci, tylko nastolatki. Nie trzeba było ich niańczyć – powiedziała, po czym mruknęła pod nosem: Choć Charlotte może powinniśmy.

– Dlaczego?

– Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić.

- Czy Charlotte sprawiała trudności?
- Nie lubię źle mówić o zmarłych.
- Myślę, że zmarłym przede wszystkim zależy na tym, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Po chwili nauczycielka pokiwała głową.

– Powiem tylko tyle: nie była naszą gwiazdą. Och, oczywiście, była dość bystra. Mówiły o tym oceny, jakie uzyskała na egzaminie wstępnym. I przez pierwszy rok dobrze sobie radziła. Jednak po rozwodzie rodziców bardzo się opuściła i większość zajęć zaliczyła z trudem. Oczywiście było nam jej żal, ale połowa naszych uczniów pochodzi z rozbitych rodzin. Potrafią się przystosować i iść dalej. Charlotte nie potrafiła. Zrobiła się ponura, jakby przez samo nastawienie „zobaczcie, jaka jestem biedna” przyciągnęła nieszczęście.

Jak na kobietę, która nie lubi mówić źle o zmarłych, pani Forsyth z łatwością rozwiązał się język.

– Trudno ją winić za to, że straciła matkę – wtrąciła Jane.
– Tak, oczywiście, że tak. To było straszne, ta strzelanina w Chinatown. Ale zauważyła pani, jak nieszczęścia dotyczą pewnych ludzi? Tacy potrafią stracić małżonka, pracę i dostać raka, a wszystko w tym samym roku. Taka była Charlotte, zawsze ponura, zawsze przyciągająca nieszczęścia. I być może dlatego nie miała zbyt wielu przyjaciół.

Z pewnością Jane nie tak wyobrażała sobie Charlotte po rozmowie z Patrickiem. Była zdziwiona, słysząc takie rzeczy o dziewczynce.

– Sądząc po tym, co na jej temat napisano w księdze

pamiętkowej, miała ciekawe i budujące zainteresowania – zauważyła Jane. – Na przykład muzyka.

Pani Forsyth pokiwała głową.

– Była przyzwoitą almistką, ale nie wkładała w grę serca. Dopiero w przedostatniej klasie udało jej się zaliczyć pozytywnie przesłuchania na letnie warsztaty orkiestry bostońskiej. Ale pomogło jej to, że grała na altówce. Na almistów zawsze jest duże zapotrzebowanie.

– Ilu pani uczniów brało udział w tych warsztatach?

– Każdego roku co najmniej kilku. To najlepsze warsztaty w Nowej Anglii, prowadzone przez muzyków z Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej. Tylko dla wybrańców. – Pani Forsyth zamilkła. – Wiem, o kogo teraz pani spyta. O tę Chinę, która zaginęła, prawda?

Jane pokiwała głową.

– Czyta pani w moich myślach. Nazywała się Laura Fang.

– Rozumiem, że była utalentowanym dzieckiem. Tak słyszałam po jej zaginięciu. Wielu moich studentów było z nią na warsztatach.

– Ale nie Charlotte?

– Nie. Charlotte zaliczyła przesłuchanie dopiero rok po zaginięciu Laury, więc nie mogły się spotkać. Bo o to z pewnością zamierzała mnie pani teraz spytać.

– Po dziewiętnastu latach wciąż pamięta pani takie szczegóły?

– Bo niedawno wszystko to przerobiłam z tamtym detektywem.

– Z jakim detektywem?

– Nie pamiętam, jak się nazywał. To było kilka tygodni temu. Musiałabym zajrzeć do kalendarza.

– Byłabym wdzięczna, gdyby od razu zechciała pani znaleźć jego nazwisko.

W oczach nauczycielki pojawił się cień irytacji, jakby wymagało to od niej większego wysiłku, niż była gotowa podjąć. Ale podeszła do biurka i poszperała w szufladach, aż znalazła kalendarz. Przejrzała kartki i pokiwała wreszcie głową.

– O jest. Zadzwoił do mnie drugiego kwietnia, żeby się umówić. Pomyślałam, że wygląda trochę staro jak na detektywa, ale domyślam się, że w tym zawodzie liczy się doświadczenie.

Trochę staro. I pytał o zaginione dziewczynki.

– Czy to był detektyw Ingersoll? – spytała Jane.

Pani Forsyth spojrzała na nią.

– Więc pani go zna.

– Nie słyszała pani wiadomości? Detektyw Ingersoll nie żyje. Został śmiertelnie postrzelony w zeszłym tygodniu.

Kalendarz wypadł z rąk pani Forsyth i głośno plasnął o biurko.

– Mój Boże, nie wiedziałam.

– Dlaczego tu przyjechał, pani Forsyth. Dlaczego pytał o Charlotte?

– Domyślam się, że stał za tym jej ojciec, pewnie wciąż ma nadzieję, że się czegoś dowie. Wspomniałam o tym Markowi Mallory'emu na obiedzie absolwentów kilka tygodni temu, ale

nic o tym nie wiedział.

– A pytała pani o to pana Diona?

Nauczycielka się zaczerwieniła.

– Bolton Academy unika jakichkolwiek kontaktów z panem Dionem. Żeby nie wywoływać... złych uczuć.

– Proszę powiedzieć, co dokładnie mówił pani detektyw Ingersoll.

Nauczycielka zapadła się na krzesło za biurkiem. Nagle wyglądała na drobniejszą i mniej onieśmielającą, zaszokowaną tym nagłym wtargnięciem brutalnego świata do jej bezpiecznego schronienia wśród książek i partytur orkiestrowych.

– Przepraszam, proszę dać mi chwilę, żebym zebrała myśli...

– Przełknęła. – Właściwie nie wypytywał tak dużo o Charlotte. Chodziło mu raczej o tę drugą dziewczynkę.

– Laurę Fang.

– I inne.

– Inne?

– Miał ze sobą listę. Długą listę, na której były może ze dwa tuziny nazwisk. Pytał, czy któreś z nich jest mi znane. Czy któraś uczęszczała do szkoły Bolton. Powiedziałam, że nie.

– Czy pamięta pani jakieś nazwiska z tej listy?

– Nie. Jak już mówiłam, nie znałam żadnej z nich.

Powiedział, że te wszystkie dziewczynki zagięły tak jak Laura. – Pani Forsyth wyprostowała się i spojrzała na Jane. – To były dziewczynki, których nigdy nie odnaleziono.

Rozdział dwudziesty szósty

– Oto billing rozmów detektywa Ingersolla wykonanych z telefonu komórkowego i stacjonarnego w ciągu ostatnich trzydziestu dni – powiedział Tam, rozkładając na stole konferencyjnym wydruki, żeby Jane i Frost mogli im się przyjrzeć. – Tu są wszystkie rozmowy z całego miesiąca, wychodzące i przychodzące. Na pierwszy rzut oka nic nie wydaje się podejrzane. Zwykle codzienne sprawy. Rozmowy z córką, dentystą, telewizją kablową i centrum obsługi kart kredytowych. Jedna rozmowa z ośrodkiem wędkarskim w Maine, gdzie się zatrzymał. I wiele telefonów do pizzerii niedaleko domu.

– Jezu, ten to dopiero najadł się pizzy – sapnął Frost.

– Zauważycie też, że dzwonił do członków rodzin ofiar Czerwonego Feniksa. Akurat te telefony wykonał trzydziestego marca i pierwszego kwietnia. Dokładnie w rocznicę masakry.

– Rozmawiałem zarówno z panią Gilmore, jak i z Markiem Mallorym – powiedział Frost. – Potwierdzili, że Ingersoll do nich dzwonił, żeby się dowiedzieć, czy oni też dostali takie same anonimowe listy co on. Te, które otrzymywali co roku.

– Ale na liście jest też kilka połączeń, które moim zdaniem nie pasują do pozostałych – powiedział Tam. – Takie, które wydają się zupełnie przypadkowe. – Wskazał palcem jeden z numerów. – O, ten na przykład. Szósty kwietnia, Lowell.

Zakład o nazwie Pielęgnacja Najlepszego Przyjaciela. Psi fryzjer. O ile wiem, Ingersoll nie miał psa.

– Może spotykał się z jakąś psią fryzjerką? – podsunęła Jane.

– Zadzwońłem pod ten numer. Nigdy o nim nie słyszeli. I żaden jego pies nie był na liście klientów. Pomyślałem, że to mogła być pomyłka. – Wskazał kolejną pozycję. – A potem mamy tę rozmowę, ósmy kwietnia, Worcester. To telefon do sklepu z bielizną Podejrzana Dama.

– Nie wiem, czy chcę usłyszeć więcej na ten temat. – Jane się skrzywiła.

– Zadzwońłem to tego sklepu – powiedział Tam. – Nikt tam nie słyszał o Ingersollu, więc uznałem, że to kolejna pomyłka.

– Rozsądne przypuszczenie.

– Ale niesłuszne. On naprawdę chciał zadzwonić na ten numer.

– Proszę, powiedz tylko, że kupował seksowną bieliznę dla swojej dziewczyny, a nie dla siebie.

– Nie chodziło o seksowną bieliznę. Nie zamierzał nawet dzwonić do Podejrzanej Damy, tylko do poprzedniego abonenta tego numeru.

Jane ściągnęła brwi.

– Jak do tego doszedłeś?

– Po twojej wizycie w Bolton Academy wyciągnąłem stanową bazę danych zaginionych dziewcząt, tak jak prosiłaś. Zrobiłem zestawienie wszystkich dziewczynek, które zaginęły w Massachusetts w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat.

– Sięgnąłeś tak daleko w przeszłość?

– Charlotte zaginęła dziewiętnaście lat temu. Laura Fang dwadzieścia jeden lat temu. Wybrałem dwadzieścia pięć lat jako punkt graniczny, żeby zostawić spory margines czasu, i bardzo się cieszę, że tak zrobiłem. – Tam wyjął kartkę z opasłego pliku dokumentów i podsunął ją Jane. W połowie strony widniał zakreślony czerwonym flamastrem numer telefonu. – To numer Podejrzanej Damy, na który dzwonił Ingersoll. Dwadzieścia dwa lata temu ten numer należał do pana Gregory'ego Bolesa w Worcester. Dwanaście lat temu został przeniesiony na innego właściciela. A od czterech lat jest to telefon sklepu z bielizną Podejrzana Dama. Numery telefoniczne ciągle zmieniają właścicieli, a teraz, gdy coraz więcej osób rezygnuje z telefonów stacjonarnych, dzieje się tak jeszcze częściej. Myślę, że detektyw Ingersoll chciał zadzwonić do tamtego pierwszego właściciela numeru Gregory'ego Bolesa. Ale pan Boles dwanaście lata temu wyprowadził się ze stanu Massachusetts.

– Kim jest Gregory Boles? – spytał Frost.

Przeglądając kartkę z numerami telefonów, Jane nagle się ożywiła, bo zrozumiała, jak ważnego odkrycia dokonał Tam.

– To numery telefonów z bazy danych zaginionych dziewczynek – powiedziała, podnosząc głowę znad listy.

Tam przytaknął.

– Gregory Boles jest ojcem zaginionej dziewczynki. Zamierzałem przejrzeć wszystkie sprawy, które są obecnie otwarte w stanie Massachusetts. Każdy przypadek osoby płci żeńskiej poniżej osiemnastego roku życia, która zaginęła w

ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. – Wskazał opasłe dokumenty, które przytargał. – Ale zdałem sobie sprawę, że przeglądanie i sortowanie tych wszystkich spraw w poszukiwaniu powiązań z Charlotte albo Laurą to gigantyczne zadanie. I przyznam szczerze, byłem trochę wkurzony, że akurat na mnie padło, bo wydawało mi się, że to takie biurokratyczne przeglądanie papierków.

– Ale w końcu coś znalazłeś – powiedziała Jane.

– Tak. Wpadłem na pomysł, żeby znaleźć nazwisko i adres abonenta każdego numeru telefonicznego z billingu Ingersolla. Każdego numeru, który wybrał z telefonu stacjonarnego lub komórkowego. Sądząc po liczbie wykonanych połączeń, zaczął poszukiwać pewnych rodzin na początku kwietnia. A potem nagle przestał gdziekolwiek dzwonić. Zarówno z telefonu komórkowego, jak i ze stacjonarnego.

– Bo podejrzewał, że jest podsłuchiwany – uznała Jane. W laboratorium kryminalistycznym w istocie znaleziono pluskwę w telefonie stacjonarnym Ingersolla.

– Opierając się na telefonach, które wykonał, zanim przestał korzystać ze swoich aparatów, oto zaginione dziewczynki, do których rodzin starał się dotrzeć. – Tam podsunął Jane kolejną kartkę.

Widniały na niej tylko trzy nazwiska.

– Co wiemy o tych dziewczynkach?

– Były w różnym wieku. Trzynaście, piętnaście i szesnaście lat. Wszystkie zaginęły w promieniu około dwustu czterdziestu kilometrów od Bostonu. Dwie były białe, jedna Azjatka.

– Jak Laura Fang – zauważył Frost.

– I podobnie jak Laura – ciągnął Tam – te panienki były, jak to się mówi, grzecznymi dziewczynkami. W szkole dostawały same dobre oceny. Żadnych wykroczeń, nic, co by wskazywało, że mogły uciec z domu. Może dlatego Ingersoll wpisał je na swoją listę. Uznał, że to wspólny mianownik.

– Jak stare są te sprawy? – chciał wiedzieć Frost.

– Te dziewczęta zagięły ponad dwadzieścia lat temu.

– Więc sprawdzał tylko stare sprawy? Dlaczego nie zajął się również nieco nowszymi?

– Nie wiem. Może to był dopiero początek. Gdyby nie został zabity, może miałby więcej nazwisk. Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Dlaczego w ogóle się w to zaangażował? Nie zajmował się tymi zaginięciami, kiedy jeszcze pracował w policji, więc co go teraz do tego skłoniło? Czy emerytura była aż tak nudna?

– Może ktoś go wynajął jako prywatnego detektywa. Na przykład któraś z tych rodzin.

– Tak na początku sądziłem – powiedział Tam. – Udało mi się porozmawiać z każdą z trzech rodzin. Nikt nie wynajął Ingersolla. Wiemy też, że Patrick Dion również tego nie zrobił.

– Więc może robił to dla siebie – zastanawiał się Frost. – Niektórzy gliniarze źle się czują na emeryturze.

– Żadna z tych trzech spraw nie mogła podlegać pod policję bostońską – stwierdziła Jane. – To są jurysdykcje innych miast.

– Ale Charlotte Dion zagięła w Bostonie. Podobnie Laura Fang. To mógł być punkt wyjścia Ingersolla, powód, dla

którego się tym zajął.

Jane spojrzała na nazwiska trzech nowych dziewczynek.

– A teraz nie żyje – powiedziała cicho. – W co on się, do diabła, wpakował?

– W terytorium Kevina Donohue – podsunął Tam.

Jane i Frost spojrzeli na niego. Choć Tam pracował z nimi zaledwie od dwóch tygodni, zdążył już nabrać tupetu. W garniturze i pod krawatem, z równo ostrzyżonymi włosami i lodowatym spojrzeniem mógł uchodzić za agenta służb specjalnych albo za jednego z komiksowych Facetów w Czerni. Nie wyglądał na kogoś, z kim łatwo się zaprzyjaźnić, a Jane za nic nie potrafiła sobie wyobrazić wyjścia na piwo w jego towarzystwie.

– Ludzie mówią – powiedział Tam – że Donohue zajmuje się dziewczynami od lat. Prostytucja jest jego dodatkowym źródłem dochodów.

Jane pokiwała głową.

– Tak. Jeszcze jedno znaczenie nazwy jego zakładów Sprzedaż Hurtowa Mięsa Donohue.

– Może w ten sposób pozyskuje dziewczyny?

– Przez porywanie najlepszych uczniów? – Jane pokręciła głową. – Wydaje mi się, że to ryzykowny sposób zdobywania nieletnich prostytutek. Istnieją o wiele prostsze sposoby.

– Ale to by wszystko wyjaśniało. Joey Gilmore, zaginione dziewczynki i Czerwony Feniks. Może Ingersoll wpadł na trop łączący te sprawy z Donohue i dlatego był szpiegowany. I dlatego przestał używać swoich telefonów. Bo wiedział, że

gdyby Donohue coś zwąchał, to on sam już by nie żył.

– Ingersoll już nie żyje – przypomniała Jane. – Nie wiemy natomiast, dlaczego zaczął zadawać te pytania. Po tylu latach na emeryturze, dlaczego nagle zaczął się interesować, zaginionymi dziewczynkami.

– Może, po pierwsze, powinniśmy zadać sobie pytanie dla kogo Ingersoll pracował? – powiedział Tam.

Teraz było ich już sześć.

Jane usiadła za biurkiem, analizując to, co wiedziała o trzech nowych dziewczynkach na liście. Pierwsza zaginęła Deborah Schiffer, lat trzynaście, z Lowell w stanie Massachusetts. Córka lekarza i nauczycielki, metr pięćdziesiąt osiem wzrostu i czterdzieści pięć kilo wagi, oczy piwne, włosy brązowe. Zaginęła dwadzieścia pięć lat temu gdzieś w drodze ze szkoły do domu nauczycielki gry na pianinie. Wzorowa uczennica, została opisana jako nieśmiała, zatopiona w książkach, o ile było wiadomo, nie miała chłopaka. W czasach internetu wiedzieliby o niej zapewne dużo więcej, ale wówczas Facebook i MySpace nie zostały jeszcze wynalezione.

Półtora roku później znika kolejna dziewczynka. Patricia Boles, lat piętnaście, ostatnio widziana w centrum handlowym, do którego podwiozła ją mama. Trzy godziny później Patricia nie pokazała się w umówionym miejscu. Metr sześćdziesiąt wzrostu, czterdzieści siedem kilo wagi, blond włosy, oczy niebieskie. Podobnie jak Deborah Schiffer była nieprzeciętnie

uzdolnioną uczennicą, która nigdy nie przysparzała problemów. Jej zniknięcie bez wątpienia przyczyniło się do późniejszego rozpadu małżeństwa rodziców. Matka zmarła siedem lat później, ojciec, którego Jane wreszcie odnalazła na Florydzie, niechętnie rozmawiał o dawno utraconej córce.

– Ponownie się ożeniłem i mam trójkę dzieci. Wie pani wystarczy, że słyszę imię Patty, a już cierpię. To zbyt bolesne – powiedział Jane przez telefon. Tak, w ciągu tych lat dzwoniłi do niego z policji. Tak, rozmawiał ostatnio z detektywem Ingersollem. Ale z tych rozmów nigdy nic nie wynikło.

Od zaginięcia Patty Boles minął ponad rok, nim znikła kolejna dziewczynka. Sherry Tanaka miała szesnaście lat, była drobnej budowy i uczyła się w przedostatniej klasie szkoły średniej w Attleboro. Pewnego popołudnia zniknęła z domu, zostawiając otwarte na oścież drzwi i pracę domową rozłożoną na stole w jadalni. Jej matka, mieszkająca obecnie w Connecticut, otrzymała niedawno list od detektywa Ingersolla, w którym prosił ją o rozmowę na temat Sherry. List nosił datę czwartego kwietnia i przewędrował przez kolejne nieaktualne adresy mamy Sherry, aż dotarł do adresatki. Akurat wczoraj do niego zadzwoniła, ale nikt nie odpowiadał.

Bo Ingersoll już nie żył.

Pani Tanaka nie znała żadnej dziewczynki z listy, nie słyszała też o Charlotte Dion. Ale nazwisko Laury Fang brzmiało znajomo, bo była Azjatką, podobnie jak Sherry, i dlatego ten szczegół utkwiał jej w pamięci. Zastanawiała się, czy coś mogło łączyć te dwie dziewczynki. Wiele lat temu zadzwoniła nawet

na policję w Attleboro w tej sprawie, ale od tamtej pory nie odezwali się do niej.

W zaginięciu trzech dziewczynek ze stanu Massachusetts na przestrzeni sześciu lat nie było niczego niezwykłego. Co roku w całym kraju tysiące dzieci w wieku od dwunastu do siedemnastu lat uznaje się za zaginione, wiele z nich z pewnością zostaje uprowadzonych przez osoby niespokrewnione. W tym samym okresie w stanie Massachusetts zagięło kilkadziesiąt innych dziewczynek z tej samej grupy wiekowej, lecz żadna z nich nie znalazła się na liście Ingersolla. Dlaczego skupił się akurat na tych ofiarach? Bo były w podobnym wieku i podobnej budowy? Bo wszystkie trzy zagięły w miejscach łatwo dostępnych z drogi numer 495, która okrążała obszar metropolitalny Bostonu?

A potem była siedemnastoletnia Charlotte Dion. W przeciwieństwie do pozostałych dziewczynek była starsza i nie miała najlepszych ocen. W jaki sposób pasowała do tego wzorca?

Może nie było żadnego wzorca? Może Ingersoll szukał powiązań, które w ogóle nie istniały?

Jane odłożyła na bok notatki na temat trzech dziewczynek i skupiła się na aktach Charlotte, które skompletował detektyw Buckholz. Były o wiele grubsze niż akta Laury Fang i Jane uznała, że musiało tak się stać za sprawą nazwiska ojca Charlotte. Grubość portfela ma znaczenie nawet tam, gdzie chodzi o sprawiedliwość. A może nawet szczególnie tam, gdzie chodzi o sprawiedliwość. Zaginięcie dziecka zawsze będzie

prześladować każdego rodzica, każąc mu się zastanawiać, czy ta młoda kobieta, którą zauważył na ulicy, może być dawno utraconą, teraz już dorosłą córką? Czy była tylko kolejną obcą osobą, której uśmiech albo wykrój ust przez ułamek sekundy wydał się tak boleśnie znajomy?

Jane otworzyła kopertę zawierającą zapewne ostatnie zdjęcia, jakie zrobiono Charlotte, które wyciągnęli z archiwum „Boston Globe”. Było tam kilkanaście fotografii wykonanych podczas podwójnego pogrzebu Arthura i Diny Mallory. Przerazające okoliczności ich śmierci i medialny szum, który towarzyszył masakrze w Czerwonym Feniksie, przyciągnęły tamtego dnia na cmentarz prawie dwieście osób, jak informował poświęcony pogrzebowi artykuł w „Globe”, a fotograf zrobił kilkanaście ujęć tłumu ludzi w ciemnych strojach, stojących przy dwóch otwartych grobach.

Ale najbardziej wstrząsające były zbliżenia krewnych. Charlotte stała w samym środku, stanowiąc pełne dramatyizmu centrum kompozycji, i trudno było się temu dziwić: z bladą cerą i długimi jasnymi włosami stanowiła jakże kruche i wątłe uosobienie bólu po stracie bliskich. Uniosła dłoń do ust, jakby chciała stłumić szloch, a jej twarz była ściągnięta bólem. Po prawej stał jej ojciec Patrick i patrzył na nią z niepokojem. Ale ona była od niego odwrócona, jakby nie chciała, by widział jej cierpienie.

Na skraju kadru stał Mark Mallory, jego ciemne włosy były wtedy dłuższe i bardziej niesforne. Już w wieku dwudziestu lat wyglądał na dobrze zbudowanego mężczyznę, umięśnionego i

szerokiego w barach. Wyraźnie górował nad wymizerowaną kobietą w średnim wieku siedzącą na wózku inwalidzkim, na której ramieniu położył dłoń. Jane domyśliła się, że to jego matka Barbara, była żona Arthura. Siedziała ze wzrokiem wbitym w trumny, nieświadoma tego, że trzask migawki aparatu na zawsze utrwali wyraz jej twarzy, nie pełen bólu, lecz nieprzyjemnej zimnej obojętności. Jakby mężczyzna leżący trumnie nic dla niej nie znaczył. A może nawet więcej niż nic: przecież Arthur porzucił ją dla Diny i choć Mark twierdził, rodzice nie byli do siebie wrogo nastawieni i nie mieli do siebie żalu, zdjęcie twarzy Barbary temu przeczyło. Przedstawiało porzuconą żonę nad grobami byłego męża i kobiety, która jej go ukradła. Czy czuła w tamtej chwili satysfakcję? Miała poczucie triumfu, bo przeżyła ich oboje?

Jane spojrzała na następne zdjęcie zrobione z tego samego miejsca, ale twarz Charlotte była zamazana, bo odwróciła się właśnie jeszcze bardziej od swojego ojca, całe jej ciało było w ruchu. Na następnym zdjęciu Patrick spoglądał na nią z marsową miną, ona zaś nadal się odwracała, z ręką wciąż przyciśniętą do ust i grymasem na twarzy. Na kolejnym ujęciu była już niemal poza kadrem, widać było tylko jej plecy i zamazaną spódnicę. Kolejny trzask migawki i Charlotte znikła. Podobnie jak Mark. Patrick Dion i Barbara pozostali na miejscach, na ich twarzach malowało się zmieszanie spowodowane niespodziewanym wymknięciem się dzieci z grona żałobników.

Co się działo między Charlotte i Markiem? Czy poszedł za

nią, żeby ją pocieszyć?

Na następnej fotografii Patrick nachylał się, próbując niezdarnie objąć Barbarę, para porzuconych małżonków pocieszających się nawzajem. Była to niemal artystyczna kompozycja, ich uścisk odbijał się na lśniących wiekach trumien.

Ostatnie zdjęcie przedstawiało rozchodzący się tłum ludzi odwróconych plecami do dwóch grobów. Być może miało stanowić metaforę tego, że ci, którzy nie umarli, wracają do swoich codziennych spraw i życie toczy się dalej. Na tym ostatnim ujęciu znów było widać Charlotte, szła obok ojca, który mocno obejmował ją w pasie. Ale dziewczyna odwracała głowę w stronę grobu, a jej spojrzenie wyrażało rozpaczliwi tęsknotę, jakby chciała rzucić się na trumnę matki. Matki, która pięć lat wcześniej odeszła z jej życia.

Jane odłożyła na bok zdjęcie, przygnębiona smutkiem Charlotte. Pomyślała o swojej mamie i o tym, jak bardzo Angela ją irytuje. Ale Jane ani razu nie wątpiła w to, że matka ją kocha i oddałaby za nią życie, tak jak Jane bez chwili wahania oddałaby swoje za Reginę. Kiedy Dina rozwiodła się z Patrickiem, Charlotte miała tylko dwanaście lat, wchodziła w ten jakże trudny czas końca dzieciństwa. Nawet mając oddanego ojca dziewczynka pewnych rzeczy może się dowiedzieć tylko od matki, rzeczy związanych z kobiecością. Kogo miałaś Charlotte, kto mógłby cię tego nauczyć?

W porze lunchu Jane zeszła na dół do kawiarni po kawę i kanapkę z szynką. Przyniosła jedzenie na górę, pożywiając się

nie dla przyjemności, ale z konieczności. Wytarła palce ubrudzone majonezem i usiadła przed komputerem, żeby obejrzeć zdjęcia cyfrowe z miejsca zbrodni w domu Ingersolla. Przeglądając je, przypomniała sobie zapach zarośli porastających ścieżkę i błysk ekranu telewizora w oknie, i nagle jej serce zabiło mocniej. Tamtej nocy miałam umrzeć, pomyślała. Odetchnęła głęboko i zmusiła się do skupienia uwagi na zdjęciach i krytycznej oceny zastanej w domu Ingersolla sytuacji z innej, bardziej spokojnej perspektywy. Przystudiowała kuchnię, gdzie Ingersoll leżał z głową w kałuży krwi. Kliknęła na zdjęcie jego gabinetu z przetrząśniętymi szufladami i pustym blatem biurka, na którym wcześniej musiał stać komputer. Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej Ingersoll powiedział Jane, że ktoś włamał się do jego domu. Taki bałagan zastał, gdy wrócił z wycieczki na ryby, ślady włamania. Na końcu kliknęła zdjęcie sypialni, gdzie wciąż leżała nierozpakowana walizka Ingersolla. Nie było mu dane jej rozpakować.

Przeskoczyła dalej do zdjęć jego fordka taurusa zaparkowanego przed domem. Samochód był wciąż zaśmiecony pozostałościami po długiej podróży. Leżały tam puste kubki po kawie zmięte torebki z Burger Kinga, gazeta „Bangor Daily”. Tamtej nocy Jane była cała zaplamiona krwią i wstrząśnięta po tym, co się wydarzyło w zaułku, więc nie przeszukała samochodu pozostawiając to zadanie Frostowi i Tamowi. Frost doniósł jej, że w schowku na rękawiczki znalazł rachunek sprzed tygodnia ze stacji benzynowej w Grenville w

Maine. To potwierdzało słowa córki, która twierdziła, że ojciec wyjechał na ryby gdzieś na północ.

Ponownie przejrzała wszystkie zdjęcia, klikając jedno po drugim. Salon, jadalnia, kuchnia, sypialnia. Nie znalazłszy tego, czego szukała, wzięła telefon i zadzwoniła do Frosta.

– Czy znalazłeś gdzieś w domu skrzynkę wędkarską? – spytała.

– Hm, nie, nie przypominam sobie. Chyba niczego takiego tam nie widziałem.

– Kto jedzie na ryby bez skrzynki?

– Może wszystko wynajął na miejscu, w tym ośrodku, w którym się zatrzymał?

– Rozmawiałeś z kierownikiem?

– Tak. Ale nie pytałem o sprzęt wędkarski.

– Zadzwonię do niego.

– Po co?

– Po prostu wydaje mi się to dziwne. Nic więcej. – Rozłączyła się i wyjęła billingi Ingersolla. Przeglądając listę, znalazła kierunkowy dwieście siedem. Czternastego kwietnia Ingersoll dzwonił na ten numer z telefonu stacjonarnego.

Jane postanowiła tam zadzwonić. Po pięciu dzwonekach słyszała męski głos, który rzucił rzeczowo:

– Loon Point.

– Mówi detektyw Jane Rizzoli z bostońskiej policji. Mogę wiedzieć, z kim rozmawiam?

– Z Joem. Macie jeszcze jakieś pytania?

– Przepraszam?

– Wczoraj też ktoś od was dzwonił. Rozmawiał z moim synem Willym.

– To musiał być detektyw Frost. Gdzie dokładnie znajduje się Loon Point?

– Nad jeziorem Moosehead. Mamy tu kilkanaście przytulnych małych domków.

– Mieliście ostatnio gościa, pana Ingersolla.

– Tak, Will mówił, że o niego pytaliście. Kiedy przyjechał, w recepcji była moja żona, ale dziś jej nie ma. Mogę tylko powiedzieć, że był tu przez pięć dni i trzymał się raczej na uboczu. – Przerwał i krzyknął do syna: – Will, możesz pomóc tym gościom rozładować sprzęt z łódki!? Już są przywiązani do nabrzeża! – Po czym znów odezwał się do Jane: – Przepraszam panią. Zaczynamy tu mieć spory ruch. Naprawdę chciałbym pomóc, ale chyba niewiele więcej mam do powiedzenia.

Przykro nam, że ten pan nie żyje.

– Czy to była pierwsza wizyta pana Ingersolla w Loon Point?

– Nie pamiętam, żebym go tu wcześniej widział.

– Jak długo pracuje pan w tym miejscu?

– Od początku. Jestem właścicielem. Naprawdę muszę już kończyć i pomóc gościom.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy podczas pobytu pan Ingersoll wypożyczał jakiś sprzęt wędkarski?

– Tak. Will pomógł mu wybrać wędkę i kołowrotek. Ale chyba za dużo nie złapał.

Zerknęła na swój dzwoniący telefon komórkowy.

– Dziękuję panu, panie...

– Patten. Jeśli będzie pani jeszcze miała pytania, proszę dzwonić.

Jane odłożyła słuchawkę i złapała komórkę. Dzwonili z laboratorium kryminalistycznego.

– Jane Rizzoli, słucham?

– Przez te lata naoglądałam się już trochę dziwnych rzeczy, ale to przechodzi ludzkie pojęcie – oznajmiła tajemniczo technik kryminalistyki Erin Volchko.

– O co chodzi?

– O ten kawałek metalu, który dostaliśmy z biura lekarza sądowego. Ten, który tkwił w kręgosłupie szyjnym niezidentyfikowanej kobiety.

– A tak. Kawałek ostrza.

– To nie przypomina żadnego metalu, z którym się dotąd spotkałam.

Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy Jane weszła do laboratorium kryminalistycznego, Frost i Tam już na nią czekali. A także jakiś mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała, niezwykle rozmowny Afroamerykanin. Erin przedstawiła go jako doktora Calvina Napoleona Cherry'ego z harwardzkiego Muzeum imienia Arthura Sacklera.

– Kiedy zrozumiałam, co to może być za metal, poprosiłam doktora Cherry'ego, żeby na to spojrział – powiedziała Erin. – Jeśli ktokolwiek zna odpowiedź, to na pewno on.

– Och, przedstawia mnie pani, jakbym był światowym autorytetem. To gruba przesada. – Doktor Cherry zaśmiał się nieco zawstydzony.

– Cóż, pańskim nazwiskiem podpisana jest połowa wszystkich artykułów, jakie opublikowano na ten temat. Na pewno nie ma lepszego eksperta w tej dziedzinie niż pan.

– Jaką funkcję pełni pan w muzeum Sacklera, doktorze Cherry? – zainteresowała się Jane.

Wzruszył skromnie ramionami.

– Jestem kuratorem tamtejszej kolekcji broni. Napisałem pracę doktorską na temat metalurgicznej analizy brzeszczotów. To znaczy ostrzy. A konkretnie ostrzy chińskich i japońskich. Są blisko spokrewnione, choć już wieki temu metody rzemieślnicze zaczęły się różnić.

– Więc uważa pan, że to ostrze zostało wykonane w Azji?

– Jestem tego niemal pewny.

– Potrafi pan to stwierdzić na podstawie jednego fragmentu?

– Proszę bardzo. – Erin usiadła przed komputerem. – Pokażę wam zdjęcia, które wysłałam doktorowi Cherry'emu na początku tygodnia. To zdjęcia mikroskopowe tego kawałka ostrza. – Erin postukała w klawiaturę i na ekranie ukazał się wzór przedstawiający symetrycznie pofalowane wstęgi i słoje.

– To, co teraz widzicie – zaczął objaśniać doktor Cherry – nazywane jest stalą damasceńską albo demeszką lub bułatem. Ten falisty wzór powstaje przy nakładaniu na siebie kolejnych warstw stali i ich łączeniu poprzez kucie, przekładając na przemian warstwy miękkiej i twardej stali. Im więcej warstw, tym bardziej fachowa robota. W Chinach najlepszą stal nazywano *bailian jinggang*, czyli „stalą wykutą setki razy”. I w ten właśnie sposób powstają takie wzory jak ten, który tu widzicie, zwane przez nas żyłami metalu.

– Skoro broń jest chińska, dlaczego stal jest nazywana damasceńską? – wtrącił się Frost.

– Aby to wyjaśnić, musiałbym opowiedzieć wam nieco o historii chińskiej broni. Jeśli oczywiście macie ochotę posłuchać. – Zerknął na trójkę detektywów, by ocenić poziom ich zainteresowania.

– Proszę mówić dalej – zachęciła go Jane.

Oczy doktora Cherry'ego błysnęły, jakby nie interesowało go nic innego na świecie.

– Sięgnijmy do początków sztuki wytwarzania mieczy.

Tysiące lat temu Chińczycy zaczęli robić ostrza z kamienia. Potem rozwinęli się i wykorzystywali brąz, miękki i ciężki metal, który jako surowiec do wyrobu broni ma pewne ograniczenia. Kolejnym etapem rozwoju było żelazo, ale nie znajdziemy zbyt wielu przykładów takich mieczy, ponieważ żelazo koroduje i niewiele po nim zostaje. Jak na ironię, dużo łatwiej trafić na miecz z brązu niż z żelaza, choć te z brązu są o setki lat starsze.

– Ale my mówimy o stali – przypomniał Tam – nie o żelazie.

– A wie pan, jaka jest różnica między stalą a żelazem?

Tam się zawahał.

– Jeśli dobrze pamiętam, ma to coś wspólnego z dodatkiem węgla.

– Bardzo dobrze! – Doktor Cherry się rozpromienił. – Nie każdy wie takie rzeczy, włączając niektórych studentów pierwszego roku Harvardu. A zatem teraz znajdujemy się w połowie okresu panowania dynastii Han, około dwóch tysięcy lat temu, kiedy kowale nauczyli się wykuwać i nakładać na siebie warstwy stali, skuwać ją w pasy i warstwy. Ta technika narodziła się prawdopodobnie w Indiach i później rozprzestrzeniła w Chinach i na Bliskim Wschodzie. I w ten sposób stal otrzymała nazwę damasceńskiej.

– Choć wcale nie pochodzi z Damaszku – dodał Frost.

– Nie, pochodzi z Indii. Ale dobre pomysły zawsze się rozprzestrzeniają, a kiedy ta technika dotarła do Chin, wyrabianie mieczy stało się prawdziwą sztuką. W kolejnych stuleciach jakość broni bywała różna, co zależało od działań

wojennych. Każdy nowy konflikt prowadzi do rozwoju broni. Kiedy w czasach dynastii Song Mongołowie najechali na Chiny, wprowadzili szable. Chińczycy dostosowali szablę do ich własnego zakrzywionego miecza. Jest on znany jako *dao* i był używany przez jazdę do cięcia i płatania z siodła. Mówimy o klingach ostrych jak żyletka, więc możecie sobie wyobrazić, jaką jatkę urządzano na polu walki. Kończyny i głowy odcinano na masową skalę.

Doktor Cherry roztoczył przed nimi dość makabryczną wizję, którą Jane aż za dobrze potrafiła sobie wyobrazić. Widziała zaułek w pobliżu domu Ingersolla. Świst ostrza, rozbryzg gorącej krwi na swojej twarzy. Łagodny głos doktora Cherry'ego groteskowo kontrastował z opisywanymi przez niego okropnościami.

– Kto chciałby zaciągnąć się do wojska w takich czasach? Ja na pewno nie – powiedział Frost.

– Mógłby pan nie mieć wyboru – odparł doktor Cherry. – Konflikty zbrojne przez dłuższy czas były w historii Chin na porządku dziennym. Gubernatorzy wojskowi toczyli między sobą walki. Kraj był atakowany przez Mongołów i piratów.

– Piraci? W Chinach?

Doktor Cherry pokiwał głową.

– Podczas panowania dynastii Ming japońscy piraci terroryzowali chińskie wybrzeże. Aż do pojawienia się bohaterskiego generała Qi, który ich pokonał.

– Coś o nim słyszałem – odezwał się Tam. – Babka opowiadała mi, że generał Qi obciął głowy pięciu tysiącom

piratów. Jego przygody doskonale nadawały się do opowiadania jako bajki na dobranoc.

– Jezu – mruknęła Jane. – A mnie opowiadano tylko o Królownie Śnieżce i Siedmiu Krasnoludkach.

– Elitarni żołnierze generała Qi byli znani ze stosowania pomysłowej taktyki – ciągnął doktor Cherry. – A ich bronią z wyboru była *dao*, chińska szabla. – Doktor wskazał powiększone zdjęcie na ekranie komputera Erin i powiedział z nutą podziwu i szacunku: – To niezwykle, jeśli sobie wyobrazimy, skąd pochodzi ten fragment.

– Z chińskiej szabli? – spytała Jane.

– Tak.

– Jak może pan to stwierdzić, dysponując tak małym fragmentem? A może to japoński miecz samurajski?

– Przypuszczam, że to możliwe, ponieważ Japończycy nauczyli się technik wytwarzania mieczy od Chińczyków.

– A miecze samurajskie są łatwo dostępne – zauważył Tam. – Można je znaleźć w specjalistycznych sklepach z nożami.

– Och, ale te sklepy nie sprzedają takich szabli jak ta, z której pochodzi ten fragment.

– Co jest w nim takiego wyjątkowego? – spytała Jane.

– Wiek. Określony metodą datowania węglem radioaktywnym.

Jane ściągnęła brwi.

– Sądziłam, że ta metoda jest stosowana wyłącznie do materiałów organicznych. A to jest stal.

– Wróćmy do sposobu wytwarzania dawnych mieczy i szabli

zapropował doktor Cherry. – Tradycyjna technika polegała na topieniu piasku żelazistego w kuźni. Następnie w celu otrzymania stali do żelaza dodawano węgiel. A skąd brano ten węgiel? Z popiołu drzewnego.

– A węgiel jest materiałem organicznym – stwierdził Tam.

– Tak. Znakomicie. Za pomocą spalania w szczelnie zamkniętej rurce uzyskaliśmy z tego fragmentu zawarty w nim węgiel – uzupełniła Erin. – I ten węgiel poddano następnie badaniu.

– Czy nasz fragment ostrza uległ przez to zniszczeniu?

– Niestety, tak. Aby określić wiek węgla, trzeba było poświęcić naszą próbkę. Tylko w ten sposób mogliśmy dokładnie określić wiek.

– I tu pojawia się wielka niespodzianka. – W głosie Cherry'ego brzmiało podniecenie.

– Domyślam się, że ta broń nie została kupiona w jednym z lokalnych sklepów z białą bronią – powiedziała Jane.

– Nie, chyba że ten sklep handluje bardzo starymi antykami.

– Jak bardzo starymi?

Doktor Cherry wskazał zdjęcie mikroskopowe.

– Stal, którą tu widzicie, została wytworzona w czasach dynastii Ming. Datowanie metodą węgla radioaktywnego zawęziło ten okres do lat tysiąc pięćset czterdzieści–tysiąc pięćset dziewięćdziesiąt. – Spojrzał na Jane błyszczącymi z zachwyty oczami. – To są właśnie czasy legendarnej armii generała Qi. Wykonaną z takim kunsztem szablą mógł posługiwać się jeden z jego żołnierzy. Być może nawet odcięto

nią głowy kilku piratów.

Jane wpatrywała się w obraz na monitorze.

– Ta broń ma ponad pięćset lat? I nadal nadaje się do użytku?

– Taką szablę można utrzymać w dobrym stanie przez bardzo długi czas, ale trzeba o nią dbać, szczególnie jeśli była używana na polu walki. Pod wpływem krwi stal koroduje, nawet jeśli bardzo dokładnie tę krew zetrzemy. Powietrze powoduje rdzewienie i dziury w stali. Ostrze musiało być przez te stulecia wciąż czyszczone i polerowane, a to również powoduje ścieranie metalu, przez co krawędź staje się krucha. I być może właśnie dlatego ten akurat fragment brzeszczota odłamał się i utkwił w szyi ofiary. Szabla powoli osiąga kres swego żywota jako narzędzia do zabijania. – Doktor Cherry westchnął tęsknie. – Ile bym dał, żeby zbadać tę szablę. *Dao* z czasów generała Qi byłaby bezcenna, gdyby tylko dało się ją znaleźć. – Zamilkł i spojrzał z zatroskaną miną na Frosta, który nagle pobladł. – Czy coś się stało, panie detektywie?

Na co Frost odparł cichym:

– Wiem, gdzie znajduje się ta szabla.

Rozdział dwudziesty ósmy

Raz jeszcze detektywi, pani Rizzoli i pan Frost, naruszają spokój mojego studia. Tym razem przychodzą z elegancko ubranym czarnym mężczyzną, którego łagodny tembr głosu i pewna nieśmiałość świadczą o tym, że w odróżnieniu od nich nie jest policjantem. Ich niezapowiedziana wizyta stanowi zaskoczenie dla dwunastki moich uczniów. Zamierają bez ruchu, przerywając ćwiczenia sparingowe. Jedyne Bella natychmiast wkracza do akcji, żwawo wymija uczniów i staje obok mnie. Zachowuje się jak moja groźna strażniczka, wszystkiego razem jakiś metr sześćdziesiąt cztery, licząc sterczące czarne włosy. Nie dziwi mnie ta wizyta, więc rzucam Belli spojrzenie mówiące: „Nie jesteś potrzebna. Pozwól, że sama się tym zajmę”.

Bella odpowiada ledwo zauważalnym skinieniem głowy, ale, co za uparciuch, nie rusza się z miejsca.

Pani detektyw przejmuje prowadzenie rozmowy. Jakżeby inaczej, przecież obnosi się ze swoją władzą niczym ze zbroją.

– Wiemy, że jest pani w posiadaniu zabytkowej szabli, pani Fang – mówi. – Prosimy, aby nam ją pani oddała.

Patrzę na detektywa Frosta. Zimnym oskarżycielskim spojrzeniem, pod którego wpływem jego oczy ciemnieją ze wstydu. Tamtego wieczoru, gdy jedliśmy razem kolację, gdy nasze stosunki uległy ociepleniu, pozwoliłam mu potrzymać

Zheng Yi i opowiedziałam mu historię tej szabli. Tamtej nocy widziałam na jego twarzy życzliwość. Teraz ta sama twarz była maską, która szczelnie zakrywała wszelkie ślady tego, co nas wcześniej połączyło. Nie ma wątpliwości, że pan Frost jest przede wszystkim policjantem, a to niweczy możliwość nawiązania jakiegokolwiek przyjaźni.

– Jeśli nie odda nam pani tej broni dobrowolnie – mówi Jane Rizzoli – mamy nakaz rewizji.

– A jeśli oddam wam szablę, co z nią zrobicie? – pytam.

– Zbadamy ją.

– W jakim celu?

– Aby stwierdzić, czy została użyta do popełnienia zbrodni.

– Czy oddacie ją w nienaruszonym stanie?

– Pani Fang, nie przyszliśmy tu, aby negocjować. Gdzie jest ta szabla?

Bella robi krok do przodu, emanuje z niej wściekłość jak buczenie linii wysokiego napięcia.

– Nie możecie tak po prostu jej skonfiskować.

– Według prawa możemy.

– Zheng Yi od pokoleń był w mojej rodzinie – mówię. – Nigdy się z nią nie rozstałam.

Detektyw Jane Rizzoli patrzy na mnie z marsową miną.

– Zheng Yi?

– To imię, które otrzymała, gdy została wykuta. Oznacza „sprawiedliwość”.

– Szabla ma imię?

– Dlaczego to panią dziwi? Przecież w kulturze zachodniej

macie legendę o mieczu zwanym Ekskaliburem, prawda?

– Pani Fang – odzywa się czarny mężczyzna, łagodnym i pełnym szacunku głosem – proszę mi wierzyć, w żadnym wypadku nie chciałbym, aby ta szabla doznała uszczerbku. Znam jej wartość i obiecuję, że będę ją traktował z należytą dbałością.

– A dlaczego miałabym panu wierzyć?

– Ponieważ moja praca polega na ochronie i zabezpieczeniu takiej broni. Jestem doktor Calvin Cherry, pracuję w Muzeum imienia Arthura Sacklera i zbadałem już wiele zabytkowych szabli. Znam ich historię. Wiem, w jakich bitwach brały udział.

– Pochyliła głowę na znak szacunku, a to wywiera na mnie duże wrażenie. – Będę zaszczycony, jeśli pozwoli mi pani obejrzeć Zheng Yi – dodaje cicho.

Patrzę w jego łagodne brązowe oczy i widzę w nich szczerość, której się nie spodziewałam. Ten mężczyzna wymawia imię Zheng Yi z doskonałym akcentem, co świadczy o tym, że zna mandaryński. Co ważniejsze, wie, że wyśmienitej broni należny jest szacunek z racji umiejętności płatnerza, który ją wykuł, oraz wieków, jakie przetrwała.

– Proszę za mną – mówię. – Bello, zajmij się grupą.

Prowadzę gości do pokoju na zapleczu i zamykam za nami drzwi. Wyjmuję z kieszeni klucz i otwieram szafkę, odsłaniając zawiniętą w jedwab szablę. Biorę ją w obie ręce i podaję doktorowi Cherry'emu.

Przyjmuje szablę ze skinieniem głowy i ostrożnie kładzie ją na moim biurku. Detektywi, pani Rizzoli i pan Frost,

obserwują, jak doktor Cherry odwija kolejne warstwy jedwabiu, aż wreszcie ich oczom ukazuje się szabla w pochwie. Doktor Cherry przez chwilę przygląda się pochwie wykonanej z lakierowanego drewna z okuciami z brązu. Rękojeść również jest z lakierowanego drewna, ale została pokryta barwioną na zielono skórą z ogończy. Kiedy doktor Cherry wyjmuje szablę, głownia wysuwa się z melodyjnym świstem, który przyprawia mnie o dreszcze.

– *Liuye dao* – mówi cicho.

– Szabla liścia wierzby – potwierdzam.

– I twierdzi pani, że była w pani rodzinie?

– Należała do mojej matki. A wcześniej do jej matki.

– Jak daleko wstecz sięga jej historia?

– Przechodziła z pokolenia na pokolenie od czasów generała Washi.

Spogląda na mnie z wyraźnym zaskoczeniem.

– Doprawdy?

– Co to za generał? – chce wiedzieć detektyw Jane Rizzoli.

– Ten fragment historii na pewno przypadnie pani do gustu, pani detektyw – mówi doktor Cherry. – Generał Washi była kobietą i najsłynniejszym mistrzem podwójnego *dao*.

Wojowniczką, która walczyła dwoma szablami, dzierżąc po jednej w każdej dłoni. W czasach dynastii Ming dowodziła tysiącami żołnierzy, prowadząc ich przeciw japońskim piratom, o których wcześniej mówiłem. – Patrzy na mnie z zachwytem.

– A pani jest jej potomkinią.

Uśmiecham się w odpowiedzi i kiwam głową.

– To miłe, że pan o niej słyszał.

– Ale to niezwykle. Tylko pomyśleć, że...

– Doktorze Cherry – przerywa mu detektyw Jane Rizzoli – co z tą szablą?

– Ach, tak, oczywiście. – Wyjmuje okulary i je zakłada.

Mruży w skupieniu oczy.

– Głownia jest zakrzywiona w charakterystyczny sposób na kształt liścia wierzby *dao*. To bardzo stary wzór – wyjaśnia detektywom. – Ta jest nieco krótsza niż zwykle, ale to nie powinno dziwić, skoro została zaprojektowana specjalnie dla kobiety. Te zbrocza, to znaczy wgłębienia, czy też rowki, również są charakterystyczne, dzięki nim głownia jest lżejsza. Spójrzcie na te wzory wytrawione w stali. To niezwykle, że nadal są tak głębokie. A ta rękojeść... można by niemal uwierzyć, że jest oryginalna, gdyby nie to, że musiałyby mieć co najmniej pięćset... – urywa. Widzę, że ponad linią okularów jego brwi ściągają się jeszcze bardziej. Przez chwilę nie mówi ani słowa. Podsuwa sobie *dao* niemal pod sam nos i uważnie przygląda się ostrzu głowni. Bada jego elastyczność. Wreszcie sięga do kieszeni po szkło powiększające, przez które ogląda wytrawioną kwasem blachę.

Prostuje się, a gdy na mnie patrzy, widzę w jego oczach dziwny smutek. Niemal pełne żalu spojrzenie. Spokojnie wsuwa *dao* do pochwy, po czym mi ją oddaje.

– Pani Fang, dziękuję, że pozwoliła mi pani obejrzeć Zheng Yi.

– Zatem już pan zakończył oględziny?

– Okazuje się, że nie musimy zabierać pani szabli.

– Doktorze Cherry, laboratorium kryminalistyczne musi przeprowadzić badania – protestuje pani detektyw.

– Proszę mi wierzyć, to nie jest broń, której szukacie.

Pani Rizzoli odwraca się do detektywa Frosta.

– Czy widziałeś tę samą szablę?

Frost wygląda na zmieszanego. Jego oczy biegają tam i z powrotem, między moją twarzą a schowaną w pochwie szablą. Mocno się czerwieni, gdy dociera do niego, że mógł się pomylić.

– No i co? To ta sama szabla? – dopytuje się Jane Rizzoli.

Detektyw Frost kręci głową.

– Nie jestem pewny. To znaczy widziałem tę broń tylko przez chwilę.

– Panie detektywie – mówię zimno – następnym razem, gdy przyjdzie pan do mnie, proszę być tak uprzejmym i od razu powiedzieć, czego naprawdę pan ode mnie chce.

Trafiam w jego czuły punkt i detektyw wzdryga się, jakby coś go ukąsiło. Jane Rizzoli wzdycha.

– Proszę pani, niezależnie od tego, co mówi doktor Cherry, i tak będziemy musieli zabrać tę szablę do dalszych badań. –

Wyciąga rękę, oczekując, że wręczę jej zdobycz.

Po chwili oddaję jej szablę.

– Mam nadzieję, że wróci do mnie w nienaruszonym stanie.

Kiedy goście zbierają się do wyjścia, widzę, że detektyw

Frost patrzy na mnie wzrokiem pełnym żalu, ale ja obnoszę się z pogardą i lekceważeniem jak z tarczą, nie dopuszczając do

przepraszam. Wychodzi z opuszczonymi ramionami.

– *Sifu?* – mówi łagodnie Bella, wchodząc do mojego biura.

W sali obok uczniowie kontynuują ćwiczenia sparingowe kopią, postępują i pocą się. Bella zamyka drzwi i nikt nie może zobaczyć zadowolonych spojrzeń, jakie wymieniamy.

Ruch, kontrakcja. Partia szachów toczy się dalej, a policja wciąż pozostaje krok za nami.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Jane czekała, aż znajdą się w połowie ulicy, gdzie zaparkowali samochody, nim zadała doktorowi Cherry'emu pytanie:

– Skąd ma pan pewność, że to nie jest broń, której szukamy?

– Proszę zabrać szablę do laboratorium. Niech ją zbadają, jeśli mi pani nie wierzy.

– Szukamy zabytkowego chińskiego miecza czy też szabli, a pani Fang akurat przypadkiem taką ma.

– Szabla, którą pani od niej wzięła, nie jest tą, o którą nam chodzi. Owszem, ostrze nosi ślady użycia, ma rysy i draśnięcia, ale wytrawione kwasem wzory i zbrocza są zbyt wyraźne. Co więcej, rękojeść sprawia wrażenie oryginalnej. Rękojeść z drewna wykonana w czasach dynastii Ming nie przetrwałaby tylu stuleci w tak dobrym stanie.

– Więc ta szabla nie jest stara?

– Z pewnością jest doskonale wykonana i ma odpowiedni ciężar i proporcje typowe dla szabli z czasów dynastii Ming. Ale to tylko bardzo dobra kopia. Ma najwyżej pięćdziesiąt albo siedemdziesiąt pięć lat.

– Dlaczego nic pan nie powiedział, kiedy tam byliśmy?

– Pani Fang jest przekonana, że ma oryginalną szablę *dao*. Wierzy, że była przekazywana kolejnym pokoleniom w jej rodzinie. Nie miałem serca jej rozczarować, skoro tak wiele to

dla niej znaczy. – Doktor Cherry spojrział w stronę bramy *paifang*. Było późne popołudnie i do Chinatown zaczęli ściągać klienci restauracji na kolację, niespiesznie przemierzając wąskie uliczki i wczytując się w karty dań wywieszane w oknach. Doktor Cherry ze smutkiem obserwował tłum ludzi.

– Do muzeum, gdzie pracuję – odezwał się – często przychodzą różne osoby, prosząc o oszacowanie wartości pamiątek rodzinnych. Przynoszą przeróżne starocie ze strychów, wazy, instrumenty, obrazy... Przedmioty, z którymi łączą się najprzeróżniejsze rodzinne legendy. Niemal zawsze mój werdykt przynosi rozczarowanie, bo oni nie przynoszą skarbów, lecz bezwartościowe reprodukcje i kopie. A to zmusza ludzi do zakwestionowania wszystkiego, co usłyszeli w dzieciństwie. Burzy ich prywatną mitologię, a ja nie znoszę tego robić. Ludzie pragną wierzyć, że są wyjątkowi. Pragną wierzyć, że ich rodziny mają niezwykłą historię, i na dowód tego pokazują zabytkowy pierścionek babci albo stare skrzypce dziadka. Po co zmuszać ich do wysłuchania brutalnej prawdy, że większość z nas jest jak najbardziej przeciętna, a relikty przeszłości, które tak hołubimy, są niemal zawsze imitacjami.

– Pani Fang wierzy, że pochodzi z rodu kobiety wojownika – przypomniał Frost. – Sądzi pan, że to kolejny rodzinny mit?

– Przypuszczam, że tak powiedzieli jej rodzice. I na dowód prawdziwości tych słów dali jej tę szablę.

– A więc to nieprawda, o generał Washi?

– Wszystko jest możliwe, panie detektywie. Pan może być

potomkiem króla Artura albo Wilhelma Zdobywcy. Jeśli ma to dla pana jakieś znaczenie, jeśli pomaga panu przeżyć każdy kolejny dzień, proszę w to wierzyć. Rodzinne mity bowiem mają dla nas o wiele większe znaczenie niż prawda. Pomagają nam przewyciężyć świadomość, że nasze życie jest pozbawione większego znaczenia.

– Cała mitologia mojej rodziny sprowadzała się do tego, ile piwa wujek Lou potrafił wydudlić za jednym posiedzeniem – wtrąciła się Jane.

– Wątpię, by była to jedyna opowieść, którą pani słyszała – odrzekł doktor Cherry.

– Słyszałam też, że moja praprababcia dodała truciznę do potraw na przyjęciu weselnym.

Doktor Cherry się uśmiechnął.

– Mam na myśli bohaterów. Z pewnością w pani rodzinie znajdzie się choćby jeden bohater. Proszę się zastanowić, pani detektyw. Proszę pomyśleć, jak ważni są ci bohaterowie dla pani wyobrażenia samej siebie.

W drodze do domu Jane rzeczywiście o tym myślała, ale pierwsze postacie, które przyszły jej do głowy, to były szelmy i dowcipnisie. Kuzyn z rodziny Rizzoli, który usiłował dowieść, że Święty Mikołaj naprawdę mógłby wejść do domu w tradycyjny znany z bajek sposób, co zakończyło się niespodziewanym demontażem kominka mamy. Albo wujek, który postanowił ożywić noworoczne przyjęcie fajerwerkami własnej roboty i opuścił szpital bez trzech palców.

Ale przypomniała sobie również opowieści pełne dyskretnej

godności o stryjecznej babce, która była zakonnicą w Afryce. Inna cioteczna babka podczas wojny we Włoszech z wielką trudem wykarmiła ośmioro dzieci. Można by je nazwać bohaterkami, ale innego rodzaju, cichymi i ukrytymi. Były zwykłymi kobietami, które dużo zniosły, w niczym nie przypominały legendarnej poprzedniczki Iris Fang, walczącej dwiema szablami i prowadzącej żołnierzy do walki. To brzmiało jak bajka, równie prawdopodobna co opowieści o Sun Wukongu, Małpim Królu, który bronił niewinnych i walczył z demonami oraz rzecznymi potworami. Iris żyła w świecie bajek, w którym samotna wdowa mogła uwierzyć, iż jest mistrzynią miecza, a w jej żyłach płynie krew dawnych wojowników. I któż mógłby ją winić za to, że wycofuje się do świata fantazji? Iris umiera na białaczkę. Jej mąż i córka zginęli. Samotna w smutnym domu ze smutnymi meblami może tylko marzyć o polach bitwy i chwale. Czy ja również marzyłabym o tym na jej miejscu?

Gdy zatrzymała się na światłach, usłyszała telefon. Odebrała, nie patrząc, kto dzwoni, i natychmiast zaatakował ją wściekły głos wrzeszczący do ucha.

– Do diabła, Jane! Dlaczego mi nie powiedziałaś? – denerwował się jej brat Frankie. – Nie możemy jej na to pozwolić.

Jane westchnęła.

– Domyślam się, że chodzi o zaręczyny mamy?

– Przez ciebie dowiedziałem się o tym od Mike'a.

– Miałam zadzwonić, ale byłam trochę zajęta.

- Ona nie może wyjść za tego faceta. Musisz ją powstrzymać.
- A powiesz mi, jak mam to zrobić?
- Na litość boską, przecież ona wciąż jest zameżna.
- Tak. Z mężczyzną, który zostawił ją dla jakiejś Laluni.
- Nie mów tak o tacie.
- Cóż, przecież to prawda.
- To nie potrwa długo. Tata wróci do domu, zobaczysz. Musi się tylko wyszaleć.
- Powiedz to mamie. Ciekawe co ona na to.
- Rany, Jane, nie wierzę, że na to pozwalasz. Przecież chodzi o rodzinę Rizzoli. Rodzina powinna trzymać się razem. A co my właściwie wiemy o tym Korsaku, co?
- Daj spokój. Oboje wiemy, że jest w porządku.
- Co to znaczy, że jest w porządku?
- Jest przyzwoitym człowiekiem i dobrym gliną. – Przerwała, zdziwiona tym, że broni tego mężczyzny, choć wcale nie cieszyło ją to, że zostanie jej ojczymem. Ale wszystko, co powiedziała o Korsaku, było prawdą. Naprawdę jest przyzwoitym człowiekiem. I kimś, na kogo można liczyć. Mogło być dużo gorzej.
- I nie masz nic przeciwko temu, że robi z mamą te rzeczy? – dopytywał się Frankie.
- Jakoś nie przeszkadza ci to, że tata robi te rzeczy z Lalunią.
- To co innego. Jest mężczyzną.
- Teraz Jane naprawdę się wściekła.
- A co? Mama nie ma prawa robić tych rzeczy? – odparowała.

– Przecież to nasza matka.

Zapaliło się zielone światło. Przejeżdżając przez skrzyżowanie, Jane powiedziała:

– Mama jeszcze nie umarła, Frankie. Jest ładną, dowcipną kobietą i zasługuje na drugą szansę na miłość. Zamiast ją dręczyć, lepiej porozmawiaj z tatą. To przez niego zaczęła się spotykać z Korsakiem.

– Jasne. Porozmawiam z nim. Chyba najwyższy czas, żeby przejął kontrolę nad sytuacją.

– Kontrolę? To właśnie przez brak kontroli taty znaleźliśmy się w tej sytuacji.

Rzuciła telefon na siedzenie, martwiąc się, jak tata zareaguje na te wieści. Była zła, że doszła jej kolejna rzecz do listy zmartwień, kolejna piłeczka do żonglowania w chwili, gdy w powietrzu wiruje ich już kilkanaście.

Znow zadzwonił telefon.

Gwałtownie zjechała na chodnik, żeby odebrać.

– Nie mam teraz czasu, Frankie – warknęła.

– Kim, do cholery, jest Frankie? – usłyszała w odpowiedzi równie zirytowany głos. – Słuchaj, Rizzoli, mam dość tego gówna z Czerwonym Feniksem. Chcę, żebyś położyła temu kres. – Bez wątpienia było to chrapliwy głos Kevina Donohue. I jego rozkoszne słownictwo.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie Donohue – odpowiedziała.

– Dzisiaj znowu to dostałem. Tym razem ktoś wcisnął go pod wycieraczkę mojego samochodu. Wierzyć się nie chce, że ktoś

śmiał dotknąć mojego pieprzonego auta!

– Co takiego znowu pan dostał?

– Kopię nekrologu Joeya. *Lubił koszykówkę i strzelanie do celu, żegnają go kochająca matka i siostra* i te de, i te pe. A na odwrocie jest wiadomość.

– Jaka?

– *Idzie po ciebie.*

– I sądzi pan, że należy to traktować poważnie?

– Dwoje ludzi zostało posiekanych przez jakiegoś podobnego do małpy dziwoląga, a pani uważa, że nie powinienem traktować tego poważnie?

– O jakim podobnym do małpy stworzeniu pan mówi? – spytała Jane bez zająknięcia.

– A co, nie wolno mi o tym wiedzieć?

– Ta informacja nie została podana do publicznej wiadomości.

– Ja nie należę do publiki, jasne? Jestem płacącym podatki obywatelem, któremu ktoś grozi.

Ma wtyczkę w naszej grupie dochodzeniowej, pomyślała Jane. Udało mu się wniknąć do bostońskiej policji. Nie powinno jej to dziwić. Tak potężny człowiek jak Donohue wszędzie kupi oczy i uszy, nawet w miejskim ratuszu albo przy Schroeder Plaza, gdzie mieści się główna siedziba policji.

– Proszę wykonać swoją robotę, pani detektyw – powiedział Donohue. – Ma pani służyć i chronić, prawda?

Co za szkoda, że dotyczy to również takich śmieci, jak ty, pomyślała Jane. Odetchnęła głęboko i odezwała się w miarę

uprzejmym głosem:

– Będę musiała przyjrzeć się temu listowi. Gdzie pan teraz jest?

– W magazynach przy Jeffries Point. Nie będę długo czekał, więc proszę tu szybko przyjechać.

Rozdział trzydziesty

Kiedy Jane przejechała przez otwartą bramę hurtowni mięsa Kevina Donohue i zaparkowała pomiędzy bmw a srebrnym mercedesem, zapadł już zmrok. Gangsterzy rzeczywiście lubują się w szpanerskich autach z importu. Wysiadając z samochodu, usłyszała ryk odrzutowca startującego z pobliskiego lotniska Logana i podniosła głowę, by zobaczyć, jak się przechyla i kieruje na południe. Pomyślała o plażach Florydy, drinkach z rumem i palmach. Jak by to było miło zrobić sobie takie słoneczne wakacje od tych wszystkich morderstw.

– Pani detektyw?

Odwróciła się i od razu poznała jednego z krzepkich ochroniarzy, których spotkała kilka dni temu w domu Kevina Donohue. Ten miał na imię Sean.

– Czeka na panią w środku – powiedział Sean, zerkając na schowaną w kaburze broń. – Ale najpierw musi mi to pani oddać.

– Ostatnio miałam go przy sobie i pan Donohue nie miał nic przeciwko temu.

– Cóż, teraz jest bardziej nerwowo. Z powodu tej wiadomości, którą ktoś zostawił na przedniej szybie samochodu. – Wyciągnął rękę.

– Nikomu nie oddam mojej broni, więc proszę powiedzieć panu Donohue, że może spotkać się ze mną w siedzibie policji.

Z przyjemnością sobie tam z nim porozmawiam. – Odwróciła się w stronę samochodu.

– Już dobrze. Niech się pani tak nie denerwuje – poddał się ochroniarz. – Ale tak dla jasności, będę panią obserwował jak jastrząb.

– Tak. Nie ma sprawy.

Poszła za nim do magazynu, a gdy zamknęły się za nimi izolowane drzwi, zaczęła żałować, że nie ma grubszej kurtki. W pozbawionym okien pomieszczeniu panował taki ziąb, że Jane widziała parę unoszącą się z jej ust. Sean poprowadził ją przez paskową zasłonę do chłodni. Z haków na suficie zwisały olbrzymie półtusze wołowe, całymi rzędami, jak las. Zimne powietrze śmierdziało krwią i świeżym mięsem, a Jane obawiała się, że ten fetor wsiąknie w jej włosy i ubranie i będzie jej towarzyszyć jeszcze długo po tym, jak opuści to miejsce. Przeszli przez las mięsa do biura na tyłach budynku, gdzie eskortujący ją ochroniarz zapukał do drzwi.

Te otworzyły się, a Jane rozpoznała drugiego ochroniarza, który gestem zaprosił ją do środka. Weszła do pozbawionego okien pokoju, a drzwi zamknęły się za nią z ciężkim hukiem. Znalazła się w pułapce, w dobrze strzeżonej przez dwóch opryszków fortecy, w jakiejś komórce na mięso, a mimo to była mniej zdenerwowana niż gospodarz. Oto co znaczy być księciem irlandzkiej mafii bezustannie nękanym przez paranoje i lęki. Władza oznacza wieczny strach przed jej utratą.

Kevin Donohue wyglądał, jakby wzdęło go jeszcze bardziej niż ostatnio. Siedział za biurkiem i serdelkowatymi palcami

ściskał plastikową torebkę z listem.

– Niestety, moi inteligentni współpracownicy, nim mi to pokazali, zostawili na tym swoje odciski palców – powiedział, unosząc torebkę.

– Na tych listach nigdy nie ma odcisków palców – powiedziała Jane, biorąc od niego torebkę. – Ktokolwiek je wysyła, zachowuje dużą ostrożność. – Spojrzała na tę stronę listu, na której widniało ksero nekrologu. Był taki sam jak nekrolog Joeya Gilmore'a zamieszczony dziewiętnaście lat temu w „Boston Globe”. Odwróciła kartkę i przeczytała wypisaną drukowanymi literami wiadomość: IDZIE PO CIEBIE.

Spojrzała na Donohue.

– Jak pan sądzi, o kogo może chodzić?

– Jest pani upośledzona, czy co? Przecież to jasne, że chodzi o to coś, co biega po mieście z szablą, bawiąc się w jakiegoś samozwańczego strażnika porządku.

– Dlaczego ten strażnik miałby przyjść po pana? Czy w czymś pan zawinił?

– Nie muszę być od razu winny, żeby wiedzieć, kiedy mi ktoś grozi. Wystarczająco często otrzymuję różne groźby.

Popatrzył na nią jasnymi oczami.

– Jest pani zbyt bystra, żeby udawać głupią.

– Ale nie na tyle bystra, by się domyślić, czego pan ode mnie oczekuje, panie Donohue.

– Już mówiłem przez telefon. Chcę, żeby to gówno się skończyło, zanim znów poleje się krew.

– Ma pan na myśli w szczególności pańską krew. – Zerknęła na mężczyzn stojących po obu jej stronach. – Wygląda na to, że jest pan pod doskonałą ochroną.

– Ale nie chronią mnie przed tym... tym czymś. Cokolwiek to jest.

– Cokolwiek to jest?

Donohue nachylił się do niej z zaczerwienioną z niecierpliwości twarzą.

– Po mieście chodzą słuchy, że to coś pokroiło dwóch zawodowców na kawałki jak mielonkę. A potem znikło bez śladu.

– Czy ci zawodowcy to byli pańscy ludzie?

– Już mówiłem ostatnim razem, że nie. Ja ich nie wynająłem.

– Ma pan jakieś domysły, dla kogo mogli pracować?

– Gdybym wiedział, powiedziałbym pani. Popytałem tu i tam i usłyszałem, że już wiele tygodni temu poszło zlecenie na tego gliniarza.

– Zlecenie na detektywa Ingersolla?

Donohue pokiwał głową, aż zatrzęsł się jego potrójny podbródek.

– Gdy tylko propozycja tej roboty weszła na rynek, już był martwy. Musiał kogoś nieźle wkurzyć.

– Ingersoll był na emeryturze.

– Ale zadawał dużo pytań.

– Na temat dziewczynek, panie Donohue. Dziewczynek, które zaginęły. – Jane spojrzała mu prosto w oczy. – A z kolei ten temat pana powinien wkurzyć.

– Mnie? – Odchylił się, a pod wpływem jego ciężaru fotel zatrzeszczał. – Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Prostytycja? Handel nieletnimi dziewczętami?

– Proszę to udowodnić.

Jane wzruszyła ramionami.

– Jezu, gdy tak się nad tym zastanowię, to dochodzę do wniosku, że chyba powinnam pozwolić temu małpiemu stworzeniu dokończyć robotę.

– Ale ono idzie po niewłaściwego faceta! Nie mam nic wspólnego z Czerwonym Feniksem! Oczywiście, Joey był gnidą, nie uroniłem ani jednej łzy, kiedy wyzionął ducha, ale ja tego nie zleciłem.

Jane spojrzała na nekrolog Joeya.

– Ktoś myśli inaczej.

– To ta wariatka z Chinatown. Na pewno ona za tym stoi.

– Ma pan na myśli panią Fang?

– Myślę, że wynajęła pana Ingersolla, żeby popytał, bo chciała wiedzieć, kto zabił jej męża. Doszedł za blisko prawdy i tak zaczęła się ta wojna. Jeśli ktoś sądzi, że Irlandczycy grają ostro, to nie widział, do czego zdolni są Chińczycy. Mają ludzi, którzy potrafią przeniknąć przez wszystkie zapory. Takich, którzy właściwie przechodzą przez ściany.

– Mówimy teraz o ludziach czy o bajkach dla dzieci?

– Nie widziała pani tego filmu *Ninja zabójca!* Od dzieciństwa szkolą ich, jak zabijać.

– Ninja pochodzą z Japonii.

– Niech mi tu pani nie dzieli włosy na czworo! To samo

potrafią, tak samo są szkoleni. Wie pani, kim ona jest, prawda? Skąd pochodzi pani Fang? Sprawdziłem to. Wychowała się w jakimś tajnym klasztorze w górach, gdzie uczą małe dzieci takich rzeczy. Pewnie już w wieku dziesięciu lat potrafiła skrócić człowiekowi kark. A teraz ma tych wszystkich uczniów, którzy dla niej pracują.

– To pięćdziesięcioletnia wdowa. – Schorowana kobieta, cierpiąca na manię wielkości, pomyślała Jane. Kobieta, która wierzy, że pochodzi od legendarnej generał i na dowód tego ma podróbkę szabli.

– Wdowa wdowie nierówna.

– Jest pan pewny, że to pani Fang panu grozi?

– To pani powinna to udowodnić. Ja tylko mówię, czym mi to pachnie. Tamtej nocy straciła męża i wykoncypowała sobie, że ja zleciłem napad na restaurację. Wini mnie za Czerwonego Feniksa, a akurat tym razem naprawdę nie ja to zrobiłem.

Nagle coś jakby uderzyło z głośnym hukiem w budynek. Jane zdążyła jeszcze zobaczyć twarz Donohue, zastygłą w grymasie zaskoczenia, po czym w pokoju zapadła ciemność.

– Co, do diabła?! – krzyknął Donohue.

– Chyba nie ma prądu.

– Widzę, że nie ma prądu! Idź i uruchom generator!

– Jak tylko znajdę latarkę...

Hałas, który usłyszeli nad głowami, sprawił, że wszyscy ucichli. Jane spojrzała w górę, gdy rozległ się wyraźny tupot nóg biegnących po dachu. Wpatrując się w ciemność, poczuła, że wali jej serce. Śliskimi od potu palcami rozpięła kaburę.

– Gdzie jest włącznik generatora? – spytała.

– Jest w... w magazynie – usłyszała gdzieś blisko przestraszony głos jednego z mężczyzn. – Skrzynka elektryczna jest na tylnej ścianie. Ale po ciemku jej nie znajdę. Nie z tym czymś... – Przerwał, bo znów usłyszeli ten odgłos, cichy jak krople deszczu uderzające o dach.

Jane pogrzebała w torebce i wyjęła latarkę SureFire. Zapaliła ją i snop światła wylądował na Kevinie Donohue, ukazując jego lśniącą od potu przerażoną twarz.

– Niech pan dzwoni na dziewięćset jedenaście – rozkazała.

Złapał telefon bezprzewodowy, który leżał na jego biurku, po czym rzucił go z powrotem na blat.

– Nie działa!

Jane sięgnęła po swoją komórkę, którą zawsze nosiła przy pasku. Nie miała zasięgu.

– Czy to pomieszczenie jest wyłożone ołowiem, czy co?

– Ściany są kulo odporne i przeciwwybuchowe – powiedział Donohue. – To ze względów bezpieczeństwa.

– Wspaniale. Samo serce martwej strefy.

– Będzie pani musiała stąd wyjść, żeby złapać sygnał.

Ale ja nie chcę stąd wychodzić. I nikt inny też nie chce, pomyślała.

W pomieszczeniu robiło się coraz cieplej, ściany zatrzymywały zarówno promieniujące z ich ciał ciepło, jak i strach. Nie możemy siedzieć tu wiecznie, pomyślała, ktoś musi wyjść i zadzwonić, a wszystko wskazuje na to, że tym kimś będę ja.

Wyciągnęła broń i podeszła do drzwi.

– Pójdę przodem – oznajmiła. – Trzymajcie się blisko mnie.

– Zaczekaj! – krzyknął Donohue. – Nie ma mowy, żeby moi chłopcy tam poszli.

– Potrzebne mi wsparcie.

– Płacę im, żeby mnie chronili. Zostają tutaj.

Odwróciła się, świecąc mu latarką prosto w oczy.

– W porządku. Więc niech pan sobie idzie i zabierze chłopców ze sobą. Ja tu na was poczekam. – Przysunęła krzesło, usiadła i zgasła latarkę.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciemnościach, w budynku panowała cisza przerywana jedynie dyszeniem Kevina Donohue.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Niech idzie Colin. Ale Sean ma tu ze mną zostać.

Jane nie miała pojęcia, czy może zaufać Colinowi. Miała tylko nadzieję, że zostało mu wystarczająco dużo działających prawidłowo szarych komórek, by przypadkowo nie postrzelić jej w plecy. Zatrzymała się pod drzwiami, nasłuchując dobiegających zza nich dźwięków, ale były zbyt grube.

Kulo odporne i przeciwwybuchowe, jak powiedział Donohue.

Otworzyła zamek antywłamaniowy i uchyliła nieco drzwi. Za nimi nie panowały tak nieprzeniknione ciemności jak w biurze. Przez wysokie okna magazynu wpadał przygaszony blask miejskich świateł, w którym majaczyły rzędy wiszącego mięsa niczym cienie wojowników w bojowym szyku. W takim mroku z łatwością mogło się skryć wszystko, udając zarys kolejnej

wołowej półtuszy.

Jane włączyła latarkę i szybko omiotła snopem światła przestrzeń przed sobą. Zobaczyła wiszące tusze, betonową posadzkę i parę unoszącą się z jej ust. Usłyszała za sobą Colina, którego oddech drżał ze strachu. Uzbrojony i przestraszony mężczyzna nie stanowił wymarzonego wsparcia. Mogę skończyć z kulką w plecach, pomyślała. O ile wcześniej ta istota nie obetnie mi głowy.

– Gdzie jest najbliższe wyjście? – spytała szeptem.

– Na wprost. Na drugim końcu budynku.

Przełknęła ślinę i weszła między dwa rzędy półtuszy. Snop światła z jej latarki smagał ciemności w poszukiwaniu jakiegoś poruszenia, mignięcia twarzy lub błysku stali. Ale Jane widziała tylko produkty zakładu uboju zwierząt, niegdyś żywe stworzenia teraz zredukowane do wiszących mięśni i kości. Latarka ślizgała się w jej drżącej dłoni. Kimkolwiek lub czymkolwiek jesteś, pomyślała, już raz mnie oszczędziłeś. Ale to wcale nie znaczy, że ta istota znów wyświadczy jej przysługę, zwłaszcza gdy zobaczy, w jakim Jane znalazła się towarzystwie. Z mroku przed nimi wyłoniły się kolejne półtusze. Skierowała snop światła wprost przed siebie, nie widziała końca wiszącego rzędami mięsa. Nagle zatrzymała się, usiłując coś dosłyszeć poprzez łomot serca.

– Co się dzieje? – szepnął Colin.

– Posłuchaj.

Był to tylko cichy trzask, dźwięk, jaki wydaje lekko rozkołysane wiatrem drzewo. Zaraz jednak usłyszeli kolejny

trzask, a po nim jeszcze jeden i następny. Trzaski stawały się donośniejsze i regularne, jakby drzewo kołysało się coraz gwałtowniej. Coś chodzi nad naszymi głowami, pomyślała Jane. Skierowała snop światła na sufit i zobaczyła półtuszę kołyszącą się niczym gigantyczne wahadło w przód i w tył, jakby popychaną niewidzialną ręką.

Usłyszeli kolejny trzask, tym razem po lewej.

– Tam! – syknął Colin i Jane natychmiast przesunęła snop światła w stronę, z której dobiegł odgłos. I znów patrzyła na kolejną półtuszę kołyszącą się w przód i w tył wahadłowym ruchem w wąskim świetle latarki.

– Za nami! – szepnął Colin, tym razem podnosząc głos. – Nie, nie. Tam!

Jane odwróciła się, teraz w świetle jej latarki wszędzie widać było ruch, ciemności ożyły, czemu towarzyszyły brzęki, trzaski i metaliczne zgrzyty.

– Gdzie to, do diabła, jest?! – krzyknął Colin, kręcąc się za plecami Jane i strzelając na oślep, a wokół nich kołysały się półtusze.

– Przystaniesz wreszcie, czy chcesz nas oboje pozabijać?! – wrzasnęła na niego Jane.

Wstrzymał ogień, ale wciąż rzucał się na wszystkie strony, szukając celu. Na pewno, podobnie jak Jane, wszędzie widział to stworzenie. O tam, czy to nie mignęła jakaś twarz, nie błysnęło oko? Jakim cudem to coś porusza się tak zwinnie i bezgłośnie? Nagle przypomniała sobie ilustrację z książki z chińskimi legendami. Wymachujący kijem Małpi Król z długim

wężowatym ogonem. Pomyślała o szabli tnącej ze świstem nocny mrok i zanurzającym się w jej gardle ostrzu. Jej wzrok powędrował w górę i przez mgnienie chwili miała wrażenie, że zobaczyła tę istotę przycupniętą gdzieś pod sufitem, z dzikimi, błyszczącymi w ciemności oczami. Ale nie było tam żadnego stworzenia, jedynie pusty hak czekający na świeży kawałek mięsa.

Stopniowo skrzypnięcia i trzaski cichły, aż wreszcie zapadła cisza. Ale Jane i Colin wciąż stali, plecami do siebie, nerwowo przeczesując wzrokiem mrok. Gdziekolwiek Jane skierowała światło latarki, nigdzie nie było ani śladu intruza, a mimo to miała wrażenie, że ciemność ich obserwuje. A z tą latarką trudno mnie nie zauważyć, pomyślała.

– Ruszaj się – szepnęła. – Idź w stronę drzwi.

– Co to jest? Z czym walczymy?

– Lepiej nie czekajmy, żeby się przekonać.

Colin nie zamierzał zostać w tyle. Kiedy Jane powoli posuwała się w stronę drzwi, niemal czuła na karku jego oddech. Facetowi pokroju Colina pistolet dodawał fałszywej odwagi, zamieniając tchórza w zbira i mordercę. Ale wystarczy zostawić takiego mężczyznę w ciemnościach, gdzie nie może zobaczyć wroga, a ślepotą wyrówna szanse i obnaży jego tchórzliwą naturę. Dopiero gdy dotarli do drzwi i wyszli na dwór, usłyszała, że Colin oddycha z ulgą. Powietrze pachniało morzem, a odrzutowce zataczające koła na niebie błyszczały jak spadające gwiazdy. Jane wyjęła komórkę, ale zawahała się, nim wybrała numer. Bo co właściwie ma powiedzieć? Wysiadł

prąd i wszyscy spanikowaliśmy? Słyszeliśmy jakieś dźwięki w ciemnościach i wydawało nam się, że to potwory?

– Zadzwoń pani wreszcie, czy jak? – spytał Colin. Tchórz znikł, a jego miejsce znów zajął zbir.

Podniosła telefon, aby wybrać numer, i nagle zamarła. Jej wzrok powędrował na dach magazynu. Na przycupniętą tam sylwetkę gargulca rysującą się na tle nocnego nieba. To coś również ją obserwowało. Ciekawe, czy patrzy na mnie jak na przyjaciela, czy jak na wroga? – zastanawiała się Jane.

– Jest tam! – krzyknął Colin.

W chwili, gdy uniósł pistolet, by strzelić, Jane złapała go za ramię. Kula poleciała gdzieś w niebo, nie robiąc nikomu krzywdy.

– Co, u diabła? – zdenerwował się Colin. – Jest tam. Trzeba to zabić!

Figurka na dachu się nie poruszyła. Siedziała, patrząc na nich.

– Jeśli pani tego nie zestrzeli, ja to zrobię – oznajmił Colin. Znów uniósł pistolet i nagle zamarł, przeczesując wzrokiem dach. – Gdzie to jest? Gdzie się podziało?

– Znikło. – Jane wpatrywała się w pusty dach. Uratowałeś mi życie, teraz ja uratowałam twoje, pomyślała.

Rozdział trzydziesty pierwszy

– Donohue to śmieć – powiedział Tam. – Uważam, że lepiej pozwolić temu czemuś się z nim rozprawić. Najlepiej niech się rozprawi z nimi wszystkimi.

„To coś”. Nie mieli żadnej innej nazwy na to, co przycupnęło poprzedniego wieczoru na dachu. Nikt nie widział twarzy tej istoty ani nie słyszał jej głosu. Jak dotąd mignęła im tylko kilka razy, i to zawsze w ciemnościach, gdzie nie różniła się zbyt od cienia poruszającego się w gąszczu innych cieni. W walce pomiędzy dobrem a złem to coś z pewnością zajęło pozycję. Zabito już dwóch płatnych morderców. A teraz skupiło się na Kevinie Donohue.

Ale mnie oszczędziło, pomyślała Jane. Skąd może wiedzieć, że stoję po stronie dobra?

– Cokolwiek to jest, bardzo sprytnie omija kamery monitoringu – stwierdził Frost.

Trójka detektywów spędziła całe przedpołudnie w sali konferencyjnej na drugim piętrze, przeglądając nagrania z kamer zamontowanych w okolicy Jeffries Point, gdzie znajdował się magazyn Kevina Donohue. Teraz odtwarzali nagranie jednej z kamer na terenie jego zakładu ukazujące parking o zmierzchu.

Jane zobaczyła swój samochód przejeżdżający przez bramę parkujący na wolnym miejscu obok mercedesa Kevina

Donohue.

– Uśmiechnij się. Jesteś w ukrytej kamerze – powiedział Frost.

Na filmie Jane wysiadła z samochodu i zatrzymała się, by popatrzeć na niebo, jakby węsząc jakiś zapach niesiony z wiatrem. Czy moje włosy naprawdę są takie potargane? – pomyślała, zerkając na swój wizerunek na ekranie. Naprawdę aż tak się garbię? Muszę nauczyć się trzymać prosto i wciągać brzuch, postanowiła.

Teraz zjawia się człowiek Donohue, Sean. Rozmawiają o broni Jane. Sean nalega, Jane prostuje ramiona, upierając się przy swoim.

– Dlaczego nie poprosiłaś, żebyśmy z tobą pojechali? – pyta Tam.

– Miałam tylko wziąć ten list, nic więcej.

– A wyszło z tego dużo więcej. Mogliśmy się przydać. Na ekranie Jane i ochroniarz znikli w magazynie i obraz zrobił się bardzo statyczny. Nie licząc świateł samochodów, które od czasu do czasu przejeżdżały ulicą, nic się nie poruszało. Frost przewinął taśmę pięć minut do przodu. Potem dziesięć minut do przodu. Nagle obraz zamigotał i znikł.

– To wszystko – powiedział. – Tak samo jest na nagraniach z wszystkich czterech kamer. Prąd zostaje odcięty i obraz znika.

– Więc nie mamy ani jednego ujęcia tego czegoś – westchnął Tam.

– Na pewno nie z kamer Donohue.

– Czyżby to było niewidzialne?

– Może po prostu wie, co robi. – Frost pokazał miniaturowe zdjęcia okolicy magazynu. – Dziś rano pojechałem tam z aparatem i zrobiłem te zdjęcia. Widać na nich, gdzie są zamontowane kamery. Jak można się spodziewać, są skierowane na wejścia. Drzwi i stanowiska załadunkowe. Ale tył budynku to jednolita ściana, więc nie ma tam monitoringu. Podobnie jak na dachu. – Spojrzał na Jane. – Więc ominiecie kamer jest możliwe. A to oznacza, że to coś wcale nie musi być jakimś nadprzyrodzonym stworzeniem.

– Wczoraj wieczorem nietrudno było w to uwierzyć – powiedziała cicho Jane, przypominając sobie pełne grozy skrzypienie i zgrzytanie kołyszących się w całym magazynie haków na mięso. – Donohue ma systemy bezpieczeństwa i ochroniarzy. Jest uzbrojony po zęby. Ale nie ma pojęcia, jak się przed tym czymś bronić, i cholernie się boi.

– Ale dlaczego właściwie mamy się tym przejmować? – spytał Tam. – To coś odwała za nas robotę. Jeśli chce sprzątnąć złych facetów, to niech sobie ich rozniesie w drobny mak.

Jane wpatrywała się w zdjęcia magazynu Donohue.

– Wiesz, że trudno mi się z tobą nie zgodzić. Zawdzięczam temu czemuś życie. Ale chciałabym wiedzieć, jak dostało się do budynku. Byłam tam, a mimo to aż do samego końca nie zobaczyłam tego czegoś. Dopóki ono mi na to nie pozwoliło. Usiadło na dachu i zostało tam wystarczająco długo, by nawet człowiek Donohue mógł je zobaczyć.

– Po co miałyby to robić? – zastanawiał się Frost.

– Może, by udowodnić nam, że naprawdę istnieje? Albo

wystraszyć Donohue, pokazać mu, że jeśli zechce, w każdej chwili może go zabić?

– Więc dlaczego tego nie zrobiło? Donohue wciąż żyje i kopie.

– I jest śmiertelnie przerażony – dodała Jane. – Zabawne, że już się tego nie boję. Myślę, że jest tu z jakiegoś powodu.

Chciałabym tylko wiedzieć, w jaki sposób robi to wszystko. – Spojrzała na Tama. – Co wiesz na temat wushu?

Tam westchnął.

– Oczywiście pytasz o to Chińczyka.

– Daj spokój, przecież to logiczne, że pytam ciebie. Wygląda na to, że znasz sporo chińskich legend.

– Tak – zgodził się. – Dzięki mojej babci.

– Donohue uważa, że polują na niego wojownicy ninja.

Wczoraj w nocy poszukałam o nich informacji i okazuje się, że stosowana przez nich technika rzeczywiście pochodzi z Chin.

Donohue mówi, że są od dzieciństwa szkoleni do zabijania i potrafią przeniknąć przez każdą zaporę.

– Oboje wiemy, że połowa z tych rzeczy jest zmyślona.

– Tak, ale która?

– Ta, dzięki której powstał *Przyczajony tygrys, ukryty smok*.

– Podobał mi się ten film – powiedział Frost.

– Ale czy kiedykolwiek uwierzyłeś, że wojownicy mogą latać i walczyć na wierzchołkach drzew? Oczywiście, że nie, bo to tylko bajka. Tak jak inne bajki, które opowiadała mi babcia o małpach, które potrafiły chodzić po wodzie, czy

nieśmiertelnych schodzących z nieba, żeby połączyć się z ludźmi.

– Ale w legendach czasem tkwi ziarno prawdy – zauważyła Jane. – A w Chinach naprawdę byli mnisi wojownicy.

– Niech będzie – ustąpił Tam. – Być może ta część jest prawdziwa. Rzeczywiście istnieli walczący mnisi z górskiego klasztoru Shaolin. Ich umiejętność walki stała się słynna, gdy obronili cesarza przed powstańcami. Ale sztuka walki wushu sięga o wiele dalej w przeszłość niż historia tych mnichów. Ma tysiące lat i jest tak stara, że dziś nikt już nie wie, co w tej historii jest prawdą, a z każdym mijającym stuleciem staje się ona coraz bardziej cudaczna. Co prowadzi do tego, że niektórzy myślą, iż wojownicy wushu są jak duchy. Że nie sposób ich zabić.

– Po wczorajszym wieczorze sama byłabym skłonna w to uwierzyć – mruknęła Jane.

– Przestań.

– Nie było cię tam. Nie widziałeś tego co ja.

– Ja też mógłbym uwierzyć, że to duch – powiedział Frost, oglądając następne nagranie. – Zabrałem filmy ze wszystkich kamer monitoringu zamontowanych w okolicy i jak dotąd to coś ani razu nawet nie mignęło w kadrze. Udało mu się prześlizgnąć przez wszystkie martwe punkty. – Frost wskazał ekran. – Ta kamera jest zainstalowana naprzeciwko magazynu Donohue, po drugiej stronie ulicy. Przez cały czas nagrywała, a i tak nic nie widać.

– Jeśli jest z krwi i kości, to gdzieś się pokaże – odrzekła

Jane.

Frost puścił inne nagranie.

– Dobrze. Ta kamera jest ulicę dalej, prawie przy Summer Street. – Nacisnął guzik „Play” i ich oczom ukazał się widok uliczki, a w tle ogrodzenie z drucianej siatki. Mijały kolejne minuty, ale nic się nie poruszało. – I znów nic.

Jane współczująco poklepała Frosta po plecach i wstała od stołu.

– Miłego oglądania. Zadzwońcie, jeśli coś znajdziecie.

– Jasne.

Była już prawie za drzwiami, gdy usłyszała, że Frost nabiera gwałtownie powietrza. Odwróciła się.

– Co się dzieje?

– Przemknęło tak szybko!

– Ja nic nie widziałem – powiedział Tam.

Jane usiadła przed ekranem, czekając, aż Frost przewinie taśmę i naciśnie przycisk „Play”. Pojawił się ten sam nieruchomy obraz. Ta sama słabo oświetlona uliczka z ogrodzeniem z drucianej siatki.

– O, tam – szepnął Frost.

Postać jakby materializowała się w ciemnościach. Odwrócona tyłem do kamery zamazana sylwetka mknęła uliczką. Jednym zwinnym susem przeskoczyła przez ogrodzenie i wylądowała w kucki po drugiej stronie. Zamarła na chwilę i się wyprostowała.

Frost zatrzymał obraz.

Istota była ubrana w czarny strój. Nie widzieli twarzy, ale wyraźny zarys sylwetki, wąską talię i charakterystyczną linię

bioder.

– To kobieta – stwierdził Frost.

Bella Li wkroczyła zamaszystym krokiem do siedziby bostońskiej policji przy Schroeder Plaza, ubrana w dżinsy biodrówki, buty z cholewami i czarną skórzaną kurtkę. Przed przejściem przez wykrywacz metalu dała niezłe przedstawienie ze zdejmowaniem tej kurtki, taki striptiz ku uciesze obserwujących ją policjantów, odsłaniając na koniec obcisły podkoszulek, uwypuklający kształt jej nieskrępowanych stanikiem piersi. Gapiącym się na nią glinom posłała lodowaty uśmiech, po czym dumnym krokiem przeszła przez bramkę, kierując się ku czekającej na nią po drugiej stronie Jane.

– Nie wiedziałam, że będę musiała przejść przez kontrolę – powiedziała Bella.

– Każdy musi. Nawet burmistrz. – Jane poprowadziła ją w stronę windy. – Jedziemy na górę.

Kiedy wjeżdżały na drugie piętro, Bella stała w nonszalanckiej pozie z kurtką przerzuconą przez ramię. Jej krótkie włosy były jeszcze bardziej nastroszone niż zwykle, jak futro kota, który się rozzłościł i jest gotowy do walki. I zapewne to dziewczę w pojedynkę dałoby sobie ze mną radę, pomyślała Jane. Bella była co prawda drobna, ale umięśniona i gibka jak pantera. Czy to ty jesteś tą istotą, którą widziałam przycupniętą na dachu? Czy to ty uratowałaś mi życie w tamtym zaułku? – zastanawiała się Jane, patrząc na Bellę.

Na drugim piętrze zaprowadziła ją do pokoju przesłuchań.

– Rozgość się, proszę. Powiem detektywowi Frostowi, że już tu jesteś – powiedziała i zostawiła dziewczynę samą.

Jane dołączyła do Frosta, który siedział w sąsiednim pokoju i obserwował Bellę przez lustro weneckie. Ich gość nie okazywał ani cienia zdenerwowania. Bella rozparła się wygodnie na krześle, nogi położyła na stole i z zadartą głową wpatrywała się ze znudzoną miną w sufit.

– Powiedziała coś ciekawego po drodze? – chciał wiedzieć Frost.

Jane pokręciła głową.

– Nawet nie spytała, dlaczego ją wezwaliśmy.

– Ciekawe. Myślisz, że wie, iż my wiemy?

– Myślę, że stara się nam pokazać, iż nic a nic ją to nie obchodzi.

W pokoju obok Bella spojrzała w stronę lustra i uniosła brew, jakby pytała, czy możemy już z tym skończyć.

– No dobrze. – Jane westchnęła. – Najwyższy czas trochę się z nią podrażnić.

Kiedy weszli do pokoju przesłuchań, Bella zdjęła nogi ze stołu, ale dalej siedziała rozparta na krześle ze skrzyżowanymi na piersi rękami, odpowiadając monotonnym głosem na pytania Jane. Pierwsze z nich były pozornie proste: Imię i nazwisko? Bella Li. Data urodzenia? Osiemnasty maja. Zawód? Instruktorka sztuk walki. Bella głośno westchnęła, wyglądała na znudzoną i obojętną. Ale kolejne pytanie sprawiło, że mięśnie jej ramion napięły się i zadrżały.

– Gdzie byłaś wczoraj wieczorem między osiemnastą a dwudziestą pierwszą? – spytała Jane.

Bella wzruszyła ramionami.

– W domu.

– Sama?

– Dlaczego pani o to pyta?

– Chcemy zweryfikować informację o twoim miejscu pobytu.

– Uważam, że moje życie intymne to moja sprawa. Nie widzę powodu, żeby komukolwiek podawać imiona i nazwiska.

– A więc ktoś był z tobą zeszłej nocy? – spytał Frost. – Możesz podać nam jego nazwisko?

– Dlaczego zakłada pan, że interesują mnie mężczyźni?

Naprawdę tak trudno uwierzyć, że kobietę stać na więcej?

Bella uśmiechnęła się prowokacyjnie do Jane.

– Dobrze – powiedziała Jane, wzdychając. – Wobec tego jak ona się nazywa?

Bella spojrzała na swoje dłonie i zaczęła uważnie przyglądać się krótko obciętych paznokciom.

– Nikogo nie było. Byłam w domu sama.

– Mogłaś od razu tak powiedzieć.

– A wy mogliście powiedzieć, dlaczego mnie tu wezwaliście.

– Zatem byłaś sama w domu. Czy może dokądś wychodziłaś?

– Nie pamiętam.

– Może gdybym pokazała ci zdjęcie, jednak byś sobie przypomniała.

– Jakie zdjęcie?

– Z kamer bezpieczeństwa na Jeffries Point – powiedział

Frost. – Potrafisz doskonale ominąć kamery, panno Li. Ale nie zauważyłaś wszystkich.

Po raz pierwszy Bella nie miała gotowej odpowiedzi, choć wyraz jej twarzy nie uległ zmianie, a oczy pozostały niewzruszone niczym tafla wody w leśnej sadzawce.

– Wiemy, że to ciebie zarejestrowała kamera – skłamała Jane. Nachyliła się nad Bellą i zauważyła, że jej źrenice zadrgały w mimowolnym i wiele mówiącym odruchu. Bella mogła sprawiać wrażenie spokojnej, ale jej wrodzone mechanizmy obronne, instynkt walki i ucieczki, znajdowały się w stanie pełnej gotowości.

– Wiemy, że byłaś w magazynie. Pytanie brzmi, po co?

Dziewczyna roześmiała się, co u kogoś znajdującego się zdecydowanie w niekorzystnej sytuacji było godnym podziwu dowodem stalowych nerwów.

– Wy mi powiedzcie, skoro wszystko wiecie.

– Poszłaś tam nastraszyć Kevina Donohue.

– Dlaczego miałabym to robić?

– Najpierw zostawiłaś za wycieraczką samochodu list. Potem włamałaś się do jego magazynu. Odcięłaś system zabezpieczeń i linię telefoniczną.

– To wszystko zrobiłam sama?

– Jesteś doskonale wyszkolona w sztukach walki. Uczyłaś się na Tajwanie w jednej z najlepszych szkół na świecie. – Jane rzuciła na stół teczkę. – To kartoteka zawierająca informacje o podróżach, które odbyłaś w ciągu ostatnich pięciu lat.

Bella uniosła głowę.

– To ja mam kartotekę?

– Teraz już tak.

Dziewczyna otworzyła teczkę i zaczęła przeglądać kartki, udając brak zainteresowania.

– Wyjeżdżałam z kraju. I co z tego? Czy Amerykanie nie mają prawa podróżować, dokąd tylko chcą?

– Niewielu Amerykanów spędza pięć lat w tajwańskim klasztorze, ucząc się dawnej sztuki walki wushu.

– Dla każdego coś miłego.

– A oto najciekawsza część: wszystko finansowała pani Fang. Nie jest zamożna, a mimo to przez te wszystkie lata opłacała ci szkołę. Płaciła też za twoje bilety lotnicze. Dlaczego?

– Wiedziała, że mam talent.

– Kiedy to stwierdziła?

– Kiedy miałam siedemnaście lat i żyłam na ulicy. Tam mnie znalazła. Odkurzyła, otrzepała i zabrała ze sobą, może dlatego, że przypominałam jej córkę.

– Tym właśnie zajmujesz się w Bostonie? Pełnisz funkcję jej zastępczej córki?

– Uczę w jej szkole. Reprezentujemy ten sam styl sztuki walki. I mamy tę samą filozofię.

– A jaka to filozofia? – spytała Jane.

Bella spojrzała jej prosto w oczy.

– Że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za sprawiedliwość.

– Za sprawiedliwość czy za zemstę?

– Ktoś mógłby powiedzieć, że zemsta to tylko inne słowo na określenie sprawiedliwości.

Jane wpatrywała się w Bellę, starając się ją rozszyfrować. Zdecydować, czy to ta sama istota, która uratowała jej życie w zaułku i która kryła się na dachu magazynu. Bella była dwudziestoczteroletnią dziewczyną z krwi i kości, jak każda, ale zdecydowanie nieprzeciętną. Patrząc w jej oczy, Jane zauważyła w nich coś dziwnego, obcego i dzikiego. Jakiegoś zwierzęcego ducha, który sprawił, że nagle się odsunęła, a po jej ramionach przeszedł dreszcz. Jakby dojrzała w tych oczach coś, co nie było do końca ludzkie.

Milczenie przerwał Frost:

– Panno Li, czas powiedzieć nam prawdę.

Bella spojrzała na niego lekceważąco.

– A która część nie jest prawdą?

– Ta związana z przyczynami, dla których pani Fang wybrała akurat ciebie.

– Mogła wybrać kogokolwiek.

– Ale tego nie uczyniła. Poleciała aż do San Francisco, żeby znaleźć tę jedną szczególną siedemnastolatkę, której mama niedawno zmarła. Uciekinierkę z rodziny zastępczej mieszkającą na ulicy. Co było w tobie takiego szczególnego?

Bella milczała.

– Mamy twoje szkolne dokumenty z Kalifornii. Nie ma w nich wzmianki o statusie imigracyjnym twojej matki.

– Moja mama nie żyje, więc jakie to ma teraz znaczenie?

– Była nielegalną imigrantką.

– Proszę to udowodnić.

– A ty, Bello?

– Mam amerykański paszport.

– Zgodnie z którym urodziłaś się w stanie Massachusetts.

Sześć lat później zostałaś przyjęta do szkoły publicznej w San Francisco. Twoja matka pracowała jako pokojówka w hotelu, posługując się fałszywym numerem ubezpieczenia społecznego. Dlaczego się tam przeprowadziłyście? Dlaczego nagle spakowałyście manatki i uciekłyście do Kalifornii? – Jane nachyliła się nad Bellą tak bardzo, że w otchłani jej oczu widziała swoje odbicie. – Mam uzasadnione podejrzenia co do tego, kim naprawdę jesteś. Tylko na razie nie mogę tego udowodnić. Ale możesz mi wierzyć, że to zrobię. – Spojrzała na Frosta. – Pokaż jej nakaz rewizji.

Bella ściągnęła brwi.

– Nakaz rewizji?

– Upoważnia nas do wejścia do twojego mieszkania – wyjaśnił Frost. – Detektyw Tam jest teraz w twoim domu z funkcjonariuszami przeprowadzającymi przeszukanie.

– Co spodziewacie się znaleźć?

– Dowody wskazujące na twój związek ze śmiercią niezidentyfikowanej kobiety, która zmarła piętnastego kwietnia w nocy, oraz śmiercią niezidentyfikowanego mężczyzny, który zginął dwudziestego pierwszego kwietnia.

Bella pokręciła głową.

– Niestety, muszę was rozczarować. Na piętnastego kwietnia mam twarde alibi. Tamtego dnia byłam na pokazie sztuk walki wushu w Chinatown. Mam na to co najmniej dwustu świadków.

– Sprawdźmy to. A tymczasem, jeśli chcesz zadzwonić po

adwokata, możesz to zrobić teraz.

– Aresztujecie mnie? – Bella rzuciła się do przodu tak gwałtownie, że Jane wzdrygnęła się, w pełni świadoma, jak szybki i śmiertelny w skutkach może być każdy ruch tej dziewczyny. – To jest – wycedziła Bella – bardzo duży błąd. – Coś zakotłowało się w otchłani jej oczu, jakby w atramentowych odmętach źrenic budziło się do życia jakieś nieznanne stworzenie. Spoglądało teraz na Jane zimnymi jak wypolerowany kamień oczami. – Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Mieszkanie Belli było czyste. Zbyt czyste. Jane stała w salonie i patrzyła na dywan, na którym wciąż widać było biegnące równolegle ślady odkurzacza.

– Tak to wyglądało, kiedy tu weszliśmy – powiedział Tam. – Kuchnia i łazienka są wyszorowane, że aż lśnią. W kubie na śmieci nie ma nawet skrawka papieru. Jakby nikt tu nie mieszkał. Albo ma obsesję na punkcie czystości, albo celowo usunęła wszystkie ślady.

– Skąd mogła wiedzieć, że tu przyjdziemy?

– Każdy, kto zostaje wezwany na policję, domyśli się, że może być podejrzany. Musiała wiedzieć, że tu przyjdziemy.

Jane podeszła do nieskazitelnie czystego okna i wyjrzała na ulicę. Dwie starsze kuśtykające panie szły chodnikiem, trzymając się pod rękę. Był to cichy zakątek Tai Tung Village w południowej części Chinatown. Iris Fang mieszkała przy tej

samej ulicy, w odległości kilku minut spacerem. Ta okolica była innym wszechświatem i Jane czuła się tu obco. To poczucie wzmacniały spojrzenia i nerwowe szepty sąsiadów. Ze swoją odznaką i władzą była obca wszędzie, gdziekolwiek się znalazła, była osobą z zewnątrz, która mogła stać się najlepszym przyjacielem lub najgorszym wrogiem.

Odwróciła się od okna i poszła do łazienki, gdzie Frost, klęcząc, przeszukiwał szafkę pod umywalką.

– Niczego tu nie ma – powiedział i wstał z twarzą czerwoną od wysiłku. – Ani jednego włosa pod prysznicem i w umywalce. W szafce na lekarstwa znalazłem tylko aspirynę i bandaż elastyczny. Jakby nikt tu nie mieszkał.

– A jesteśmy pewni, że ona tu mieszka?

– Detektyw Tam rozmawiał z sąsiadem z mieszkania obok. Starszy pan koło osiemdziesiątki. Mówi, że rzadko ją tu widuje, ale często słyszy głosy. – Frost zastukał w ścianę. – Są dość cienkie.

– Głosy? W liczbie mnogiej?

– To może być telewizor. Mieszka sama.

Jane rozejrzała się po lśniącej czystością łazience.

– Jeśli w ogóle tu mieszka.

– Ktoś płaci czynsz za to mieszkanie.

– I ktoś tu był z odkurzaczem i środkiem dezynfekującym.

– Z tym odkurzaczem to dziwna sprawa. Nie mogliśmy go znaleźć, więc nie mamy też worka, który można przeszukać. Żadnych śladów.

Jane ruszyła do sypialni, gdzie zastała Tama rozmawiającego

przez telefon. Kiedy weszła, skinął jej głową. Drewniana podłoga również była czysta. Pościel odrzucono na bok, odsłaniając materac. Jane uklękła, zajrzała pod łóżko i przekonała się, że pod stelażem materaca na podłodze również nie ma ani drobinki kurzu. W jej polu widzenia pojawiły się buty. Uniosła głowę i zobaczyła policyjnego kryminologa, który patrzył na nią, stojąc w drzwiach.

– Nie znaleźliśmy żadnej broni – poinformował. – Nie licząc noży kuchennych.

– Nie widzieliście niczego, co przypominałoby szablę?

– Nie, proszę pani. Przeszukaliśmy szafy i szuflady.

Odsunęliśmy wszystkie meble i sprawdziliśmy za nimi. –

Zamilkł, rozglądając się po gołych ścianach. – Zdaje się, że krótko tu mieszka. Nie zdążyła się zadomowić.

– Jeśli w ogóle zamierzała to zrobić.

– Nie ma też zbyt wielu ubrań.

Jane otworzyła szafę i zobaczyła z tuzin ciuchów, wszystkie w rozmiarze dwa. Trzy pary czarnych spodni, kilka ciemnych swetrów i bluzek i jedna letnia sukienka bez rękawów z miękkiego jedwabiu w kolorze brzoskwiniowym. To garderoba kogoś, kto przyjechał na krótko i nie zamierza zagrzać tu miejsca. Dziewczyna nadal była dla nich zagadką. Jane wpatrywała się w sukienkę, próbując wyobrazić sobie Belle Li w czymś tak kobiecym, tak zalotnym. Na próżno. Jedyne, co widziała, to jej dzikie oczy i czarne nastroszone włosy.

– Przykro mi to mówić – powiedział Tam, unosząc swój telefon komórkowy – ale jej alibi na piętnastego kwietnia jest

bardzo mocne. Rozmawiałem z dyrektorem programowym ośrodka kultury. Tamtego wieczoru mieli pokaz sztuk walki. Bella Li występowała z ośmioma uczniami z Akademii „Smok i Gwiazdy”.

– O której godzinie?

– Przyszli o osiemnastej. Zjedli kolację i około dwudziestej pierwszej weszli na scenę. Byli tam przez cały wieczór. –

Pokręcił głową. – To się nie trzyma kupy, proszę pani.

– Na dwudziestego pierwszego kwietnia nie ma alibi.

– To nie powód, by ją zatrzymać.

– Więc znajdziemy jakiś powód, do diabła.

– Dlaczego? – Tam popatrzył na nią tak przenikliwie, że poczuła się nieswojo.

Odwróciła się w stronę szafy, aby uciec przed jego spojrzeniem.

– Jest w niej coś, co sprawia, że zapala mi się czerwona lampka. Wiem, że jest w to wmieszana, tylko nie wiem w jaki sposób.

– Mamy tylko nagranie z kamery monitoringu, na którym widać jakąś postać o kobiecej budowie ciała. To może być ona, ale nie musi. Nie mamy żadnej broni. Nie mamy żadnych dowodów.

– Bo wszystko tu wyszorowała przed naszym przyjściem.

– Więc co takiego na nią mamy, oprócz pani przecucia?

– Jak dotąd nigdy mnie nie zawiodło. – Jane włożyła rękawiczki i zaczęła przeszukiwać kieszenie wiszących w szafie ubrań. Nie wiedziała, czego szuka. Znalazła jedynie

jakieś drobne, jeden guzik i złożoną chusteczkę.

– Detektyw Tam ma rację. – W drzwiach stanął Frost. – Musimy ją wypuścić.

– Wcześniej muszę się o niej dowiedzieć czegoś więcej. Muszę wiedzieć, kim naprawdę jest – powiedziała Jane.

– Opieramy się na domysłach.

– Więc znajdziemy coś na ich potwierdzenie. Gdzieś musi być jakiś ślad. – Podeszła do okna sypialni i wyjrzała na ulicę. Otwierane pionowo okno było uchylone na tyle, by wpadało przez nie świeże powietrze. Na zewnątrz tuż obok okna znajdowały się schody przeciwpożarowe, a na oknie nie było żadnej siatki. Każdą dziewczynę wynajmującą mieszkanie by to niepokoiło, ale nieustraszona Bella Li mknęła przez życie gotowa do walki. Czy kiedykolwiek, leżąc w nocy w łóżku, zerwała się, słysząc dziwny dźwięk za oknem albo skrzypienie podłogi? Czy może również we śnie zachowuje się jak wojownik, pozbawiona lęku nawet w marzeniach sennych?

Jane odwróciła się od okna i nagle zastygła ze wzrokiem wbitym w zasłonę. Była uszyta z niemnącej się mieszanki poliestru, wzór przedstawiał beżowe łądygi bambusa na tle gąszczu zieleni. Na tym wielokolorowym tle srebrzysty włos był ledwo widoczny. Tylko pod tym kątem, kiedy przez tkaninę prześwitywało światło lampy, Jane miała szansę go dojrzeć.

Wyjęła z kieszeni torebkę na dowody. Wstrzymując oddech, delikatnie zdjęła włos z zasłony i wsunęła go do torebki. Podniosła ją do światła i przyjrzała się włosowi przez przezroczysty plastik. Potem popatrzyła na okno i drabinkę

przeciwpożarową.

To coś tu było. To stworzenie było w tym pokoju, pomyślała.

Rozdział trzydziesty drugi

Myśliwy rzadko wie, kiedy ktoś na niego poluje. Chodzi po lesie ze strzelbą i czujnymi oczami wypatruje na pokrytej śniegiem ziemi śladów zwierzyny. Szuka tropu lub siedzi przycupnięty na ambonie, czekając, aż w jego polu widzenia pojawi się niedźwiedź. Nigdy nie przychodzi mu do głowy, że jego ofiara może go obserwować, czekając, aż popełni błąd.

Śledzący mnie teraz myśliwy nie zobaczyłby niczego, czego mógłby się obawiać. Wyglądam na kobietę w średnim wieku z włosami przyprószonymi siwizną, idę wolniej niż zwykle, przytłoczona zmęczeniem i obciążona siatkami pełnymi zakupów na następny tydzień. Idę tą samą drogą co zwykle we wtorki wieczorem. Po zakupach na chińskim bazarze przy Beach Street skręcam w Tyler i kieruję się na południe w stronę mojej spokojnej Tai Tung Village. Idę z pochyloną głową i opuszczonymi ramionami, aby każdy, kto mnie zobaczy, mógł pomyśleć: oto typowa ofiara, a nie kobieta, która będzie walczyła w swojej obronie, której należy się bać.

Ale mój przeciwnik już wie, że powinien mieć się na baczności, podobnie jak ja mam się na baczności przed nim. Jak dotąd rozegraliśmy jedynie walkę cieni, lecz nigdy nie doszło między nami do starcia, nie licząc jego wysłanników. Jesteśmy parą myśliwych, którzy zataczają wokół siebie kręgi, ale to on musi wykonać kolejny ruch. Dopiero wówczas, gdy

ukáže się w świetle, poznam jego twarz.

Idę zatem Tyler Street, jak to robiłam wiele razy wcześniej, zastanawiając się, czy nastąpi to tego wieczoru. Nigdy jeszcze nie czułam się tak bezbronna i wiem, że niedługo zacznie się drugi akt. Za mną w mroku giną jasne światła lamp na Beach Street i Kneeland Street. Teraz poruszam się wśród cieni, mijam ciemne drzwi i nieoświetlone uliczki, a plastikowe siatki z zakupami szeleszczą w rytm moich kroków. Zwykła zmęczona wdowa zajęta swoimi sprawami. Ale ja jestem świadoma wszystkiego, co dzieje się wokół mnie, począwszy od wilgotnej mgły osiadającej na mojej twarzy po wydobywający się z siatek zapach kolendry i cebuli. Nikt mi nie towarzyszy. Żaden strażnik nie stoi na straży. Dziś wieczorem jestem sama jak cel, czekający, aż nadleci pierwsza strzała.

Kiedy zbliżam się do domu, zauważam, że światło przed wejściem jest zgaszone. Celowy sabotaż czy tylko przepalona żarówka? Moje nerwy aż bzyczą postawione w stan gotowości, serce zaczyna bić szybciej, posyłając krew do mięśni, które już się napinają gotowe do walki. Zauważam zaparkowany samochód i widzę wysiadającego z niego mężczyznę, który wychodzi mi naprzeciw, a wtedy z moich ust zamiast przyspieszonego oddechu wydobywa się westchnienie ulgi, choć jestem też zła.

– Proszę pani? – mówi detektyw Frost. – Muszę z panią porozmawiać.

Zatrzymuję się przed wejściem do domu, wciąż obciążona

siatkami, i patrzę na niego bez cienia uśmiechu.

– Jestem dziś zmęczona. I nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Proszę przynajmniej pozwolić, że pani pomogę. – Bierze ode mnie siatki i wnosi je po schodach na werandę. Czeka, aż otworzę drzwi. Ma tak poważną minę, że nie mogę odrzucić jego pomocy.

Otwieram drzwi i wpuszczam go do domu.

Kiedy zapalam światło, wnosi siatki do kuchni i kładzie je na blacie. Stoi z rękami w kieszeniach i przygląda się, jak wkładam aromatyczne zioła i świeże warzywa do lodówki, wypełniam szafki oliwą, papierowymi ręcznikami i rosółem w puszkach.

– Chciałbym przeprosić – mówi. – I wyjaśnić.

– Wyjaśnić? – pytam takim tonem, jakby nie obchodziło mnie to, co ma mi do powiedzenia.

– W związku z tą szablą, dlaczego tak się stało i dlaczego ją zabraliśmy. W śledztwie toczącym się w związku z morderstwem musimy rozważyć wszystkie możliwości.

Sprawdzić każdy trop. Broń, której szukamy, to bardzo stara szabla, a ja wiedziałem, że pani taką ma.

Zamykam szafkę i odwracam się do niego.

– Teraz już chyba wiecie, że to był błąd.

Detektyw kiwa głową.

– Ta szabla zostanie oczywiście zwrócona.

– A kiedy wypuścicie Bellę?

– To bardziej skomplikowane. Wciąż badamy jej przeszłość.

Miałem nadzieję, że pani nam w tym pomoże, bo przecież się znacie.

Kręcę głową.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, detektywie, skończyło się to tak, że ja zostałam uznana za podejrzaną, a moja rodzinna pamiątka skonfiskowana.

– Nie chciałem, aby tak się stało.

– Ale po pierwsze i najważniejsze, jest pan policjantem.

– Czego innego mogłaby się pani po mnie spodziewać?

– Nie wiem. Przyjaźni?

Po tych słowach stoi w ostrym kuchennym świetle, które go postarza. Ale i tak widać, że jest młodym mężczyzną, wystarczająco młodym, by być moim synem. Wolę nie myśleć, jak w tym niekorzystnym fluorescencyjnym świetle wygląda moja twarz.

– Byłbym pani przyjacielem, gdyby tylko...

– Gdybym tylko nie była podejrzaną.

– Nie uważam, że tak jest.

– Więc nie wykonuje pan swojej pracy. Mogłabym być zabójcą, którego szukacie. Tak trudno to sobie wyobrazić, detektywie? Kobieta w średnim wieku, która wywija szablą i skacze po dachach, wycinając w pień wrogów? – Śmieję mu się prosto w twarz, a on się czerwieni, jakbym wymierzyła mu policzek. – Może należy przeszukać mój dom. Gdzieś tam może być ukryta inna szabla, broń, której istnienia nawet nie podejrzewacie.

– Pani Fang, proszę.

– Może poinformuje pan kolegów, że podejrzana jest wrogo nastawiona. Że nie zamierza dać się zwieść i udzielić więcej informacji.

– Nie dlatego tu jestem! Tamtego wieczoru, gdy jedliśmy kolację, wcale nie próbowałem wyciągnąć od pani informacji.

– Więc co próbował pan wtedy zrobić?

– Zrozumieć, kim pani jest, co myśli.

– Dlaczego?

– Bo pani i ja... bo... – Wzdycha ciężko. – Poczulem, że oboje potrzebujemy przyjaciela, tylko tyle. Przynajmniej ja potrzebuję.

Przez chwilę mu się przyglądam. Nie patrzy na mnie, stoi ze wzrokiem wbitym gdzieś za mną, jakby nie mógł zebrać się na odwagę i spojrzeć mi w oczy. Nie przez zakłamanie, lecz z powodu wrażliwości. Jest policjantem, ale martwi go, jakie mam na jego temat zdanie. Teraz niczego nie mogę mu zaoferować, ani pocieszenia, ani przyjaźni, nie mogę nawet dotknąć jego ramienia.

– Potrzebuje pan przyjaciela w swoim wieku, panie detektywie – mówię cicho. – A nie kogoś takiego jak ja.

– Nie widać po pani wieku.

– Cóż, ja widzę. I czuję – przyznaję, masując nieistniejący garb na moich plecach. – Również moją chorobę.

– Ja widzę kobietę, która nigdy się nie zestarzeje.

– Chciałabym to usłyszeć za dwadzieścia lat.

Uśmiecha się.

– Może kiedyś to pani powtórzę.

Mija chwila pełna niewypowiedzianych słów i uczuć, z którymi czujemy się nieswojo. Jest dobrym człowiekiem, widzę to w jego oczach. Ale myśl, że kiedykolwiek mogłoby łączyć nas coś więcej niż zwykła znajomość, jest absurdalna. Nie dlatego, że jestem prawie dwadzieścia lat od niego starsza, choć już to samo w sobie stanowi barierę. O nie. Prawdziwą przyczynę stanowi tajemnica, której nigdy nie będę mogła mu wyjawiać, tajemnica, która sprawia, że stoimy po przeciwnych stronach przepaści.

Kiedy odprowadzam go do drzwi, mówi:

– Jutro przyniosę szablę.

– A Bella?

– Jest szansa, że zostanie wypuszczona rano. Nie możemy trzymać jej w nieskończoność, nie mając dowodów.

– Nie zrobiła niczego złego.

Zatrzymuje się w drzwiach i patrzy na mnie.

– Różnica między tym, co dobre, a tym, co złe, nie zawsze jest jasna, prawda?

W odpowiedzi patrzę mu w oczy i zastanawiam się, czy to możliwe, że on wie? Czy daje mi przyzwolenie, abym zrobiła to, co zamierzam zrobić? Ale on tylko się uśmiecha i odchodzi.

Zamykam za nim drzwi. Ta rozmowa wyprowadziła mnie z równowagi. Nie mogę się skupić. Co począć z takim mężczyzną? – zastanawiam się, idąc na górę, by się przebrać. Przypomina mi męża. Jego dobroć, cierpliwość. Otwarty umysł, gotowy na powitanie nowych możliwości. Czy jestem zadufaną w sobie idiotką, że rozważam tak mało prawdopodobną

przyjaźń? Jestem rozkojarzona, rozmyślam o naszej rozmowie i nie zauważam wskazówek, które powinny mnie ostrzec.

Drżenie powietrza. Słaby zapach nieznanego ciała. Dopiero gdy zapalam światło w sypialni i nic się nie dzieje, uświadamiam sobie, że nie jestem sama.

Drzwi sypialni zatrząskują się za mną. W ciemnościach nie widzę, co leci w stronę mojej głowy, ale moje odruchy działają prawidłowo. Coś przemyka nade mną ze świstem, ja zaś pochylona obracam się w stronę łóżka, pod którym ukryta jest moja szabla. Nie ta kopia służąca jako wabik, którą oddałam policji, lecz prawdziwa Zheng Yi. Przekazywana przez pięć wieków po kądzieli z pokolenia na pokolenie, spuścizna, która miała nas chronić i bronić.

Teraz jest mi potrzebna bardziej niż kiedykolwiek.

Napastnik rzuca się w moją stronę, ale ja wyślizguję się niczym woda i toczę po podłodze. Sięgam pod łóżko, gdzie w specjalnym zagłębieniu spoczywa ukryta Zheng Yi. Pasuje do mojej dłoni jak stary przyjaciel, a gdy wysuwam ją z pochwy, wydaje dźwięczne westchnienie.

Jednym płynnym ruchem wstaję i obracam się, gotowa stawić czoło wrogowi. Po prawej skrzypi podłoga, zdradzając jego pozycję. Gdy przenoszę ciężar ciała na drugą nogę, szykując się do ataku, słyszę kroki, ale tym razem z tyłu, za mną.

Jest ich dwóch.

To ostatnia myśl, która przelatuje mi przez głowę. Potem upadam na ziemię.

Rozdział trzydziesty trzeci

Jane przykucnęła przy łóżku Iris, próbując odczytać przebieg wydarzeń z pozostawionych śladów, i nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Na podłodze i brzegu pościeli, tam gdzie upadła Iris, widać czerwone rozbryzgi. Ale utrata krwi musiała być minimalna, z pewnością nie tak duża, by spowodować śmierć. Wstając, Jane przyglądała się rozmazanym kroplom, po których ktoś musiał ciągnąć Iris. Już wcześniej zauważyła ślady krwi na schodach i na werandzie, gdzie zostawiono otwarte drzwi, ostrzegając tym samym sąsiadów Iris, że coś jest nie tak.

Jane odwróciła się do Frosta.

– Jesteś pewny tej godziny? Była dwudziesta pierwsza, kiedy stąd wychodziłeś?

Pokiwał głową. Wciąż wyglądał na zaszokowanego tym, co się stało z Iris.

– Kiedy wychodziłem z domu, nie widziałem w pobliżu żywej duszy. A zaparkowałem tuż przed domem.

– Po co tu przyjechałeś?

– Żeby z nią porozmawiać. Źle się czułem po tym, jak zabraliśmy jej tę szablę.

– Przyszedłeś, żeby przeprosić za to, że wykonujesz swoją pracę?

– Czasem przez tę pracę czuję się jak dupek, jasne? – odgryzł się. – A ta kobieta już raz była ofiarą. Straciła męża i córkę.

Teraz my robimy z niej podejrzaną. Wypyujemy. Znow jest ofiarą.

– Nie wiem, kim jest Iris Fang. Wiem tylko, że od samego początku była w samym centrum tego wszystkiego. Jakby wszystko kręciło się wokół niej. – Zadzwoił telefon Jane. – Rizzoli, słucham? – rzuciła do słuchawki i usłyszała głos Tama:

– Kevin Donohue mówi, że ma alibi na wczorajszy wieczór.

– A jego ludzie?

– Z tym jest problem. Jeden daje alibi drugiemu. Wszyscy trzej przysięgają, że spędzili cały wieczór w domu Donohue, oglądając telewizję. A to oznacza, że nie możemy żadnemu z nich wierzyć.

– I nie możemy żadnego z nich wykluczyć.

– Przed sądem też niczego im nie udowodnimy.

Jane się rozłączyła i sfrustrowana odwróciła w stronę okna. Na ulicy przed domem stały trzy starsze Chinki i gapiły się na Jane, rozmawiając. Co takiego wiedzą, że nic nie chcą nam powiedzieć? – zastanawiała się. W Chinatown nigdy nic nie było proste, a pozory zawsze myliły. Jak wtedy, gdy patrzy się przez jedwabną zasłonę: kształty nigdy nie są wyraźne i nie widać pełnego obrazu.

Odwróciła się do Frosta.

– Może Bella wreszcie z nami porozmawia. Najwyższy czas odsłonić wszystkie karty.

Tego dnia jednak Bella była jeszcze bardziej wrogo

nastawiona. Dłonie zacisnęła w pięści i wbijała w nich ostre jak diament spojrzenie.

– To wasza wina – powiedziała. – Powinnam tam być.

Powstrzymałabym to.

Jane spojrzała w jej błyszczące oczy i nagle wyobraziła sobie tę młodą kobietę skaczącą niczym dziki kocur atakujący zębami i pazurami. Ale gdy się odezwała, mówiła spokojnym głosem:

– Więc wiedziałas, że to się stanie? Wiedziałas, że ją zabiorą?

– Tracimy czas. Jestem jej potrzebna.

– Jak możesz jej pomóc, skoro nie wiesz, gdzie ona jest?

Bella otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, po czym zerknęła w stronę weneckiego lustra, świadoma, że jest obserwowana.

– Może zaczniemy od początku, Bello – zaproponowała Jane.

– Od tego, kim jesteś, od twojego prawdziwego imienia i nazwiska. Nie tego, które przyjął w Kalifornii, ale tego, pod którym się urodziłaś. – Jane położyła na stole kopię aktu urodzenia. – Podpisał się pod nim lekarz chińskiego pochodzenia. Urodziłaś się tu, w Bostonie. W domu przy Knapp Street. Twoim ojcem był Wu Weimin.

Bella nie odpowiadała, ale Jane widziała w jej oczach potwierdzenie prawdziwości swoich słów. Nie było jej to co prawda potrzebne. Akt urodzenia był dopiero pierwszym z kilku dokumentów. Jane przyniosła pozostałe. Kopie dokumentów ze szkoły publicznej w San Francisco, gdzie dziewczynka została zarejestrowana jako Bella Li. Akt zgonu jej matki, w którym figurowała jako Annie Li, zmarła w wieku

czterdziestu trzech lat z powodu raka żołądka. Wszystko tu było czarno na białym, papierowy trop, który Jane i jej ekipa uparcie śledzili przez ostatnie czterdzieści osiem godzin, ślad niewyraźny w czasach przed jedenastym września z powodu innych niż teraz przepisów i ukrytego świata, w którym poruszali się przybysze bez papierów. Świata, w którym samotna matka z dzieckiem mogła tak łatwo zniknąć i pojawić się pod innym nazwiskiem.

– Dlaczego wróciłaś do Bostonu? – spytała Jane.

Bella spojrzała jej prosto w oczy.

– *Sifu* Fang prosiła, żebym przyjechała. Nie czuje się dobrze, a w szkole potrzebny był dodatkowy instruktor.

– Tak. Tę wersję już znamy.

– A jest jakaś inna?

– I to nie ma nic wspólnego z tym, co się stało w Czerwonym Feniksie? Nic wspólnego z tym, że twój ojciec zabił czworo ludzi?

Twarz Belli stężała.

– Mój ojciec jest niewinny.

– Zgodnie z oficjalnym raportem tak nie jest.

– A w oficjalnych raportach nigdy nie ma błędów, tak?

– Jeśli w tym raporcie jest błąd, to jaka jest prawda?

Bella odwróciła wzrok.

– Został zamordowany.

– Tak ci powiedziała matka?

– Mojej matki tam nie było!

Jane przerwała, uświadamiając sobie nagle, co te słowa

znaczą: „Mojej matki tam nie było”. Przypomniała sobie blask luminolu na piwnicznych schodach, krwawy odcisk dziecięcego bucika.

– Ale ktoś tam był – powiedziała spokojnie. – Ktoś, kto ukrywał się w piwnicy, kiedy to się stało.

Bella zamarła.

– Jakim cudem... – zaczęła.

– Powiedziała nam to krew. Nawet jeśli się ją zmyje, zawsze pozostają drobne cząsteczki. Dziesiątki lat później pod wpływem pewnych chemicznych substancji można je zobaczyć. Znaleźliśmy odciski twoich bucików na stopniach w piwnicy i na posadzce w kuchni. Prowadziły w stronę wyjścia. Ślady, które ktoś stał, zanim przyjechała policja. – Jane przysunęła się bliżej. – Dlaczego twoja matka to zrobiła, Bello? Dlaczego starała się zatrzeć ślady?

Bella nie odpowiedziała, ale Jane widziała po jej minie, że toczy wewnętrzną walkę, czy wyznać prawdę, czy dochować tajemnicy.

– Zrobiła to, by cię chronić, prawda? – powiedziała Jane. – Bo widziałas, co się stało, bała się o ciebie. Bała się, że ktoś zrobi ci krzywdę.

Bella pokręciła głową.

– Niczego nie widziałam.

– Przecież tam byłaś.

– Ale niczego nie widziałam! – krzyknęła Bella. Przez chwilę jej wybuch zawisł w powietrzu między nimi. Spuściła głowę i wyszeptała: – Ale słyszałam.

Jane nie zadawała więcej pytań, nie przeszkadzała. Spokojnie czekała na historię, którą – tego była pewna – za chwilę usłyszy.

Bella odetchnęła głęboko.

– Moja mama spała. Zawsze po pracy w sklepie spożywczym była bardzo zmęczona. A tego wieczoru miała dodatkowo grypę. – Bella wpatrywała się tępych wzrokiem w stół, jakby wciąż stał jej przed oczami obraz mamy leżącej w łóżku pod pierzyną. – Ale ja nie byłam śpiąca, więc wyszłam z łóżka i poszłam na dół do taty.

– Poszłaś do restauracji.

– Oczywiście był na mnie trochę zły. – Jej usta wykrzywił smutny uśmiech. – Siedział tam, żonglując rondlami i garnkami. A ja domagałam się uwagi i lodów. Powiedział, żebym wracała na górę do łóżka. Był zajęty i nie miał dla mnie czasu. Wujek Fang też nie miał dla mnie czasu.

– Mąż Iris?

Bella pokiwała głową.

– Był na sali. Wyjrzałam przez drzwi i zobaczyłam, że siedzi przy stoliku z jakimś mężczyzną i kobietą. Pili herbatę.

Jane ściągnęła brwi, zastanawiając się, dlaczego kelner siedział z gośćmi przy stoliku? To była już druga zagadka na temat państwa Mallory, bo po pierwsze, zastanawiało ją, co w ogóle robili w chińskiej restauracji, skoro zgodnie z sekcją zwłok na kolację jedli włoskie jedzenie.

– O czym rozmawiali pan Fang i ci klienci?

Bella pokręciła głową.

– W kuchni było zbyt głośno, żeby cokolwiek usłyszeć. Tata walił garnkami, kręcił się wiatrak.

– Widziałaś, jak Joey Gilmore wszedł, by odebrać jedzenie na wynos?

– Nie. Pamiętam tylko tatę przy kuchni. Spoconego. I jego stary podkoszulek. Zawsze pracował w tym podkoszulku... – Głos jej się załamał. Przetarła oczy. – Mój biedny ojciec. Praca, zawsze praca. Na dłoniach miał ślady oparzeń i blizny po zacięciach w kuchni.

– Co się potem stało?

Usta Belli wykrzywił pełen żalu uśmiech.

– Chciałam loda. Płakałam, domagałam się uwagi, a on próbował napełnić te pudełka jedzeniem na wynos. Wreszcie się poddał. Powiedział, żebym zeszła na dół i wybrała sobie loda z zamrażarki.

– W piwnicy?

Pokiwała głową.

– Och, doskonale znałam tę piwniczkę. Byłam tam tyle razy. Stała tam w kącie taka wielka zamrażarka. Musiałam wspiąć się na krzesło, żeby podnieść wieko. Pamiętam, że zaglądałam do środka, żeby znaleźć smak, na który miałam ochotę. Były w takich małych kartonikach akurat na jedną porcję. Chciałam takiego z czekoladowymi prążkami, wanilią i truskawkami. Ale nie mogłam go znaleźć. Szukałam i szukałam wśród tych malutkich kartoników, ale wszystkie były waniliowe. Nic, tylko sama wanilia. – Odetchnęła głęboko. – I wtedy usłyszałam, że mój ojciec krzyczy.

– Na kogo?

– Na mnie. – Bella podniosła oczy, w których błyszczały łzy, i zamrugła szybko. – Krzyczał, żebym się schowała.

– Każdy, kto był w restauracji, musiał go usłyszeć.

– Powiedział to po chińsku. Morderca nie mógł go zrozumieć, bo inaczej przyszedłby tam po mnie. Wiedziałby, że jestem w piwnicy.

Jane zerknęła w stronę lustra weneckiego. Nie widziała Tama ani Frosta, ale mogła wyobrazić sobie ich zdziwione miny. Oto zagubiony rozdział tej historii. Ślady przez cały czas widniały na piwnicznych schodach i kuchennej posadzce, ale odciski stóp są nieme, dopiero Bella sprawiła, że przemówiły.

– I schowałaś się? – spytała Jane.

– Nie rozumiałam, co się dzieje. Zeszłam z krzesła i zaczęłam wchodzić po schodach, ale się zatrzymałam. Usłyszałam jego błagalny głos. Łamanym angielskim błagał o życie. Wtedy zrozumiałam, że to nie zabawa czy jakieś wygłupy, które na mój użytek wyprawia. – Bella przełknęła ślinę. Teraz jej głos był jeszcze cichszy. – Więc zrobiłam to, co mi kazał. Ani pisnęłam. Przykucnęłam pod schodami. Usłyszałam, że coś upada. A potem rozległ się wystrzał.

– Ile w sumie padło strzałów?

– Tylko jeden. Usłyszałam tylko jeden wystrzał.

Jane pomyślała o broni znalezionej w ręku Wu Weimina. Glock z gwintowaną lufą. Zabójca użył tłumika, by wyciszyć odgłos tych pierwszych ośmiu strzałów. Dopiero gdy zlikwidował swoje ofiary, zdjął tłumik, wsunął broń w

pozbawioną życia dłoń Wu Weimina i wystrzelił po raz ostatni, pewny, że dzięki temu na skórze ofiary zostaną znalezione resztki prochu.

Zbrodnia doskonała, pomyślała Jane. Nie licząc tego, że jednak był tam świadek. Milcząca dziewczynka ukryta pod piwnicznymi schodami.

– Zginął, żeby mnie ratować – wyszeptała Bella. – Powinien uciekać, ale nie mógł mnie zostawić, więc nie ruszył się z miejsca. Zmarł tuż przed drzwiami do piwnicy. Musiałam postawić stopę w jego krwi, żeby go wyminąć. Gdybym tam nie poszła, błagając o cholerne lody, mój ojciec by żył.

Teraz Jane zrozumiała wszystko. Dlaczego Wu Weimin nie uciekł, skoro miał taką możliwość. Dlaczego w kuchni znaleziono dwie łuski. Czy zabójca w ostatniej chwili wpadł na pomysł zainscenizowania samobójstwa, kiedy stał już nad ciałem kucharza? To było takie proste. Wystarczyło położyć palce nieżyjącego mężczyzny na spuście i wystrzelić ostatnią kulę. A potem zostawić pistolet i wyjść.

– Powinnaś była powiedzieć to wszystko policji. To by wszystko zmieniło.

– Wcale nie. Kto by uwierzył pięciolatce? Dziewczynce, która nawet nie widziała twarzy mordercy. A moja mama nie pozwoliłaby mi nic powiedzieć. Bała się policji. A raczej była nią przerażona.

– Dlaczego?

Bella zacisnęła szczęki.

– Tak trudno się domyślić? Mama była tu nielegalnie. Co by

się stało, gdyby policja zwróciła na nas uwagę? Musiała myśleć o mojej przyszłości. I swojej też. Ojciec nie żył i nic nie mogło już tego zmienić.

– A sprawiedliwość? Nie była brana pod uwagę w tych kalkulacjach?

– Nie wtedy. Nie tamtej nocy, kiedy mama mogła tylko myśleć o tym, jak zapewnić nam bezpieczeństwo. Gdyby zabójca wiedział, że jest świadek, mógłby zacząć mnie szukać. Dlatego starła ślady moich stóp. I dlatego spakowała walizki i dwa dni później wyjechałyśmy.

– Czy Iris Fang o tym wiedziała?

– Nie, wtedy jeszcze nie. Dowiedziała się dopiero wiele lat później, kiedy moja mama umierała na raka. Miesiąc przed śmiercią napisała do *sifu* Fang list i wyznała prawdę. Przeprosiła za tchórzostwo. Jednak po tylu latach niczego nie mogliśmy dowieść, niczego zmienić.

– Ale mimo to próbowaliście, prawda? Przez ostatnie siedem lat ty albo Iris wysyłałyście nekrologi do rodzin ofiar, aby ich pamięć i ból po zmarłych wciąż były żywe. Mówiąc im, że prawda nie wyszła na jaw.

– Bo nie wyszła. Muszą o tym wiedzieć. Wysyłałyśmy listy, żeby nie przestali zadawać pytań. Tylko w ten sposób można się dowiedzieć, kim był morderca.

– Więc razem z Iris starałyście się wywabić go z ukrycia. Wysyłając wiadomości do rodzin, do Kevina Donohue. Zamieszczając ogłoszenie w „Boston Globe” w nadziei, że morderca zdenerwuje się i wreszcie zaatakuje. A jaki wówczas

mialyście plan? Przekazać go nam, czy samodzielnie wymierzyć sprawiedliwość?

Bella się roześmiała.

– A jak niby miałybyśmy to zrobić? Przecież jesteśmy tylko kobietami.

Teraz to Jane się roześmiała.

– Mówisz, jakbym kiedykolwiek cię nie doceniała. – Sięgnęła do teczki i wyjęła *Małpiego Króla*, starą chińską legendę w przekładzie Arthura Waleya. – Jestem pewna, że słyszałaś o Małpim Królu.

Bella zerknęła na książkę.

– Takie tam chińskie bajki. Co one mają z tym wszystkim wspólnego?

– Jeden rozdział tej książki szczególnie przykuł moją uwagę. Nosi tytuł *Opowieść o Chen O*. To historia pewnego młodego uczonego człowieka, który podróżuje z ciężarną żoną. Przed przeprawą przez rzekę napadają na nich zbójcy. Mąż ginie, a żona zostaje uprowadzona. Znasz tę historię?

Bella wzruszyła ramionami.

– Słyszałam o niej.

– Wobec tego znasz zakończenie. Żona rodzi w niewoli syna i potajemnie wkłada go do wiklinowego kosza z listem, w którym wyjaśnia, w jakich tarapatach się znalazła. Dziecko, podobnie jak Mojżesz, zostaje uniesione prądem rzeki. Dryfuje aż do świątyni Złotej Góry, gdzie wychowuje je pewien święty mąż. Dorasta, staje się mężczyzną i poznaje prawdę o swoich rodzicach. O zabitym ojcu i uwięzionej matce.

– Jest jakaś puenta?

– Puenta jest właśnie tutaj, w słowach wypowiedzianych przez tego młodzieńca. – Jane spojrzała na otwartą stronę książki i przeczytała: – *Ten, który nie zdoła pomścić zła uczynionego jego rodzicom, nie jest godzien miana człowieka.* – Zerknęła na Bellę. – O to w tym wszystkim chodzi, prawda? Jesteś jak syn z tej opowieści. Prześladowany zabójstwem ojca. Moralnie zobowiązany, by go pomścić. – Jane położyła książkę przed Bellą. – Dokładnie tak postąpiłby Małpi Król. Walczyłby o sprawiedliwość. Chronił niewinnych. Pomścił ojca. Ach, ta małpa może przy okazji poczynić trochę spustoszeń, nabroić. Może potłuc porcelanę i podpalić meble. Ale koniec końców sprawiedliwości stanie się zadość. Bo on zawsze robi to, co należy.

Bella milczała. Wpatrywała się tylko w ilustrację przedstawiającą wymachującą kijem małpę wojownika.

– Dobrze to rozumiem, Bello – powiedziała Jane. – Nie jesteś czarnym charakterem, tylko córką ofiary, córką, która chce tego, czego policja nie może ci dać: sprawiedliwości. – Ściszyła głos i teraz niemal szeptała pełnym współczucia głosem: – To właśnie próbowaliście zrobić z Iris. Wyciągnąć zabójcę z ukrycia. Zmusić go, by zaatakował.

Czyżby to było skinienie głowy? Nieumyślne przyznanie jej racji?

– Ale nie wszystko poszło po waszej myśli – ciągnęła Jane. – Kiedy zaatakował, zrobił to, wynajmując zawodowców, żeby zabili zamiast niego. Więc nadal nie wiecie, kim on jest. A

teraz zabrał Iris.

Bella podniosła głowę. W jej oczach płonęła wściekłość.

– To przez was nie poszło po naszej myśli. Powinnam tam być i jej pilnować.

– Była przynęta.

– Chciała podjąć to ryzyko.

– I we dwie miałyście wymierzyć sprawiedliwość?

– A kto inny miałby to zrobić? Policja? – Śmiech Belli był gorzki. – Przez tyle lat nic ich to nie obchodziło.

– Mylisz się, Bello. Mnie to bardzo obchodzi.

– Więc proszę mnie puścić, żebym mogła ją odnaleźć.

– Nie masz pojęcia, od czego zacząć.

– A wy macie? – fuknęła Bella.

– Przyglądamy się kilku podejrzanym.

– I trzymacie mnie tu zamkniętą bez powodu.

– Prowadzę śledztwo w sprawie dwóch morderstw. To wystarczająco dobry powód.

– To byli płatni mordercy. Tak pani mówiła.

– Ale mimo to zostali zabici.

– Mam alibi w tym pierwszym przypadku. Przecież to jasne, że nie ja zabiłam tę kobietę na dachu.

– Więc kto?

Bella spojrzała na książkę. Jej usta drżały.

– Może Małpi Król?

– Mówię o prawdziwych ludziach.

– Mówi pani, że jestem podejrzana, ale przecież to jasne, że nie mogłam zabić tej kobiety. Równie dobrze może pani winić

jakieś mityczne stworzenie, bo w tym przypadku szanse na udowodnienie tej teorii są takie same. – Bella spojrzała na Jane.
– Wie pani, jak zaczyna się ta legenda, prawda? Jak Sun Wukong wyłania się ze skały i zamienia w wojownika? Tamtej nocy, kiedy zginął mój ojciec, wyłoniłam się z piwnicy jak Małpi Król. Ja również uległam przemianie. Stałam się tym, kim jestem teraz.

Jane wstała.

– Masz rację, Bello, nie mam wystarczających dowodów, by cię zatrzymać. Jeszcze nie.

– To znaczy, że mnie pani wypuści?

– Tak. Możesz iść.

– I nikt nie będzie mnie śledził? Mogę robić, co chcę?

– Co masz na myśli?

Bella wstała jak lwica prężąca się przed polowaniem, patrzyły na siebie.

– Cokolwiek będzie konieczne.

Rozdział trzydziesty czwarty

Słyszę jego oddech gdzieś w ciemnościach za oślepiającym blaskiem świecącym mi prosto w oczy. Nie dopuścił, bym zobaczyła jego twarz. Znam tylko jego gładki jak krem głos. Nie jestem mu posłuszna i zaczyna się denerwować, bo widzi, że niełatwo mnie złamać.

Teraz on również się niepokoi, bo znalazł przytroczony do mojej nogi lokalizator. Urządzenie, które unieszkodliwił, wyjmując baterie.

– Z kim pracujesz? – pyta. Przysuwa lokalizator do mojej twarzy. – Kto cię namierzał?

Mimo obitej szczęki i opuchniętych ust udaje mi się odpowiedzieć ochrypłym szeptem:

– Ktoś, kogo nigdy nie chciałbyś spotkać. Ale wkrótce spotkasz.

– Nie, jeśli nie będą mogli cię znaleźć. – Trzask urządzenia rzuconego na podłogę rozbrzmiewa jak dźwięk zdruzgotanej nadziei. Kiedy go znalazł, wciąż byłem nieprzytomna, więc nie wiem, kiedy przestał działać. Być może na długo przed tym, jak znalazłam się w tym miejscu, a to oznacza, że nikt mnie nie znajdzie. I tu właśnie umrę.

Nie wiem, gdzie jestem.

Moje nadgarstki są spętane przykutymi do ściany kajdanami. Pod bosymi stopami wyczuwam chłód betonowej podłogi. Nie

ma światła, nie licząc tego, które świeci mi w oczy, żaden promień słońca nie wpada przez szpary w oknach. Być może jest noc. A może znajduję się w miejscu, do którego nigdy nie dociera słońce, skąd nie wydostanie się żaden krzyk. Mrugam, starając się rozejrzeć, ale widzę tylko to jasne światło, a poza nim ciemność. Szarpię się, aż do bólu pragnę zacisnąć ręce na broni, dokończyć to, na co czekałam przez tyle lat.

– Szukasz swojej szabli, prawda? – mówi i macha głownią w świetle, bym mogła ją zobaczyć. – Piękna broń. Tak ostra, że można nią bez wysiłku odciąć palec. To tym ich zabiłaś? – Wykonuje zamach, klinga ze świstem przelatuje obok mojej twarzy. – Słyszałem, że miała równiutko odciętą dłoń. A jego głowa spadła za jednym ciosem. Dwójka płatnych morderców, a oboje dali się zaskoczyć. – Zbliży ostrze do mojej szyi i przyciska tak delikatnie, że mój przyspieszony puls wprawia metal w drzenie. – Może sprawdzimy, co to cudo potrafi zrobić z twoją szyją?

Ani drgnę, ze wzrokiem wbitym w czarny owal, który jest jego twarzą. Pogodziłam się już ze śmiercią, więc jestem na nią gotowa. Prawdę powiedziawszy, przez te dziewiętnaście lat byłam gotowa umrzeć, a on jednym cięciem szablą mnie uwolni, abym mogła nareszcie połączyć się z moim mężem, co odkładałam na później z powodu tej niedokończonej sprawy. Nie czuję teraz lęku, lecz żal, bo zawiodłam. Bo ten człowiek nigdy nie poczuje, jak mój miecz wbija mu się w gardło.

– Tamtej nocy w Czerwonym Feniksie był świadek – mówi. – Kto to był?

– Naprawdę myślisz, że ci powiem?

– A więc ktoś tam był.

– I nigdy nie zapomni.

Miecz wbija się trochę mocniej w moją szyję.

– Powiedz mi, jak się nazywa.

– I tak mnie zabijesz. Dlaczego miałabym ci mówić?

Zapada długa cisza, po której odsuwa ostrze.

– Umówmy się tak: ty powiesz mi, kim jest świadek, a ja ci powiem, co się stało z twoją córką.

Próbuję przetrwać to, co powiedział, ale nagle mrok wokół mnie zaczyna wirować i czuję, że tracę grunt pod nogami. On widzi, że jestem zdezorientowana, i się śmieje.

– Nie miałaś pojęcia, że cały czas chodziło o Laurę, prawda? Laura, chyba tak się nazywała? Miała jakieś czternaście lat. Pamiętam ją, bo była pierwszą, którą sam wybrałem. Śliczne maleństwo. Długie czarne włosy, wąskie biodra. I taka ufna. Nietrudno było ją namówić, żeby wsiadła do samochodu. Niosła te wszystkie ciężkie książki i skrzypce i była taka wdzięczna za podwiezienie do domu. Wszystko poszło łatwo, bo byłem jej przyjacielem.

– Nie wierzę ci.

– Dlaczego miałbym kłamać?

– Wobec tego powiedz mi, gdzie jest teraz.

– Najpierw powiedz mi, kim jest ten świadek. Powiedz mi, kto tam jeszcze był w Czerwonym Feniksie. A ja opowiem ci potem, co się stało z Laurą.

Wciąż zmagam się z tą nową informacją, usiłując zrozumieć,

jakim cudem ten mężczyzna wie, co się stało z moją córką. Zaginęła dwa lata przed śmiercią mojego męża w strzelaninie. Nigdy nie podejrzewałam, że istnieje jakiś związek między tymi wydarzeniami. Wierzyłam, że los chciał, by dotknęła mnie podwójna tragedia, karmiczna kara za jakieś okrucieństwo, którego dopuściłam się w poprzednim wcieleniu.

– Była taka utalentowana – mówi miękki głos. – Już pierwszego dnia w trakcie przesłuchań wiedziałem, że chcę właśnie jej. Koncert Vivaldiego na dwoje skrzypiec. Pamiętasz, jak to ćwiczyła?

Jego słowa wybuchają jak szrapnel, wbijają w moje serce odłamki, ponieważ wiem, że mówi prawdę. Słyszał grę mojej córki. Wie, co się z nią stało.

– Powiedz mi, jak się nazywa świadek – naciska.

– Powiem ci tylko jedno – odpowiadam spokojnie. – Już jesteś martwy.

Uderzenie nadchodzi niespodziewanie i jest tak gwałtowne, że głowa odskakuje mi do tyłu i walę czaszką w ścianę. Poprzez dudnienie w uszach słyszę słowa, które wypowiada, słowa, których wcale nie chcę usłyszeć:

– Wytrzymała siedem, może osiem tygodni. Dłużej niż inne. Wyglądała na taką delikatną, ale była naprawdę silna. Proszę o tym pomyśleć. Przez całe dwa miesiące, kiedy szukała jej policja, Laura wciąż żyła. I błagała, żeby ją puścić do domu, do mamusi.

Tracę nad sobą kontrolę. Nie mogę powstrzymać łez, stłumić łkania, które wstrząsa moim ciałem. Brzmi jak zwierzęcy

skowyt, dziki i obcy.

– Mogę zamknąć ten rozdział – ciągnie. – Mogę odpowiedzieć na pytanie, które przez te wszystkie lata nie dawało ci spokoju. Gdzie jest Laura? – Nachyla się nade mną. Choć wciąż nie widzę jego twarzy, czuję jego zapach, śmierdzi agresją. – Powiedz mi, co wiesz, a ja dam ci ukojenie.

Działam bez zastanowienia, nie mam nawet czasu, żeby się przygotować, to dzika reakcja, która dla nas obojga stanowi zaskoczenie. On odskakuje i dysząc ze wstrętem, ściera z twarzy moją ślinę. Spodziewam się, że po tym nastąpi kolejne uderzenie, i zbieram się w sobie, szykując na ból.

Ale nic takiego się nie dzieje. Zamiast mnie uderzyć, pochyla się i podnosi lokalizator, który wcześniej rzucił na podłogę. Macha nim przed moją twarzą.

– Naprawdę wcale nie jesteś mi potrzebna – mówi. – Wystarczy, że włożę nowe baterie i go włączę. A potem po prostu zaczekam i zobaczę, kto się tu pojawi.

Wychodzi. Słyszę trzask zamykanych drzwi i kroki dudniące na schodach.

Żal jest moim jedynym towarzyszem. Wbija zęby tak mocno, że płaczę i młócę powietrze skutymi rękami, zdzierając sobie skórę z nadgarstków. Miał moją córkę. Trzymał ją zamkniętą. Pamiętam te noce po zaginięciu Laury, kiedy siedzieliśmy z mężem, kurczowo się obejmując, i żadne z nas nie miało odwagi wypowiedzieć na głos tego, czego się obawialiśmy. A jeśli nie żyje? Teraz uświadamiam sobie, że istniała dużo gorsza możliwość, coś, czego sobie nie wyobrażaliśmy, że

Laura wciąż żyła. Że podczas tych dwóch miesięcy, kiedy James i ja czuliśmy, że umiera w nas nadzieja, a jej miejsce zaczyna zajmować zgoda na to co nieuchronne, nasza Laura oddychała i cierpiała.

Wyczerpana osuwam się na ziemię. Moje krzyki cichną i zamieniają się w jęki. Po tym napadzie rozpacz i bólu jestem odrętwiała. Opieram się o mur i usiłuję dopasować to, co przed chwilą mi powiedział, do tego, co wiedziałam wcześniej. Czyli do następujących faktów: dwa lata po uprowadzeniu mojej córki mój mąż i czworo innych ludzi zginęło w masakrze w restauracji Czerwony Feniks. Jaki może być związek między tymi wydarzeniami? Tego mi nie powiedział.

Próbuję przypomnieć sobie wszystko, co powiedział, szukając we mgle żalu i rozpacz jakichś tropów. Nagle przypomina mi się jedno zdanie, słowa, które mrożą mi krew w żyłach:

„Wytrzymała siedem, może osiem tygodni. Dłużej niż inne”.

To objawienie sprawia, że unoszę głowę. „Inne”.

Moja córka nie była jedyna.

Rozdział trzydziesty piąty

Co takiego wiedział detektyw Ingersoll i dlaczego został z tego powodu zabity?

To pytanie nie dawało Jane spokoju. Było już późne popołudnie, a ona wciąż przeglądała notatki na temat morderstwa Ingersolla. Na biurku przed nią leżały zdjęcia z miejsca zbrodni w domu Ingersolla, wyniki ekspertyzy balistycznej, analizy dowodów materialnych, wykaz połączeń z telefonu komórkowego i stacjonarnego oraz transakcje zrealizowane za pomocą kart płatniczych. Według Donohue zlecenie zabójstwa Ingersolla pojawiło się już kilka tygodni temu, akurat wtedy, gdy zaczął wypytywać o zaginione dziewczynki. I wszystkie te sprawy były stare, już dawno przestała się nimi interesować policja w Massachusetts. Wpatrując się w zdjęcie ciała Ingersolla, Jane zadała pytanie: „Jakiego potwora obudziłeś?”

I co mają wspólnego te zaginione dziewczynki z Czerwonym Feniksem?

Sięgnęła po kartoteki zaginionych dziewczynek. Znała doskonale wszystkie szczegóły związane z zaginięciem Laury i Charlotte, więc skupiła się na pozostałych sprawach. Wszystkie ofiary były śliczne i drobne. I były dobrymi albo nawet bardzo dobrymi uczennicami. Wszystkie były uzdolnione.

Patty Boles i Sherry Tanaka grały w turniejach tenisowych. Deborah Schiffer i Patty Boles brały udział w targach sztuki.

Deborah Schiffer grała w szkolnej orkiestrze na pianinie. Ale nie znały się, przynajmniej tak twierdzili ich rodzice. I w chwili zaginięcia były w różnym wieku. Sherry Tanaka miała szesnaście lat. Deborah Schiffer trzynaście. Patty Boles piętnaście. Jedna w gimnazjum. Dwie w liceum.

Jane przez chwilę się nad tym zastanawiała. Przypomniała sobie, że Laura Fang, kiedy zagięła, miała czternaście lat.

Spisała nazwiska w kolejności zaginięcia.

Deborah Schiffer, trzynaście lat.

Laura Fang, czternaście lat.

Patty Boles, piętnaście lat.

Sherry Tanaka, szesnaście lat.

Charlotte Dion, siedemnaście lat.

To przypominało królewskiego pokera. Co roku inna dziewczynka w innym wieku. Jakby z upływem lat gust porywacza dojrzywał.

Sięgnęła po teczkę z ostatnimi zdjęciami Charlotte, tymi z podwójnego pogrzebu jej matki i ojczyma. Raz jeszcze przejrzała serię zdjęć zrobionych przez fotografa „Boston Globe”. Charlotte, blada i chudziutka w czarnej sukience, otoczona żałobnikami. Charlotte odchodząca na bok i jej przyrodni brat Mark Mallory patrzący w jej stronę. Zdjęcie, na którym nie widać już Charlotte i Marka, a jej ojciec Patrick wygląda na zaniepokojonego tym, że nagle opuściła grupę żałobników. Wreszcie Jane doszła do ostatniego zdjęcia, na którym znów było widać ich oboje. Mark szedł tuż za Charlotte. Wysoki i barczysty, z łatwością mógł zdominować

przyrodnią siostrę.

Każdego roku starsza dziewczynka.

Trzynastoletnia Deborah Schiffer zaginęła rok po tym, jak Dina i Arthur Mallory wzięli ślub, tworząc nową większą rodzinę obejmującą ich dzieci z poprzednich związków. A to oznaczało wiele nowych okazji do spotkań podczas różnych wydarzeń. Spotkania szkolne. Koncerty. Turnieje tenisowe.

Czy tak wybierane były ofiary? Poprzez Charlotte?

Jane wzięła telefon i zadzwoniła do Patricka Diona.

– Przepraszam, że przeszkadzam w porze kolacji – powiedziała. – Czy mogłabym raz jeszcze przejrzeć szkolne książki pamiątkowe Charlotte?

– Kiedy tylko pani zechce. Czy pojawiło się coś nowego?

– Nie jestem pewna.

– Czego dokładnie pani szuka? Może mógłbym pomóc?

– Dużo myślałam o Charlotte. Zastanawiałam się, czy to może ona jest kluczem do wszystkiego, co się wydarzyło.

Jane usłyszała, że Patrick wzdycha z żalem.

– Moja córka zawsze była kluczem, pani detektyw. Do mojego życia, do wszystkiego, co miało jakiegokolwiek znaczenie. Jedyne, czego pragnę, to dowiedzieć się, co się z nią stało.

– Rozumiem, proszę pana – odrzekła łagodnie Jane. – Wiem, że chce pan odpowiedzi, i myślę, że będę potrafiła ją znaleźć.

Patrick Dion otworzył drzwi ubrany w luźny sweter,

bawełniane spodnie i kapcie. Skóra na jego twarzy była obwisła, każdą zmarszczkę głęboko wyłobiły żal i rozpacz. I oto zjawiała się Jane, przywołując straszne wspomnienia. Czuła się winna i kiedy się witali, trzymała jego dłoń w swojej dłużej niż to konieczne, aby okazać, jak bardzo jej przykro. Że naprawdę rozumie.

W odpowiedzi pokiwał ze smutkiem głową i zaprowadził ją do jadalni, szurając kapciami po drewnianej podłodze.

– Przygotowałem dla pani księgi rocznikowe. – Wskazał na leżące na stole tomy.

– Zaniosę je do samochodu i już mnie nie ma. Dziękuję.

– Och Boże. – Ściągnął brwi. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wolałbym, żeby nie wynosiła ich pani z domu.

– Obiecuję, że będę się z nimi obchodziła ostrożnie.

– Jestem pewny, ale... – Położył dłoń na stosie albumów, jakby błogosławił dziecię. – To mi zostało po córce. I bardzo trudno jest stracić którąkolwiek z tych rzeczy z pola widzenia. Martwię się, że mogą się gdzieś zawieruszyć albo ulec zniszczeniu. Ktoś mógłby je ukraść z pani samochodu. Albo dojdzie do jakiejś kraksy i... – Przerwał i pokręcił ze smutkiem głową. – To straszne, że tak mówię, prawda? Tak bardzo cenię stos książek, że myślę tylko o tym, co się z nimi stanie. A przecież to tylko tektura i papier.

– Dla pana są warte dużo więcej. Rozumiem to.

– Więc może jednak zgodzi się pani ze mną? Może tu pani zostać, jak długo pani chce, i spokojnie je przejrzeć. Czy mogę coś pani przynieść? Kieliszek wina?

– Dziękuję, ale jestem na służbie. I przyjechałam samochodem.

– Wobec tego kawa.

Jane się uśmiechnęła.

– Z przyjemnością.

Kiedy Patrick poszedł do kuchni zaparzyć kawę, Jane usiadła przy stole i położyła przed sobą księgi rocznikowe. Przyniósł wszystkie, łącznie z tymi ze szkoły podstawowej. Odłożyła je na bok i otworzyła tom z pierwszego roku Charlotte w Bolton Academy, kiedy dziewczynka była w siódmej klasie. Zdjęcie przedstawiało delikatną blondynkę z aparatem ortodontycznym na zębach. Napis pod zdjęciem informował: *Charlotte Dion. Orkiestra. Tenis. Sztuka*. Jane przejrzała księgę w poszukiwaniu zdjęć starszych klas i znalazła zdjęcie Marka Mallory'ego wśród uczniów drugiej klasy liceum. Musiał mieć wtedy piętnaście lat, a do jego zainteresowań należały orkiestra, lacrosse, szachy, szermierka, teatr. To muzyka ich połączyła. Muzyka zmieniła bieg ich życia i losy ich rodzin. Państwo Dion i państwo Mallory poznali się przy okazji szkolnego przedstawienia, w którym występowały ich dzieci. Zaprzyjaźnili się. A potem Dina zostawiła Patricka dla Arthura i nic nie miało być już takie jak przedtem.

– Proszę bardzo. – Patrick postawił tacę na stoliku. Nalał kawy do filiżanki, a obok postawił cukier i śmietankę. – Musi być pani głodna. Przygotuję kanapkę.

– Nie, dziękuję. To naprawdę wystarczy – powiedziała Jane, upijając łyk kawy. – Zjadłam późny lunch, a w domu czeka

kolacja.

– Musi pani mieć wyrozumiałą rodzinę.

Jane się uśmiechnęła.

– Mąż wiedział, na co się decyduje, kiedy brał ze mną ślub.

Och, chwileczkę, właśnie mi się przypomniało. – Wyjęła komórkę i wystukała krótką wiadomość do Gabriela: WRÓCE PÓŹNO, ZACZNIJ KOLACJĘ BEZE MNIE.

– Czy jest tu wszystko, co pani potrzebuje? – spytał Patrick, wskazując roczniki.

Jane odłożyła telefon.

– Jeszcze nie wiem.

– Proszę powiedzieć, czego pani szuka, a może będę mógł pomóc.

– Szukam powiązań.

– Pomiędzy czym?

– Pomiędzy pańską córką i tymi dziewczynkami. – Jane otworzyła teczkę, którą przyniosła, i pokazała listę nazwisk.

Patrick ściągnął brwi.

– Wiem oczywiście o Laurze Fang. Po zaginięciu Charlotte policja sprawdzała, czy istnieje między nimi jakiś związek. Ale nazwiska tych dziewczynek chyba nic mi nie mówią.

– Nie chodziły do Bolton, ale podobnie jak pańska córka zniknęły bez śladu. Z różnych miast, w różnych latach.

Zastanawiam się, czy Charlotte znała którąś z nich. Może poprzez zainteresowania muzyczne albo sportowe.

Patrick zastanowił się nad tym.

– Detektyw Buckholz mówił, że dzieci ciągle giną. Dlaczego

sprawdza pani akurat te dziewczynki?

Ponieważ nieżyjący mężczyzna o nazwisku Ingersoll wskazał mi drogę, pomyślała Jane. Ale na głos powiedziała:

– Te nazwiska wypłynęły w trakcie śledztwa. Być może nie ma między nimi żadnych powiązań. Jeśli jednak istnieje jakiś związek z Charlotte, właśnie tutaj mogę go znaleźć.

– W szkolnych księgach pamiątkowych?

Jane przejrzała strony z wykazem zainteresowań uczniów.

– Proszę spojrzeć – powiedziała. – Zauważyłam to ostatnim razem. Bolton Academy skrupulatnie odnotowuje wszystko, co robią jej uczniowie, począwszy od szkolnych koncertów aż po mecze tenisowe. Może dlatego, że tak niewielu ma uczniów. – Wskazała stronę ze zdjęciami uśmiechniętych członków kółka naukowego, stojących obok wykonanych przez siebie makiet i modeli. Napis głosił: *Targi Nauki w Nowej Anglii.*

Burlington, 17 maja. – Z taką dokumentacją – ciągnęła – mam nadzieję dokonać rekonstrukcji kolejnych lat szkolnych Charlotte. Gdzie była, w jakich wydarzeniach brała udział. – Jane spojrzała na Patricka. – Grała na altówce. W ten sposób poznał pan państwa Mallory. Na dziecięcym przedstawieniu muzycznym.

– W jaki sposób to pani pomoże?

Jane przeszła do części poświęconej kółku muzycznemu.

– O tutaj. W tym roku po raz pierwszy grała w orkiestrze. – Wskazała grupę młodych muzyków, wśród których znajdowała się Charlotte i Mark. Napis informował: *Styczniowy koncert nagrodzony owacją na stojąco!*

Patrick zerknął na zdjęcie i jego twarz wykrzywił grymas, jakby coś go zabolalo. Powiedział cicho:

– To takie trudne, wie pani? Kiedy oglądam te zdjęcia i przypominam sobie...

– Nie musi pan tego robić, panie Dion. – Jane dotknęła jego dłoni. – Sama przejrzę te roczniki. Jeśli będę miała jakieś pytania, zapytam.

Pokiwał głową. Nagle wyglądał na dużo więcej niż sześćdziesiąt siedem lat.

– Wobec tego zostawię panią – powiedział i cicho wycofał się z jadalni, zamykając za sobą przesuwne drzwi.

Jane nalala sobie drugą filiżankę kawy. Otworzyła kolejną księgę pamiątkową.

W tamtym roku Charlotte była w ósmej klasie, musiała mieć wtedy trzynaście lat, a Mark szesnaście. Mark szybko się rozwijał, na zdjęciu widać już było mocno zarysowaną szczękę i szerokie ramiona. Charlotte wciąż miała dziecięcą buzię, bladą i delikatną. Jane przeszła do części poświęconej wydarzeniom, szukając ich zdjęć. Znalazła oboje na grupowym zdjęciu zrobionym w trakcie stanowej Bitwy Orkiestr, dwudziestego marca w Lowell, w Massachusetts.

Deborah Schiffer mieszkała w Lowell i grała na pianinie.

Jane wpatrywała się w zdjęcie Charlotte i pozostałych młodych muzyków. Deborah zaginęła dwa miesiące po zrobieniu tego zdjęcia.

Ręce Jane drżały od nadmiaru emocji i kofeiny. Wypiła drugą filiżankę kawy i nalala sobie kolejną. Odszukała księgę z

dziesiątej klasy Charlotte. Wiedziała już, co znajdzie w części poświęconej wydarzeniom muzycznym, gdzie trafiła na zdjęcie ośmiu uczniów pozujących z instrumentami. Napis głosił: *Nasi najlepsi uczniowie zakwalifikowani do udziału w letnich warsztatach Orkiestry Bostońskiej*. Nie widziała na zdjęciu Charlotte, ale był Mark Mallory. Miał już wtedy siedemnaście lat, przystojny, może nawet mroczny brunet, chłopak, za którym obejrzałaby się każda nastolatka. W tamtym roku Laura Fang miała czternaście lat. Ona również brała udział w warsztatach Orkiestry Bostońskiej. Czy Laura była zaślepiona urodą i zamożnością tego akurat chłopaka, dla którego dziewczyna pokroju Laury, pochodząca z ubogiej rodziny, byłaby niewidzialna?

A może Laura bardzo go zainteresowała?

Jane poczuła, że zaschło jej w gardle. Szum w głowie stawał się coraz głośniejszy. Upiła jeszcze jeden łyk kawy i sięgnęła po kolejny tom, księgę z dziesiątej klasy Charlotte. Kiedy ją otworzyła, miała wrażenie, że słowa rozmywają jej się przed oczami i nie może odróżnić twarzy. Przetarła oczy, znalazła część poświęconą wydarzeniom. I tu znów Charlotte z altówką w orkiestrze. A Mark skończył już szkołę i przy bębnach stał inny chłopiec.

Jane przeszła do stron poświęconych wydarzeniom sportowym. Jeszcze raz przetarła oczy, bo w jej polu widzenia pojawiła się mgła. Zdjęcie oddalało się i zbliżało, ale Jane zdołała jeszcze zobaczyć twarz Charlotte wśród tenisistów. Bolton Academy zajęła drugie miejsce w październikowych

rozgrywkach regionalnych.

Patty Boles też grała w tenisa, pomyślała Jane. I podobnie jak Charlotte była wtedy uczennicą drugiej klasy liceum. Czy brała udział w tych rozgrywkach? Czy ktoś zwrócił na nią uwagę? Ktoś, kto z łatwością mógł się dowiedzieć, kim jest i do której szkoły uczęszcza?

Sześć tygodni po rozgrywkach Patty Boles zaginęła.

Jane potrząsnęła głową, ale mgła przed jej oczami zgęstniała. Usłyszała głos Patricka. Próbowwała wezwać pomoc, ale nie mogła wydobyć głosu.

Usiłowała utrzymać się w pionie. Usłyszała hałas przewracanego krzesła. Straciła czucie w nogach, były jak drewniane kłody, ciężkie i bezwładne. Zataczając się, ruszyła w stronę przesuwnych drzwi. Bała się, że upadnie, że Patrick znajdzie ją na podłodze w upokarzającej sytuacji. Za każdym razem, kiedy wyciągała rękę, by dosięgnąć drzwi, one jakby ustępowały, cofały się, drwiąc z jej starań, zawsze poza zasięgiem palców.

Kiedy wreszcie zdesperowana rzuciła się w ich stronę, drzwi nagle się rozsunęły i stanął w nich Patrick.

– Pomocy – wyszeptała.

Ale on nie ruszył się z miejsca. Stał, patrząc na nią z zimnym, obojętnym wyrazem twarzy. Dopiero wtedy Jane zrozumiała swój błąd. Była to jej ostatnia myśl, nim osunęła się nieprzytomna u jego stóp.

Rozdział trzydziesty szósty

Chciało jej się pić. I to bardzo. Jane próbowała przełknąć ślinę, ale gardło miała suche i twarde jak stara skóra. Przesunęła językiem po podniebieniu. Powoli docierały do niej inne wrażenia: mrowienie w lewym ramieniu od zbyt długiego leżenia w tej samej pozycji. Zimna, szorstka powierzchnia pod policzkiem. I głos, który ją wołał, nagły i uparty. Kobięcy głos, który nie pozwalał jej zasnąć, lecz dręczył i dręczył, nakłaniając, by wróciła do życia.

– Proszę się obudzić. Musi się pani obudzić!

Jane otworzyła oczy, a przynajmniej tak jej się wydawało. Ciemność była tak nieprzenikniona, że zaczęła się zastanawiać, czy utkwiała gdzieś w mrocznej krainie pomiędzy snem a jawą sparaliżowana, lecz świadoma. A może jest inny powód tego, że nie może się poruszyć? Spróbowała przewrócić się na plecy i zdała sobie sprawę, że jej ręce i stopy są unieruchomione. Wyciągnęła dłonie, by uwolnić nadgarstki, i napotkała twarde opór taśmy izolacyjnej. Podłoga, którą czuła pod policzkiem, była z betonu, przez co już miała poobijane biodra, a jej ciało, mimo ubrania, przeszywał chłód. Nie wiedziała, jak znalazła się w tym zimnym ciemnym miejscu. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała, było to, że siedziała w jadalni Patricka, przeglądając księgi rocznikowe Charlotte. I popijając kawę. Ta kawa, którą mi podał, pomyślała.

– Pani Detektyw! Niech się pani obudzi!

Jane poznała głos Iris Fang i odwróciła się, w stronę, z której dochodził.

– Jak... gdzie...

– Nie mogę pani pomóc. Jestem tu, pod ścianą. Przykuta do muru. Jesteśmy w piwnicy. A przynajmniej tak mi się wydaje. Być może w jego domu. Nie wiem, bo nie pamiętam, jak się tu znalazłam.

– Ani ja – jęknęła Jane.

– Przyniósł tu panią kilka godzin temu. Nie mamy dużo czasu. Czeka tylko, aż wróci ten drugi.

„Ten drugi”. Jane powoli rozjaśniało się w głowie, starała się intensywnie myśleć. Oczywiście Patrick nie działał sam. W wieku sześćdziesięciu siedmiu lat potrzebował kogoś do pomocy przy zadaniach wymagających większego wysiłku. Dlatego wynajął zawodowców, żeby rozprawili się z Iris.

– Musimy się przygotować – powiedziała Iris. – Zanim wrócą.

– Przygotować? – Jane nie mogła powstrzymać histerycznego śmiechu. – Nie mogę ruszyć ręką ani nogą. Nie czuję nawet dłoni!

– Ale może się pani poturlać w stronę ściany. Obok drzwi wisi pęk kluczy. Zauważyłam je, kiedy zapalił światło i przyniósł panią tutaj. Być może jest tam klucz do moich kajdanek. Pani uwolni mnie, a ja panią.

– Gdzie są te drzwi?

– Po mojej prawej. Mój głos panią naprowadzi. Klucze wiszą

na haku. Gdyby udało się pani stanąć i złapać klucze zębami...

– Sporo tego gdybania.

– Zrób to. – Rozkaz przebił mrok, ostry jak nóż. Ale następne słowa były łagodne: – Zabrał mi córkę. – Jej szept nagle przerwało łkanie. – To był on.

Jane słuchała w ciemnościach płaczu Iris i pomyślała o innych zaginionych dziewczynkach. Deborah Schiffer. Patty Boles. Sherry Tanaka. Ile ich było, tych dziewczynek, których imion jeszcze nie znają? Nawet jego własna córka Charlotte.

Próbowała zerwać krępujące ją więzy, ale taśma izolacyjna była niezniszczalna, ulubione narzędzie MacGyvera i innych seryjnych zabójców. Bez względu na to, jak bardzo się napinała i kręciła i tak nie zerwie jej z nadgarstków.

– On nie może zwyciężyć – powiedziała Iris. Znowu panowała nad twardym teraz jak stal głosem.

– Ja też chcę go dopaść – zapewniła Jane.

– Klucze. Trzeba zdobyć klucze.

Jane już się przekręcała i turlała po podłodze. Jej stłuczone biodro uderzyło o beton i jęknęła z bólu. Oddychała głęboko, czekając, aż ból minie. Potem kolejny obrót i Jane znowu poturlała się po podłodze. Tym razem wylądowała twarzą na betonie, drapiąc sobie nos i uderzając się w zęby. Przekręciła się na ten bok, który nie był stłuczony, z kolanami pod brodą, w pozycji embrionalnej, powstrzymując łzy bólu i frustracji. Jak ma tego dokonać? Nie może nawet przesunąć się po podłodze, nie mówiąc o tym, żeby podnieść się i sięgnąć po klucze.

– Ma pani córkę – powiedziała łagodnie Iris.

– Tak.

– Proszę o niej pomyśleć. Proszę pomyśleć, co jest pani w stanie zrobić, żeby znów wziąć ją w ramiona. Poczuc zapach jej włosów, dotknąć twarzy. Pomyśl. Wyobraź sobie.

Wydawało się, że te łagodne rozkazy dochodzą ze środka jej głowy, jakby to jej własny głos domagał się działania. Pomyślała o Reginie w wannie, śliskiej i pachnącej płynem do kąpieli, z ciemnymi lokami oblepiającymi zaróżowioną buzię. Regina, która będzie dorastała bez matki, nie licząc tego błakającego się w jej rysach twarzy i cechach charakteru ducha. I pomyślała o starzejącym się i siwiejącym Gabrielu. Jeśli nie przeżyję tej nocy, stracimy całe życie, które moglibyśmy dzielić, pomyślała.

– Proszę o niej pomyśleć – głos Iris podryfował w jej stronę w mroku. – Ona da pani siłę potrzebną do walki.

– Tak udało się pani przetrwać przez te wszystkie lata?

– Tylko to miałam. To trzymało mnie przy życiu. Nadzieja, że kiedyś moja córka wróci do domu. Po to żyłam, pani detektyw. Żyłam po to, by kiedyś znów ją zobaczyć. A gdyby to nigdy nie miało nastąpić, żyłam dla dnia, w którym sprawiedliwości stanie się zadość. Przynajmniej umrę ze świadomością, że się starałam.

Jane przekręciła się jeszcze raz i znów obolałym biodrem uderzyła o ziemię i otarła twarz o beton. Nagle jej plecy zderzyły się ze ścianą. Leżała na boku, ciężko dysząc i odpoczywając przed tym, co miała za chwilę zrobić, i co było najtrudniejszą częścią zadania.

– Jestem przy ścianie – powiedziała.

– Niech pani wstanie. Drzwi są na drugim końcu.

Zapierając się o ścianę, Jane próbowała uklęknąć, ale straciła równowagę i runęła twarzą w dół, uderzając ustami o beton.

Ból przeszył jej zęby, promieniując do czaszki.

– Pani córka... Jak ona ma na imię?

Jane oblizwała usta i poczuła smak krwi, miękkie tkanki zaczynały puchnąć.

– Regina – odrzekła.

– Ile ma lat?

– Dwa i pół.

– Zapewne bardzo ją pani kocha.

– Oczywiście. – Jane z jękiem znów próbowała uklęknąć.

Wiedziała, co robi Iris. Już poczuła w mięśniach nowy zastrzyk energii, nowy przyływ sił. Nie, nie pozwoli, by ktoś odebrał jej córce matkę. Przetrwa tę noc, tak jak Iris przetrwała ostatnie dwa dziesięciolecia, bo dla matki najważniejsze jest, by zobaczyć swoje dziecko. Opierając się prawu ciężenia, wyprężyła plecy i szyję, aby podnieść się na kolana.

– Regina – mówiła Iris. – Ona jest krwią, która krąży w pani żyłach. Oddechem w pani płucach. – Jej głos działał hipnotyzująco, słowa płynęły niczym szepty zaśpiew, pod którego wpływem w kończynach Jane zaczynało krążyć ciepło. Słowa wypowiedziane w uniwersalnym języku, który rozumie każda matka.

„Ona jest krwią, która krąży w pani żyłach. Oddechem w pani płucach”.

Podnieś się, powiedziała do siebie Jane. Idź po klucze.

Rozkołysała się na kolanach, napinając mięśnie, i skoczyła. Wylądowała na nogach, ale utrzymała się na nich tylko przez kilka sekund, po czym straciła równowagę i upadła do przodu, uderzając kolanami o beton.

– Jeszcze raz – rozkazała Iris. W jej głosie nie było cienia współczucia. Czy dla swoich uczniów jest równie bezwzględna? Czy w ten sposób szkolono prawdziwych wojowników, nie okazując litości, zmuszając do przekraczania granic?

– Klucze – przypomniała Iris.

Jane odetchnęła głęboko, napięła mięśnie i skoczyła. Zachwiała się, ale tuż obok była ściana. Oparła się o nią, czekając, aż minie skurcz w łydce.

– Stoję – oznajmiła.

– Niech pani idzie do kąta na samym końcu. Tam są drzwi. Jeszcze jeden skok i zachwianie. To może się udać.

– Kiedy już się uwolnimy, będziemy jeszcze musiały jakoś mu się wywinąć – powiedziała Jane. – On ma moją broń.

– Ja nie potrzebuję broni.

– No tak. Przecież ninja potrafią latać.

– Nic pani o mnie nie wie. Ani o tym, co potrafię.

Jane znów skoczyła jak kangur.

– Wobec tego proszę mi powiedzieć, skoro i tak zapewne zginiemy. Czy pani jest Małpim Królem?

– Małpi Król to legenda.

– Ale zostawia prawdziwe włosy. Zabija prawdziwą szablą.

Więc kto to jest, jeśli nie on?

– Ktoś, kogo chciałaby pani mieć po swojej stronie, pani detektyw.

– Najpierw chcę wiedzieć kto to taki.

– Jest w tobie i we mnie. Jest w każdym, kto wierzy w sprawiedliwość.

– To nie jest odpowiedź.

– Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Nie interesują mnie jakieś czary–mary. – Jane westchnęła i znów skoczyła. – Mówię o czymś prawdziwym, czymś, co widziałam. Co ocaliło mi życie. – Przerwała, żeby złapać oddech, po czym powiedziała spokojnie: – Chcę jemu, a może jej, za to podziękować. Więc jeśli wie pani, gdzie się to coś podziewa, proszę przekazać mu tę wiadomość.

Iris odpowiedziała równie łagodnie:

– Ono już o tym wie.

Jane skoczyła po raz ostatni i uderzyła czołem w drzwi.

– Jestem na miejscu.

– Klucze wiszą na wysokości głowy. Czujecie je pani? Szorując policzkiem po ścianie, Jane poczuła nagle, że w skórę wbija jej się kawałek metalu. Usłyszała ciche podzwanie klucza o klucz.

– Znalazłam!

– Tylko proszę ich nie upuścić.

Jane wzięła klucze w usta i zdjęła kółko z haka. Uda nam się. Pokonamy ich...

Nagle usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi i zamarła.

Zapaliły się światła tak jasne, że oślepiła ją przy ścianie.

– Proszę, proszę, widzę, że sprawy nieco się skomplikowały – powiedział głos, który rozpoznała. Powoli otworzyła oczy i zobaczyła Marka Mallory'ego, który stał obok Patricka. Od początku działali wspólnie, pomyślała. Razem polowali. Razem zabijali. A tym, co ich łączyło, była Charlotte. Biedna Charlotte, jej każde hobby, każde wydarzenie, w którym brała udział, prowadziło tych drapieżców do kolejnej ofiary, zamieniając coś tak niewinnego, jak mecz tenisowy czy koncert w doskonałą okazję do obejrzenia i wybrania przez zabójców nowych twarzy.

Mark złapał pierścień z kluczami i wyrwał go z ust Jane. Popchnął ją, przewracając na beton.

– Czy ktoś wie, że tu przyjechała?

– Powinniśmy założyć, że tak – odrzekł Patrick. – Dlatego musimy pozbyć się jej samochodu. Trzeba było to zrobić już wiele godzin temu. Gdybyś tylko wcześniej przyjechał.

– Chciałem sprawdzić, czy ktoś się pojawi.

– Nikt po nią nie przyszedł?

– Może lokalizator jest uszkodzony. – Spojrzał na Iris. – A może nikomu na niej nie zależy. Czekałem przez cztery godziny i nikt nie przyjechał.

– Cóż, po tę pewnie ktoś przyjdzie – mruknął Patrick, patrząc na Jane.

– Gdzie jest jej komórka?

Patrick podał ją Markowi.

– Co zamierzasz zrobić?

– Wygląda na to, że ostatnią wiadomość wysłała do męża. –
Zaczął wystukiwać na telefonie Jane nową wiadomość. –
Napiszmy mu, że pojechała do Dorchester i przez jakiś czas nie
wróci do domu.

– A co potem?

– To musi wyglądać na wypadek. Albo samobójstwo. –
Spojrzał na Patricka. – Wcześniej nieźle ci to wyszło.

Patrick pokiwał głową.

– Jej pistolet jest na górze.

– Mój mąż będzie wiedział – odezwała się Jane. – On wie, że
ja nigdy bym się nie zabiła.

– Małżonkowie zawsze tak mówią. A policja nigdy im nie
wierzy. Prawda, pani detektyw? – powiedział Mark z
uśmiechem.

Gdyby jej ręce i nogi nie były spętane, już by się zerwała i
spuściła mu lanie, waląc pięściami w te idealne zęby. Choć
jednak w jej żyłach gotowała się wściekłość, nie mogła się
uwolnić. Jedyne, co mogła, to patrzeć, jak Mark kończy pisać
SMS-a i posyła go w eter. Pomyślała o tym, co się
prawdopodobnie wydarzy: kulka w głowę, która ją zabije, a po
niej drugi strzał, aby zostawić na jej dłoni ślady prochu i
upozorować samobójstwo tak, jak to zrobili z Wu Weiminem.
Mark miał rację, tak łatwo można było ignorować zdanie
rodziny, która zaprzeczała, mówiła, że to niemożliwe. Ona też
kiedyś tak się zachowała. Przypomniała sobie, jak stała nad
ciałem młodego człowieka, któremu strzał ze śrutówki oderwał

pół głowy. Przypomniała sobie łkania matki: „On nigdy by się nie zabił! Dopiero co odmienił swoje życie!”. I przypomniała sobie, co sama później powiedziała do Frosta o rodzinach, które nie mają o niczym bladego pojęcia i nigdy nie widzą pierwszych oznak.

– Popełniłeś tyle błędów – powiedziała Iris. – Nie masz nawet pojęcia, co się teraz wydarzy.

Mark odwrócił się do niej i zaśmiał.

– I kto to mówi? Kobieta przykuta do ściany.

Iris patrzyła na niego spokojnie.

– Nim się to wszystko zakończy, powiedz, dlaczego wybrałeś moją córkę?

Mark ruszył w jej stronę i zatrzymał się dopiero, gdy stanął z nią twarzą w twarz. Choć był dużo wyższy i miał nad nią pod każdym względem przewagę, Iris nie okazała cienia lęku.

– Mała śliczna Laura. Pamiętasz ją, Patricku, prawda? – Spojrzał na starszego kompana. – Dziewczyna, którą zabraliśmy w drodze ze szkoły. Ta, której zaproponowaliśmy podwiezienie do domu.

– Dlaczego? – wycodziła Iris.

Mark się uśmiechnął.

– Bo była wyjątkowa. One wszystkie były wyjątkowe.

– Tracimy czas. – Patrick ruszył w stronę Jane. – Zabierzmy ją stąd.

Ale Mark wciąż patrzył na Iris.

– Czasem to ja wybieram dziewczynę. A czasem Patrick. Nigdy nie wiadomo, co przykuje twoją uwagę. Kucyk. Mała

zgrabna pupa. Coś, co wyróżnia ją spośród innych. Przez co staje się cenna.

– Charlotte musiała o tym wiedzieć. – Jane patrzyła na Patricka z obrzydzeniem. – Musiała zdawać sobie sprawę z tego, kim naprawdę jesteś. Jezu, jej własny ojciec. Jak mógł ją pan zabić?

– Charlotte nigdy nie była w to zamieszana.

– Nigdy? Przecież to ona była centrum tego wszystkiego! Zadzwoiła komórka Jane. Mark zerknął na wyświetlacz i powiedział:

– Zdaje się, że mężulek sprawdza żonę.

– Nie odbieraj – warknął Patrick.

– Nie zamierzałem. Wyłączę tylko ten telefon i włożymy ją do samochodu.

– Myślisz, że to będzie takie łatwe? – prychnęła Iris.

Mężczyźni zignorowali ją i pochylili się, żeby podnieść Jane. Patrick złapał ją za nogi, a Mark pod pachami. Choć Jane wiała się i wyginała, z łatwością ją dźwignęli i ponieśli w stronę drzwi.

– Już przegrałeś – rzuciła Iris. – Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Mark prychnął.

– Wiem, kto jest przykuty do ściany.

– A ja wiem, kto tu za tobą przyjechał.

– Nikt za mną nie jechał. – Nagle umilkł, bo w tej samej chwili zgasły światła.

W egipskich ciemnościach mężczyźni puścili Jane, która

upadła na ziemię, znów waląc głową o beton. Leżała oszołomiona, próbując zrozumieć, co dzieje się w pomieszczeniu, w którym nic nie mogła zobaczyć, gdzie w mroku zapanował chaos rzucanych przekleństw i ciężkich od strachu oddechów.

– Co do diabła... – wymamrotał Mark.

W ciemnościach rozległ się szept Iris:

– Teraz się zaczyna.

– Zamknij się! Po prostu się zamknij! – wrzasnął Mark.

– To pewnie nic takiego – powiedział Patrick, ale w jego głosie słyhać było zdenerwowanie. – Słuchaj, może po prostu przepalił się bezpiecznik. Chodźmy na górę i sprawdźmy.

Drzwi się zatrzasnęły. Ich kroki na schodach oddaliły się i ucichły. Jane słyszała tylko bicie swojego serca.

– Proszę się nie ruszać i zachować spokój – powiedziała Iris.

– Co się dzieje?

– To, co miało się stać.

– Wiedziała pani? Spodziewała się pani tego?

– Proszę mnie uważnie posłuchać. To nie pani bitwa. Została dawno temu zaplanowana i pani nie będzie brała w niej udziału.

– A kto będzie? Kto tam jest?

Iris nie odpowiedziała. W ciszy Jane poczuła raczej niż usłyszała powiew powietrza na policzku, jakby wiatr zakradł się do pomieszczenia i zawirował w ciemnościach. Jest tu z nami coś jeszcze, pomyślała.

Usłyszała cichy brzęk opadających kajdan. I szept:

– Przepraszam, *sifu*. Zjawiłabym się wcześniej...

– Gdzie moja szabla?

– Proszę, oto Zheng Yi. Znalazłam ją na górze.

Jane знаła ten głos.

– Bella?

Czyjaś dłoń zakryła jej usta. Iris szepnęła:

– Proszę tu zostać.

– Nie możecie mnie tak zostawić!

– Tu jest pani bezpieczna.

– Przynajmniej mnie uwolnijcie!

– Nie – odezwała się Bella. – Tylko przysporzy nam kłopotów.

– A jeśli wam się nie uda? – powiedziała Jane. – Będę uwięziona tu, na dole, nie będę mogła się bronić. Przynajmniej dajcie mi szansę, by walczyć!

Poczuła szarpnięcie, usłyszała świst ostrza przecinającego taśmę izolacyjną. Następne cięcie uwolniło jej nogi.

– Proszę pamiętać – szepnęła jej Iris do ucha – że to nie pani bitwa.

Teraz już jest moja, pomyślała Jane. Leżała jednak nieruchomo, milcząc, aż obie kobiety rozplynęły się w ciemnościach. Nie mogła ani usłyszeć, ani zobaczyć, jak odchodzą, znów poczuła tylko muśnięcie powietrza, jakby obie zamieniły się w podmuch wiatru i wyfrunęły przez drzwi po schodach, na górę.

Jane spróbowała wstać, ale zakręciło jej się w głowie i zachwiała się, nic nie widząc w ciemnościach. Usiadła. Od uderzenia o beton pękała jej głowa. Przez to, a także z powodu

kawy z jakimś dodatkiem, którą podał jej Patrick, była bardzo słaba. Wyciągnęła rękę, wymacała ścianę i raz jeszcze spróbowała wstać, opierając się o ścianę. Chwiała się jak nowo narodzone źrebię.

Strzał sprawił, że poderwała głowę do góry.

Nie mogę tu tkwić uwięziona, pomyślała. Muszę wydostać się z tego domu.

Po omacku dotarła do drzwi. Nie były zamknięte na klucz i lekko zaskrzypiały, gdy je otworzyła. Gdzieś na górze usłyszała ciężki tupot nóg. Jeszcze dwa strzały.

Wydostań się stąd. Zanim ci mężczyźni po ciebie przyjdą.

Zaczęła wspinać się po schodach, poruszała się powoli, żeby nie narobić hałasu. Żeby nikt się nie domyślił, że tu jest. Bez pistoletu, nie miała nic, czym mogłaby się bronić, była jak cywil, który próbuje wydostać się ze strefy walki tam, gdzie jest bezpiecznie. Znaleźć wyjście, uciec z tego domu. Nie ma przy sobie kluczyków, więc będzie musiała biec do sąsiadów. Próbowwała przypomnieć sobie, jak wyglądała ta posiadłość: długi podjazd, zagajniki i trawniki, a wokół wysoki żywopłot. Za dnia posiadłość Patricka Diona przypominała raj, zamknięty przed światem zewnętrznym, prywatny raj. Teraz wiedziała, że najeżona kolcami brama nie miała tylko zniechęcać ludzi do wejścia na teren posiadłości, ale również zatrzymać ich w jej granicach. To wcale nie jest rajski ogród, lecz obóz zagłady.

Dotarła na szczyt schodów i wymacała następne drzwi. Przycisnęła do nich ucho, ale niczego nie usłyszała. Panowała niepokojąca cisza. Ile było tych strzałów? Co najmniej trzy,

wystarczy, by zastrzelić Iris i Bellę, pomyślała. Czy obie leżą teraz martwe za tymi drzwiami? Czy Patrick i Mark wybierają się po nią do piwnicy?

Nacisnęła klamkę śliską od potu ręką. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Panowała ciemność równie nieprzenikniona jak ta w piwnicy. Nie widziała żadnych kształtów ani cieni. Tu podłoga również była z betonu i kiedy Jane powolutku posuwała się do przodu, wyciągniętymi rękami szukając niewidzialnych przeszkód, usłyszała, jak spod buta wyslizguje jej się coś małego i metalowego. Potem uderzyła o coś biodrem i zatrzymała się, próbując odkryć, co to takiego. W dotyku przypominało pokryty kurzem stół. Jakiś poszczerbiony kawałek metalu wbił jej się w palce i Jane cofnęła się zaskoczona. To piła. Przesunęła się trochę dalej i wpadła na kolejną przeszkodę. Tym razem była to przymocowana do stołu wiertarka. To musi być warsztat Patricka. Stała wśród tych urządzeń i myślała o tych wszystkich piłach i wiertłach, zastanawiając się, czy te przyrządy cięły i wwierały się tylko w mahoń lub klon.

W przypiływie paniki znów ruszyła po omacku, szukając wyjścia. Dotknęła ściany i poszła wzdłuż niej do rogu.

Kolejne strzały. Cztery, jeden za drugim. Uciekaj, uciekaj!

Wreszcie znalazła drzwi i nie tracąc czasu, prześlizgnęła się przez nie, trafiając na kolejne schody prowadzące w górę. Jak głęboko pod ziemią się znajdowała?

Na tyle głęboko, by nikt nie usłyszał moich krzyków, pomyślała.

Na szczycie schodów trafiła na jeszcze jedne drzwi, przeszła przez nie i znalazła się w wyłożonym dywanem holu. Tu mogła już dojrzeć jakieś kształty i balustradę po prawej stronie. Macając dłonią po ścianie, przesunęła się kawałeczek do przodu. Nie miała pojęcia, czy zmierza na front, czy raczej na tył domu. Jedyne, czego chciała, to się stamtąd wydostać.

Jak szalona dała nura w pierwsze otwarte drzwi, które napotkała po lewej, do pokoju zalanego sączącą się przez okna poświatą księżyca, który odbijał się na biurku i bibliotece. Gabinet.

Na piętrze rozległy się czyjeś kroki. Rzuciła się do przodu, szukając jakiejś kryjówki wśród cieni, gdy nagle pod jej stopami zachrzęściło rozbite szkło. Potknęła się o coś i runęła jak długa, wyciągając ręce w poszukiwaniu oparcia. Opuszkami palców wyczuła coś ciepłego i lepkiego. W świetle księżyca patrzyła na ciemną masę leżącą na podłodze obok niej. Ciało.

Patrick Dion.

Dyszając, odsunęła się i wycofała na czworakach. Poczowała, jak spod ręki wyślizguje jej się ciężki przedmiot. Pistolet. Sięgnęła po niego i w chwili, gdy jej palce zacisnęły się na rękojeści, wiedziała, że to jej broń. Pistolet, który zabrał jej Patrick. Mój stary przyjaciel, pomyślała.

Za nią rozległy się kroki i nagle ucichły.

W potrzasku światła sączonego się przez okno tkwiła zalana księżycową poświatą, która wydawała się tak ostra i bezwzględna jak światło latarki. Podniosła wzrok i zobaczyła wznoszącą się nad nią sylwetkę Marka.

– Nigdy mnie tu nie było – powiedział. – Kiedy policja przyjedzie, żeby ze mną porozmawiać, powiem, że przez cały czas byłem w łóżku, w moim domu. To Patrick zabił te wszystkie dziewczynki i zakopał je w ogrodzie. Patrick zabił ciebie, a potem sam się zastrzelił.

Za plecami, w ręce skrytej w cieniu Jane ścisnęła broń. Ale Mark już do niej celował. Jane wiedziała, że ona nie zdąży tego zrobić, tylko wystrzeliła na ślepo ostatnią kulę w życiu. Kiedy podniosła broń, wiedziała, że jest zbyt wolna, że było już za późno.

Ale w tym momencie Mark gwałtownie wciągnął powietrze i odwrócił się, kierując uwagę i pistolet na kogoś lub coś innego.

Jane strzeliła. Trzy strzały, cztery. Działała jak automat. Kule trafiły w tors i Mark zachwiał się, po czym uderzył o brzeg biurka, którego kant z trzaskiem załamał się pod jego ciężarem.

Z powodu przyspieszonego tętna szumiało jej w uszach, ale podniosła się i stanęła nad nim z wycelowaną bronią, gotowa znów strzelić, gdyby jakimś cudem żył. Nie poruszył się.

Ale cienie tak.

Był to tylko podmuch powietrza, niemal bezgłośny. Trzepot czerni na tle czerni, gdzieś na skraju jej pola widzenia. Powoli odwróciła się w stronę postaci, która stała spowita ciemnością. Choć Jane ścisnęła w rękę broń i mogła strzelić, nie zrobiła tego. Wpatrywała się tylko w twarz otoczoną srebrzystym futrem, w ostre zęby połyskujące w świetle księżyca.

– Kim jesteś? – wyszeptała. – Czym jesteś?

Powiew powietrza musnął jej twarz. Zamrugnęła. A kiedy

otworzyła oczy, twarz znikła. Rozglądała się nerwowo po pokoju, szukając tego, co przed chwilą przed nią stało, ale widziała jedynie poświatę księżyca i cienie. Czy to naprawdę tu było, czy to sobie wymyśliłam? Czy stworzyłam tę istotę z mroku i własnego lęku?

Jej wzrok przyciągnął jakiś ruch za oknem. Wyjrzała na oświetlony światłem księżyca ogród i wtedy to zobaczyła: przemknęło przez trawnik i znikło między drzewami.

– Pani detektyw?

Zaskoczona Jane odwróciła się i zobaczyła w drzwiach obie kobiety. Iris opierała się ciężko na Belli.

– Potrzebna jej karetka! – krzyknęła Bella.

– Nie jestem już tak młoda — jęknęła Iris. – Ani tak szybka.

Bella ostrożnie położyła swoją nauczycielkę na podłodze. Tuląc Iris, zaczęła szeptać po chińsku słowa, które powtarzała wciąż od nowa jak jakieś magiczne zaklęcie. Słowa niosące uzdrowienie.

Słowa nadziei.

Rozdział trzydziesty siódmy

Jane stała wśród policyjnych aut należących do departamentów policji z Bostonu i Brookline, które zajęły przed dom Patricka Diona, i obserwowała wschód słońca. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie spała ani nie jadła i gdy zobaczyła pierwsze promienie słońca, tak zakręciło jej się w głowie, że musiała oprzeć się o radiowóz. Kiedy otworzyła oczy, z domu wyszła Maura z Frostem. Oboje zmierzali w stronę Jane.

– Powinnaś pojechać do domu – powiedziała Maura.

– Wszyscy mi to mówią. – Jane spojrzała na rezydencję. – Skończyliście?

– Teraz będą wynosili ciała.

Frost ściągnął brwi, bo Jane pochyliła się i zaczęła zakładać ochraniacze na buty.

– Wiesz, chyba nie powinnaś wchodzić do domu – powiedział.

– Przecież już tam byłam.

– I o to chodzi.

Nie musiał tłumaczyć nic więcej. Zrozumiała. To ona zastrzeliła Marka Mallory'ego i z pewnością to z jej broni wystrzelono kulę, która zabiła Patricka Diona. Jej broń znajdowała się teraz pod opieką specjalistów od balistyki i Jane brakowało tego charakterystycznego ciężaru przy pasku.

Frontowe drzwi otworzyły się i pojawił się w nich pierwszy wózek z ciałem. Milcząc, patrzyli, jak jedzie w stronę furgonetki do przewozu zwłok.

– Starszy mężczyzna miał tylko jedną ranę postrzałową.

Prawa skroń, strzał z bliska – powiedziała Maura.

– Patrick Dion – mruknęła Jane.

– Przypuszczam, że na jego prawej ręce znajdziemy ślady prochu. Nie przypomina wam to innej sceny zbrodni?

– Czerwony Feniks – powiedziała cicho Jane. – Wu Weimin.

– Stwierdzono, że popełnił samobójstwo.

– A co ty stwierdzisz tym razem, Mauro?

Maura westchnęła.

– Nie mamy świadków, prawda?

Jane pokręciła głową.

– Bella powiedziała, że obie z Iris były na górze, kiedy to się stało. Nie widziały, jak do tego doszło.

– Ale w domu był jeszcze jeden nieproszony gość – zauważył Frost. – Mówiłaś, że go widziałaś.

– Nie wiem, co widziałam. – Jane spojrzała w stronę ogrodu. W nocy w świetle księżyca dostrzegła tam tajemniczą istotę, która w mgnieniu oka ukryła się między drzewami. – I nie sądzę, bym kiedykolwiek miała się dowiedzieć.

Maura odwróciła się, bo z domu wyjechał drugi wózek z ciałem.

– Mogłabym stwierdzić, że Patrick Dion popełnił samobójstwo, ale istnieje zbyt duże podobieństwo do sprawy Czerwonego Feniksa, Jane. To pachnie upozorowanym

samobójstwem.

– Myślę, że tak miało być. To miało wyglądać podobnie. Jak echo przeszłości. Koło sprawiedliwości się zamknęło.

– Sprawiedliwość nie może stanowić przyczyny zgonu – zauważyła Maura.

Jane spojrzała na nią.

– A może powinna?

– Panie detektywie! Pani detektyw! – Tam machał do nich zza drzew, gdzie stał z grupą kryminologów.

– O co chodzi?! – spytała Jane.

– Pies coś znalazł!

Zaginione dziewczynki. Na pewno było więcej nazwisk, które nie znalazły się na liście Ingersolla, inne dziewczynki, które zagięły w kolejnych latach po zniknięciu Charlotte Dion. A trudno o bardziej odpowiednie miejsce do ukrycia ciał niż ten prywatny azyl, niedostępny dla ciekawskich oczu. Kiedy podeszli do członków zespołu prowadzącego oględziny miejsca zbrodni, zauważyła, że pies patrzy na nią czujnie i radośnie macha ogonem. Tylko on zachował dobry humor. Mężczyźni i kobiety zgromadzeni w cieniu drzew stali w ciszy z ponurymi minami, bo domyślali się, co najprawdopodobniej spoczywa pod ich stopami.

– Grunt został w tym miejscu przekopany. – Tam wskazał plamę gołej ziemi pod drzewami. – I przykryty dla niepoznaki liśćmi i gałęziami.

Świeży pochówek. Jane się rozejrzała. Tyle ukrytych w cieniu drzew miejsc i gęstych zarośli, różnych zakamarków i krzaków.

Nie była w stanie pojąć zła na taką skalę. Ile ciał tu leży? – zastanawiała się. Ile cichych dziewczynek, które wreszcie będą mogły przemówić? Nagle poczuła się przytłoczona czekającym ich zadaniem. Była poobijana, głodna i wykończona.

– Chyba resztę zostawię tobie – powiedziała do Frosta i ruszyła przez trawnik. Ku słońcu.

– Pani detektyw! – zawołał Tam i szybko ją dogonił. – Chciałem tylko powiedzieć, że przed chwilą dzwoniłem do szpitala. Iris Fang jest już po operacji i czuje się dobrze.

– Nic jej nie będzie?

– Została postrzelona w udo i straciła dużo krwi, ale wyjdzie z tego. Zdaje się, że twarda z niej sztuka.

– Wszyscy powinniśmy być tacy twardzi.

Przed domem było bardzo jasno, poranne słońce świeciło im prosto w oczy. Tam wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i wsunął je na nos.

– Może powinienem pojechać do szpitala? Wziąć od niej oświadczenie?

– Później. Teraz jesteś potrzebny tutaj. Policja z Brookline prosi nas o wsparcie, więc spędzimy na tym terenie sporo czasu.

– Czyli zostaję w grupie?

Zerknęła na niego, mrużąc zmęczone oczy, które atakowały promienie słoneczne.

– Tak, dopóki tego nie zakończymy. Poproszę przełożonego z dystryktu A–jeden, żeby pozwolił nam cię zatrzymać. Jeśli oczywiście chcesz zostać w wydziale zabójstw.

– Dziękuję, bardzo bym chciał – odparł Tam z prostotą.

Kiedy się odwrócił i już miał odejść, Jane zauważyła nagle jakiś jasny refleks z tyłu jego głowy. Jeden włos, który przyczepił się do jego kruczoczarnych włosów i sterczał wśród nich, połyskując w słońcu. Srebrny włos.

– Detektywie?

Odwrócił się do niej.

– Tak?

Przez chwilę patrzyła tylko na niego, chciała spojrzeć mu w oczy, ale miał okulary, a jedyne, co widziała w tych lustrzanych szklach, to swoje odbicie. Przypomniała sobie, jak szybko i bezszelestnie wślizgnął się przez okno do domu Ingersolla. Jak kamery monitoringu przy Knapp Street zarejestrowały ją i Frosta niezdarnie wdrapujących się po drabince przeciwpożarowej, ale już nie Tama. „Może jestem duchem”, zażartował wówczas. Nie duchem, pomyślała, lecz kimś równie nieuchwytnym i trudnym do zdefiniowania. Kimś, kto był obecny na każdym etapie śledztwa, kto wiedział, co zostało powiedziane i jakie są dalsze plany. Nie widziała wyrazu jego oczu, nie mogła poznać jego tajemnic, ale wiedziała, że istnieją, czekając na ujawnienie. Tajemnice, które postanowiła pozwolić mu zachować.

Przynajmniej na razie.

– O co chodzi? – spytał.

– Nieważne – mruknęła, odwróciła się i odeszła.

O tej porze U J.P. Doyle'a obowiązywały promocyjne happy hours i w barze było tylu gliniarzy, którzy zeszli ze służby, że Jane miała problem z odnalezieniem Korsaka. Dopiero gdy kelnerka wskazała jej drogę do sali ze stolikami, gdzie serwowano gorące dania, wreszcie go zobaczyła. Siedział sam w boksie w towarzystwie talerza smażonych owoców morza i kufła piwa.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – O co chodzi?

– Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, że już zamówiłem.

Jane zerknęła na stos smażonych w głębokim tłuszczu krewetek.

– Zdaje się, że już skończyłeś z dietą, co?

– Nie czepiaj się, dobrze? Miałem kiepski dzień i należy mi się dobry obiad. – Nadział na widelec cztery krewetki i włożył je do ust. – Zamówisz coś?

Jane zamachała na kelnerkę, poprosiła o sałatkę i obserwowała, jak Korsak pochłania kolejnych sześć krewetek.

– Tylko tyle zamówiłaś? – spytał, kiedy kelnerka przyniosła sałatkę.

– Wracam do domu na kolację. W ostatnich dniach niewiele spędziłam tam czasu.

– Tak, słyszałem, że w Brookline mieliście niezły cyrk. Ile ciał odkopano?

– Sześć. I zapewne wszystkie to ciała osób płci żeńskiej. Przeszukanie całej posesji zajmie nam długie miesiące, a mogą być też inne miejsca pochówku, o których nie wiemy. Więc sprawdzamy też rezydencję Marka Mallory'ego.

Korsak podniósł kufel, wznosząc toast.

– Jak to wy, damy, lubicie mówić? Dawaj, dziewczyno!

Jane spojrzała na jego zatłuszczoną koszulę i pomyślała: ma taki biust, że mógłby się kwalifikować jako adresat tego powiedzenia. Podniosła szklanekę z wodą i stuknęli się głośno, aż piwo popłynęło na kurczący się w oczach stos krewetek.

– Jest tylko jeden szkopuł – powiedziała, sięgając po widelec.

– Nie dam rady zamknąć spraw niezidentyfikowanych ofiar: tamtej kobiety z dachu i mężczyzny. A to od jej śmierci wszystko się zaczęło.

– Nie znaleźliście szabli, którą zabójca ją załatwił?

– Szabla przepadła. Zapewne wraz z istotą, którą tamtej nocy widziałam na trawniku. Nikogo nie nakłonimy do wyjawienia prawdy. Ale mam uzasadnione przypuszczenia co do tego, kto to zrobił.

– Wystarczające, by go skazać?

– Szczerze? Nie chcę nikogo skazywać. Bywa, że jeśli chcę wykonać moją robotę jak należy, muszę zrobić coś złego.

Korsak się zaśmiał.

– Lepiej, żeby doktor Isles tego nie usłyszała.

– Tak, ona by tego nie zrozumiała – zgodziła się Jane. Maura rozumiała tylko fakty, a te kilka dni temu doprowadziły do skazania policjanta Wayne'a Graffa. Tak czy nie, czarne czy białe, dla Maury granica zawsze jest wyraźna. Ale im dłużej Jane była gliną, tym mniej była pewna, gdzie przebiega granica między dobrem a złem.

Pogrzebała widelcem w sałatce i wybrała jakiś kęs.

– Więc co się dzieje? O czym chciałeś ze mną porozmawiać?
Korsak westchnął i odłożył widelec. A niewiele rzeczy, nie licząc pustego talerza, mogło go skłonić do wypuszczenia widelca z ręki.

– Wiesz, że kocham twoją mamę.

– Tak. To już do mnie dotarło.

– Chcę powiedzieć, że naprawdę ją kocham. Jest dowcipna, inteligentna i seksowna.

– Na tym możesz poprzestać. – Jane również odłożyła widelec. – Powiedz mi po prostu, o co chodzi?

– Bardzo chcę się z nią ożenić.

– A ona już się zgodziła. W czym problem?

– Problemem jest twój brat. Wydzwania do niej po trzy razy dziennie i usiłuje odwieść ją od tego zamiaru. To oczywiste, że mną gardzi.

– Frankie nie lubi zmian, i tyle.

– Bardzo ją zmartwił i ona zastanawia się teraz, czy odwołać ślub. Żeby on był zadowolony. – Korsak był bliski łez, ale westchnął tylko głęboko i spojrzał na sąsiedni boks. Siedzący na wysokim krzeselku brzdąc załkał na jego widok, a matka rzuciła groźne spojrzenie i szybko wzięła dziecko na ręce. Biedny Korsak, jest tak brzydki, że boją się go małe dzieci, które nie widzą, że pod szorstką powierzchownością kryje się gołębie serce. Ale mama to zauważyła. I zasługuje na dobrego mężczyznę, pomyślała Jane.

– W porządku – powiedziała. – Porozmawiam z Frankiem. – Jeśli to nie wystarczy, spuści bratu lanie.

Korsak podniósł głowę.

– Naprawdę? Zrobisz to?

– Dlaczego nie?

– Nie wiem. Myślałem, że nie jesteś zachwycona tym, że twoja mama i ja, no wiesz... że my razem...

– Tylko proszę bez żadnych szczegółów. – Jane nachyliła się nad stolikiem i szturchnęła go przyjacielsko w ramię. – Miły z ciebie gość, a Mamusia jest z tobą szczęśliwa. Tylko to się dla mnie liczy. – Jane wstała. – Muszę wracać do domu. Już ci lepiej?

– Kocham ją. Wiesz o tym.

– Wiem, wiem.

– I ciebie też kocham. – Skrzywił się i dodał: – Ale twojego brata już nie.

– Doskonale cię rozumiem.

Zostawiła go z talerzem owoców morza i zaczęła przepychać się przez tłum w stronę wyjścia. Kiedy wreszcie dotarła do drzwi, usłyszała, że ktoś ją woła:

– Pani Rizzoli!

Był to emerytowany detektyw Buckholz, który dziewiętnaście lat temu prowadził śledztwo w sprawie zaginięcia Charlotte Dion. Siedział na swoim miejscu przy barze, a przed nim na blacie stała szklaneczka whisky.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział.

– Wybierałam się do domu.

– Wobec tego odprowadzę cię do wyjścia.

– Nie możemy porozmawiać jutro, Hank?

– Nie. Muszę ci coś powiedzieć. To naprawdę nie daje mi spokoju. – Wypił do dna i głośno odstawił szklankę na blat. – Wyjdźmy na dwór. Tu jest cholernie głośno.

Wyszli przed Doyle'a i stanęli na parkingu. Był chłodny wiosenny wieczór. Jane zasunęła suwak kurtki i zerknęła w stronę auta, zastanawiając się, ile czasu to zajmie i czy zdąży po drodze kupić mleko.

– Wiesz, chodzi o to śledztwo w sprawie Patricka Diona i Marka Mallory'ego. Źle to sobie wykombinowałaś – powiedział.

– O co ci chodzi?

– Pełno o tym w wiadomościach. Dwóch bogatych facetów przez dwadzieścia pięć lat polowało na dziewczynki. Wszyscy o tym gadają, zastanawiając się, dlaczego niczego nie zauważyliśmy. Dlaczego ich nie powstrzymaliśmy.

– Sprytnie to sobie organizowali, Hank. Nie przesadzali i nie partaczyli. Udało im się zapanować nad tym wszystkim.

– W niektórych przypadkach zaginięcie Patrick Dion miał alibi.

– Bo uprowadzali dziewczynki na zmianę. Część z nich uprowadził Mallory, a inne Dion. Na posesji Diona znaleźliśmy już sześć ciał i jestem pewna, że znajdziemy ich więcej.

– Ale nie Charlotte. Idę o zakład, że tam jej nie znajdziecie.

– Skąd wiesz?

– Kiedy ta sprawa trafiła w moje ręce, nie odwalilem roboty byle jak. I choć minęło dziewiętnaście lat, pamiętam wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Wczoraj wieczorem wygrzebałem stare notatki, tak tylko, żeby się upewnić co do

faktów. I wiem na pewno, że Patrick Dion był w Londynie w dniu, w którym zaginęła Charlotte. Tego samego dnia wieczorem, gdy tylko dostał wiadomość, wsiadł w samolot do Stanów.

– W porządku, tu możesz mieć rację. Zresztą łatwo to sprawdzić.

– Mam też rację, jeśli chodzi o Marka Mallory'ego. On też nie mógł uprowadzić Charlotte, bo również miał alibi. Był w odwiedzinach u matki. Rok wcześniej miała udar i leżała w szpitalu na oddziale rehabilitacyjnym.

Jane popatrzyła na niego w gasnącym świetle dnia. Buckholz broni swoich ustaleń, więc nie może być obiektywny. Sądząc po jego wymizerowanej twarzy i przetartej koszuli, emerytura nie wyszła mu na dobre. Był stałym bywalcem U Doyle'a, niemal mieszkał w tym barze, jakby tylko tam, w otoczeniu glin, czuł, że żyje. Że znów jest potrzebny.

Popraw humor starszemu koledze, pomyślała Jane. Pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Przejrzę jeszcze raz akta sprawy i dam ci znać.

– Myślisz, że możesz, ot tak, się mnie pozbyć? Byłem dobrym gliniarzem, Jane. Sprawdziłem tego chłopaka. Kiedy dochodzi do uprowadzenia, zawsze najpierw przyglądamy się rodzinie, więc dokładnie sprawdziłem jej przyrodniego brata. Każdy ruch, który wykonał tamtego dnia. Nie ma mowy, żeby to on uprowadził Charlotte.

– Bo powiedział, że odwiedzał matkę? Daj spokój, Hank. Nie można wierzyć mu na słowo, jego matce też. Wiadomo, że by

skłamała, byle tylko chronić swoje dziecko.

– Ale można wierzyć dokumentacji medycznej.

– Jak to?

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął złożoną kartkę, którą wcisnął Jane do ręki.

– Dostałem to ze szpitala, w którym leżała Barbara Mallory. To kopia notatek sporządzanych przez pielęgniarki. Spójrz na wpis pod datą dwudziestego kwietnia, trzynasta.

Jane rzuciła okiem na notatkę napisaną swego czasu przez pielęgniarkę: *Ciśnienie 115/80, Tętno 84. Pacjentka odpoczywa. Odwiedziny syna – prosi o przeniesienie matki do sali, w której jest większy spokój, z dala od stanowiska pielęgniarek.*

– O trzynastej – podkreślił Buckholz – Charlotte Dion była ze swoją klasą w Faneuil Hall. Około trzynastej piętnaście nauczyciele zauważyli, że zniknęła. Więc powiedz mi, jakim cudem Mark Mallory, który siedział w tym czasie przy łóżku matki, w oddalonym o czterdzieści kilometrów szpitalu, mógł piętnaście minut później uprowadzić swoją przyrodnią siostrę z ulicy w Bostonie?

Jane przeczytała jeszcze dwa razy notatkę pielęgniarki. Nie było wątpliwości co do daty i godziny. To jakaś pomyłka, pomyślała.

Tyle że to nie była pomyłka. Miała to przed oczami czarno na białym.

– Przestań zachowywać się tak, jakbym to ja schrzanił tę sprawę – prychnął Buckholz. – To jasne, że ci dwaj nie porwali

Charlotte.

– Więc kto to zrobił? – szepnęła Jane.

– Zapewne nigdy się nie dowiemy. Założę się, że jakiś facet zobaczył ją i capnął, korzystając z okazji.

Jakiś facet. Sprawca, którego muszą zidentyfikować.

Pojechała do domu z kopią notatki leżącą na siedzeniu obok, zastanawiając się, czy to możliwe. Dwóch morderców w rodzinie i Charlotte zostaje uprowadzona przez niespokrewnionego nieznanego? Zaparkowała pod domem i siedziała w zadumie. Nie była jeszcze gotowa, by wrócić do chaosu macierzyństwa. Pomyślała o tym, czego byli pewni: że Dion i Mallory razem uprowadzali i zabijali dziewczynki. Że na terenie posiadłości Diona zakopali przynajmniej sześć ciał. Czy Charlotte odkryła tajemnicę ojca? Czy dlatego jej się pozbyli? Czy zostało to zlecone trzeciej osobie, aby Patrick i Mark mieli alibi?

Jane masowała sobie skronie przytłoczona pytaniami. I znów Charlotte spowiła mgła tajemnic. Co wiedziała i kiedy na to wpadła? Z kim podzieliła się tą wiedzą? Pomyślała o ostatnich zdjęciach Charlotte z pogrzebu matki i ojczyma. Przypomniała sobie Charlotte osaczoną przez ojca i Marka. Otoczona wrogami, bez możliwości ucieczki.

Jane nagle usiadła prosto, porażona odpowiedzią, która powinna od samego początku przyjść jej do głowy.

A może Charlotte uciekła?

Rozdział trzydziesty ósmy

Jane przekroczyła granicę stanu New Hampshire w samo południe i jechała do Maine. Był ciepły majowy dzień, drzewa wypuściły już liście, nabierając wiosennych rumieńców, a nad polami i lasem unosiła się złocista mgła. Ale gdy późnym popołudniem dojechała do jeziora Moosehead, zrobiło się chłodno. Zaparkowała, owinęła szyję wełnianym szalem i poszła w stronę pomostu, przy którym czekała motorówka.

Jakiś piętnastolatek z jasnymi rozwianymi włosami pomachał jej na powitanie.

– Pani detektyw Jane Rizzoli? Jestem Will z Loon Point Lodge. – Chłopiec wziął jej torbę. – To cały pani bagaż?

– Zostanę tylko na jedną noc. – Rozejrzała się po nabrzeżu. – Gdzie jest szyper?

Uśmiechnął się i zamachał ręką.

– Tutaj. Prowadzę tę motorówkę, odkąd skończyłem osiem lat. Jeśli się pani boi, to dodam, że pływałem tą trasą chyba kilka tysięcy razy.

Wciąż powątpiewając w żeglarskie umiejętności chłopaka, Jane weszła na pokład i mocno ściągnęła paski kamizelki ratunkowej, którą jej podał. Siadając na ławce, zauważyła kartony wypełnione zakupami i paczkę gazet z „Boston Globe” na wierzchu. Najwyraźniej przy okazji tej wyprawy chłopak zrobił zakupy.

Kiedy uruchomił silnik, Jane spytała:

– Od jak dawna pracujesz w ośrodku?

– Przez całe życie. Rodzice są właścicielami.

Przyjrzała mu się uważniej. Zauważyła wyraźnie zarysowane kości policzkowe i rozjaśnione słońcem włosy. Miał budowę ratownika, szczupły, ale muskularny, taki chłopak w Kalifornii czułby się jak u siebie w domu. Sprawiał wrażenie bardzo zrelaksowanego, kiedy kierował motorówką na jezioro. Jane nie zdążyła zadać więcej pytań, bo już mknęli przez wzburzone fale, a warkot silnika zagłuszał jej słowa. Trzymała się burty i wpatrywała w gęsty las i jezioro tak duże, że przypominało morze.

– Pięknie tu – westchnęła, ale jej nie usłyszał, skupiony na celu podróży.

Kiedy dopłynęli na drugą stronę jeziora, słońce kryło się za horyzontem, zostawiając na wodzie płomiennoczerwone i złote refleksy. Zobaczyła drewniane domki i łódki wyciągnięte na brzeg. Na pomoście jasnowłosa dziewczynka czekała, by złapać linę. Przyjrzawszy się lepiej jej twarzy, Jane od razu wiedziała, że są rodzeństwem.

– Ta łobuziara to Samantha – powiedział Will ze śmiechem i czule musnął włosy dziewczynki. – Jest naszym chłopcem na posyłki. Jeśli brakuje szczoteczki do zębów albo ręcznika, wystarczy zawołać.

Dziewczynka złapała torbę Jane i pobiegła truchtem przez pomost.

– Ma chyba osiem albo dziewięć lat, prawda? Nie chodźcie

do szkoły? – zagadnęła Jane.

– Uczymy się w domu. Zimą trudno dostać się do miasta. Tata zawsze powtarza, że jesteśmy najszczęśliwszymi dziećmi na świecie, bo mieszkamy w raju. – Poprowadził ją ścieżką do jednego z domków. – Mama ulokowała panią tutaj. Tu jest najspokojniej.

Weszli po schodkach na zabudowany taras, skrzypnęły drzwi. Samantha wniosła już torbę Jane do środka i postawiła ją na rustykalnej półce w nogach łóżka. Jane spojrzała na belki na suficie i ściany z sosnowych bali. W kamiennym palenisku trzaskał ogień.

– Podoba się pani? – spytał Will.

– Szkoda, że nie przyjechałam tu z mężem. Byłby zachwycony.

– Proszę go przywieźć następnym razem. – Will zaskłamał na pożegnanie i odchodząc, dodał: – Kiedy się pani już rozgości, proszę przyjść na kolację. Dziś mamy chyba duszoną wołowinę.

Kiedy wyszedł, Jane usiadła w bujanym fotelu na tarasie i patrzyła, jak słońce rozpała ogień na jeziorze. Bzyczały owady, a plusk wody sprawiał, że zrobiła się senna. Zamknęła oczy i nie widziała nadchodzącego gościa. Dopiero gdy usłyszała pukanie, podniosła głowę i przez siatkę przeciw owadom zamontowaną w drzwiach zobaczyła jasnowłosą kobietę.

– Pani detektyw?

– Proszę wejść.

Kobieta weszła do środka, ostrożnie zamykając drzwi, żeby

nie trzasnęły. Choć na tarasie było dość ciemno, Jane widziała wyraźne podobieństwo do Willa i Samantha i wiedziała, że ta kobieta jest ich matką. Wiedziała również, i co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości, jak się ta kobieta nazywa. Jane skupiła się na Loon Point przez wyprawę na ryby, na którą Ingersoll wybrał się w tak dziwnym momencie, nie zabierając skrzynki wędkarskiej. Taki był prawdziwy powód, dla którego Ingersoll przyjechał do Maine: odwiedzić kobietę, która stoi teraz na tarasie domku Jane.

– Witaj, Charlotte – powiedziała Jane.

Kobieta zerknęła przez siatkę, sprawdzając, czy w zasięgu głosu nikogo nie ma. Potem spojrzała na Jane.

– Proszę nie używać więcej tego imienia. Teraz nazywam się Susan.

– Czy pani rodzina o tym wie?

– Mój mąż tak, ale dzieci nie. Zbyt trudno byłoby im to rozumieć. I nie chcę, aby kiedykolwiek wiedziały, jakim człowiekiem był ich dziadek... – Głos jej się załamał. Z westchnieniem opadła na jedno z bujanych krzeseł. Przez chwilę słyhać było tylko skrzypienie podłogi, gdy się bujała.

Jane patrzyła na jej profil. Charlotte, to znaczy Susan, skończyła zaledwie trzydzieści sześć lat, ale wyglądała starzej. Po latach spędzonych na świeżym powietrzu miała piegowatą cerę, a jej włosy zaczynały gdzieniegdzie siwieć. Ale najwięcej lat dodawał ból widoczny w jej oczach. Ból, który pozostawił po sobie głębokie bruzdy i udręczone spojrzenie.

Susan oparła się wygodnie i popatrzyła na ciemniejącą taflę

jeziora.

– To się zaczęło, kiedy miałam dziewięć lat. Którejś nocy przyszedł do mojego pokoju, kiedy mama spała. Powiedział, że jestem już dość duża, że czas, abym nauczyła się tego, co powinny robić wszystkie córeczki. Czyli sprawiać przyjemność tatusiom. – Przełknęła. – Więc to zrobiłam.

– Nie powiedziała pani mamie?

– Mamie? – Śmiech Susan był gorzki. – Mojej matki nigdy nie interesowało nic, co wykraczało poza jej własne sprawy. Kiedy zaczęła romans z Arthurem Mallorym, już po dwóch miesiącach wyfrunęła z klatki. I nigdy się za siebie nie obejrzała. Nie jestem pewna, czy w ogóle pamiętała, że ma córkę. Więc zostałam z ojcem, który mógł się tylko cieszyć, że przejął opiekę nade mną. Oczywiście jako jedyny chętny. Och, kilka razy w roku miałam spędzać weekend z mamą i Arthurem, ale ona właściwie nie zwracała na mnie uwagi. Tylko Arthur okazywał mi życzliwość. Nie znałam go dobrze, ale sprawiał wrażenie przyzwoitego człowieka.

– A jego syn Mark?

Zapadła długa cisza.

– Nie zdawałam sobie sprawy, kim naprawdę jest Mark – odezwała się Susan. – Kiedy nasze rodziny spotkały się po raz pierwszy, wydawał się zupełnie niegroźny. Często się widywaliśmy. Najpierw kolacja w domu Marka, a potem u nas. Stosunki się zacieśniały. Tyle że stosunki między mamą i Arthurem zacieśniły się bardziej, niż to sobie wtedy uświadamiałam.

– Ale twój ojciec i Mark też się chyba do siebie zbliżyli.

Susan pokiwała głową.

– Jak najlepsi przyjaciele. Jakby mój ojciec odnalazł wreszcie syna, którego zawsze chciał mieć. Nawet po rozwodzie rodziców Mark wciąż przychodził w odwiedziny do taty. Schodzili na dół do warsztatu i budowali karmnik dla ptaków albo robili ramki na zdjęcia. Nie miałam pojęcia, co się tam naprawdę działo.

O wiele więcej niż zwykle majsterkowanie, pomyślała Jane.

– Nie myślałaś, że to dziwne, że spędzają razem tyle czasu?

– Przede wszystkim czułam ulgę, bo ojciec zostawiał mnie w spokoju. To w tamtym czasie, kiedy miałam około trzynastu lat, tata przestał przychodzić nocami do mojego pokoju. Wtedy nie wiedziałam dlaczego. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że w tamtym czasie zginęła pierwsza dziewczynka. Kiedy miałam trzynaście lat, a tata znalazł sobie do zabawy kogoś innego. Z pomocą Marka. – Susan przestała się bujać i usiadła bez ruchu ze wzrokiem wbitym w jezioro.

– Gdybym wiedziała, gdybym się zorientowała, kim naprawdę był Mark, moja mama i Arthur nadal by żyli.

Jane ściągnęła brwi.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo to przeze mnie pojechali tamtej nocy do restauracji Czerwony Feniks. Byli tam z powodu czegoś, co im powiedziałam.

– Ty?

Susan odetchnęła głęboko, jakby zbierała siły na ciąg dalszy.

– Tamten weekend miałam zgodnie z planem spędzić z mamą i Arthurem. Właśnie zrobiłam prawo jazdy i po raz pierwszy sama pojechałam do ich domu. Wzięłam samochód taty. I wtedy znalazłam ten wisiołek. Upadł między siedzenie a konsolę, gdzie przez dwa lata leżał przez nikogo niezauważony. Był to złoty wisiołek w kształcie smoka, z wygrawerowanym na rewersie imieniem i nazwiskiem: Laura Fang.

– Poznała pani to nazwisko?

– Tak. Sprawę opisywano w gazetach, kiedy ta dziewczynka zniknęła. Pamiętałam jej nazwisko, bo była w moim wieku i grała na altówce. W Bolton Academy niektórzy uczniowie rozmawiali na jej temat, ponieważ znali ją z letnich warsztatów orkiestry.

– Mark brał udział w tych warsztatach?

Susan pokiwała głową.

– Znał ją. Ale nie mogłam zrozumieć, jaki to może mieć związek z moim ojcem. W jaki sposób wisiołek Laury znalazł się w aucie mojego taty? Potem zaczęłam rozmyślać o wszystkich tych nocach, kiedy przychodził do mojej sypialni, i o tym, co mi robił. Skoro wykorzystywał mnie, to może robił to również innym dziewczynkom. Może to właśnie przydarzyło się Laurze. Może dlatego znikła.

– I wtedy powiedziała pani mamie?

– W tamten weekend, kiedy do nich przyjechałam, to wszystko się ze mnie wylało. Opowiedziałam im wszystko. Co tata mi robił kilka lat wcześniej. Co znalazłam w jego samochodzie. Na początku mama nie mogła w to uwierzyć.

Potem, jak to zwykle ona, egocentrycznie skupiona na sobie, zaczęła martwić się o złą reputację i o to, że jej nazwisko pojawi się w gazetach. Że zasłynie jako idiotka, która nie miała pojęcia, co się działo w jej domu. Ale Arthur potraktował to poważnie. On mi uwierzył. I zawsze będę go za to szanowała.

– Dlaczego nie poszli na policję?

– Mama chciała najpierw upewnić się co do faktów. Nie chciała przyciągać niczyjej uwagi, tylko sprawdzić, czy to nie był jakiś dziwny zbieg okoliczności. Może jest jakaś inna Laura Fang, powiedziała. Więc postanowili pokazać rodzinie Fang ten wisiorek. Upewnić się, że należał do tej samej Laury, która zaginęła dwa lata wcześniej. – Susan spuściła głowę, a jej słowa były prawie niesłyszalne – I wtedy po raz ostatni widziałam ich żywych. Kiedy pojechali spotkać się w restauracji z ojcem Laury.

To był ostatni fragment tej łamigłówki i powód, dla którego Arthur i Dina pojechali tamtej nocy do Chinatown. Nie na kolację, lecz porozmawiać z Jamesem Fangiem o zaginionej córce. Strzały z pistoletu, krwawa masakra, o którą obwiniono nieszczęsnego imigranta, zakończyły tę rozmowę.

– Policja obstawała przy wersji z samobójstwem – ciągnęła Susan. – Powiedzieli, że mama i Arthur znaleźli się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie. Wisiora nigdy nie znaleziono, więc nie miałam dowodu. Nie miałam też nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić. Wciąż zastanawiałam się, czy był jakiś związek między sprawą Laury a tą strzelaniną. A na dodatek jeszcze Mark. Był z nami w domu w tamten

weekend, więc o wszystkim wiedział.

– Zadzwoił do Patricka. Powiedział mu, że mama i Arthur jadą do restauracji.

– Na pewno tak zrobił. Ale dopiero na pogrzebie poskładałam to wszystko w całość. Ojciec i Mark pracowali razem. Bez wisiorka niczego nie mogłam udowodnić. Mój ojciec był potężny, a ja wiedziałam, że z łatwością sprawi, iż zniknę bez śladu.

– Więc postanowiłaś sama zniknąć.

– Nie zaplanowałam tego. Pojechałam na tę szkolną wycieczkę Szlakiem Wolności. – Zaśmiała się smutno. – I nagle pomyślałam, że ja też chcę być wolna! I że mogę to zrobić. Więc wymknęłam się nauczycielom. Kilka ulic dalej zaczęłam się zastanawiać, jak wszystkich zmylić. Porzuciłam w jakiejś uliczce plecak i legitymację. Miałam dość gotówki, by kupić bilet na autobus jadący na północ. Nie byłam pewna, dokąd jadę, wiedziałam tylko, że muszę uciec od ojca. Kiedy dojechałam do Maine i wysiadłam z autobusu, nagle poczułam się – westchnęła – jakbym znalazła się w domu.

– I została tu pani.

– Dostałam pracę jako sprzątaczką domków dla turystów. Poznałam przyszłego męża Joego. I to był największy dar, jaki dostałam od życia: znalazłam mężczyznę, który mnie kocha. I stoi po mojej stronie bez względu na wszystko. – Odetchnęła głęboko i uniosła głowę. Wyrzuciła się. – Tu od nowa ułożyłam sobie życie. Urodziłam dzieci. Razem z Joem zbudowaliśmy te domki. Otworzyliśmy ośrodek. Myślałam, że

będę szczęśliwa, kryjąc się tu przed światem.

Znad jeziora dolatywały śmiechy. Will i Samantha w kostiumach kąpielowych ścigali się po pomoście. Skoczyli, a ich śmiechy zamieniły się w piski, gdy dali nura do zimnej wody. Susan wstała z fotela i patrzyła na pluskające się w jeziorze dzieci.

– Samantha ma dziewięć lat. Tyle samo co ja, kiedy to się zaczęło. Kiedy ojciec po raz pierwszy przyszedł do mojej sypialni. – Susan stała odwrócona plecami, jakby nie chciała, by Jane widziała jej twarz. – Myślimy, że można uwolnić się od bagażu takich wspomnień, ale to niemożliwe. Przeszłość zawsze gdzieś się czai, czeka, by dopaść w nocnych koszmarach. Wyskakuje jak diabeł z pudełka, kiedy najmniej się tego spodziewamy. Może ją przywołać zapach ginu i cygar. Albo skrzypienie drzwi w nocy. Po tylu latach on wciąż nie daje mi spokoju. A kiedy Samantha skończyła osiem lat, nocne koszmary zrobiły się jeszcze gorsze, bo widziałam siebie w jej wieku. Niewinną, jeszcze nietkniętą. Myślałam o tym, co mi zrobił i co mógł zrobić Laurze. I zastanawiałam się, czy były inne dziewczynki, inne ofiary, o których nie wiedziałam. Ale nie miałam pojęcia, jak go pokonać. Nie miałam odwagi.

Will i Samantha wspięli się na pomost i stali, susząc się i śmiejąc. Susan przycisnęła dłoń do siatki, jakby czerpała odwagę ze swoich dzieci.

– Potem, trzydziestego marca, otworzyłam „Boston Globe”.

– I zobaczyła pani ogłoszenie Iris Fang. O masakrze w Czerwonym Feniksie.

– *Prawda nigdy nie wyszła na jaw* – wyszeptała Susan. – Tak tam było napisane. I nagle dowiedziałam się, że nie jestem sama. Że ktoś inny też szuka odpowiedzi. I sprawiedliwości. – Odwróciła się do Jane. – To wtedy zebrałam się wreszcie na odwagę i zadzwoniłam do detektywa Lou Ingersolla. Znałam go, bo zajmował się sprawą masakry w Czerwonym Feniksie. Powiedziałam mu o wisiorku Laury. O moim ojcu i Marku. Powiedziałam, że mogą być inne zaginione dziewczynki.

– To dlatego zaczął zadawać pytania na temat tych dziewczynek – mruknęła Jane. Pytania, które wystawiły go na niebezpieczeństwo, bo do Patricka dotarły wieści, że Ingersoll zbiera dowody wskazujące na jego powiązania nie tylko z zaginionymi dziewczynkami, ale również z Czerwonym Feniksem. Mógł przypuszczać, że stoi za tym Iris Fang, bo to ona zamieściła ogłoszenie w „Globe”. Straciła zarówno córkę, jak i męża. Zabicie Iris oraz Ingersolla zlikwidowałoby problem, więc Patrick wynajął zawodowców. Ale zabójcy nie docenili tego, z czym przyszło im się zmierzyć.

– Byłam przerażona, że ojciec mnie znajdzie – opowiadała Susan. – Powiedziałam detektywowi Lou Ingersollowi, żeby nie mówił niczego, co mogłoby kogoś naprowadzić na mój ślad. Obiecał, że nawet własnej córce nie powie, nad czym pracuje.

– Dotrzymał słowa. Nie mieliśmy pojęcia, że to pani go wynajęła. Przypuszczaliśmy, że zrobiła to Iris Fang.

– Zadzwonił do mnie kilka tygodni później. Powiedział, że musimy się spotkać, i przyjechał tu. Powiedział, że odnalazł

schemat. Pokazał nazwiska trzech dziewcząt, które mogły się ze mną spotkać, zanim zagięły. Dziewcząt, które grały w tych samych meczach tenisowych albo były na tych samych obozach muzycznych. Okazało się, że to ja byłam ogniwem. To ja byłam powodem, dla którego zostały wybrane. – Głos jej się załamał i znów opadła na fotel. – Mieszkałam tu sobie w Maine z moją małą córeczką i nie miałam pojęcia, że były inne ofiary. Gdybym tylko wykazała większą odwagę, mogłabym już dawno temu to powstrzymać.

– To zostało powstrzymane, Susan. A ty odegrałaś w tym ważną rolę.

Susan spojrzała na Jane lśnącymi od łez oczami.

– Drugorzędną rolę. Detektyw Lou Ingersoll zginął w imię tej sprawy. A pani ją dokończyła.

Jednak nie sama, pomyślała Jane. Miałam pomocników.

– Mamo? – Gdzieś z mroku doleciał dziewczęcy głos. Za drzwiami z siatki stała Samantha, jej szczupła sylwetka rysowała się na tle odbitego w tafli jeziora światła. – Tata powiedział, żeby po ciebie przyjść. Nie jest pewny, czy powinien już wyjąć placek z piekarnika.

– Już idę, kochanie. – Susan wstała. Otworzyła drzwi z siatki, obejrzała się i uśmiechnęła do Jane. – Obiad gotowy. Proszę przyjść, jeśli pani zgłodnieje – powiedziała i wyszła, puszczając drzwi, które zatrzęsły się ze skrzypnięciem.

Z tarasu Jane widziała, jak Susan bierze Samanthę za rękę. Mama z córką szły brzegiem, a ich sylwetki powoli rozplywały się w zapadającym mroku. Przez cały czas trzymały się za ręce.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Trzy miesiące później prowincja Fujian, Chiny

Słodki zapach kadzidła roznosi się po dziedzińcu, gdzie stoję z Bellą nad grobem przodków jej ojca. Jesteśmy na pradawnym cmentarzu. Przez ostatnie tysiąc lat kolejne pokolenia rodu Wu były tu chowane, a teraz prochy Wu Weimina również spoczęły obok prochów jego przodków. Jego udręczona dusza już nie błąka się w świecie duchów, wołając o sprawiedliwość.

Nareszcie spocznie na wieki w pokoju.

Kiedy zmierzch zaczyna zamieniać się w noc, zapalamy z Bellą świece i pochylamy głowy, by uczcić pamięć jej ojca. Nagle czuję, że nie jesteśmy same. Odwracam się i widzę postać wchodzącą przez bramę na dziedziniec. Choć w gęstniejącym mroku nie widzę jego twarzy, poznaję – po cichym kroku i lekkości, z jaką się porusza – że to syn Wu Weimina z pierwszego małżeństwa, syn, który nigdy o nim nie zapomniał i nadal otacza pamięć o nim czcią i szacunkiem. Kiedy mężczyzna staje w blasku świecy, Bella kiwa głową, witając przyrodniego brata, a on ze smutnym uśmiechem odpowiada jej tym samym. Ci dwoje są tak do siebie podobni, twardzi jak kamień, w którym złożone są prochy ich ojca. Teraz, gdy spełnili swą powinność, zastanawiam się, co się z

nimi stanie. Jeśli poświęcisz połowę swojego młodego życia, by osiągnąć jeden cel i wreszcie ci się to uda, co pozostaje do zrobienia?

Z szacunkiem pochyla przede mną głowę.

– *Sifu*, przepraszam za spóźnienie. Mój lot z Szanghaju był opóźniony z powodu złej pogody.

W blasku świecy przyglądam się uważnie jego twarzy i dostrzegam coś więcej niż zwykle zmartwienie w zmarszczkach wokół jego oczu.

– Jakież problemy w Bostonie?

– Ona chyba wie. Czuję, że mnie obserwuje i bada. Za każdym razem, kiedy na mnie patrzy, czuję, że mnie podejrzewa.

– I co teraz będzie?

Wzdycha ciężko i patrzy na palące się świece.

– Myślę, a właściwie mam nadzieję, że to rozumie. Napisała mi entuzjastyczną pochwałę. I chce, żebym pracował z nią przy kolejnym śledztwie w Chinatown.

Uśmiecham się do Johnny'ego Tama.

– Detektyw Jane Rizzoli aż tak bardzo się od nas nie różni. Może jej się nie podobać sposób, w jaki osiągnęliśmy nasz cel, ale wierzę, że rozumie, dlaczego tak postąpiliśmy. I to akceptuje.

Zbliżam zapaloną zapałkę do paleniska na dziedzińcu i zapalam podpałkę. Płomienie skaczą w górę jak wygłodniałe zęby, a my karmimy je papierowymi imitacjami pieniędzy, specjalnymi banknotami dla duchów. Ogień pochłania je, a

unoszący się dym przynosi pocieszenie i szczęście duchom tych, których kochamy.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą musimy spalić.

Kiedy wyjmuję maskę z worka, w srebrzystych włosach tańczą refleksy ognia i nagle maska ożywa, jakby sam duch Sun Wukonga wyskoczył z mroku. Ale to tylko przedmiot wykonany ze skóry i futra małpy, który zwisa bezwładnie w mojej dłoni, zbutwiały rekwizyt, kupiony lata temu od chińskiej trupy teatralnej. Wszyscy troje nosiliśmy tę maskę. Podzieliliśmy tę rolę między siebie. Ja, gdy broniłam się na dachu przed kobietą zabójcą. Bella, gdy uratowała życie policjantce. I wreszcie Johnny, gdy strzelił prosto w głowę Patricka Diona, zamykając to koło śmierci.

Wrzucam maskę w płomienie. Natychmiast zajmuje się ogniem. Czuję swąd skwierczących w ogniu włosów i osmalonej skóry. W jasnym błysku płomieni maskę trawi ogień, przywracając Sun Wukonga światu duchów, tam gdzie jest miejsce Małpiego Króla. Ale on nigdy nie jest daleko. Kiedy naprawdę jest potrzebny, każdy z nas znajdzie go w swoim wnętrzu.

Płomienie przygasają, a my wpatrujemy się w palenisko, szukając w żarzących się popiołach tego, co każde z nas pragnie zobaczyć. Dla Belli i Johnny'ego jest to pełen aprobaty uśmiech ojca. Wypełnili swoją powinność, teraz ich życie należy już tylko do nich.

A co ja widzę w tych popiołach? Twarz mojej córki Laury, której szczątki zostały znalezione dziesięć tygodni temu w

porośniętym winną latoroślą kącice posesji Patricka Diona. Widzę twarz mojego ukochanego męża, wciąż młodego, z czarnymi włosami, jak w dniu naszego ślubu. Choć oni się nie starzeją, ja trwam na tej ziemi, ze słabnącym zdrowiem, siwiejącymi włosami, a mijające lata żłobią coraz głębsze zmarszczki na mojej twarzy. A z każdym rokiem, im jestem starsza, tym bliżej jestem Jamesa i Laury i dnia, w którym znów będziemy razem. Więc podążam przez coraz głębszy mrok, pogodna i nieustraszona.

Albowiem oni będą na mnie czekali u kresu tej podróży.

Podziękowania

Żadna z książek, które napisałam, nie była tak osobista jak ta. Inspiracją dla tej historii były opowieści mojej matki o dzieciństwie w Chinach, pełne duchów, tajemniczych mistrzów sztuk walki i bohaterskiego Małpiego Króla. A zatem dziękuję ci, Mamo, za to, że wprowadziłaś mnie w cudowny świat chińskich bajek.

Dziękuję Tony'emu Yee i policjantowi z Bostonu Tommy'emu Yungowi za cenne uwagi na temat bostońskiego Chinatown. Halfordowi Jonesowi za to, że zachęcał mnie do napisania książki o sztukach walki. Mojemu synowi Adamowi Gerritsenowi za pomoc w kwestii języka mandaryńskiego i broni palnej. Doktor Reenie Roy, która jest profesorem nadzwyczajnym na Uniwersytecie Penn State na wydziale medycyny sądowej, za jej nieocenioną pomoc w zakresie analizy włosów naczelnych, Johnowi R. Michaudowi, profesorowi nadzwyczajnemu wydziału prawa i jego studenckiemu Klubowi Sprawiedliwości Kryminalnej z Uniwersytetu Husson za uwagi na temat analizy metalu i zabytkowych mieczy, a także detektywowi Russellowi Grantowi z policji bostońskiej za to, że zawsze był gotowy odpowiedzieć na moje pytania. Wszelkie błędy, które popełniłam w tej powieści, są moje i tylko moje.

Nie mogę również pominąć niezłomnej ekipy, która na każdym kroku była gotowa wspierać mnie radą, dobrym słowem, a czasem jakże potrzebnym martini: nie mającej sobie

równych agentki Meg Ruley z Agencji Jane Rotrosen,
wydawcy z Ballantine – Lindy Marrow, mojej mistrzyni z
Transworld – Seliny Walker i człowieka, który dba o moje
bezpieczeństwo i zdrowie w podróży – Briana McLendona.

Przede wszystkim jednak dziękuję mojemu mężowi
Jacobowi, który tak pogodnie znosi trudy małżeństwa z pisarką.
Po całym dniu w towarzystwie ludzi, którzy istnieją tylko w
mojej wyobraźni, jestem bardzo wdzięczna, że mam
prawdziwego bohatera z krwi i kości, do którego mogę wrócić.